

ANNA
BRODA

Teoria
zakalca

Dagny Przybyszewskiej



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANNA
BRODA



Teoria
zakalca

Dagny Przybyszewskiej



MUZA

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Projekt okładki: *Izabella Marcinowska*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja: *Marek Władyka*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© iStockphoto.com/funnybank

© iStockphoto.com/Theresa Tibbetts

© by Anna Broda

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2017

ISBN 978-83-287-0587-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2017

Dla mojej cioci Aleksandry

Spis treści

ZACZYN

FERMENTACJA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ROZDZIAŁ DRUGI

ROZDZIAŁ TRZECI

ROZDZIAŁ CZWARTY

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROZDZIAŁ SZÓSTY

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WYPIEK

ROZDZIAŁ ÓSMY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ROZDZIAŁ DWUNASTY

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ROZDZIAŁ SZESNASTY

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚCIE

ZAKALEC

ROZDZIAŁ OSIEMNAŚCIE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE PIERWSZY

ROZDZIAŁ DWUDZIEŚCIE DRUGI

BRIOSZKA ZAMIAST EPILOGU

ZACZYN

Tego dnia Witek skończył pięćdziesiąt lat i miał tylko jedno życzenie: chciał, żeby jajko, które właśnie wyjął z lodówki, okazało się świeże. Nie pamiętał, kiedy przyniósł je ze sklepu. Mogło to być w zeszłym tygodniu, miesiącu albo w latach dziewięćdziesiątych. Prawie nigdy niczego nie gotował. Żywił się wyłącznie kanapkami ze stacji benzynowej, ciastkami z marmoladą i pulpetami w sosie pomidorowym. Dziś jednak, gdy tylko się ocknął, poczuł wielkie pragnienie zjedzenia jajka na miękko. Nie zauważył, że wstał z łóżka piętnaście minut wcześniej, nim zadzwonił budzik.

Wszedł do kuchni i włączył światło.

Włożył jajko do półlitrowego garnuszka, wstawił na gaz i między kolejnymi ziewnięciami zerkał – bez wielkiej nadziei – w stronę brzydkiej kuchenki. Na sąsiednim palniku postawił stary czajnik z gwizdkiem. Żołądek skręcał się Witkowi z osobliwego głodu, którego nie mogło zaspokoić nic poza jajkiem na miękko – świeżym, z idealnie płynnym żółtkiem, doprawionym odrobiną soli. Ale jakie były szanse na to, że jajko z lodówki nadaje się do jedzenia?

Witek nigdy nie zwracał się o pomoc do Opatrzności. Po pierwsze, dlatego że nie wierzył w Opatrzność. Po drugie – nie wierzył w gratisy. Od lat zajmował się handlem i wiedział, że za wszystko trzeba płacić. Nawet najmniej poważani bogowie mają określone cenniki. Z każdym z nich trzeba dobić targu: „Spełnij moją prośbę, bo wczoraj odwiozłem mamę do dentysty, jutro dokarmię sikorki, a poza tym przecież staram się być miłym gościem”.

Witek zaś nie był miłym gościem w ogólnym tego słowa znaczeniu. Mówiąc ściślej, nie był miłym gościem w żadnym tego słowa znaczeniu. Dwadzieścia pięć lat temu, w całkiem innym życiu, badał systemy moralności. Pamiętał filozofów usprawiedliwiających Stalina, lecz nie potrafił przywołać żadnego myśliciela, który pochwalałby to, co on sam zrobił ze swoim życiem.

Wszystko to mało go obchodziło.

Nie zawracał głowy niebiosom, tego samego oczekiwał od drugiej strony.

Ale kiedy ściągał folię z kanapki i spojrzał na datę ważności, przypomniał sobie o urodzinach. Zerknął na garnuszek z gotującym się jajkiem i po raz pierwszy od lat wypowiedział w myślach coś w rodzaju życzenia. Zasłużył czy nie, trudno uznać płynne żółtko zamknięte w ściętym białku za szczyt zuchwałych wymagań. Do jasnej cholery, chodziło tylko o leciutki uśmiech losu do łysiejącego sklepikarza o niezdrowej cerze, któremu od dwudziestu czterech lat nikt nie złożył urodzinowych życzeń.

To całkiem odpowiedni prezent, czyż nie?

Na parapecie stała toporna miniwieża, kupiona jeszcze w latach dziewięćdziesiątych. Witek włączył radio: *A po weekendzie szkoła i na osłodę premiera jesiennej ramówki.*

Zmienił stację. Radosny głos mówił:

Twe marzenie dziś się ziszcza,

Wykroimy z ciebie mistrza!

Sharp-pol.

Kupuj nasz nowy GrafeNóż w technologii 3D.

Prychnął i ustawił stację z muzyką klasyczną. Grali właśnie *Wiosnę* Vivaldiego.

Lubił ten kawałek: nie miał słów, nie był szczególnie żenujący, niczego od Witka nie wymagał.

Zerknął na zegarek. Wystarczy kilka sekund, by cudownie maślana płynność żółtka zniknęła i wraz z nią cała magia, a jajko zmieniło się w pospolity składnik sałatki jarzynowej. Przypomniawszy sobie, że jego żonie nigdy nie udało się ugotować jajka, jak należy.

Ugryzł kanapkę i podszedł do okna. Mieszkał tu od ponad dwóch dekad i znał widok na pamięć – odrapany trzepak, ławki, rząd garaży, jego mały sklep ogólnospożywczy, a dalej bloki, bloki, pojedyncze wieżowce i znowu bloki. Dzielnicę Prądnik Biały zamieszkiwało wraz z Witkiem jakieś siedemdziesiąt tysięcy osób i żadna nie była mu na tyle bliska, by znać datę jego urodzin.

Ta myśl niosła niewyobrażalną ulgę.

Przez tych dwadzieścia kilka lat zmienił zawód, nawyki, rytm dnia i przekonania. Wyłysiał, wychudł, zaczął się garbić. Czy coś łączyło go z dawnym Witkiem? Chyba już tylko skłonność do nagłego zamyślenia się. Zdarzało mu się skroić pół kilo szynkowej, gdy ktoś poprosił o pięć plasterków, albo wsypywać mieszankę wedlowską do trzeciego już woreczka, nim mina klienta uświadomiła mu, że miał podać pół bochenka chleba i gazetę z programem.

Teraz też się zamyślił.

Nie miał najmniejszej ochoty na rocznicowe podsumowania, lecz fakt, że nigdy nie uszczęśliwił ludzkości niczym, co nazywało się „GrafeNóż 3D”, wywołał coś w rodzaju uśmiechu. Czym w ogóle był GrafeNóż 3D? I czy się nie przesłyszał? Agencje reklamowe urządzą przecież burzę mózgów przed wymyśleniem nazwy dla nowego produktu. Co mogło przegrać z GrafeNożem 3D? Jak, na Boga, brzmiały w takim razie te odrzucone nazwy?

Podszedł do kuchennego blatu i wziął łyk wczorajszej herbaty. Smakowała okropnie, lecz Witkowi zupełnie to nie przeszkadzało. Ugryzł kolejny kęs.

Zerknął na pudełko z trutką. Dziś nie zapomni. Zaraz po powrocie z pracy zejdzie do piwnicy i rozprawi się wreszcie ze szczurami, które ostatnio poprzegryzały stare teczki z doku...

Nagle rozzwonił się budzik.

Witek podskoczył.

Plasterek ogórka wpadł mu do tchawicy.

Chwycił się za szyję. Gwałtownie poczerwieniał. Klepnął się dłonią po plecach, mocniej, potem jeszcze raz. Niczym oszalały Tarzan zaczął desperacko boksować klatkę piersiową. Nic z tego. Nie mógł złapać oddechu, krzyknąć, zakasać. Miotając się po kuchni, przewrócił krzesło, zwałił na podłogę plik z rozliczeniem od dostawcy wędlin, aż w końcu dopadł kranu.

Woda.

Odrobina cholernej wody i wszystko będzie dobrze. Dreszcze wstrząsały nim jednak tak mocno, że nie mógł odkręcić kurka. Mijały sekundy. Cenne, decydujące sekundy. Szarpał stary pordzewiały kurek, czując, jak opuszczają go siły.

Poddaje się, pomyślał.

I wtedy popłynęła woda. Podłożył głowę pod cienki strumyczek i otworzył usta. Chłodne krople obryzgały mu twarz. Kilka razy zakasał i osunął się na podłogę.

Spojrzał na garnuszek z jajkiem.

Nie będzie na miękko, pomyślał. Cztery i pół minuty, i ani sekundy dłużej. Żółtko zaczyna twardnieć i jest po wszystkim.

A potem umarł.

FERMENTACJA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Im większym sukcesem jest debiut, tym trudniej napisać następną powieść – powiedział kiedyś Marcie znajomy redaktor. – W dzień zbierasz pochwały, a wieczorem siedzisz pięć godzin przy komputerze i pisziesz dwa akapity. Które uważasz za okropne. I masz rację. Nic tak nie paraliżuje jak nagły sukces.

Uprzejmie kiwała głową, ale w głębi duszy wydawało się jej, że to problem przewrażliwionych na swoim punkcie facetów w szylkretowych okularach.

A teraz dochodziła dwudziesta druga, a ona siedziała przed zupełnie pustym plikiem. Nie miała nic, nawet jednego beznadziejnego zdania, które trzeba skasować. Całkowita pustka. I trwało to od miesiąca.

Niestety redaktor nie miał racji. Okazało się, że istnieje coś znacznie bardziej paraliżującego niż sukces.

Brak sukcesu.

Może mocne i głośne debiuty zmieniały autorów w roztrzęsione niemoty, przerażone tym, że każde słowo zniszczy dobre pierwsze wrażenie. Zgoda. Ale pierwszą powieść – kryminał metafizyczny *Leprechaun z kromlechów Lisseyviggeen* – odrzuciło dwanaście wydawnictw.

Wczoraj dostała e-maila: „Dziękujemy, ale poziom artystyczny Pani propozycji nie spełnia wymogów naszego wydawnictwa. Powodzenia!”. I to od ludzi, którzy mieli w swojej ofercie dzieło *Byłam konkubiną proboszcza w Bieszczadach*.

– Pomyśl sobie, jak się pisze drugą książkę po czymś takim – westchnęła. – Kiedy zostaje już tylko wydawnictwo #OPKO.

Wzdrygnęła się na samo brzmienie tej nazwy, opatulila nieco już wysłużonym szalem i poszła do kuchni po następną kawę.

Wróciła z parzącą palce filiżanką i spojrzała na salon z lekkim wyrzutem. Był tak czysty i uporządkowany, jak potrafią być jedynie pokoje ludzi mających liczną służbę albo Pilną Sprawę, Którą Za Minutę Się Zajmą, Tylko Umyją Jeszcze Okno i Ułożą Książki W Kolejności Alfabetycznej.

To jednak zrobiła już w zeszłym tygodniu. Dwa tysiące trzysta dwadzieścia osiem książek. Nie ominęła ani jednej.

Nawet listwa przypodłogowa błyszczała od pucowania. Marta cały poprzedni wieczór wcierała w nią pastę z woskiem. Ileż nowej wiedzy o gospodarstwie domowym odkrywała, od kiedy zaczęła pisać drugą książkę! Sztuka składania prześcieradła z gumką, froterowanie podłóg. Pomyśleć, że do trzydziestki chodziła po takiej niewypolerowanej.

Wiedziała, że na całym Grochowie, a może w ogóle w całej Warszawie, nie ma czystszej mieszkanca. Ta myśl dziwnie ją przygnębiała.

Jedynie stojące w rogu pokoju biurko wyłamywało się z festiwalu sterylności.

Między pustymi kubkami po kawie leżały dwadzieścia cztery długopisy, z których działał tylko jeden,

nie wiadomo który. A także niesmaczne, ale niskokaloryczne ciasteczka ryżowe, dwa kubeczki po truskawkowych niesłodzonych jogurtach i ukryta w szufladzie paczka pianek marshmallow. Resztę blatu przykrywała gruba warstwa czegoś, co Marta nazywała „bieżącymi dokumentami”: rachunki od ortodonta sprzed dwóch lat, fragmenty pracy magisterskiej o Dagny Przybyszewskiej, a nawet maturalne notatki z historii.

Mówią, że chaos w miejscu pracy utrudnia życie. Marta uważała, że wręcz przeciwnie. To wielka radość czytać stare zapiski o Napoleonie i z nostalgicznym uśmiechem wspominać nauczycieli ze szkoły średniej. Gdyby nie to, gapiłaby się bez sensu w pusty ekran i rozmyślała o swoich szansach na rynku wydawniczym.

I o stanie swojego konta.

I o tym jak, do cholery, znalazła się w redakcji „Implikatury Konwersacyjnej” – ambitnego kwartalnika polonistycznego w całości utrzymującego się z dotacji Ministerstwa Kultury.

I tym, że już dziesiąta, a Andrew wyszedł gdzieś z Jowitą i wyłączył komórkę. Ostatnio wychodzą razem każdego wieczoru. Oczywiście, muszą omawiać te wszystkie sprawy związane z firmą i premierą programu o stylu. Jasna sprawa.

Marta nie jest jakąś stukniętą desperatką, żeby się tym przejmować. O nie! Ostatecznie – jaki facet poleciałby na seksowną trzydziestopięcioletnią rozwódkę, z którą codziennie jada służbową kolację? Zwłaszcza gdy w domu czeka dziewczyna tak pięknie polerująca listwy przypodłogowe.

Przypomniała sobie o napoczętej dwa dni temu butelce caberneta. Poszła do kuchni, nerwowo wyskubując nitki z szala. Zegar wskazywał dziesięć po dziesiątej, a cisza panująca w mieszkaniu stawała się coraz bardziej irytująca. Podeszła do okna, licząc, że jej spojrzenie przywoła Andrew do domu, że wyłoni się on zza zakrętu i pośle jej kojący uśmiech, lecz dostrzegła tylko parę dzieciaków całujących się na ławce pod kasztanem.

Bawiąc się butelką, rozmyślała, co powinna zrobić.

Ponieważ nikt nie chciał kupić jej pierwszej książki, a „Implikatura” zapłaciła jej ostatnio bonem do uniwersyteckiej księgarni, powinna raczej siedzieć i pisać, niż pić. Jej wkład do budżetu domowego wyniósł w tym miesiącu zero – czy może więc pozwolić, by z jej powodu marnowały się resztki produktów spożywczych? Wino na pewno skwaśnieje do jutra i wyląduje w zlewie.

To byłoby bardzo nieodpowiedzialne z jej strony.

A także moralnie naganne.

Poza tym, co będzie robić tak zupełnie na trzeźwo? Tak szczerze? Spoglądać na zegarek i czytać (po raz siódmy dziś) artykuł o tym, ile wydawnictw odrzuciło maszynopis J. K. Rowling (dwanaście). Albo włączy kolejny odcinek *Przyjaciół*, tylko na pięć minut, żeby posłuchać dialogów i poszukać inspiracji. A potem ocknie się o czwartej nad ranem, w środku czwartego sezonu, z przytłaczającą świadomością, że w tej chwili jest za późno, by cokolwiek napisać. Żeby ukoić wyrzuty sumienia, puści następny odcinek, a potem jeszcze jeden, aż wreszcie Ross stanie na ślubnym kobiercu z Emily i w decydującym momencie...

Nie, to z pewnością się nie stanie. Czwarty sezon skończyła oglądać zeszłej nocy. Teraz żyła potajemnym związkami Moniki i Chandlera. Na ekranie jej laptopa widniał zatrzymany w kadrze kpiący uśmiech Matthew Perry’ego.

Wróciła do kuchni, wyciągnęła kieliszek ze zmywarki i nalała sobie wina. Smakowało jak niedojrzałe porzeczki, które za długo leżały w lodówce. Nie zdążyła się nawet skrzywić, bo z pokoju dobiegł sygnał

Skype'a.

Serce zabiło jej mocniej, lecz szybko uświadomiła sobie, że Andrew używa tylko telefonu. To musiał być jego przyrodni brat. Przyjaźniła się z Robertem od czasów szkoły średniej, kiedy ich drogi przecięły się w Krakowie. Zresztą ciągle tam mieszkał: wykładał astrofizykę na uniwersytecie. Jego podstawowa aktywność zaczynała się jednak po zmroku. Obserwował niebo i dzwonił do Marty o najdziwniejszych godzinach.

– Co robisz? – spytał.

Marta odruchowo zerknęła na stojący na komodzie zegarek, ale powstrzymała się od komentarza.

– Piszę – odpowiedziała bez zająknięcia.

– Mhm.

– Naprawdę.

– Ile napisałaś?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– W sensie fizycznym może niewiele, ale dużo myślałam nad konstrukcją.

– Ile?

– Przecież mówię, że nie da się tego tak dokładnie przeliczyć. Ta praca składa się z planowania i... – zaczęła się jąkać – ...no wiesz, z rzeczy niepoliczalnych.

– Ile napisałaś w sensie policzalnym?

– Co to ma być? Przesłuchanie? Lepiej powiedz, jak gwiazdy.

– Po staremu. Grawitują w przestrzeni kosmicznej. Znowu to robisz, prawda?

– Co?

– Zwierzasz się zdjęciu tej całej Carrie czy jak jej tam.

– Chyba oszalałeś – zaprzeczyła gwałtownie. – Nigdy tego nie robiłam.

– Ostatnio nie zakończyłaś połączenia – powiedział z satysfakcją. – Widziałem, jak pokazujesz jej swoje kolczyki.

– Te dziesięć dioptrii przestaje ci wystarczać. – Twarz Marty zrobiła się czerwona jak kiepski cabernet, który miała w kieliszku.

– Przez piętnaście minut.

– Naprawdę ci odbija.

– A potem chichotałaś długo z jej odpowiedzi.

– Niczego takiego nie robiłam.

– Nie?

– Nie – zapewniła dobitnie.

I była to prawda. Tamtej nocy nie prowadziła pogaduszek z gwiazdą *Seksu w wielkim mieście*. Carrie Bradshaw nawet nie istniała, a Marta nie gadała z fikcyjnymi postaciami. Jeszcze nie oszalała. Tak naprawdę zwierzała się Trumanowi Capote: przenikliwemu pisarzowi, który świetnie rozumiał kobiecą duszę. To przecież zmieniało postać rzeczy, choć nie miała zamiaru tłumaczyć tego Robertowi.

– Nie twój interes. Bez przerwy się wtrącasz w moje sprawy. Kiedy ci na to pozwoliłam? – dodała.

– Piętnaście lat temu. Czemu jesteś taka nerwowa?
– AdoZet – potrząsnęła głową. – Napisali, że poziom artystyczny nie...

Przymknęła oczy i przełknęła ślinę.

– Nigdy tego nie wydam.

– Przecież #OPKO ci to puści.

– No co ty – skrzywiła się. – Nie ma mowy.

– Andrew im to wysłał.

– Co?

– No, wysłał im plik. – Robert wzruszył ramionami.

– Kiedy?

– Czekał, kiedy z nim ostatnio rozmawiałem... hm... nie wiem dokładnie... tak ze trzy tygodnie temu...

– Żartujesz, nie?

Przez chwile patrzyła na twarz Roberta. Obraz z internetowej kamerki nie był może idealny, ale na tyle wyraźny, by dostrzegła, że przyjaciel mówi poważnie.

– Czemu tak cię to dziwi? – spytał. – Przecież to jacyś jego znajomi. Wiszą mu przysługę.

– Właśnie dlatego! – wykrzyknęła Marta. – Mówiłam mu, że sama znajdę wydawnictwo.

– Ale nie znalazłaś.

– Nie chcę jego protekcji. Poza tym to nawet nie jest normalny wydawca. Publikują głównie blogi nastolatek. I trzeba im zapłacić.

– Pieniądze nie są problemem.

– Robercie – powiedziała. – Oni puszczają wszystko, rozumiesz. Fantazje trzynastolatek o rodzeniu dzieci Justina Biebera.

– To chyba dobrze.

– Nie, wcale nie.

– Słuchaj, był dziś u mnie...

Zza okna dobiegł potężny huk. Marta pobiegła do kuchni i wyjrzała na podwórze.

W oddali ktoś puszczał fajerwerki. Niezrażona hałasem dziewczyna wciąż siedziała chłopakowi na kolanach i odchyłała się do tyłu, a on całował jej kark i szyję z takim zapamiętaniem, jakby okazja miała się już nigdy nie powtórzyć.

Marta niezdarnie przechyliła kieliszek i rozlała trochę wina na szlafrok. Resztę dopiła, nie odrywając wzroku od namiętnej pary. Andrew ostatnio nie rzucał się na nią z takim zapałem. Właściwie to nie rzucał się na nią również bez zapału. Po powrocie do domu padał na łóżko i niemal natychmiast zasypiał.

Co było całkowicie zrozumiałe.

Ludzie tak robią, kiedy mają dużo pracy.

I kończą ważne projekty.

Do tego jeszcze te upały.

To chwilowe, a potem wszystko wraca do normy.

Nie ma powodu do paniki.

Spojrzała na swoje odbicie w szybie. Andrew zawsze powtarzał, że wizerunek musi tworzyć spójną całość, bo tylko wtedy przekaz jest wiarygodny. Poplamiony szlafrok nadawał jej sylwetce interesujących proporcji rosyjskiej babuszki. W jakimś sensie pasował do podkrążonych oczu i przyklepniętych włosów. Godzinom spędzonym na wgapienie się w pusty ekran komputera i pisanie coraz bardziej błagalnych e-maili do wydawnictw Marta zawdzięczała szarawą cerę, zmarszczki wokół ust i obgryzione paznokcie. Zaczęła też się garbić. Bez wątpienia osiągnęła efekt spójnej całości.

Ta całość krzyczała: czy nie lepiej porządnie się wyspać?!

Wróciła do salonu, przesunęła drzwi szafy wnękowej i zaczęła przeglądać bieliznę. Większą część tych rzeczy kupiła przed rokiem w Nowym Jorku. Andrew zabrał ją do swojego rodzinnego miasta zaraz, jak tylko się poznali. Ach, co to były za chwile! W dzień przepuszczała oszczędności i pisała powieść, a noce... Cóż, najwyraźniej projekty, którymi wtedy zajmował się Andrew, były mniej angażujące.

A może nie było upałów.

Przez chwile rozważała komplet z czerwonego tiulu, lecz nagle pomyślała o Jowicie – jej miękkich blond lokach, szczupłych udach, długiej szyi i poczuła, że tiul nie wystarczy. W najniższej, rzadko otwieranej szufladzie leżał strój niegrzecznej pielęgniarce, który kupili w czasach, gdy cały świat wydawał się jedynie tłem dla ich zabaw i przygód. Było to zaledwie kilka miesięcy temu. Marta miała jednak wrażenie, że od tamtej chwili upłynęły wieki.

– Robię to tylko dla siebie – westchnęła, wbijając się w przyciasną lateksową spódniczkę. – Dla własnego dobrego samopoczucia. Żeby podobać się samej sobie.

Wyciągnęła kosmetyczkę z torebki. Przypudrowała twarz szerokim pędzlem i pociągnęła usta najczerwieńszą szminką, jaką tylko udało się jej znaleźć. Kończyła właśnie rysować kreskę nad powieką, gdy usłyszała głośnie chrząknięcie.

No tak! Nie wyłączyła Skype'a!

Oczywiście Robert powinien się rozłączyć. Gdyby był choć w jednej dziesiątej tak dobrze wychowany jak przyrodni brat, prędzej by umarł, niż przyznał Marcie, że widzi ją w tej mało oficjalnej stylizacji.

– Serio? – spytał.

– Mówiłam ci... Andrew ostatnio...

– Chcesz go odzyskać plastikowym kostiumem? Uszytym w Wietnamie przez jakieś dziecko kawałkiem...

– Umrzesz samotnie, Robercie.

– Co?

– Wiesz, czemu żaden twój związek nie trwał dłużej niż pół roku?

– O czym ty mówisz?

– Widzisz dziewczynę w lateksie i zaczynasz opowiadać o procesach globalizacji. To naprawdę wszystko, na co cię stać?

– Plastikowy kostium? To wszystko, na co cię stać?

Wyprostowała się.

– Nie – powiedziała i poprawiła pielęgniarce czepek, który, jak sądziła, nadawał jej pewnej powagi

i pozwalała zachować resztki godności. – Mam jeszcze to. – Wskazała na okolice serca.

– Plastikowy stetoskop? I myślisz...

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Marta posłała Robertowi triumfalny uśmiech.

Ha! Więc jednak go przywołała! Chemia między nimi, magia, która na początku ich związku sprawiała, że wykręcali do siebie numer w tej samej sekundzie, wcale nie wygasła. Wystarczyło ją tylko odświeżyć. Trochę się postarać.

Podeszła do drzwi niespiesznie, celebrując każdy krok, jakby miał przybliżyć ją do czegoś więcej niż zwykłego przywitania. Wychodziła z cienia, by znów stać się widzialna.

Oparła się o framugę, zwilżyła usta językiem i otworzyła drzwi.

Najpierw zobaczyła chmurę pastelowych balonów. Andrew trzymał je w lewej ręce, niczym handlarz w lunaparku, a w prawej miał butelkę białego wina. Za nim stało jeszcze siedem osób. Każda ze swoim balonikiem.

– Niespoooo...! – krzyknęli i natychmiast zamilkli z rozdziawionymi ustami, bo byli nie mniej zaskoczeni od Marty.

Jakaś nieznana dziewczyna o latynoskiej urodzie próbowała nie upuścić śmietankowego tortu z dwunastoma płonącymi świeczkami. Dyrektor programowy stacji, z którą współpracował Andrew, odruchowo uniósł dłoń w geście odmowy, jakby chciał powiedzieć: Nie, nie, ja dziękuję, mam żonę.

– Samobójstwo – stwierdził najmłodszy z trzech policjantów trzy minuty po tym, jak zjawili się na miejscu zdarzenia.

Chciał się wykazać, a intuicja to jedyne, co miał. Oczywiście teraz trzeba było dokonać oględzin i przeprowadzić resztę rutynowych czynności. A na koniec jeszcze sekcja zwłok. On jednak od razu odgadł, co się wydarzyło.

– Samobójstwo. Z pewnością – powtórzył dobitniej, tak żeby koledzy na pewno usłyszeli.

Pracował z nimi dopiero od pięciu tygodni i czuł, że nie traktują go poważnie. A przecież ułożenie wszystkich elementów w spójny, ponury wzór było na wyciągnięcie ręki.

Po pierwsze.

Brakowało śladów walki. Na kuchennym blacie stały jedynie kubek z resztką herbaty i pudełko z trutką na szczury. Twarz mężczyzny pokrywały wybroczyny. Drzwi i wszystkie okna pozostały – do momentu przybycia policyjnego technika – zamknięte od wewnątrz. W całym mieszkaniu panował idealny porządek charakterystyczny dla ludzi, którzy chcą domknąć ziemskie sprawy, a najwyraźniej łatwiej im zrezygnować z życia niż z opuszczenia deski klozetowej.

Po drugie.

Sąsiedzi opisali mężczyznę jako milczka: uprzejmego, lecz nieobecnego duchem. Nikt go nie odwiedzał. Kiedy pięćdziesięcioletni, pedantyczny odludek w dniu urodzin postanawia odebrać sobie życie, trudno krzyczeć: „O, nie! To nie może być prawda! Nie wierzę, że ktoś taki mógłby chcieć się zabić!”.

Po trzecie.

Mieszkanie.

Można było przypuszczać, że właściciel zapoznał się z opinią Perfekcyjnej Pani Domu, która radzi, by zachowywać jedynie przedmioty:

- a) piękne,
 - b) pożyteczne,
 - c) mające wartość sentymentalną
- ...i postąpił dokładnie odwrotnie.

Wyglądało to na projekt jakiegoś szalonego dekoratora, który wszystkie meble kupił w epoce późnego Gierka i nie zważając na panujące wtedy braki w zaopatrzeniu, starannie wybierał te najbrzydsze, najbardziej niezgrabne i wyprane z wszelkiego uroku. Błyszcząca meblościanka, niewygodne, obite czerwonym skajem fotele oraz dziwaczny mebel o kształcie i wymiarach stołu dla wielodzietnej rodziny, ale tak niski jak stolik do kawy, stały w całkiem przypadkowych miejscach. Ściany i sufity pokrywała poźółkła tapeta.

Ani jednej książki, obrazu, zdjęcia. Płyty, kota, kolekcji puszek po piwie. Młody funkcjonariusz korzystał dziś rano z łazienki na stacji benzynowej i mógłby przysiąc, że miała ona nieco bardziej osobisty i przytulny charakter niż te dwa pokoje z kuchnią.

Kolejny raz wzdrygnął się na widok zwłok leżących na sinych, łuszczących się płytkach PCV. Nie umiał zdobyć się na dystans. Remontowali właśnie z żoną mieszkanie i każdego dnia kłócili się o podłogi, ściany, meble, właściwie każdy element wystroju. Policjant zarzucał żonie rozrzutność i rozbuchane zachcianki, nieadekwatne do ich zarobków. Po co kupować panele za osiemdziesiąt złotych za metr, skoro wystarczą te za dziewiętnaście dziewięćdziesiąt? Ludzie takie mają i żyją. Teraz zmienił zdanie. Żadnych badziewnych paneli. Położą na podłodze prawdziwe deski, nie będą też oszczędzać na szafach, obrusach i pościeli.

Nawet jeśli będzie musiał brać nadgodziny do emerytury.

Chciał opowiedzieć kolegom, że odkrył nie tylko przyczynę zgonu, ale i dramat życia tego nieszczęsnego człowieka. Ugryzł się jednak w język, bo znów uznaliby, że się wymądrza.

Oni też uważali, że mężczyzna sam postanowił zakończyć tę smutną imprezę urodzinową. Ku takiej wersji skłaniał się lekarz potwierdzający zgon. Zwabieni sensacją sąsiedzi nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości.

– To dziwny człowiek – mówili mieszkańcy bloku. – Sprowadził się tu, nie wiadomo skąd. Może był trochę zbyt poważny i zamyślony, ale podobał się dziewczynom. Miał coś w sobie... Otworzył sklep spożywczy. Przybiegały a to po rogalika, wafelka, niby to „zapomniałam o musztardzie”. Zakładały lepsze ciuchy. On miał to gdzieś. Nie odpowiadał na pytania o przeszłość, plany, życie osobiste. Nie kłamał i nie zmieniał tematu, po prostu patrzył dziewczynie w oczy i milczał. Ignorował wzmianki o dyskotekach, premierach filmowych, nowych kawiarniach. Zadawał tylko jedno pytanie: co podać? Nigdy nie wychodził wieczorami. Nie przyjmował żadnych gości. Mył okna w każdy wtorek. Listonosz i pan Włodek ze wspólnoty, który wpadał przynieść mu ogłoszenie o podwyżce czynszu czy planowanym remoncie dachu, mówili, że Witek zawsze coś odkurzał, polerował albo zmywał, choć w mieszkaniu i tak panował idealny porządek.

Jedyną osobą, która czasem wymieniała z denatem kilka słów i wiedziała co nieco o jego przeszłości, była pani Misia. Samobójstwo? Bzdura. Witek był niebywale wręcz szczęśliwy i spełniony. Pani Misia miała jednak siwofioletowe włosy, plastikowy diadem i co najmniej trzy spódnice nałożone jedna na drugą, a kiedy się śmiała, strużka śliny ściekała jej z kącika ust i kapała na dekolt. Nikt nie wziął jej słów

poważnie.

Człowiek dużo znieś, pomyślał młody policjant, zamykając drzwi tego okropnego mieszkania. Samotność, przekreślone aspiracje, brak perspektyw. Ale takie płytki PCV to za wiele.

Marta skrzyżowała ręce na piersiach, próbując choć odrobinę zasłonić dekolt, i posłała zebrany bardzo głupi uśmiech.

Chciała zatrzasnąć im drzwi przed nosem, uciec do łóżka i zasnąć.

Ale przecież wynajmowała to mieszkanie razem z Andrew. On też miał klucze. Poza tym, choć to nie ona była w tym związku specjalistką od savoir-vivre'u, czuła, że człowiek nie powinien uciekać z przyjęcia niespodzianki na własną cześć. Jakoś tak nie wypada.

Musiła szybko wymyślić sensowną wymówkę.

Problem w tym, że trudno roztaczać wokół siebie aurę wiarygodności i powagi, gdy wszyscy mogą obejrzeć twój pas do pończoch, a z szyi zwisa ci plastikowy stetoskop. Co się mówi w takich sytuacjach? Tak mi przykro, pacjent z ósemki właśnie się wykrwawia, wpadnijcie kiedy indziej?

Popatrzyła na Andrew. Przez sekundę czy dwie na jego twarzy malowała się mieszanka grozy, niedowierzania i czegoś boleśnie przypominającego obrzydzenie. Na pewno nie dostrzegł tego nikt oprócz niej: wszyscy, zwłaszcza dyrektor programowy, wpatrywali się w wycieraczkę z taką pasją, jakby widniejący na niej napis WELCOME krył ważne przesłanie dla ludzkości. A po chwili Andrew znów emanował tym szczególnym rodzajem chłopięcej pewności siebie, który sprawiał, że nie sposób było mu się oprzeć.

– Sostro! – Gwizdnął i się uśmiechnął.

Goście odetchnęli. Andrew miał w sobie coś z zaklinacza węży, coś, co sprawiało, że obce osoby po kilku minutach spędzonych w jego towarzystwie zaczynały naśladować ton jego głosu i przekrzywiać głowę w ten sam sposób. Chyba chodziło o odwagę. Och, Marta doskonale pamiętała ich pierwsze spotkanie. Wystarczyło dziesięć minut rozmowy, by poczuła się najbardziej swobodną, interesującą i pozbawioną ograniczeń kobietą pod słońcem. Myślała, że to efekt miłości, lecz z czasem zrozumiała, że Andrew po prostu tak działa na każdego. Tak było i teraz. Wyuzdana pielęgniarka? Nie ma sprawy. Wszyscy inni uznali, że nie ma sprawy. Przyszli zrobić niespodziankę jego dziewczynie. To bez znaczenia, co ona ma na sobie.

– Sto lat, sto lat! – zaczęli śpiewać.

– Pobudźcie sąsiadów. – Odsunęła się na bok i pozwoliła im wejść.

Spojrzała pytająco na Andrew, lecz on wzruszył tylko ramionami. Co, do cholery, się działo? Urodziny miała w styczniu, a największym sukcesem, jaki ostatnio odniosła, było wywabienie plamy po soku porzeczkowym z lnianego obrusa.

– Przynieś talerzyki! – rozkazała piegowatej koleżance Latynoska z tortem.

Dziewczyna posłusznie poszła do kuchni. Reszta gości zaczęła się kręcić po ich wynajmowanym mieszkaniu.

To Andrew znalazł te dwa pokoje w zrewitalizowanej kamienicy na Grochowie, na krótko przed poznaniem Marty. I ten wybór doskonale odzwierciedlał jego charakter. Praga była ryzykowna i nieoczywista. Miała potencjał, ale wymagała – jak to określał Andrew – wyjścia poza strefę komfortu, co w języku ludzi niezwiązanych z PR-em znaczyło: „Jeśli płacisz tak niski czynsz, możesz chyba

upewnić się, czy włączyłeś alarm w samochodzie, co?”.

Najważniejsze było samo wnętrze – jasne, przestronne, wysokie. Z oryginalnym dębowym parkietem i dużymi oknami. Nieliczne meble sprawiały wrażenie dobranych dość przypadkowo, lecz Marta wiedziała, ile wysiłku kosztowała ta pozorna nonszalancja.

– Gdzie naczynia? – spytała pieguska.

– W zmywarce – odparła Marta i przeszła do kuchni.

Zastała tam wygolonego na łyso chłopaka z długą brodą, który zdążył już wyciągnąć z siatki luksusowe antipasti, pięć paczek prostokątnych krakersów, ziołowe grissini, oliwki, delicje i cienkie jak opłatek imbirowe pierniczki.

Rozłożyli przekąski na ciepłych jeszcze talerzach i przenieśli się do pokoju.

Marta zarzuciła na ramiona ogromny rozpinany szary sweter i kątem oka zerknęła na ekran laptopa.

Robert z zainteresowaniem rozglądał się dokoła.

– Wspomnij o tym kiedyś jednym słowem, a zrobię ci krzywdę – szepnęła i wyłączyła komputer.

Odłożywszy balony i szampana, Andrew uniósł swoją partnerkę do góry, niczym Król Lew małego Simbę. Chciał ją chyba podrzucić, lecz przyjrzał się sufitowi i zrezygnował z pomysłu. Marta odetchnęła z ulgą, bo spódnica zaczęła się już niebezpiecznie podwijać. Wtedy spadł deszcz confetti i serpentyn. Ktoś zgasił światło.

Ciemność rozświetlały tylko świece na torcie.

– Niespodzianka! – krzyknęli wszyscy ponownie, jakby tamten urwany okrzyk na korytarzu był niezbyt udaną próbą generalną, a teraz nadszedł czas premiery.

Uśmiechnęła się niepewnie.

Nie była zdziwiona niespodzianką, ale datą.

Andrew urządzał imprezę za każdym razem, gdy tekst Marty ukazywał się w „Implikaturze Konwersacyjnej”, hermetycznym periodyku utrzymującym się tylko dzięki państwowym dotacjom. Obecnie było to jej jedyne źródło dochodu. Andrew nieźle zarabiał, lecz Marta zawsze uważała, że pozostawanie na utrzymaniu mężczyzny jest upokarzające. Dziś z dumą mogła stwierdzić, że gdyby partner ją opuścił, bez trudu wystarczyłoby jej pieniędzy na przeżycie jakichś czterdziestu ośmiu godzin w miesiącu.

Andrew prowadził jedną agencję PR-owską w Stanach, drugą w Polsce, wydał dwa podręczniki o zasadach savoir-vivre’u w biznesie, a internauci w jednym z plebiscytów przyznali mu tytuł blogera roku. Następnego dnia telewizja miała wyemitować premierowy odcinek jego programu Kwestia Stylu. On uważał, że nie ma się czym chwalić. Wszak to dopiero niszowy kanał lifestylowy.

– Jowicie jest bardzo przykro, ale nie mogła przyjść – powiedział, rozlewając wino do kieliszków.

– Mhm – mruknęła Marta.

– Dmuchaaj! – zawołali lekko podchmieleni goście.

Marta знаła jedynie Pandusię – obfitą szatynkę przed czterdziestką z podkrążonymi oczami, która wszystkim matkowała i uważała się za dziennikarkę. Pisywała biograficzne artykuły o znanych ludziach, a oni ją uwielbiali. Być może dlatego, że tworzone przez Pandusię opisy życia celebrytów brzmiały mniej więcej tak rzetelnie, jakby napisały je ich matki.

Andrew najpewniej ściągnął tych ludzi z jakiejś zdychającej imprezy, obiecując fantastyczną zabawę.

Szczerze wierzył, że nic tak nie poprawi Marcie humoru jak obce osoby wznoszące toasty z gratulacjami.

– No dmuchaj!

Ciekawe, skąd ten pośpiech, pomyślała Marta. Wyrzuty sumienia z powodu pracy do późnych godzin? Czy narozrabiał jeszcze bardziej?

Dmuchięła tak mocno, że zgasiła wszystkie świece, a trzy z nich upadły na śmietankową pierzynkę, dewastując wzór z malin i różowych makaroników.

– Nie tak nerwowo. – Andrew włączył światło. – Mamy co najmniej dwa powody do świętowania. W nowym numerze „Implikatury” ukażą się aż dwie recenzje Marty, a także jej esej o krakowskiej bohemie z początków dwudziestego wieku.

Pomachał wszystkim przed oczami ubiegłym, letnim numerem czasopisma.

Oklaski.

– I co ważniejsze – odłożył gazetę na stolik kawowy i uniósł rękę na znak, że należy przerwać owację – wczoraj kolejne wydawnictwo odrzuciło książkę Marty.

Zapadła cisza, zebrani wymieniali pytające spojrzenia, a w powietrzu unosiły się drobinki konsternacji.

– Które to już?

– Dwunaste – wymamrotała Marta, a jej twarz upodobniła się kolorem do cegły.

– Ha! – zawołał wesoło Andrew. – Więc to już dwunasta osoba, która będzie kiedyś gorzko płakać. A skąd to wiem? Bo czytałem tę książkę. I wiecie co? Jest świetna. Będzie prawdziwym hitem. Wypijmy za tego biedaka!

Mimo zażenowania całą sytuacją Marta poczuła przypływ miłości do Andrew. Jako jedyny stał po jej stronie i nigdy w nią nie zwątpił. Wierzył w tę książkę, mimo że ona sama już dawno przestała w nią wierzyć. Gdyby jeszcze zechciał okazać to wsparcie nieco subtelniej.

– Dwanaście wydawnictw – ciągnął – a Marta się nie poddaje. Brawo!

– Brawo! – odkrzyknęli goście.

– Idzie jak burza. Już pisze kolejną powieść. Każdego dnia. Prawda, Marto?

– Mhm.

– To twarda sztuka. Nie daje się złamać. – Nagle Andrew zauważył, że wszyscy wypili już swoje toasty, więc zaczął dolewać im alkoholu. – Nie daje się złamać nikomu. I to jest właśnie sukces. Sukces w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Znów wszyscy zaczęli klaskać.

Osobiście Marta wolałaby odnieść sukces w zwykłym tego słowa znaczeniu: wydać książkę, zarabiać pieniądze, dostawać propozycje zawodowe. Żeby nikt jej już nigdy nie gratulował recenzji w kwartalniku polonistycznym.

Andrew wychował się w Ameryce i miał dość osobliwe poglądy na temat tego, jak podnieść człowiekowi poziom samooceny.

I tak dobrze, że nie sprowadził pod okna kamienicy cygańskiej kapeli, jak wtedy, gdy w internetowym konkursie wygrała minutnik do jajek i roczny zapas vegey. Przez dwa miesiące przemykała kłatką schodową jak cień, zasłaniając twarz kapturem sportowej bluzy.

Zerknęła na leżący na stoliku numer „Implikatury”. Tę gazetę kupowały trzy grupy: rodziny autorów, partnerzy autorów i bardzo lojalni przyjaciele autorów. Ale czy ktoś to w ogóle czytał? Jediną osobą, co do której miała absolutną pewność, był Gekon, szaleniec prześladowający ją od czasów liceum. Liczył zapewne, że Marta mimochodem wspomni w artykule, gdzie obecnie mieszka. Od kiedy przeprowadziła się do Warszawy, Gekon nie potrafił namierzyć jej adresu. Tak, on na pewno czytał „Implikaturę” gorliwie, zdanie po zdaniu.

– I #OPKO! Pewnie jeszcze nie słyszeliście tej nazwy, ale wkrótce usłyszycie. Bo to świeży start-up. Młode wydawnictwo z ogromnym potencjałem, które... – zaczął Andrew, lecz w tym właśnie momencie jego komórka odegrała *Zou Bisou Bisou*, melodię przypisaną do Jowity. – A, przepraszam. Zaraz wracam. Nie przeszkadzajcie sobie.

Zniknął z telefonem w sypialni.

– Szczęściara – rzekła Pandusia, wręczając Marcie nieco już oklapły kawałek ciasta. Mimo nadchodzącej jesieni dzień był naprawdę ciepły i żelatyna ledwie trzymała krem na biszkopcie. W zetknięciu z ciepłym talerzem śmietana popłynęła. Ślad po świeczce przypominał krater.

– Kto? – Marta rozejrzała się po pokoju.

– No nie żartuj.

– Bo dwunaste wydawnictwo odrzuciło moją powieść?

– Bo ktoś dba, żebyś czuła się dobrze.

– Mhm – zamruczała Marta, biorąc pierwszy kęs tortu. Smakował jak mydliny.

– I żebyś wiedziała, że nie jesteś gorsza. On ma swoją karierę. Ale ty też masz swoją, nie?

Marta bez przekonania pokiwała głową.

– Inną, zgoda. Ale nie znaczy, że gorszą. Po prostu... – Pandusia zamyśliła się na chwilę, szukając jakiegoś taktownego określenia na zawodowe dokonania Marty. – Po prostu inną.

Nagle przybliżyła się i zmierzwiła Marcie włosy, wytrzepując z nich confetti.

– Kup szampon bez silikonu. Jutro musisz wyglądać pięknie. Andrew trochę się obawiał, że będzie ci głupio. To znaczy, że mogłoby ci być. Tak teoretycznie. Przez ten jego program, nie?

– Głupio?

– No wiesz, on i Jowita. Telewizja i w ogóle.

Pośliniła palec i niespodziewanie potarła nim policzek Marty.

– Zawsze się człowiek upaprze tą śmietaną.

I wtedy właśnie Marcie zrobiło się głupio. Aż do teraz wyobrażała sobie, że są z Andrew drużyną. W duchu liczyła nawet, że to ich miłość go inspiruje. I strzeli jutro mowę w stylu sportowców wygrywających zawody: dzięki tobie tu stoję, ten medal jest wspólny.

Nagle dotarło do niej, jak bardzo się myli.

Nie ma żadnej drużyny.

Andrew urządził dziś dla niej paraolimpiadę.

Goście nie zwracali na nią uwagi. Kręcili się po mieszkaniu, popijali wino, przegryzali krakersy, oliwki, kapary i co jakiś czas spoglądali w stronę sypialni. Andrew, ściągawszy skórzane mokasyny, położył się w śnieżnobiałej pościeli. Wydawał się całkowicie zatopiony w rozmowie z Jowitą, pisał coś

ogryzkiem ołówka w notesie i zdawał się w ogóle nie rejestrować sygnałów płynących z rzeczywistości.

Marta poczuła, że jest bliska ataku paniki. Według poradnika, który miała na szafce nocnej, kryzys to szansa na przezwyciężenie obaw i lęków, odkrycie pokładów odwagi i rozpoczęcie nowego, wspaniałego życia.

Zgadzała się z tym całym sercem.

Problem w tym, że to właśnie było jej nowe wspaniałe życie.

Życie stare – telemarketing w Sharp-polu (*Twe marzenie dziś się ziszcza, wykroimy z ciebie mistrza! Czy reflektuje pan na nasze noże?*), ponurą kawalerkę na Tarchominie i serię katastrofalnych randek, zakończoną dwoma katastrofalnymi związkami – porzuciła rok temu, pod wpływem Andrew. Nie zastanawiała się ani chwili. Nie chodzi o to, że była nieodpowiedzialna. Przeciwnie – do trzydziestki stąpała po świecie ostrożnie, analizując każdy krok. Wiedziała, że jeśli się potknie, nikt nie poda jej ręki. Mama nie żyła od dziesięciu lat, ojciec zniknął, gdy była w przedszkolu. Na czwartym roku studiów Marta przeprowadziła się z Krakowa do Warszawy i znalazła pracę w firmie handlującej drogimi nożami. Sharp-pol słynął z błyskawicznej rotacji, wszyscy współpracownicy rzucali pracę z dnia na dzień, gdy tylko znaleźli coś bardziej ekscytującego – statystowanie w reklamie, układanie kafelków w Norwegii, woleli nawet handel rybkami akwariowymi.

Zazdrościła im, lecz sama chciała trzymać się tego, co stwarzało jakiś pozór stabilności.

Dopiero gdy poznała Andrew, zrozumiała, jak bardzo jest zmęczona własną odpowiedzialnością. Odeszła z pracy, przeprowadziła się, pisała książkę, zwiedziła Nowy Jork, wydawała *Oszczędności Na Czarną Godzinę* (kilka lat wcześniej sprzedała krakowskie mieszkanie, które odziedziczyła po mamie). Po raz pierwszy przestała się kontrolować. To był najlepszy rok jej życia. Jakby nagle do letniej cieczy ktoś wrzucił mnóstwo lodu i bąbelków.

Ryzykowała, owszem, ale ryzyko wydawało się jej najpewniejszą inwestycją. Egzystencjalnymi obligacjami. Czytała przecież *Jedź, módl się, kochaj* i inne książki o stawianiu wszystkiego na jedną kartę. Los zawsze wynagradza determinację i odwagę, odkrywanie swojego prawdziwego ja, które rzadko ma coś wspólnego ze sprzedażą noży przez telefon.

O tym mówiły powieści. I filmy. Nawet cytaty. Marta trzymała na regale trzy zbiory aforyzmów i w każdym był rozdział o odwadze. Z wszystkich tych kawałków wynikało to samo: kto ma odwagę – wygrywa. Nawet jak przegrywa, to wygrywa.

Tak już jest.

A oto czego nie ma: aforyzmów o ludziach, którzy w pogoni za marzeniami rzucili nisko płatną pracę i przewidywalne życie, a potem nikt nie wydał ich książki, oszczędności stopniały, zaś druga połówka uciekła z ponętą współpracownicą.

To się nie zdarza.

To się nie zdarza.

To się po prostu...

– Mówisz do mnie? – spytała Latynoska.

Marta potrząsnęła głową.

Towarzystwo szybko się wykruszało. Wychodząc, machali wesoło Andrew, a on im mechanicznie odmachiwał, zapewne nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Została już tylko Pandusia, a wkrótce i ona zaczęła się zbierać. Przed wyjściem zebrała jeszcze ze stołu niezjedzoną połowę tortu – teraz tak

oklapniętego, że przypominał zaspę w czasie odwilży.

– Będzie na śniadanie – zawołała wesoło.

Marta nie usłyszała. Stała w drzwiach sypialni i patrzyła, jak Andrew rozprostowuje swoje wysportowane ramiona, ani na moment nie przerywając rozmowy. Uśmiechnął się do Marty, lecz coś w jego spojrzeniu sugerowało, że był to uśmiech skierowany do świata jako takiego. Nie byłby ani odrobinę mniej promienny, gdyby Marta właśnie zmierzała do wyjścia, siedząc okrakiem na ramionach dyrektora programowego.

– Wciągnęłaś brzuch – powiedziała Pandusia.

– Co?

– Wciągnęłaś brzuch przed chwilą.

– Nie sędzę.

Pandusia rozłożyła ręce.

– A jednak. Dziecko, jesteście razem od roku. Roku. Nie możesz się zachowywać jak na pierwszej randce.

Marta spuściła wzrok. Andrew położył komórkę na parapecie, włączył funkcję głośnomówiącą i nie przerywając rozmowy, zaczął się przeciągać.

– Jest bardzo przystojny – ciągnęła Pandusia – ale nie w tym rzecz. Brakuje ci pewności siebie, kochana. Znam dobrego terapeutę. Dam ci namiary, bo nie możesz przecież całe życie wciągać brzucha na widok swojego faceta.

Pandusia chwyciła dłoń Marty i mocno uściśnęła.

– Popracuj z terapeutą.

I wtedy Andrew ściągnął koszulkę.

Kobiety przechyliły lekko głowy i w całkowitej ciszy wpatrywały się w jego brzuch i klatkę piersiową. Andrew miał regularne rysy twarzy, prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pływał co drugi dzień, dwa razy w tygodniu grywał w tenisa, a w weekendy często wychodził na kosza. Dawało to pewne wyobrażenie o jego wyglądzie, tak jak słowa „dużo kolorowych obrazków na ścianach i suficie” dają pewne wyobrażenie o wnętrzu Kaplicy Sykstyńskiej.

– Albo – szepnęła Pandusia – popracuj na siłowni.

Po czym zgarnąwszy plastikowy pojemnik z ciastem, skinęła głową na pożegnanie i pospiesznie wyszła.

Dochodziła północ, gdy Marta skończyła ładować naczynia do zmywarki. Zerknęła przez okno. Po całującej się parze nie było już śladu, na pewno spali teraz grzecznie we własnych łóżkach i czekali na rozpoczęcie roku szkolnego. Uśmiechnęła się i poprawiła swój czepek na głowie. Każdy wiek ma swoje przywileje. Zrzuciła okrywający ramiona sweter i poszła do sypialni.

Andrew spał rozwalony na trzech czwartych łóżka, przyciskając do serca zwinięty cienki kocyk.

Oczywiście – było to zrozumiałe.

Jutrzejsza premiera.

Poza tym musiał zorganizować jej przyjęcie.

I te upały.

Nagle do Marty dotarło, że jest czternaście stopni. I dwa tygodnie temu zamienili lekki koc na jesienną kołdrę.

Cisnęła stetoskop na ikeowski fotel obity żółtą tkaniną.

Jeśli wbiłaś się w lateksowy strój pielęgniarki, a twój facet i tak zasnął, przegadawszy noc z inną kobietą, to chyba masz mały problem.

Dzieci nazywały Witka „milczącym rzeźnikiem”. Na jego temat krążyły legendy. Od kiedy się tu przeprowadził i otworzył sklep, każdy rocznik uczniów z pobliskiej podstawówki miał swoją własną teorię na temat tego, kim Witek jest w rzeczywistości.

Chichoczące dziewczyny i pryszczaci chłopcy kupowali rano pączki, źle schłodzone napoje i rozmiękłe wafelki kakaowe, a potem wystawali pod sklepikiem, przyglądając się przez szybę mężczyźnie, beznamiętnie segregującemu dwuzłotówki.

Podobno jego żona zaginęła – a rok później, po pijaku, Witek wyznał w barze, że zadźgał ją nożem i wrzucił jej ciało do Wisły. Jednak rano wszystko odwołał, więc policjanci od lat są całkowicie bezradni.

– Kto by się ożenił z takim świrem? – zapytał ktoś. – Znajomy mówił mi, że kuzyn jego znajomego słyszał, że Witek uczył w podstawówce chemii. Był zdolny, ale niezwykle roztargniony i pewnego dnia kwas siarkowy znalazł się w butelce z nalepką „Płyn do fluoryzacji zębów”. Podobno grupa pierwszoklasistów włożyła szczoteczki do ust, zaczęła straszliwie krzyczeć i wić się z bólu na podłodze, a stojąca nad nimi opiekunka wrzeszczała: „Dość tych fochów! Szorować zęby, ale już! Będziecie mieć prawdziwy powód do płaczu, jak dostaniecie próchnicy!”.

– Bzdury, facet był zakonnikiem i wyrzucili go na zbity pysk, gdy okazało się...

Dorośli poprzestawali na „domorośłym filozofie, który piecze najgorsze bułki na świecie”. Nikt nie miał wątpliwości, że Witek przez cały czas rozmyśla o dziwacznych teoriach. Dlaczego tak się działo? Wnioski, do jakich dochodził, zachowywał przecież dla siebie – choć coś w jego twarzy sugerowało, że różnią się one radykalnie od, dajmy na to, wniosków płynących z poradnika *Powiedz życiu tak*. Nikt nigdy nie widział go z książką. W żadnym razie nie był też typem człowieka, który łapie za rękawy spieszące się do przedszkola matki i szepcze: „Czymże jest prawda?”.

A jednak, w jakiś niewytłumaczalny sposób, wszyscy wiedzieli.

„Ten to dopiero minął się z powołaniem” – mówili.

Nekrolog nie pogrążył sąsiadów w głębokim żalu, wywołał jednak nową falę plotek i domysłów.

Choć w ostatnich dekadach rynek mieszanek chlebowych interesował go bardziej niż rynek idei, Witek pamiętał dokładnie wszystkie teorie z poprzedniego życia. Słyszał, oczywiście, o efekcie motyla. Dziennikarze i celebryci uwielbiali go przywoływać. Nie znosił tej całej zwulgaryzowanej filozofii dla mas. Wmawiania ludziom, że zaawansowane problemy matematyczne i egzystencjalne da się zamknąć w pretensjonalnym aforyzmie. Trzepot skrzydeł motyla wywołuje huragan, ale gdy jesteś pchłą.

Teraz leżał na stole w prosektorium i nie dręczyły go żadne myśli. Osiągnął to, do czego całe życie dążył – święty spokój.

Za wszystko odpowiadał średniej wielkości plasterek kiszzonego ogórka.

Nie był ani wyjątkowo smaczny, ani nawet jędrny. A jednak potrafił odebrać Witkowi dech, a potem życie.

A był to dopiero początek bałaganu.

Kiszony ogórek.

Gdyby Witek żył, na pewno spodobałoby mu się to. W poprzednim życiu, nim wszystko runęło, lubił tropić absurdy w codziennej rutynie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Marta przykryła głowę poduszką, zatkała palcami uszy i próbowała znów zasnąć.

Czternasty sygnał, piętnasty.

Znudzi im się.

Szesnasty, siedemnasty.

Nie pojmowała, jak ludzie mogą być tak zawzięci. Kończyła się jej umowa na telefon i trzy sieci komórkowe tak bardzo próbowały zainteresować ją swoimi propozycjami, że praktycznie podchodziło to pod stalking. Miała już do czynienia z czymś podobnym – jej stuknięty adorator Gekon, zakochany w Marcie od czasów liceum, w fazach manii jakimś cudem znajdował jej aktualne dane i przysyłał pozdrowienia.

Trzydzieści cztery razy dziennie.

Ci ludzie nie różnili się od niego, a nawet byli uciążliwsi. Nie dało się ich pozbyć, zmieniając numer telefonu. Najgorsze było to, że te sytuacje boleśnie obnażały jej brak asertywności. Chciała być jedną z tych kobiet, które chłodnym tonem mówią: jeszcze raz i spotkamy się w sądzie.

Dwudziesty sygnał.

Zamiast tego – przymilnym głosem! – obiecała wczoraj trzem nachalnym typom, że dokładnie zapozna się ofertami ich firm w internecie i na coś się zdecyduje. A przecież nie miała na to czasu ani ochoty. Ale zanim poznała Andrew, pracowała w telemarketingu i wiedziała, że ciągłe odmowy potrafią doprowadzić do rozpacz. To był koszmar. Jakie szczęście, że ten etap miała już za sobą.

Obecnie też ciągle słyszała „dziękujemy, ale nie jesteśmy zainteresowani”, a zarabiała nawet mniej, jeśli w ogóle udawało jej się coś zarobić, ale przynajmniej w bardziej prestiżowej branży. Więc był to rodzaj awansu. W pewnym sensie. Do takiego wniosku doszła z Andrew i wołała tego zbytnio nie roztrząsać.

Telefon zadzwonił po raz dwudziesty pierwszy i umilkł.

Naciągnęła kołdrę na głowę. Te dwadzieścia jeden dzwonek dość skutecznie ją rozbudziło i minęła chwila, nim znów zaczęła zasypiać. Wczoraj poszła do łóżka po północy, ale przez kolejne dwie godziny przewracała się w gorącej pościeli z boku na bok, desperacko wmawiając sobie, że powinna się uspokoić, bo nie ma żadnych powodów po zmartwień.

Wreszcie ponownie zasnęła.

Na pięćdziesiąt sekund.

Kolejny dzwonek telefonu.

– Odbierz wreszcie! – krzyknął Andrew z łazienki. – Próbuję ćwiczyć tę cholerną przemowę!

Marta rzuciła poduszką w kąt pokoju, wyskoczyła z łóżka i poszła do salonu. Chłód parkietu drażnił jej stopy, gdy po omacku szukała komórki na biurku z laptopem. Chwilę to trwało, bo niewiele widziała bez swoich szkieł kontaktowych, a oślepiające słońce nie poprawiało sprawy.

Kiedy wreszcie zdołała wymacać białego iPhone'a – Andrew akceptował jedynie produkty z nadgryzionym jabłkiem – wzięła głęboki oddech, a potem policzyła do dziesięciu.

– Nie. Nie. Nie – powiedziała opanowanym tonem. – Nie chcę.

– Aha – odpowiedział głos po drugiej stronie. – Ale czego?

– Niczego.

– Niczego?

– Nie chcę od was niczego. Chcę spać.

Rozłączyła się, wzięła komórkę i poszła w stronę łóżka.

– Kto to był? – zawołał Andrew.

– Nikt – odkrzyknęła i mrużąc oczy, próbowała odczytać układ wskazówek na zegarze. Nic z tego. I tak wiedziała, że jest już późno, bo Andrew codziennie od świtu biegał, pływał albo ćwiczył na siłowni i nigdy nie wracał przed dziewiątą trzydzieści (co do Marty, to jej poranna gimnastyka polegała na usilnych próbach utrzymania powiek w górze do momentu zbliżenia się do ekspresu i bezpiecznego zaparzenia sobie podwójnej kawy).

– Auu! – wracając do sypialni, uderzyła dużym palcem u nogi w stół z gazetami.

– Co znowu? – Andrew był wyraźnie poirytowany.

– Nic – powiedziała Jowita, wychodząc z łazienki. – Uderzyła się tylko.

Pierwszy raz w życiu Marta patrzyła na Jowitę bez szkieł kontaktowych. Kobieta wyglądała jak rozmazana plama. Niestety nawet w tym wydaniu była olśniewająca. Przypominała portret kochanki jakiegoś impresjonisty. Zresztą Marta, nawet gdyby całkowicie oślepla, i tak wyczułaby jej obecność – całe mieszkanie pachniało orientalnie *Angel Thierry'ego* Muglera.

Jowita była współpracowniczką Andrew. Razem prowadzili firmę PR-ową i razem stworzyli *Kwestię Stylu*. W zeszłym roku „New York Times” wydrukował jej cykl artykułów o nowych trendach modowych w Europie Wschodniej. Pomagała wprowadzać polskie marki do Stanów, wykorzystując znajomości w środowiskach polonijnych, szczególnie wśród tak zwanej nowej fali – czyli dzieci i wnuków emigrantów.

A do tego niedawno rozstała się z mężem i – jak zresztą zawsze – brała od życia to, na co miała ochotę.

Dziś włożyła granatową jedwabną marynarkę o surowym kroju, która sprawiała, że człowiek miał ochotę stanąć na baczność. Podeszła do Marty i chwyciła ją za włosy.

– Do niczego – powiedziała. – Masz całkowicie zniszczone końcówki.

Wyciągnęła z kieszeni komórkę i czegoś w niej przez chwilę szukała, jednocześnie sztorcując dziewczynę.

– Czemu nie pomyślałaś o tym wcześniej, co? Dziś i tak cię nigdzie nie wepchnę.

Napisała esemesa, ponownie zerknęła na Martę kulącą się przed nią w samej bieliźnie i nagle chwyciła pukiel jej włosów.

– Straszne są. Najlepiej ściąć na krótko. Do skóry.

To dlatego Marta kupiła Andrew na urodziny książkę *Charakterologiczne źródła nazizmu* – liczyła, że wreszcie zauważy analogię.

I wtedy znów zadzwonił telefon.

Tym razem Marta nie liczyła.

– Słuchaj! – krzyknęła do słuchawki. – Naprawdę myślisz, że to pomaga? Że od tego zaczynam ciepło o was myśleć?

– Yyy – głos po drugiej stronie był zmieszany. – Nie wiem.

– Więc zapamiętaj sobie! Słyszysz! Lepiej tego posłuchaj. Co jest z wami, ludzie?

– Ale...

– No więc nie! To nie pomaga. Nic a nic. Robiłam w tej branży. Jeśli ktoś nie odbiera telefonu po dwudziestu czterech sygnałach, to do jasnej cholery znaczy, że nie chce z tobą gadać. Rozumiesz?

Andrew aż wyszedł z łazienki. Wybuch asertywności u jego dziewczyny zaskoczył go. Ostatnio Marta spóźniła się na spotkanie, bo przez pół godziny przeproszała ankietera za to, że nie ma czasu.

Nagle oblała się rumieńcem.

– Nie, nie, to pomyłka... przepraszam... myślałam, że jest pan... tak... bo ja zawsze... no wiesz... tak, to ja...

Podeszła do kanapy i zaczęła wyskubywać frędzle z leżącego na oparciu moherowego pledu.

– Ale dlaczego? – spytała.

Ktoś po drugiej stronie długo coś tłumaczył. Przypominała teraz małą dziewczynkę wysłuchującą reprimendy.

– Oczywiście, że go zabiłam – wzruszyła ramionami.

Brwi Andrew wędrowały coraz wyżej i wyżej.

– Bo musiał zginąć – tłumaczyła komuś jego dziewczyna. – Po prostu musiał. Jak może pan tego nie widzieć?

Andrew usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy i pytająco spojrział na Jowitę, jakby oczekiwał od niej wyjaśnienia.

– Tak. Wiem. To bardzo ładne słowo – mówiła Marta, której tempo skubania moheru właśnie zbliżało ją do elektrycznej golarki. – Mogę im podrzucić słownik. Och, no dobrze, pomyślę. Dobrze. Dobrze. Mhm, tak.

Wyglądało to na koniec rozmowy, lecz nagle odrzuciła pojednawczy ton.

– Nie. To jest naprawdę znacznie lepsze bez niego – dodała stanowczo.

Rozłączyła się, rzuciła komórkę na kanapę.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Co to niby miało znaczyć? – spytał wreszcie Andrew.

– Nie podoba im się książka – odparła Marta, nie odrywając wzroku od koca.

– Komu?

– Dzwonili z #OPKO. Żeby powiedzieć, że nie podoba im się książka.

– Czemu zawsze jesteś dla siebie taka surowa? – Andrew się uniósł. – Z wszystkiego, co ktoś ci powie, wyciągasz tylko uwagi krytyczne. To typowe dla Polaków. Co dokładnie powiedzieli?

– Dokładnie powiedzieli: „Nie podoba nam się książka”.

Zmarszczył brwi.

– Mało konstruktywne.

– I że nie można w połowie powieści uśmiercić narratora – dodała.

– Zabiła narratora w połowie książki? – Jowita prychnęła i całkowicie ignorując Martę, zwróciła się do Andrew: – To będzie prawdziwy bestseller. Już widzę te kolejki pod księgarniami.

Andrew zerknął na Martę, potem na Jowitę i znów na Martę.

– Noo... może to nie był taki najlepszy pomysł.

Marta przygryzła wargę. Miała ochotę krzyknąć. Zawsze gdy była bliska załamania, Andrew stał przy niej, tłumacząc, jaką jest wspaniałą i oryginalną pisarką. „*Leprechaun z kromlechów Lisseyviggeen* stanie się kiedyś klasyką gatunku”, mówił. Jak mocno zachwycał się skomplikowaną konstrukcją! Eksperymentami! Wyrafinowanym słownictwem! Gdyby nie on, już dawno uznałaby swoją klęskę. To jego pewność nigdy nie pozwoliła jej się poddać, to jego pokłady ufności kazały jej wierzyć, że to wszystko ma sens. A teraz – proszę – jedna uwaga Jowity i śmierć narratora „to nie był taki najlepszy pomysł”. Wspaniale!

Nagle Marcie przyszło do głowy, że całe swojej przekonanie o tym, że jest artystką i bez problemu utrzyma się z literatury, oparła na opinii człowieka, który – realnie patrząc – żył z mówienia innym miłych rzeczy. Ludzie płacili mu, żeby uczył ich sztuki owijania w bawełnę, prawienia pustych komplementów i utrzymywania przyjaznych relacji ze światem.

Andrew zakasłał, szukając odpowiednich słów.

– No i nie znam się na tym do końca, ale może to pisanie co miesiąc do „Implikatury Konwersacyjnej”, no wiesz, niezbyt dobrze wpływa na twój warsztat.

– Bo?

– Może powinnaś skupić się na swoich innych zajęciach?

– Jakich innych zajęciach?

Podrapał się w głowę i zapadła niezręczna cisza.

– Po prostu odpuść to sobie na trochę.

Wydawało się jej, czy Jowita posłała jej właśnie najbardziej kpiący uśmiech ze swojego bogatego repertuaru?

Marta powiodła oczami po ściśniętych na regałach książkach. Po komodzie zastawionej zdjęciami Trumana Capote, Woody’ego Allena i Paula Austera oraz stosami płyt z kolejnymi seriami *Przyjaciół*, *Dziewczyn* i *Seksu w wielkim mieście*. W to właśnie zmieniło się jej życie: czytała o Nowym Jorku, oglądała filmy o Nowym Jorku, stawiała ołtarze nowojorskim artystom. I marzyła. Zamykała oczy i wyobrażała sobie, że wraca tam z Andrew i znów wszystko jest dobrze.

– Przecież muszę coś zrobić. Po co rzucałam Sharp-pol? Gdybym została, to... – Urwała, bo druga część zdania brzmiała: „siedziałabym teraz w obskurnej centrali telefonicznej i przysięgała jakiemuś znudzonemu właścicielowi przydrożnego zajazdu, że sam Amaro nie wyobraża sobie filetowania ryby nożem innej firmy”. Te słowa były zbyt żałosne, by wypowiadać je na głos. – A jeśli nigdy nie wydam książki?

Andrew podszedł do Marty i chwycił ją za dłoń.

– Oczywiście, że ci się uda. Jesteś mądra i utalentowana. Imponuje mi, że znasz te wszystkie mądre

wyrazy. No. Nie ma tego złego, nie?

Miał nadzieję, że to wystarczy. Zerknął na stojący na komodzie zegar, uśmiechnął się z otuchą, delikatnie wyszarpnął rękę z uścisku i wyciągnął z szafy śnieżnobiałą koszulę. Gdy zapinał guziki, Jowita wzięła kosmetyczkę z torebki i wyszła do łazienki.

Marta została z Andrew sama. Chciała być chłodna i w ten sposób ukarać go za nielojalność, ale nagle poczuła, że nie wystarczyłoby jej sił, żeby zagrać w bierki, a co dopiero na wyrafinowane manipulacje na męskich emocjach. Podeszła i wtuliła się w jego plecy.

– Powiedzieli, że detektyw, wyznając miłość, nie może użyć słowa „probabilizm”.

– Naprawdę?

– Nie sześć razy pod rząd.

– No, może dałoby się to ująć w inny sposób?

– A co jest nie tak z probabilizmem? Co? Mówiłeś, że książka ci się podoba.

– Jest świetna. Inteligentna i wyjątkowa. I w ogóle.

– Tak myślisz?

Pokiwał głową i wyslizgnął się z jej ramion. Wierzył, że bliskość jest najlepszym sposobem na pokonanie frustracji, owszem, ale wierzył również, że dorosłemu mężczyźnie nie wypada paradować na przyjęciu w pomiętej koszuli.

– To znaczy, może nie wszystko zrozumiałem, ale wiesz, nie znam się na tym do końca.

Zmierwił Marcie włosy i pocałował w czubek głowy. Wyciągnął z szafy kolejny wieszak.

– No – rzucił w jej stronę, ściągając pokrowiec z granatowego garnituru. – Wszystko będzie okay.

Jowita wróciła z łazienki, postukując obcasami.

– Ten, nie? – Andrew zamachał czerwonym jedwabnym krawatem przed oczami współpracownicy.

– Ujdzie. Musimy wychodzić.

– Wychodzimy. Gdzie mój laptop?

– Skąd mam wiedzieć?

– Pod stołem – odezwała się Marta, podrywając się w kierunku mebla i podając mu torbę z koniakowej, lekko starzonej skóry. Czuła, że musi co jakiś czas wydawać z siebie dźwięk i generować odrobinę ruchu, bo momentalnie zapomną o jej obecności. – Czego nie rozumiałeś?

– Co?

– Powiedziałeś, że nie wszystko rozumiałeś. W książce.

– Nie przejmuj się.

– Nie przejmuję się.

– Biorę kluczyki – westchnęła Jowita, wychodząc. – Pospiesz się.

Andrew skończył wiązać krawat. Zrezygnował ze skarpetek, lekko wywinął nogawki spodni i włożył mokasyny wprost na boso stopy. Ostatni raz przejrzał się w lustrze umieszczonym w drzwiach szafy i już miał wychodzić, lecz Marta zagroziła mu drogę i przytrzymała jego ramię.

– Miałeś zgłaszać uwagi krytyczne.

– Czy to nie może poczekać do jutra?

– Którego fragmentu nie rozumiałeś?

Andrew przybrał minę skruszonego dziecka, które czuje się winne, choć nie do końca wie, na czym polegał występki.

– Hm, na przykład... – zaczął niepewnie, jakby liczył na jej odpowiedź – na przykład, kto właściwie był mordercą?

I wtedy znów zadzwoniła jej komórka. Drugi raz. I trzeci. Po siódmym dzwonku Andrew otworzył usta, chcąc to skomentować, lecz coś we wzroku Marty sugerowało, że to nie jest dobry pomysł. W końcu telefon zamilkł.

– Żartujesz, prawda? – powiedziała.

– No i nie do końca też złapałem, kto był ofiarą... – Wzruszył przepaszająco ramionami. – Choć tu miałem pewne podejrzenia. Ale poza tym, to było naprawdę świetne.

Marta oparła się o ścianę. Bardzo powoli i wyraźnie, tonem osoby, która chce wierzyć, że przed chwilą się przesłyszała, spytała:

– Chcesz powiedzieć, że przeczytałeś kryminał i nie wiesz, kto kogo zamordował?

Posłał jej uspokajający uśmiech. Wyprostował się, chwycił torbę z laptopem i nacisnął klamkę.

– Klimat mi się podobał. Tak ogólnie. Klimat był świetny. No. Dobudź się, bo musisz się przygotować. No. Wszystko będzie okay.

Nie zdążyła nawet przekreślić zamka, gdy jej komórka zaczęła bucieć.

– Pani Marta Lipka? Miałem się dziś z panią skontaktować... Halo... czy pani mnie słyszy... chyba pani nie przeszkodziłem...

– Właściwie to tak.

– Słucham?

– Przeszkodził pan. Przeszkodził pan jak cholera.

– Yyy... to kiedy mogę się z panią...

– Po prostu nie dziś. – Marta rozłączyła się i wyłączyła dźwięk w telefonie. Wróciła do łóżka i zagrzebała się w pościeli. Chciała spać, nawet jeśli oznaczałoby to, że prześpi premierę Andrew (kto właściwie był mordercą?). Miała ochotę ją przespać. Właściwie miała ochotę przespać resztę życia.

Budzik był tak głośno, że nie dało się go zignorować. Była szesnasta dwadzieścia pięć i Marcie została jeszcze chwila, by spokojnie się przygotować. Półprzutomna dowlokła się do łazienki i weszła pod prysznic. Strugi ciepłej wody pozwoliły się jej dobudzić i po dziesięciu minutach zdołała wreszcie zebrać myśli. Nie spodobały się jej. Doszła do wniosku, że lepiej je na razie włożyć do przegródki w głowie oznaczonej jako Trudne Rzeczy, Z Którymi Trzeba Się Wreszcie Zmierzyć, Ale Nie W Tej Chwili. Przegródka ostatnio zdawała się pękać w szwach, lecz Martę po raz kolejny zdumiała jej cudowna rozciągliwość. To jest właśnie wspaniałe w byciu wypoczętym – zastryk energii pozwalający ci z nową mocą lekceważyć problemy, które zmęczonemu umysłowi wydawały się przeszkodami nie do pokonania, i znów cieszyć się życiem. Ten wieczór należy do Andrew i ona mu go nie zepsuje.

Z prawdziwym zadowoleniem przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Wyglądała ładnie i świeżo. Kilka dodatkowych godzin snu wymazało z jej twarzy całe napięcie i szarość, a ciągle zaparowana tafla i brak jednej żarówki w lampie nad umywalką świetnie poradziły sobie z pierwszymi zmarszczkami.

Zaplotła turban z ręcznika, nałożyła maseczkę z zielonej glinki i ze szczoteczką w ustach poszła do kuchni zaparzyć kawę.

Taksówka, pomyślała i wlała wodę do ekspresu. Zamówię ją z wyprzedzeniem i spokojnie skończę się szykować.

Sięgnęła po komórkę i zobaczyła trzydzieści sześć nieodebranych połączeń. Dwadzieścia dwa z jakichś nieznanymi numerami, lecz czternaście było od Andrew. Nie była to dobra wróżba. Jej opanowany chłopak wpadł w panikę.

Zadzwoiła do niego, lecz nie odpowiedział. Odsłuchiwała pocztę głosową.

– Marto, na pewno istnieje jakieś logiczne wytłumaczenie całej sytuacji, ale nie potrafię go sobie wyobrazić. Jak mogłaś powiedzieć projektantowi, że nie możesz dziś rozmawiać? Czemu nie odbierasz ich telefonów? Wykazali dobrą wolę, nie zrywając współpracy po twoich ostatnich... niezręcznościach. Słuchaj, musisz zabrać sukienkę do siedemnastej, bo mają dziś pokaz i muszą zamknąć pracownię trochę wcześniej. Pamiętaj, żeby wziąć granatowe szpilki.

Nie słuchała. Dotarł do niej główny przekaz: pracownia jest do siedemnastej. Zerknęła na zegarek. Była szesnasta trzydzieści siedem.

Zamówiła taksówkę i na chwilę przymknęła oczy. Miała na głowie turban, usta pełne pasty do zębów i zieloną maź na twarzy. Oczywiście w jej szafie wisiało trochę ubrań. Ale Andrew podpisał umowę z jakimś młodym projektantem, a to oznaczało, że Marta musiała pojawić się na premierze w konkretnej sukience. Którą powinna odebrać do konkretnej godziny. Która zaraz minie.

Zrzuciła z włosów ręcznik, włożyła bieliznę, następnie zdemolowała sypialnię w poszukiwaniu granatowych szpilek. Dostała esemesa, że taksówka czeka na dole. Pobiegła do łazienki i z przerażeniem odkryła, że glinka na twarzy zaczęła zastygać. Przez kilka minut na przemian polewała twarz wodą, szorowała rękami i mokrą gąbką. Zielona skorupa odpadała, odsłaniając podrażnioną, piekącą skórę. Marta nie miała czasu się nad tym zastanawiać. Nie miała już czasu na nic.

Na wieszaku w przedpokoju wisiał jedynie stary męski prochowiec, pamiątka po lutowej imprezie, po który nikt nigdy się nie zgłosił. Marta narzuciła go na bieliznę i wybiegła z domu.

Z taksówki zadzwoniła do pracowni projektanta. Błagała asystenta, żeby któryś z pracowników na nią zaczekał. Mężczyzna zaśmiał się szyderczo i powiedział coś, czego Marta nie zrozumiała, bo wytrząsała resztkę wody z ucha. A potem się rozłączył.

Już wcześniej projektant (właściwie dopiero rozkręcał modowy start-up) zgłaszał pretensje i chciał zakończyć współpracę. Powiedział Andrew, że Marta nie potrafi nosić tych ubrań. Jak można nie umieć nosić ubrań? W jakimś sensie było to nawet bardziej upokarzające niż uwagi, że nie umie pisać.

U Andrew ciągle włączała się poczta głosowa. A do tego znów odezwał się przedstawiciel sieci komórkowej z pytaniem, czy przemyślała jego ofertę, lecz spławiła go, by nie blokował linii.

Kolejny telefon.

Robert.

– Słuchaj, nie mam teraz...

– Zapomniałem ci wczoraj powiedzieć. Był u mnie Gekon.

– Co?

– Gekon. Złapał mnie po wykładzie. Narzekał, że ciężko się z tobą skontaktować.

Marta zaśmiała się gorzko.

– Pytał, czy nie mam bardziej aktualnego numeru.

W śmiechu Marty pojawiły się nuty hysterii.

– Powiedział, że musisz wrócić do Krakowa i dać mu szansę. Że potrzebujesz jego ramion.

Marta wyobraziła sobie ten obrazek i wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

– Jego ramiona nie potrzebują kobiety – powiedziała. – Potrzebują kaftana bezpieczeństwa.

– Wyciągnął mnie na piwo. Męczył chyba ze dwie godziny.

Odbili z Alei Jerozolimskich w Nowy Świat, a potem w ulicę Smolną. Marta zauważyła znajomą pierzeję kamienic. Kierowca zwolnił i szukał miejsca do zaparkowania.

– To było straszne – jęknął Robert. – „Ty wiesz”, powtarzał w kółko. „Ty wiesz”. I kazał ci przekazać, że Hemingway mawiał: „Nie uwolnisz się od siebie, zmieniając miejsce zamieszkania”.

– Może i nie – odparła Marta, gdy wysiadała z samochodu. – Za to na pewno możesz się uwolnić od Gekona.

Zegar w smartfonie wskazywał siedemnastą czternaście.

– Proszę poczekać – powiedziała do kierowcy.

Pracownia znajdowała się na parterze kamienicy vis-à-vis Muzeum Narodowego. Rolety antywłamaniowe zostały już opuszczone, a na drzwiach wisiała wywieszka z napisem „Zamknięte”. Marta przygryzła wargi, próbując powstrzymać napływające łzy.

I wtedy ją zobaczyła: ubrana w musztardowy kombinezon kobieta w średnim wieku kręciła się przy wejściu i trzymała w ręku wieszak przykryty pokrowcem. Była chuda i wysoka, nawet opaska na jej brązowych włosach miała kolor musztardy. Wyglądała jak niezwykle kosztowny hot dog. Podeszła do Marty i bez słowa podała jej wieszak. Marta nie przeczytała w życiu ani jednego podręcznika o komunikacji niewerbalnej, lecz mowa ciała tej kobiety była tak wyrazista, że natychmiast zrozumiała, co ona ma na myśli – gardzę tobą, żalosna istoto.

Kobieta wpatrywała się w wytarty prochowiec, mokre strąki i resztki maseczki na twarzy Marty z perwersyjną satysfakcją. Jakby dziewczyna właśnie potwierdziła jej gorzkie przypuszczenia. Tego właśnie się po niej spodziewała.

– Przepraszam – bąknęła Marta. – Następnym razem...

Nie dokończyła, bo kobieta gestem kazała jej zamilknąć.

– Wierz mi, nie będzie następnego razu.

Marta westchnęła.

– Mam te granatowe szpilki. – Wskazała na stopy. – Tak jak pan... eee – Marta starała się sobie przypomnieć nazwisko projektanta – eee... pan Brzost kazał.

– Jaki znowu Brzost? – Kobieta zmrużyła oczy.

Kropla wody z włosów spłynęła Marcie po twarzy. Otarła ją ręką. Na rękawie prochowca został tłusty zielony ślad, pozostałość po nie do końca startej maseczce. Kobiety stały przez chwilę w milczeniu, nie mogły oderwać wzroku od plamy.

– To ja już lepiej pójdę – wyjąkała Marta i potrząsnęła pokrowcem. – Chciałam tylko powiedzieć, że buty będą do tego pasować.

Kobieta wybuchła krótkim, spazmatycznym śmiechem.

– Do tego wszystko będzie pasowało.

Na powrót do domu nie było już czasu. Na szczęście prezes klubu miastoMANIAQ był pusty i Marta przemknęła niezauważona do łazienki. Zamknęła się w jednej z trzech kabin, rozczesała włosy grzebykiem, a potem ściągnęła pokrowiec z wieszaka.

I wtedy zrozumiała, co kobieta z pracowni projektanta miała na myśli.

Sukienka była niezwykle oryginalna. W innych okolicznościach mogłaby się Marcie nawet spodobać – na przykład gdyby była druhną w jakiejś wiosce w Alabamie w latach siedemdziesiątych. Druhną, która upadła na głowę. Niewykluczone, że doceniłaby grę połyskliwych zieleni, fioletów i brązów na bufiastych rękawach, spódnicę uszytą z czegoś przypominającego całun oraz krój cyrkowego namiotu.

Nigdy nie włoży czegoś takiego.

Nigdy.

No, może jeśli wybuchnie wojna, Marta straci wszystkie ubrania i to zadecyduje o życiu lub śmierci – rozważy taką ewentualność.

Albo jeśli będzie miała na sobie jedynie bieliznę, prochowiec upaprany zieloną maseczką i za minutę premierę programu swojego partnera.

Poza tym Marta nie znała się na modzie. Nic a nic. Bolesnie brakowało jej kapitału kulturowego pozwalającego człowiekowi ocenić, czy coś jest paskudne w sposób modny i wyrafinowany czy też paskudne tak po prostu.

– Tfu!

Ten, kto nagle wszedł do łazienki, był wyraźnie czymś zniesmaczony. Marta usłyszała kobiecy głos.

– Nie jadłam tak paskudnych krewetek od czasu tego sylwestra w Zakopanem, pamiętasz? Wtedy zjadłam tylko jedną i trzy następne dni spędziłam z głową w kiblu. Ta krewetka w babeczce była jeszcze gorsza. Zresztą może to ta sama. Przeleżała dwa lata w moich rzygach, a teraz wyłowili ją ze ścieku i podali mi ponownie.

Dziewczyny wybuchły rechoczącym śmiechem.

– Mówisz o tym wyjeździe na narty ze Słowakami? Kiedy jeszcze spotykałaś się z Mateu...

– Przestań! – warknęła pierwsza. – Na samo wspomnienie o nim robi mi się niedobrze.

Ta druga westchnęła i wróciła do bezpiecznego tematu.

– I te oliwki na krakersach, takie chamskie, pewnie z jakiegoś dyskontu.

– Jezu, mogłam zostać w domu i oglądać *W garniturach*. Pożycz korektor.

– Przecież Jowita powinna...

– Jedzenie załatwiał Andrew. Jak usłyszał o tych kulinarnych blogerach, co organizują cateringi, to od razu się zapalił do pomysłu: „Wiesz, oni na pewno opiszą imprezę na blogach”. Jowita chciała czegoś sprawdzonego, ale wiesz, jaki jest Andrew.

– Wyjechałaś tu sobie za bardzo błyszczkiem. Mhm. Jeszcze trochę.

– Teraz dobrze?

– Okay.

– Andrew lubi ryzykowne wybory.

Kobiety znów parsknęły śmiechem.

– No, ta jego dziewczyna...

– Daj spokój. Ile to jeszcze potrwa? Miesiąc? Dwa? Znasz go przecież.

– Ale jak on w ogóle ją poznał?

– Zaraz po tym, jak rozstał się z tą Amerykanką, nie? Jenny czy Penny, czy jak jej tam.

Diana, pomyślała Marta. Miała na imię Diana. I Andrew do dziś zaczyna się jąkać, gdy ktoś wymawia przy nim jej imię.

– Może były dwie naraz. Andrew nie jest jakimś fanatykiem monogamii.

Po raz kolejny rozległ się ten potworny śmiech.

– Nie, z tamtą to było na poważnie. Złamała mu serce. Po czymś takim twoje ego...

– Mhm. Rzucasz się na pierwszą lepszą.

– Niewymagającą.

– No, to jego ego musiało się rozsypać w drobny mak.

– Ale dojdzie do siebie.

– Już dochodzi.

– Tak?

– W tamtym tygodniu widziałam...

Niestety Marta nie usłyszała, co zobaczyła koleżanka Andrew, gdyż kobiety wyszły z łazienki, a stukot ich szpilek na posadzce całkowicie zagłuszał słowa. W końcu i on ucichł. Ciszę przerywał jedynie niedokręcony kran.

Kap.

Kap.

Kap.

Nie mogę się rozkleić – pomyślała, szybko mrugając powiekami. Przetarła oczy i ostrożnie uchyliła drzwi kabiny. Gdy upewniła się, że łazienka jest pusta, podeszła do lustra nad umywalką. Było niewielkie, otoczone nieregularną grubą ramą złożoną z fragmentów potłuczonych żółtych kafelków. Pasowało do fioletowego, barokowo-psychodelicznego wnętrza. Wyciągnęła z torebki gumkę i związała mokre włosy w rodzaj luźnego koka. Starła resztki maseczki, wklepała w twarz trochę podkładu i z zadowoleniem stwierdziła, że puder poradził sobie z podrażnioną cerą. W kieszonce na klucze znalazła maskarę, maznęła nią rzęsy, znowu poczuła, że chce jej się płakać. Opanowała się jednak. Włożyła granatowe szpilki, usta pociągnęła różową szminką i ponownie spojrzała w lustro.

Wszystkie te zabiegi były bez znaczenia. Kobieta przed sklepem miała rację: Marta równie dobrze mogła wdziać onuce, umorusać twarz węglem, a na głowie pozostawić nierozczesany kołtun – efekt byłby taki sam. Przy tej sukience blakł każdy szczegół.

Nie miała dokąd uciec, wzięła więc trzy głębokie oddechy i poszła na imprezę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przeciskała się przez tłum ludzi, uśmiechając się do siebie i jednocześnie wysyłając w kosmos modlitwę, by żaden z gości nie domyślił się walki, jaką właśnie toczyła ze swoimi lękami.

Emocje krzyczały: natychmiast uciekaj! Wszyscy się na ciebie gapią! Mówią tylko o twojej sukience! Wiele stąd!

Uspokój się, nakazywał zdrowy rozsądek. Masz trzynaście lat? Naprawdę wyobrażasz sobie, że jesteś centrum wszechświata? Że ludzie nie mają ciekawszych tematów niż twoja garderoba? Chwyć Andrew pod rękę, wysoko unieś głowę i baw się dobrze!

Tylko gdzie on jest?

Wystrój lokalu był osobliwą i pełną przepychu fantazją na temat lat sześćdziesiątych. Gdyby w czasach Gomułki istniała w Polsce burżuazja, to takimi właśnie meblami urządzałyby swoje miejskie apartamenty i garsoniery.

Na niewielkiej, znajdującej się na wprost wejścia scenie drobna blondynka ustawiała dwa mikrofony z taką miną, jakby była to absolutnie najgorsza rzecz, jaką mogła ją w życiu spotkać. Marta rozważała właśnie, gdzie ma szukać Andrew – na otaczającej całą salę antresoli czy przy znajdującym się obok sceny wyjściu na patio – gdy jej uwagę przykuł rząd zastawionych przekąskami stołów.

Ssanie w żołądku wzmagało się z każdą sekundą. Kawałek tortu na wczorajszej imprezie niespodzianie był ostatnią rzeczą, jaką miała w ustach. W stresie zapomniała o jedzeniu i dopiero widok tac, misek i talerzyków uświadomił jej, jak bardzo zgłodniała.

Błyskawicznie dopadła do bufetu. Chwyciła duży talerz i już miała rzucić się na wszystkie te dobra, gdy w ostatniej chwili się zawahała. Była dziewczyną specjalistą od stylu, a impreza oficjalnie nawet się jeszcze nie zaczęła.

Ogarnęło ją poczucie winy.

To zupełnie jak u Freuda, pomyślała.

Superego chce zademonstrować powściągliwość, umiar, obycie, obejrzyć obrazy na ścianach i spytać kogoś z obsługi o ich historię, wypytać tych, co mają dzieci, o dzieci, tych z kotami, o koty, przywitać się ze znajomymi, okazać maniery, poczekać na resztę gości z rozpoczęciem konsumpcji, dyskutować o ostatnim filmie Kim Ki-duk.

Id pragnie koreczków.

A także łososia na zimno, oklapniętych sałatek, ryb w galarecie, hiszpańskich szynek, zeschniętego chleba, blinów, kawałków melona, wina, sherry, jeszcze więcej wina i wszystkich koreczków ze stołu. Nie wiadomo, dlaczego tak się dzieje. Ostatecznie, trudno znaleźć osobę przy zdrowych zmysłach, która w porze obiadu myśli: „Dobra, to co dziś zjem? Już wiem: winogrono, kabanos i camembert przebite wykałaczką”. Marta знаła pasjonatów, którzy w domu piekli chleby i przyrządzali confit z kaczki, ale nikogo, kto robiłby koreczki.

Trudno to wytłumaczyć. Freud mawiał, że w przypadku niektórych ludzi koreczki zawsze wygrywają ze skrupułami. Zawsze. No, może niedokładnie tak się wyraził, ale gdyby częściej chadzał na bankiety, na pewno by to zauważył.

Wokół bufetu zgromadziło się już całkiem sporo ludzi, którzy doskonale zdawali sobie sprawę, że jest jeszcze za wcześnie na rozpoczęcie degustacji. Pandusia z zakłopotaniem zjadała tartinkę z kozim twarożkiem. Stojący obok niej dziennikarz podróżnik, nie patrząc nikomu w oczy, popijał czwartym kieliszkiem wina łososiowo-chrzanową tortillę.

Marta sięgnęła po łożeczkę z cykorii. Cóż, dziewczyny w łazience miały rację – w każdym razie w kwestii jakości cateringu. Łóżeczka smakowała, jakby rzeczywiście przebywała w wodzie. Od miesiąca. Wodnista sałata nie zniechęciła jednak Marty. Przeciwnie, wzmożła jej apetyt na coś konkretnego. Bez skrupułów nałożyła na tekturowy talerz trzy czwarte półmiska podejrzenie jaskrawego wołowego carpaccio.

– Nie, nie, nie – usłyszała za plecami znajomy głos. – Marta nie jest taką prawdziwą pielęgniarzką – odwróciła się. Andrew z zażenowaną miną tłumaczył coś prezesowi stacji. Staruszek był przygłuchy i – jak głosiły plotki – tracił momentami kontakt z rzeczywistością. Lecz nawet do jego niesprawnych uszu dotarły wieści o poprzednim wieczorze!

– To wspaniały, szlachetny zawód – potakiwał starszy pan, wygładzając klapy pięknie skrojonego czarnego garnituru. – To powołanie.

– Przepraszam na chwilę. – Andrew chwycił Martę za rękę i odciągnął od stołu. Nie zaprotestowała, bo usta miała pełne przesolonej wołowiny. Wziął sukienkę do ręki, przez chwilę szeleścił materiałem spódnicy.

– Boskie – wykrztusił wreszcie.

– Naprawdę? – ucieszyła się Marta.

– Mhm. – Pokiwał głową. – Wyglądasz jak ci Amerykanie z Utah, co chodzą w długich szatach, no, ci...

– Mormoni?

– Właśnie. Przypominasz mormona, zbyt dyskretnie ubranego, by można było na oko określić płeć.

– Nie dobijaj mnie.

– Wszyscy się na ciebie gapią.

– Mylisz się.

– I nie mówią o niczym innym, tylko o twojej sukience.

– Nieprawda.

– Rozejrzyj się.

Rozejrzała się. Ludzie dookoła nagle ucichli i odwrócili wzrok.

Marcie zrobiło się bardzo, bardzo głupio.

– Skąd ty to w ogóle wytrzasnęłaś? Z kiermaszu Armii Zbawienia?

– Od tego faceta, z którym mnie umówiłeś. – Do Marty zaczęło docierać, że nie chodzi o jej nieznamość najnowszych trendów. Sukienka nie była paskudna w znaczeniu nonszalancka, odważna, inteligenta. Była paskudna tak po prostu. – Jak on mógł mi dać coś takiego?

Na twarzy Andrew nie znalazła śladu poparcia dla swojego oburzenia.

– Kiedy dziennikarka spytała cię ostatnio, kto ci uszył kombinezon, odpowiedziałaś: „Jakiś Brzostkowicz, Brzozowski czy Brzostkiewicz? Coś na be”.

– No tak.

– To coś na be to kobieta. I nazywa się Topola. Renata Topola.

Renata Topola! No proszę, pomyślała Marta tknięta nagłym przeczuciem co do tożsamości kobiety w musztardowym kostiumie.

– Wiesz, że słabo się znam na takich sprawach.

– To nie jest bardzo skomplikowane.

Obok nich przeszła dobrze zakonserwowana blondynka w średnim wieku. Pozdrowiła Andrew i posłała mu pełen otuchy uśmiech. Marty starała się nie zauważać, widać było, że to niezauważanie kosztuje ją sporo wysiłku. W taki właśnie sposób gospodarze na przyjęciu omijają wzrokiem dziurę, którą wypaliło się papierosem w ich fotelu.

Andrew przyglądał się Marcie z coraz większym wyrzutem.

– Daj spokój – powiedziała. – Ta cała Topola musi być nieźle przewrażliwiona na swoim punkcie.

– Miałaś ją promować – westchnął Andrew. – Dlatego daje ci ubrania.

– I promowałam. Przecież wszędzie chodziłam w tych głupich ciuchach.

Nie ma co, daleko zaszła od czasów, gdy zaczęła pisać powieść, rozpoczęła pracę w „Implikaturze Konwersacyjnej” i była pewna, że teraz, po latach intelektualnej posuchy, każdy następny dzień przyniesie tysiące stymulujących umysł wyzwania.

Ciekawe, co będzie następne. Może jakaś sfrustrowana modelka podłoży jej nogę, gdy będzie schodziła po schodach. Może za miesiąc sama będzie tak sfrustrowana, że posypie bluzkę Jowity proszkiem wywołującym swędzenie albo podłoży jej poduszkę pierdzioszkę.

– Nie pojmuję tego.

– Czego? – spytał Andrew.

– Co to ma być? – Wskazała sukienkę. – Zemsta? No proszę cię.

– Co?

– Przecież to takie dziecinne.

– Kiedy ta szafiarka na gali powiedziała ci przy wszystkich, że spódnica jest rewelacyjna, odpowiedziałaś: „Eee, taka sobie”. To też nie było specjalnie dorosłe.

– Nie umiem przyjmować komplementów. Mówiłam ci sto razy.

– To się naucz.

– Cały czas ćwiczę to przed lustrem.

– Tak?

– Od trzech miesięcy. Mówię sobie: „pięknie wyglądasz”, „jesteś jak sarna”, a potem tylko odpowiadam: „dziękuję, wiem”. I nie czerwienię się nic ani nic. To świetna metoda.

– Tyle że nie działa.

– Działa przed lustrem.

Nieopodal przechodził kelner z tacą pełną kieliszków z białym winem. Chciała sięgnąć po jeden

z nich, ale Andrew chwycił ją mocno za ramię i zaczął prowadzić w stronę patio.

– Słuchaj – powiedział. – W niedzielę startuje mój program, a to oznacza, że dziennikarze będą się nami bardziej interesować.

– Chyba tobą.

– Nami. Wierz mi, znam się na tym. Może zamiast przebierać się za otyłego klauna, skorzystasz z okazji, co? Jesteś teraz hot. Będą chcieli słuchać o książce. O tym, jak się we mnie zakochałaś. Jak dobrze pójdzie, będą chcieli słuchać o probabilyście.

– No, nie wiem.

– Wiesz, wiesz. Ale to okienko nie będzie otwarte cały czas. Już się zamyka. Teraz masz milion okazji. Może ktoś kupi książkę. Może wreszcie gdzieś cię wrzucę. Do jakiegoś portalu o kulturze.

– Jako kogo?

– Jako kogoś od kultury. Ogarnij się wreszcie.

Weszli do ogrodu. Sporo osób stało w kilkusobowych grupkach – rozmawiali, pijąc i paląc papierosy. Atmosfera była znacznie bardziej swobodna niż w środku.

– Andrew! – wykrzyknęła niska brunetka ze zbyt mocną henną na brwiach. – Masz chwilę? Udzielisz mi króciutkiego wywiadu? Pliz! – Dość bezceremonialnie chwyciła Andrew za rękę i pociągnęła w swoją stronę.

Marta rozglądała się za kelnerem z winem, gdy poczuła, że jej torebka wibruje. Sięgnęła po telefon i zobaczyła nieznany numer. Nie miała siły się tłumaczyć, negocjować, wypytywać, porównywać ani odmawiać.

Masz prawdziwe szczęście, pomyślała, odbierając komórkę. Postanowiła bowiem przyjąć ofertę od pierwszego konsultanta, który się z nią połączy. I mieć to wreszcie za sobą.

– Halo – powiedziała do słuchawki.

A potem świat się rozmazał.

prostownica do włosów

migdałowy peeling x 2

kubek świecący w ciemności

paszteciki z kurczaka x 7 i wędzone udka x 2

chleb krojony (+4 kromki)

soczek marchwiowo-bananowy x 2

morelowe kule do kąpieli x 6

jasiek w kształcie serca

cztery najlepsze numery „Akademii Paznokcia”

Nail Art x 2

Nail Expert x 3

ubrania czarne – wszystkie, jakie są

gryzaczek

edukacyjna gra dla dzieci od szóstego miesiąca życia

świeczka zapachowa z wtopionymi ziarenkami kawy x 3

Sabina zastanawiała się, czy ma wszystko, czego potrzebuje. Raczej nie. Nie możesz zmieścić rzeczy koniecznych do życia w jednej żółtej walizce – no chyba że zostałaś wychowana przez wilczycę i do szczęścia wystarcza ci wywar z szyszek, przepaska na biodrach i wiatr w splecionych włosach.

Jej przypadek był zdecydowanie inny. Sabina dorastała w dużym, dość zamożnym domu. Dwieście dwadzieścia metrów kwadratowych podzielonych na pięć pokoi, poddasze, strych oraz skład niepotrzebnych rzeczy w piwnicy – to wszystko sprawiało, że nigdy nie zastanawiała się, gdzie pomieści kolejną parę kozaków czy ledową lampę do utwardzania paznokci.

Teraz, po raz pierwszy od czasów lekcji fizyki w gimnazjum, zaczęła się zastanawiać nad kwestią przestrzeni. Znowu okazało się, że program szkolny kiepsko przystaje do rzeczywistości. Nauczyciel nie przygotował jej na sytuację, w jakiej właśnie się znalazła.

Otóż przestrzeń, którą miała do dyspozycji, w jednej chwili uległa skurczeniu do prostopadłościanu o wymiarach 54 cm x 70 cm x 27 cm. Tak głosiła naklejka wewnątrz walizki.

I wydarzyło się to w ciągu zaledwie jednej minuty.

Dlaczego nie było lekcji „Jak sobie radzić, gdy matka wyrzuci cię z domu?”. Co trzeba zabrać? Skąd miała to wiedzieć?

Spakowała więc rzeczy ładne, miłe i te, które rzuciły jej się w oczy. Klęcząc na pikowanej narzucie z łososiowej satyny, upychała zawartość walizki. Ostrożnym ruchem, tak by – broń Boże! – nie zniszczyć skomplikowanego i precyzyjnego wzoru („Cykoriowe Seszele”) zdobiącego każdy z paznokci. Można by odnieść wrażenie, że poświęciła dwie doby na ten manicure. I tak było w istocie.

Sabina wyglądała jak jedna z tych dziewczyn, które przez całe dni ślęczą nad atlasem anatomii, a potem składają uroczystą przysięgę, że nie spoczną, póki nie znajdą sposobu na przyozdobienie każdej części ciała. Jedni nazwą to pasją, inni nerwicą natręctw, trzeba jednak docenić jej determinację i zaangażowanie. Blond pasemka, opalona na lekki pomarańcz skóra, długie kolczyki, sztuczne rzęsy, maleńki diament w nosie, kreski na powiekach, rozświetlacz na policzkach i ramionach – wszystko to obwieszczało światu, jak dzielną jest wojowniczką w starciach z nudną, bladą, mało błyszczącą naturą.

Kiedy pod dłuższej chwili mogła wreszcie dopiąć zamek w walizce, nagle wszystko to wydało się jej strasznie lekkomyślne.

Usiadła na skraju łóżka i spojrzała w górę, jakby liczyła na wskazówki z niebios, lecz połączane sufitowe sztukaterie nawet nie drgnęły. Będzie jej brakowało soczystej czerwieni ścian. Drapowanych zasłon. Barokowej toaletki z imitacji buku. Wazonów, koralików i plakatu z płaczącą w deszczu dziewczyną na tle wieży Eiffla. Kochała ten pokój. Wszystkie te bajeczne meble, dodatki i tkaniny sprawiały, że czuła się tu wyjątkowo.

Z tyłu za domem ciągnął się wolny wybieg dla dwudziestu pięciu kur, które znosiły jajka dla krewnych, sąsiadów i znajomych. Był on zaledwie forpoczta położonej pięć kilometrów dalej ogromnej fermy drobiu, wokół której kręciło się całe życie rodziny Cegiełków.

Karmienie kur.

Sprzątanie po kurach.

Epidemie wśród kur.

Zabijanie kur.

Rodzice musieli czasem rozmawiać na inne tematy, zabierać dziecko w jakieś wolne od drobiu miejsca, czytać publikacje na temat wędkarstwa albo szydełkowania. Jednak gdy Sabina próbowała sobie przypomnieć choć jedno takie wydarzenie, pamięć ją zawodziła (co nie dziwi, gdy się weźmie pod uwagę spożycie cholesterolu u Cegiełków). Ptaki – z całym tym gdakaniem, smrodem, kupami – były po prostu wszędzie.

Poza jej pokojem. Każdy element wystroju snuł opowieść o luksusie, elegancji i nieskrępowanej wyobraźni. Wystarczyło zamknąć okno, zapalić świeczkę zapachową, położyć się w stosie pluszowych poduszek i człowiek zapominał.

Teraz też, wdychając waniliowy dym, Sabina próbowała się uspokoić, w czym przeszkadzały jej jednak odgłosy płynące z głębi domu: skrzypiące deski podłogowe, bębniący o blaszany dach deszcz, a przede wszystkim głos matki.

– Idiotka! – krzyczała w kuchni na dole.

A potem ojciec coś tłumaczył. Jak zawsze cicho, jak zawsze uspokajająco, jak zawsze bezskutecznie.

– Idiotka skończona!

– Żabciu... cii.

– Jak mogła być taka głupia? No jak?!

Od chwili, w której pani Cegiełkowa dowiedziała się, że Sabina jest w ciąży, wydzierała się praktycznie bez przerwy. A dziś, kiedy córka wreszcie przyznała, kto jest ojcem...

– Może mieszkać pod mostem!

Biedna mama. Tak łatwo dała się wyprowadzić z równowagi. Doktor German ostrzegał ją, że te napady nerwów źle się skończą. Lecz niektórzy już tak mają: co w sercu, to na języku.

Co teraz zrobi? Brak domu to poważna sprawa. Kacper powiedział, żeby się nie martwiła, bo znalazł nocleg, ale skąd może wiedzieć, co ją potem czeka? Samą, w Krakowie, obcym, wielkim mieście? Poza tym wciąż miała w pamięci jego szept: „Nic się martw, wiem, jak zrobić, żeby dziewczyna nie zaszła w ciążę. Stuprocentowy patent”.

Musiała się zastanowić. Ojciec w młodości należał do harcerstwa i na strychu wciąż trzymał stare książki i broszury ZHP. Przed laty uwielbiała je przeglądać. Potem w nocy, pod kołdrą, wyobrażała sobie, że jest sama w lesie pełnym dzikiej zwierzyny, nieokiełzanej przyrody i złoczyńców. Niestety, w tym samym okresie podkradała matce romanse Harlequina, co przekreśliło jej szanse na choćby teoretyczne zapoznanie się z metodami samoobrony – każda fantazja kończyła się tym, że ratował ją dzielny dziedzic fortuny, buntowniczy kowboj albo lekarz o mocnej szczęce. No, chyba że dorwała się do serii Eros – wtedy leśny złoczyńca robił z nią, co chciał.

Przeklinając teraz w duchu swoje dawne romantyczne skłonności, poszła na strych. Na starym nieheblowanym regale znalazła zakurzone broszurki. Wzięła je do siebie do pokoju, położyła się na łóżku i zaczęła czytać. W trakcie lektury zjadła wszystkie paszteciki i obgryzła połowę udka kurczaka. Zakręciło jej się w głowie. Autorzy poradników wymieniali jako „niezbędne, by przetrwać z dala od cywilizacji” tyle rzeczy, że prościej byłoby po prostu założyć nową cywilizację.

Po namyśle wzięła jednak dodatkową torbę i zapakowała:

gumowce

paczkę sucharków niesłodzonych

płaszcz przeciwdeszczowy
syczoryk
konserwę mięsną turystyczną x 3
ziemniaki x 6
książkę *O psie, który jeździł koleją*
zapałki
latarkę
papier toaletowy
szczoteczkę do zębów
chustę do noszenia dziecka
garnuszek do mleka.

Według książek taty, żeby przetrwać, powinna mieć ze sobą także namiot, odzież maskującą i krzesiwo. Oczywiście w głębi serca wiedziała, że żadnej z tych rzeczy nie ma w domu. Zdawała sobie też sprawę, że w pobliskiej Żabce między chrupkami bekonowymi a miętówkami raczej nie leżą kawałki krzesiwa. Mimo to obeszła wszystkie miejscowe sklepy, a potem przeszukała każdy kąt w domu, aż zrobiło się bardzo, bardzo późno. Ostatni autobus do Krakowa odjeżdżał za dwadzieścia minut, trzeba więc było się zastanowić, czy nie spędzić jeszcze jednej nocy w swoim oswojonym, ciepłym łóżku.

Rozwiązanie to miało kilka plusów. Bez wątpienia. Lecz do pokoju weszła matka Sabiny i przedstawiła dość mocny oraz sensowny argument za rezygnacją z krzesiwa i dogonieniem ostatniego autobusu. Po prostu wzięła torbę, walizkę i Sabinę i wyrzuciła za drzwi.

Dziewczyna starała się iść możliwie szybko w stronę przystanku, ale czuła, że jej ciało drętwieje. Ulica była pusta. We wszystkich domach paliło się światło, ludzie siedzieli przy stołach, przed telewizorami, nad krzyżówkami albo kładli się już spać. Wciąż miała na sobie skąpą letnią sukienkę (te na inne pory roku były równie skąpe, lecz uszyte z trochę grubszych tkanin) i drżała z zimna. Żaden z poradników harcerskich nie wspominał o użyteczności ośmiocentymetrowych szpilek, lecz Sabina nie miała niższych butów. Szczyciła się tym, że przy wyborze garderoby nigdy nie kierowała się czymś tak przyziemnym jak wygoda. Co jakiś czas musiała się więc zatrzymać i na chwilę stawiać walizkę na ziemi. Rzuciła okiem na zegarek. Im bardziej zbliżała się do przystanku, tym bardziej była pewna, że się spóźni. Zdziwiła się więc bardzo, gdy na końcu asfaltowej ulicy, przy pętli, zobaczyła małego żółtego busa. Powinien był odjechać siedem minut temu, lecz ruszał dopiero teraz. To i tak było bez znaczenia – nie zdąży przecież dobiec do niego w szpilkach, z walizką i torbą.

Cóż, próbowała, nie udało się, trudno. Pojedzie rano.

Odwróciła się i zaczęła iść w stronę domu. Ktoś jednak zauważył trzęsącą się z zimna dziewczynę z bagażami. Bus zatrzymał się, a potem wolno podjechał w stronę Sabiny. Drzwi się otworzyły. Kierowca i pasażerowie patrzyli na nią wyczekująco.

Sabina podeszła w stronę wejścia i nagle przypomniała sobie o króliku Mrug-Mrugu. W dzieciństwie zabierała go do łóżka, bo wierzyła, że odpędza złe sny. Potem nauczyła się spać sama i na kilkanaście lat zapomniała o pluszaku. Lecz teraz właśnie wydał się jej absolutnie niezbędny. Ważniejszy niż szczoteczka do zębów, bielizna, a nawet krzesiwo. Bez niego nie pojedzie.

– No wsiadasz? – spytał kierowca.

Pokręciła głową. Ktoś w środku zaklął, zamknęły się drzwi i bus odjechał.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Zadzwoiła do Kacpra i powiedziała mu, że przyjedzie dopiero rano. A potem wróciła do domu.

Dała matce słowo, że pojedzie pierwszym autobusem, a potem poszła do swojego pokoju i zaczęła szukać Mrug-Mruga. Po godzinie znalazła go na pawlaczu, gdzie leżał wciśnięty między stare kołdry, które na pewno jeszcze kiedyś się przydadzą, i puszki z resztkami zaschniętej białej farby. Spomiędzy gratów wystawały tylko przykurzone łeb i uszy. Wciąż zdawał się na coś czekać.

Sabina wzięła Mrug-Mruga na ręce i zeszła do ogrodu za domem. Położyła się w trawie, zupełnie jak w czasach, gdy była małą dziewczynką. Popatrzyła na dom, potem na królika i ze wszystkich sił próbowała powstrzymać napływające łzy.

Ale jej się nie udało.

Co trzeci piątek Marta – z karnetem, który dostała od redakcji „Implikatury Konwersacyjnej” w ramach rozliczenia za dwa eseje – chodziła na przedstawienia Składu Amatorskich Teatrów Awangardowych. Właściwie nie miała pojęcia dlaczego. Dawała rozczarowującym ją raz za razem reżyserom kolejne szanse, jakby była współzależną żoną alkoholika. Na większości spektakli po dwudziestu minutach zaczynała żałować, że nie została w domu, by poczytać albo obejrzeć film. Na pozostałych po dwudziestu minutach żałowała, że nie zajmuje się właśnie robieniem ludzików z kasztanów albo skubaniem gęsi – bo wszystko, naprawdę wszystko, byłoby lepsze od oglądania orgii z udziałem sierotki Marysi i krasnoludków.

Od czasu do czasu zdarzało się jednak przedstawienie, które wbijało ją w fotel. Siedziała przez dwie godziny jak zahipnotyzowana, a kiedy znów zapalano światła i wszyscy wychodzili, ona nadal tkwiła w fotelu z rozdziawioną buzią. Nie mogła pojąć, co się stało. Chodziło o coś więcej niż prostackie poczucie humoru, naciągane rozwiązanie czy absurdalne splątanie wątków: o całkowity brak sensu. Jakby reżyser wychował się na jakiejś innej planecie, a teraz uważał za rzecz zupełnie oczywistą, niewymagającą tłumaczeń, że wigilijny karp na stole okazuje się utraconym dzieckiem Kleopatry, a dwa plus dwa daje czaplę modronosą.

Jakby ktoś, kto tym wszystkim kierował, wypowiedział jej – tak, właśnie jej osobiście, Marcie Lipce – lojalność na najbardziej podstawowym poziomie.

Całkowicie złamał reguły gry.

I to samo przytrafiło się jej tego wieczoru. Tyle że nie była w teatrze.

Telefon od ciotki Eli wytrącił ją z równowagi, nawet nie dlatego, że kobieta poinformowała ją o śmierci ojca, lecz dlatego, że przypomniała Marcie, że ktoś taki jak jej ojciec w ogóle istniał. Mocniej niż świadomość, że już nigdy go nie zobaczy, uderzył Martę fakt, że nie widziała go od czasu, gdy odprowadzał ją do przedszkola.

Dlaczego wrócił do Krakowa? Kiedy to się stało? Co z Brazylią? Gdzie była Paloma?

Stała pod ścianą w klubie miastoMANIAQ całkowicie oszołomiona tym, co przed chwilą usłyszała, i czuła, że pękają wszystkie linie łączące ją z rzeczywistością.

– Księęęęęda do mnie nieeee wołajcieeee, nieeeech nie robi zbęęęędných szop – wychrypiął obok dziennikarz podróżnik, ściskając w ręku kolejny kieliszek. Porozumiewawczo mrugnął do Marty, jakby łączył ich wspólny sekret. – Tylko ty mi, przyyyjaacielu...

Mimo że ledwo trzymał się na nogach, wyciągnął komórkę, po czym nagle znalazł się przy Marcie, obejmując ją ręką, w której trzymał smartfona, i pstryknął kilka selfików.

Dziennikarz wydał się jej postacią z jakiegoś leżącego w tle filmu. Nic się nie kleiło. Nic. Ludzie stali w grupkach w sali, w ogrodzie, przy barze i wszyscy wydawali się jej zupełnie obcy.

Przeszłość była zbiorem chaotycznych wydarzeń, które nie chciały się ułożyć w logiczną całość.

– Elegancki... – wzmocniony mikrofonem głos przywrócił ją do rzeczywistości. Rozejrzała się. Na scenie stali już Andrew i Jowita, a także nieprawdopodobnie chuda prezenterka w szarym przylegającym niczym druga skóra kombinezonie.

– Elegancki... – kobieta powtórzyła, wskazując na garnitur Andrew. – Bo powściągliwy i wysokogatunkowy. A ja zawsze powtarzam – zrobiła znaczącą pauzę, tak żeby publiczność mogła zastanowić się nad rozwiązaniem zagadki – że elegancja tkwi w powściągliwości i wysokogatunkowości.

Na zawieszonym nad sceną ekranie wyświetlały się „z życia wzięte” zdjęcia – jakże różnych od Andrew Bajakowskiego – mężczyzn w fatalnych poliestrowych garniturach. Ociekający potem nieszczęśnicy przyłapani na smętnych imprezach w marynarkach uszytych z czegoś do złudzenia przypominającego czarny celofan, w za długich spodniach, sztucznych koszulach z krótkim rękawem, w pstrokatych krawatach. Ci, którym to wszystko nie wystarczyło, dodawali jeszcze błyszczące kamizelki skrojone prawdopodobnie z obrusów plamoodpornych.

Oczy mieli zakryte czarnymi prostokątami, niczym przestępcy pokazywani w wiadomościach.

– To niestety smutna rzeczywistość większości polskich imprez – powiedziała cicho prezenterka. – Na szczęście pojawiają się jednak isierki zmian. Czasem mniej znaczy więcej. To sekret stylu. Zna go z pewnością Andrew Bajakowski.

Kobieta wskazała na bohatera wieczoru i rozległy się oklaski. Pozwoliła im wybrzmieć.

– I jego partnerka Jowita Maj.

Brawa nie cichły.

– I... – kontynuowała – jego prawdziwa partnerka... – prezenterka wodziła wzrokiem po sali, aż w tłumie dostrzegła Prawdziwą Partnerkę. I kompletnie ją zatkało. Przez parę długich sekund wpatrywała się w Martę jak zahipnotyzowana. – ...i jego prawdziwa partnerka, mhm... też kiedyś pozna ten sekret. W końcu, jak mówią, nie oceniamy sukcesu człowieka po tym, jak wysoko się wspiął, tylko jak wysoko odbił się od dna. Jestem pewna, że przed tobą oszałamiający sukces.

Wokół Marty zrobiło się nagle dziwnie pusto. Wszyscy wpatrywali się w nią, jakby była aktorką, która nie może sobie przypomnieć swojej kwestii.

– Chodź do nas. – Prezenterka wykonała zachęcający gest dłonią.

Marta rozejrzała się niepewnie dokoła, szukając jakiejś drogi ucieczki. Rzuciła błagalne spojrzenie Andrew. Jego lewa stopa co chwilę unosiła się lekko do góry i opadała. Wydawało się, że zaraz zacznie stepować. Chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Wbił wzrok w Martę. Jego spojrzenie mówiło: co ty, do cholery, wyprawiasz?!

Weszła na scenę.

– Telewizja zaczyna właśnie emitować program twojego narzeczonego. O stylu – rzekła prezenterka, jakby podejrzewała, że ten fakt zdołał Marcie umknąć. – Andrew pokaże Polakom, jak urządzić domówkę, spotkanie biznesowe, wieczór z przyjaciółmi czy ślub.

Spojrzała na Martę, a ta pokiwała głową na znak, że partner już ją wtajemniczył, w jaki sposób zarabia na życie.

– W finale będzie wesele. Mam więc pytanie. Czy gdybyście to wy mieli urządzać wesele, tak teoretycznie, to czy zorganizujecie kameralne, eleganckie przyjęcie z klasą i bez zadęcia? Czy może imprezę w stylu „zastaw się a postaw się”, z suknią bezą i zabawami z podwiązkami? Hmm?

Marta zamrugła oczami. Przez chwilę wydawało jej się, że prezenterka żartuje, lecz na twarzy kobiety malowała się szczerza i prostoduszna wiara w głęboki sens tego pytania.

– Yyy... eleganckie i bez zadęcia? – odpowiedziała tonem uczestniczki teleturnieju, która próbuje odczytać odpowiedź z miny prowadzącej. Znow mrugnęła oczami. Światło w klubie było zbyt jaskrawe. Za dużo ludzi, za mało powietrza.

Prezenterka uśmiechnęła się szeroko, ciesząc się, że Marta, mimo że wygląda jak abnegatka, udziela prawidłowych odpowiedzi i wszystko może toczyć się zgodnie ze scenariuszem.

– Bardzo dobrze. Zawsze powtarzam: sekret stylu tkwi w elegancji i braku zadęcia. Więc wasze wesele...

– Nie planujemy wesela – zaprzeczyła Marta, trochę zbyt ostrym tonem.

Na sali zapadła niezręczna cisza. Ktoś zakasłał. Andrew podszedł bliżej stojaka z mikrofonem.

– Gdybyśmy jednak planowali – powiedział – to zdecydujemy się na niewielką uroczystość w Nowym Jorku.

– Bo to najlepsze miejsce pod słońcem?

– Nie – rzekła Marta. – Bo cała rodzina Andrew mieszka w Stanach. Oprócz babci i brata, którzy wrócili do Krakowa.

– Ale oczywiście nie zaprosimy całej rodziny – zapewnił Andrew pospiesznie, jakby chodziło o występ z rodzaju rozpowszechniania pornografii z udziałem zwierząt. – Takie wesela to przeżytek. Poza tym, musielibyśmy chyba wynająć Empire State Building. I wiesz, jak jest na takich imprezach. – Spojrzał na prowadzącą, a ona ochoczo przytaknęła. – Wszyscy się upijają i nagle przypominają sobie te żenujące historie z twojego dzieciństwa.

Andrew i prezenterka zaśmiali się jednocześnie.

Marcie kręciło się w głowie. Ten wieczór zmienił jej układ nerwowy w coś mającego tyle wspólnego z „układem”, co wysypane z worka bierki. Z całych sił starała się trzymać i zachować jakieś pozory normalności. Jednak wysłuchiwanie, jak ukochany, który jej się wymyka, wesoło rozprawia o jakimś alternatywnym życiu, w którym ciągle Martę kocha, biorą ślub i jadą do Nowego Jorku, było ponad jej siły.

– W przedostatnie święta zjechało się chyba z pięćdziesiąt osób – kontynuował Andrew. – Wszyscy naraz gadali, śpiewali i robili strasznie dużo hałasu. Przez całą noc wyśpiewywali pijackie piosenki przed domem, bo myśleli, że w oczach sąsiadów są kimś w stylu rodziny von Trappów. W ogóle nie trzeźwieliśmy. A wujek Jamie, przysięgam, on naprawdę to zrobił. No więc byliśmy już wszyscy po paru butelkach wina. Ktoś znowu zaczął intonować *Wśród nocnej ciszy* i wtedy wujek sobie przypomniał, że ojciec nie chciał mnie obrzezać, kiedy byłem mały. Strasznie się tym nakręcił. Wyobrażasz sobie? A my nawet nie jesteśmy Żydami. Wyjechał obrażony, bo stanowczo odmówiłem naprawienia tego zaniedbania. Nie, zdecydowanie nie będzie wielkiej, rodzinnej imprezy.

– Tak, takie zjazdy są strasznie kompromitujące – przytaknęła rozbawiona prezenterka i spojrzała na

Martę. – A ty? Twoja rodzina nie będzie miała pretensji, że wesele jest w Stanach?

– Marta nie ma rodziny – powiedział Andrew.

– W ogóle? – zdziwiła się prezenterka. – Chcesz powiedzieć, że...

– Ma mnie, oczywiście – Andrew objął Martę ramieniem. – I mamy duże grono znajomych. Z moim bratem znają się od ogólniaka, więc właściwie są jak rodzina. Poza tym to prawdziwa szczęściara. Nikt jej nie mówi, co ma robić. Nikt niczego od niej nie oczekuje. Nikt nie próbuje jej obrzezać. Jest wolna. Prawda, Marto?

Marta czuła, że zaczyna odklejać się od własnego ciała.

Wtedy na scenę weszła zyskująca ostatnio popularność wokalistka jazzowa. Światło w jednej chwili skupiło się na niej. Marta przymknęła oczy. Marzyła, by już ich nie otwierać, zwinąć się w kłębek, choćby na scenie, i zasnąć.

– Nie czuję się najlepiej – szepnęła do Andrew, schodząc ze sceny. – Wracam do domu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Andrew przyszedł dopiero po północy, gwizdząc pod nosem dżingiel z Kwestii Stylu. Marta nie spała. Siedziała na kanapie w salonie i oglądała telewizję. Mówiąc ściślej, od kilku godzin tępo wpatrywała się w ekran. Nie wiedziała nawet, co leciało. Wciąż miała na sobie brzydką mormońską sukienkę.

Podszedł do niej, kucnął przed kanapą i spytał zatroskanym głosem:

– Co się stało?

– Umarł mój ojciec.

– Co?

Wzruszyła ramionami.

– Udławił się bułką. Taką z salami. I ogórkiem. I ten ogórek go, no wiesz.

– Przecież nie miałaś ojca.

– Żywego. A teraz mam martwego.

– Ale jak do cholery...

– Dzwoniła ciotka Ela. Jego walnięta siostra. Nie wiem, skąd miała numer.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – rzekł Andrew. – Nie jestem zbyt dobry w tego typu sprawach. Zrobię ci herbaty. Dobrze?

Kiwnęła głową.

Poszli do kuchni. Z trzech czarnych industrialnych lamp wciąż zwisały kolorowe balony i serpentyny. Na okrągłym dębowym stole z lat dwudziestych leżały kawałki papierowego ręcznika, którym Marta ścierała maseczkę. Zebrała je i wrzuciła do kosza. Rozglądała się za czymś, czym mogłaby wypełnić ręce i myśli.

– Po prostu usiądź – powiedział Andrew i odsunął krzesło od stołu.

Wyciągnął puszkę earl greya, wsypał herbatę do kubka z Audrey Hepburn i wlał wodę do czajnika.

– Ciotka Ela chce, żebym wygłosiła mowę na pogrzebie. Wyobrażasz sobie?

Pokręcił głową.

– Chyba straciła rozum. Ojciec nas zostawił, jak miałam pięć lat. Nie utrzymywał z nami żadnych kontaktów. Co mam powiedzieć? Dzięki, tato, że nie przytłaczałeś mnie swoją osobowością?

– A gdzie ten pogrzeb?

Wstała, podeszła do okna, patrzyła na puste ciemne podwórko. Nie chciała, żeby Andrew widział jej twarz.

– W Krakowie – powiedziała dopiero po chwili. – Nie wiem, kiedy wrócił z Brazylii. Może dawno temu. Ela mnie wyśmiała, kiedy spytałam. Ona uważa, że wszystko przez moją matkę. Że gdyby nie zaszła w ciążę, kiedy jeszcze studiowali, to jej brat kierowałby dziś katedrą filozofii w Oksfordzie.

– Oksfordzie?

– Ela czciła ojca jak Boga. Zresztą on naprawdę spędził rok na stypendium w Anglii, dziekan podobno stanął na głowie, żeby to wtedy załatwić. Mama była niezłym wykładowcą, ale ojciec podobno miał w sobie coś wybitnego.

– I?

– Kiedy nas zostawił, odszedł też z uczelni. Z dnia na dzień. Dwa miesiące później miał obronę doktoratu. Promotor nie mógł odżalować. Może zresztą ojciec zrobił karierę w Brazylii? – Wzruszyła ramionami. – Zawsze myślałam, że wyniósł się na dobre, że jest gdzieś daleko, a on po prostu, po prostu...

– A alimenty?

– No coś ty. Nie znałeś mojej matki. Zaraz po tym, jak się wyniósł, regularnie przysyłał pieniądze. A ona wszystko odsyłała. Wszystko. Nawet potem, kiedy chorowała i nie mogła już dorabiać, nie pozwoliła mi zadzwonić. Uważała, że to upokarzające.

– I jak ci to wytłumaczyła?

Marta przymknęła oczy i mimowolnie zaczęła bawić się pasemkiem włosów. W myślach wróciła do tamtych dni, do dusznego, przeładowanego mieszkania, czując, jak ogarnia ją fala bezradności.

– W ogóle mi tego nie tłumaczyła – powiedziała cicho. – Nigdy nie poruszała tego tematu. A ja wiedziałam, że nie można pytać. Nie wiem skąd, ale zawsze wiedziałam. Zawsze. Nawet kiedy byłam dzieckiem. Na początku w ogóle nie rozumiałam, co się stało – dodała i ponownie usiadła przy stole. – Myślałam, że wróci. Tylko sobie od nas odpocznie i...

– Chcesz trochę whisky do środka? – spytał Andrew, zerkając na kubek z nasypaną herbatą.

Kiwnęła głową, więc wyszedł na chwilę do salonu i po chwili wrócił z butelką jacka daniel'sa. Postawił ją przy kubku i niecierpliwie zerkał w stronę czajnika.

– Dopiero potem przypomniałam sobie, że ojciec wciąż wspominał o Copacabanie. Poznał jakichś Brazylijczyków na stypendium w Anglii. Po powrocie już nie mógł chyba tu wytrzymać. Tak myślę. Oglądał Wiadomości albo czytał gazetę i nagle mówił: „Rzucam to wszystko i jadę na Copacabanę”. A potem... mogłam mieć dziesięć lat, może jedenaście. Podśledzałam, jak matka rozmawia przez telefon. Zawsze się kryła, szeptała, ale tamtego wieczoru mieli jakąś imprezę na uczelni, więc wróciła trochę pijana. I zaczęła gadać z koleżanką o ojcu. I nagle mówi: „Ach wiesz, ma tę swoją Palomę. Przy mnie szczęścia nie znalazł, to znalazł przy Palomie. Na pewno ma bogatsze wnętrze” – i nagle wybuchła takim histerycznym, pijackim śmiechem, jakiego nigdy u niej nie słyszałam. Uciekłam do łóżka. Przez całą noc miałam dreszcze. Może przez ten jej śmiech. Może przez to imię. Paloma. Egzotyczna kochanka. Wiesz, że dopiero wtedy wszystko złożyło mi się w całość? Ojciec uciekł z kochanką. – Marta uśmiechnęła się lekko. – Nie żebym wtedy pojmowała, co to słowo oznacza. Ale często wyobrażałam sobie Palomę. Miała ciemną skórę. Tańczyła na gorącym żółtym piasku w spódniczce z trawy, a piersi przykrywały jej skorupy kokosów.

Marta westchnęła.

– Nie wiem, jak naprawdę wyglądała. Nigdy nie odważyłam się spytać mamy. Ten temat nie istniał.

Andrew się zamyślił.

– Może to i dobrze – powiedział po chwili.

– Może to i dobrze? Serio, Andrew? Co w tym dobrego? – Uniosła brwi, choć w głębi duszy

wiedziała, że ta kwestia po prostu musi paść. Wcześniej czy później. To były ulubione słowa Andrew. Jego życiowe motto. Szczerze mówiąc, zdziwiła się, że wytrzymał tak długo.

– No wiesz. Że wychował cię ktoś samowystarczalny. Dostałaś lekcję siły. Zaradności.

– Andrew! – jęknęła Marta. – Moja matka nie była zaradna. Ani trochę. W tym problem.

– Jakoś cię wychowała – stwierdził z przekonaniem.

Marta spojrzała na sufit. Jej partner był człowiekiem pełnym zalet, ale kiedy raz uczeplił się myśli, że „może to i dobrze”, nie mógł spocząć, póki człowiek nie przyznał, że owszem, najlepsze, co rodzic może zrobić dla dziecka, to porzucić je bez słowa.

Usiadła na krześle.

– Wiesz, że w podstawówce gotowałam sobie sama?

Wzruszył ramionami.

– Nie ty jedna.

– Owszem. Ale chyba tylko ja, kiedy kończyłam gotować zupę albo smażyć placki, wkładałam je od razu do zamrażarki. Po prostu naśladowałam mamę. W naszym domu były jedynie mrożonki. Myślałam, że człowiek nie może zjeść czegoś, co nie zostało wcześniej zamrożone. Bo się zatruje.

– Naprawdę?

Czajnik się wyłączył. Andrew nie ruszył się z miejsca, wpatrywał się w niego, jakby próbował sobie przypomnieć, jakie plany wiązał z tym urządzeniem.

– Pewnego dnia w jakimś programie kulinarnym zobaczyłam, że kobieta gotuje kluski i je po prostu zjada. Jak można tak ryzykować? Ale nic się jej nie stało, zaczęła normalnie smażyć sznycle. Przeżyłam szok. Pomyślałam: Hej, a gdyby tak zrobić z jajecznicą? Bez mrożenia i podgrzewania?

– Zaraz, zaraz. Co ty mówisz? Twoja matka nie miała czasu powiedzieć ci, że nie mrozi się jajecznicy?

Westchnęła.

– Kiedy pierwszy raz podałam jej świeżą jajecznicę, powiedziała: „Co z tym zrobiłaś? To jest pyszne!”.

Andrew podszedł do stołu, odsunął kubek z wsypaną herbatą i wyjął z szafki ciężką, pękatą szklanę. Nalał whisky do pełna, a potem podał Marcie.

– Za dziwactwa rodziców!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Marta obudziła się spocona, obolała, z gardłem wyschniętym na wiór. Wciąż miała na sobie mormońską sukienkę. Nigdy więcej whisky, pomyślała z wyrzutem. Ostatnie, co zapamiętała, to moment, gdy wtuliła się w Andrew, który wciąż powtarzał, że wszystko się ułoży i żeby nie była smutna (w przerwach wciąż dodawał: może i dobrze się stało).

Nie była smutna.

Ani wczoraj, ani teraz.

Zagubiona? Tak.

Rozbita? Jak najbardziej.

Ale na pewno nie smutna.

„Czy możesz stracić coś, czego i tak nie masz?” – to brzmiało jak jeden z filozoficznych paradoksów, które ojciec lubił jej przedstawiać, zanim stwierdził, że bardziej jednak lubi znikać z młodymi kobietami o imieniu Paloma. Witek nie należał do jej świata od tak dawna, że łyzy wydawały się zupełnie nie na miejscu.

Leżała w lepkiej, nieprzyjemnie ciepłej pościeli i czuła, jak w skronie wbijają się tysiące igiełek nieprzetrawionego alkoholu, a mózg zalewają na przemian fale poczucia winy i wściekłości.

Powinna była go odnaleźć i uratować.

Dostał to, na co zasłużył.

Zimny sok grejpfrutowy.

Wszystko przez nią.

Czy życie ma w ogóle jakiś sens?

Czy w komodzie jest jeszcze trochę apapu?

Z kuchni zaczął właśnie dolatywać utwór *My Way*. Dzwonił telefon. Andrew odebrał natychmiast, nie pozwalając Sinatrze się rozkręcić. Przez ścianę słyszała wyraźnie jego poirytowany głos.

– Absolutnie niech ich nie puszcza, rozumiesz?! Prześlę takie, na których jest zasłonięta. W większości. Mhm... No, kawałek głowy najwyżej.

Ktoś za oknem uruchamiał kosiarkę, lecz silnik najpierw nie mógł zaskoczyć, a gdy wreszcie się to udawało, natychmiast gasł. I tak w kółko.

Marta uniosła się nieco i zasłoniła usta, bo jej wnętrzości zaczęły się właśnie bawić w kółko graniaste.

– Nie możesz z nią pogadać? Jezu, jeden raz. Aha... I kto jeszcze. Boże. Żartujesz, nie? Gość tydzień temu wrócił z wakacji na Ibizie, opłaconych w całości przez Lollipop-drink. Już wysmarował tekst, że cała pieprzona Ibiza nic prócz Lollipopa nie bierze do ust. I co, dziś rano wydaje mu się, że jest Bobem Woodwardem...? Boże, jeszcze mu skóra z nosa schodzi... Nie, ale wypił połowę wina. Totalnie się

zalał. Jak to możliwe, że jeszcze zrobił Marcie zdjęcia...? Potem z nim pogadam... Nie mam pojęcia. Daj mi chwilę, okay?

A potem Andrew wyszedł z kuchni, a osoba za oknem zapragnęła dać kosiarce piątą szansę i Marta stwierdziła, że pora wstać. Wzięła dwie tabletki apapu i poszła do salonu.

Dziesięć sekund wcześniej mogłaby przysiąc na Biblię, że po tym, co stało się wczoraj, nic, naprawdę nic już jej w życiu nie zaskoczy. Przelatujący stanik z czerwonej koronki natychmiast zweryfikował to przekonanie. Nie jest to widok, którego człowiek się spodziewa, gdy wchodzi do salonu przed śniadaniem. Zamknęła oczy...

Że też nie mogli się powstrzymać w takiej chwili, pomyślała.

...a kiedy je otworzyła, zobaczyła, że Andrew pisze coś na laptopie, a Jowita – kompletnie ubrana – stoi przed szafą Marty i wyrzuca kolejne sztuki odzieży na kanapę. Kotłowały się tam jaskrawe podkoszulki, skórzane spodnie, rockandrollowa ramoneska, mocno podarte džinsy i kolorowe punkowe sukienki. Kilka par rajstop i cienutkie czarne pończochy nie sięgnęły celu i wylądowały na parkiecie przed kanapą. Niektóre rzeczy zostały starannie odłożone na krzesło stojące przy szafie, było ich jednak żałośnie mało.

W pierwszej chwili Marta chciała podejść i ich uściskać, lecz powstrzymał ją pełen obrzydzenia wyraz twarzy Jowity. Kobieta przyglądała się właśnie czerwonym stringom z lamparcim futerkiem.

Jakże nieodparcie zabawne wydały się Marcie te majtki w sklepiku dla turystów w SoHo. Miały być świadectwem jej seksapilu i fantazji. Kiedy podała sprzedawczyni dwanaście dolarów, czuła się jak Dita von Teese. A teraz! Surowe spojrzenie Jowity zmieniło je w tani gadżet, który kupują przez internet zdesperowane gospodynie domowe, w nadziei, że mąż wycofa pozew rozwodowy.

Marta popatrzyła na stos ubrań z prawdziwym zdumieniem. Przez całe życie chodziła w bezbarwnych ciuchach z sieciówek. Kupowała rzeczy wygodne, niedrogie, pozwalające wtopić się w tłum. Dwa tygodnie po pierwszej randce z Andrew wyniosła prawie całą zawartość swojej szafy do kontenera Czerwonego Krzyża. Taki facet nie zasługiwał na dziewczynę wyglądającą jak jego własna ciotka. Poza tym, Marta poczuła się nagle młoda, godna pożądania i bardzo, bardzo odważna. W zakupowy szal wpadła jeszcze w Polsce, apogeum jednak nastąpiło dopiero w butikach na Manhattanie i Brooklynie. Przepuszczała nienaruszalne dotąd oszczędności na takie ubrania, których miesiąc wcześniej nawet by nie przymierzyła. I świetnie się bawiła. Problem w tym, że obecnie jej cała brawurowa pewność siebie gdzieś się ulotniła i Marta nie miała w co się ubrać.

Jowita rzuciła stringi na ziemię. Teraz z miną sędziego, który zastanawia się, czy puścić oskarżonego wolno, czy posłać na stryczek, miętoszyła czarną bluzkę z żabotem. Zerknęła na metkę, a potem na Martę.

– Poliester – powiedziała. – Sto procent poliestru. Spocisz się jak knur na Barbados. Odpada.

Dorzuciła bluzkę do sterty piętrzącej się na kanapie.

– A, i kondolencje – dodała.

Marta machinalnie kiwnęła głową. Nie miała pewności, czy chodzi o śmierć ojca czy niedostateczną ilość szlachetnych tkanin w garderobie.

Na wspomnienie o kondolencjach Andrew się ocknął. Kiedy odnotował obecność Marty w pokoju, podszedł i ją objął. Wtuliła się w jego chłodny policzek i przymykając oczy, wdychała zapach *Mania* Armaniego. Chciała tak trwać, lecz po kilku sekundach odsunął się i poklepał ją po ramieniu w kumpelski sposób.

– No, dziś wszystko będzie wyglądać lepiej. Zrobię ci kanapkę.

– Nie jestem głodna.

– Powinnaś jednak...

Nad ich głowami przeleciał kusy top bez pleców, z napisem: „Just be glad I’m not your daughter”.

Do jasnej cholery, dlaczego ta psychopatyczna Trinny Woodall grzebie w mojej bieliźnie? – chciała ryknąć Marta. Najpierw jednak musiała przełożyć ryk na język odpowiedni dla pozycji, jaką zajmowała w tym stadzie.

– Co tu się dzieje? – wyszeptała, wskazując ręką, tak ogólnie, w przestrzeń.

– Jowita okazała się być tak dobra i pomóc ci, no jakoś dobrać to wszystko, wiesz...

– Trzeba ci znaleźć coś na pogrzeb – stwierdziła Jowita, oglądając pod światło metkę ołówkowej spódnicy.

– Dziękuję – powiedziała Marta najbardziej lodowatym tonem, na jaki było ją stać. – To miłe, ale potrafię sama dobrać strój do okazji.

– Hmm, no właśnie, ten... – Andrew błędził wzrokiem po podłodze. – Może coś jednak przegryziemy?

Jowita odłożyła spódnice na kupkę ocalańców z modowej czystki, a potem spojrzała na Martę jak na kogoś, kto siedzi uwięziony w zasypanej sztolni kilkaset metrów pod ziemią i krzyczy do ekipy ratunkowej: „Idźcie do domu, chłopaki. Dam sobie radę!”.

Chwyciła Martę za ramię i zaciągnęła przed pustą teraz szafę. Po wewnętrznej stronie drzwi było duże lustro.

Nawet wyspana, umalowana, odprasowana, nienagannie uczesana Marta przy Jowicie wyglądała jak ikona myszowatości. Mormońska sukienka, potargane włosy i rozmazany tusz w ciekawy sposób uwydatniły nowy wymiar jej postaci. Można nazwać go „deterministycznym”. Każdy, kto tak się prezentuje, wcześniej czy później skończy jako mem internetowy.

Przełknęła ślinę. Coś w wyrazie jej twarzy sugerowało, że nie zamierza jednak kapitulować. Wzruszyła ramionami.

– I tak nie wybieram się na pogrzeb.

– Owszem, wybierasz się – powiedziała Jowita.

– Kanapka! – rzucił Andrew, wychodząc z salonu. – Na śmierć zapomniałem o kanapce.

Pokój wypełniły cisza i cząsteczki impasu.

Jowita podeszła do biurka Marty, odsunęła stertę papierów z brzegu i usiadła na zwolnionym miejscu. Zaczęła przeglądać stos wydruków, notatek i fiszek oraz zalegające wśród nich drobiazgi – lekko obtłuczony kubek, zbiór długopisów i jagodowe masło do ciała. Poczęstowała się wafelkiem ryżowym. A potem zaczęła przeglądać stertę zdjęć Dagny i Stanisława Przybyszewskich.

Zamyśliła się.

– „Wiedzieć jest niczym. Wyobrazić sobie – wszystkim” – odczytała odręczną notatkę na jednej z fotografii. – Bardzo pięknie. Bardzo pięknie, że cenisz wyobraźnię. Nie będzie więc dla ciebie wielką fatygą, jeśli poproszę, byś przez minutę używała swojej? Hm?

Marta zaczerwieniła się i otworzyła usta, ale Jowita kontynuowała.

– To naprawdę nie zajmie więcej czasu. Wyobraź sobie, droga Marto, że jesteś dziennikarką. W czasach kryzysu. Może za miesiąc zamkną twoją gazetę? Może za tydzień wylecisz z roboty? Może nikt nie kupi twojego nowego tekstu? Bo, umówmy się, nie jest to *Z zimną krwią*. Raczej kolejna nudna relacja z kolejnej nudnej imprezy. Stresująca robota, nie sądzisz? – Marta w milczeniu patrzyła na Jowitę, która właśnie zaczęła się bawić swoim smartfonem. – Idziesz na kolejny event. To tylko bloger i prezenter niszowej stacji telewizyjnej. Na nic specjalnego więc nie liczysz. Może na kilka tartinek z łososiem i darmowe wino. I że może ktoś ci ten materiał puści. „Doradca stylu”, „Nauczyciel smaku”, „Nowa twarz” – rozważasz, w jakim świetle go przedstawiś. To zależy od tego, czy będzie miły i czy wino, którym cię częstuje, nie jest podłe. Sam facet jest jeszcze mało znany, trudno liczyć na jakieś kontrowersje. Wypatrujesz w tłumie celebrytów. Łazisz za nimi, przysłuchujesz się rozmowom. Liczysz na jakąkolwiek iskierkę, która pozwoliłaby ożywić twój tekst. Powietrze jest gęste od modlitw dziennikarzy, by ktoś rzucił maleńką plotkę, chamską wypowiedź albo porządnie się urznął. I nagle niebiosa zsyłają ci prawdziwy cud. Dziewczynę arbitra elegancji.

Jowita odwróciła telefon. Widniało w nim zdjęcie Marty wpychającej sobie do ust łożeczkę z cykori.

– Voilà! – powiedziała. – Nie musisz pisać komentarza do tych zdjęć. Czytelnicy Pudelka zrobią to za ciebie.

– Nie jestem na Pudelku – serce Marty zaczęło nagle walić szybciej. – Nie jestem na Pudelku – powtórzyła niepewnie.

Jowita sprawdziła coś w smartfonie.

– Może jeszcze nie. Ale pomyśl: Andrew jest za mało znany, żeby zachwycanie się nim wystarczyło za temat. Ale jest już wystarczająco znany, by zrobić z niego obiekt hejtu. Wróćmy do naszej dziennikarki. Wierzy, że ma newsa, bo arbiter elegancji spotyka się z dziewczyną, która najwyraźniej kompletowała swoją garderobę trzydzieści lat temu, po przedawkowaniu LSD. Ale ta ma dla niej coś lepszego: nie idzie na pogrzeb własnego ojca. Czy możesz raz w życiu użyć cholernej wyobraźni? Odpowiedz sobie na pytanie: czy ktoś normalny odpuści ten temat? Co gazety i portale plotkarskie zrobią z programem Andrew? Pomyśl o tych nagłówkach: „Lekarzu, ulecz się sam!”. Chłopiec do bicia – mówi ci to coś?

Marta potrząsnęła głową.

– Nie widziałam ojca od czasów przedszkola.

– A kogo to obchodzi?

– Mam powody, żeby nie być na tym pogrzebie.

– Z całą pewnością.

– I każdy dziennikarz to potwierdzi.

– Racja. Po co się martwić? Są przecież ludzie bardziej żenujący od tych, którzy nie fatygują się na pogrzeby rodziców. Są ludzie, którzy opowiadają dziennikarzom, czemu się nie pofatygowali.

Marta milczała przez chwilę. Na samą myśl o zanurzeniu się w sprawach, od których całe życie uciekała, dostawała gęsiej skórki. Poza tym mieli z Andrew gorszy okres, lecz póki tu była, wszystko mogło się jeszcze poukładać. Wszystko mogło być dobrze. Potrzebowali tylko czasu. Nagle dotarło do niej, że jeśli teraz wyjdzie, to będzie koniec. Nie będzie miała do czego wracać. Jowita zajmie jej miejsce. Może nawet celowo to uknuła?

– To nie ty dorastałaś bez ojca. Nie możesz mnie zmusić, żebym poszła na pogrzeb. To nie twoja decyzja i nie twoje życie. Ani nie Andrew. I nie może wymagać...

– Nie ma prawa wymagać. Nawet księżę William nie ma prawa wymagać od Kate, by nie brała udziału w demonstracjach, na których wznosi się okrzyki: „Śmierć monarchii!”. Ale, myślę, że gdzieś tam w głębi duszy, jednak, kurwa, odrobinę tego właśnie wymaga. Nie sądzisz?

– Ale po co w ogóle zawiadamiać prasę o pogrzebie mojego ojca?

– Zawiadamiać? Dobrze się czujesz? Będziemy się modlić, żeby nikt tego nie wyłapał.

– To po co mam jechać? Przecież nie utrzymywałam z nim kontaktów. Żadnych.

– No i?

– Upłyną wieki, zanim ktoś nas połączy.

– Ile to wczoraj zajęło twojej ciotce? Dwadzieścia minut? – spytała Jowita.

– To co innego. Przecież ona nie napisze donosu. Pewnie nawet nie wie, że Andrew to ktoś sławny.

– Może nie. Ale inni?

Zeskoczyła z biurka. Podeszła do krzesła, wzięła czarną marynarkę z Zary, kremową koszulę i przyłożyła Marcie do twarzy.

– Nie jest źle – powiedziała. – Do tego wielkie ciemne okulary. I klasyczna wiązanka. Białe róże są w porządku. Pojedziesz tam, wysłuchasz przemówień, a okulary skryją bezmiar cierpienia. Może parę razy chlipniesz pod nosem. Tak na wszelki wypadek. Gdyby ktoś chciał zrobić zdjęcie. A potem pochodzisz jeszcze trochę w ciemnych ciuchach. Na pewno ci to nie zaszkodzi.

Marta stanęła przy kanapie.

– A co z tym? – spytała.

Jowita pokręciła głową.

– Ale co jest z nimi nie tak? – Marta patrzyła na osiemdziesiąt procent zawartości swojej szafy. – Nie nadają się na czas żałoby. Zgoda. Ale...

– Nie nadają się dla istoty ludzkiej. – W oczach Jowity pojawiło się coś na kształt litości.

Wszedł Andrew, trzymając przed sobą tacę z małymi kanapkami i trzema filiżankami espresso.

– Wyjazd dobrze ci robi – powiedział. – Poukładasz sobie w głowie różne rzeczy.

– Na przykład jakie?

Wzruszył ramionami.

– Teraz pewnie tak na to nie patrzysz, ale kiedyś, w przyszłości, mogłabyś mieć żal. Że cię nie namówiliśmy. Na pożegnanie. Wiesz, ludzie potem mówią: gdybym nie chował urazy, porozmawiał...

– Andrew, on nie żyje! – krzyknęła Marta.

Pomyślała, że już woli cynizm Jowity. Ona przynajmniej jest uczciwa.

– Kawa dobrze ci robi – powiedział i posłał jej pełen otuchy uśmiech, za który miała ochotę go uderzyć.

Zdejmował właśnie filiżanki z tacy, gdy telefon w tylnej kieszeni spodni zaczął odgrywać *My Way*. Przez chwilę nikt nie reagował, a potem Jowita podeszła do niego i wyjęła smartfon.

Martę uderzyła intymność tego gestu. Ona nigdy by się na coś takiego nie odważyła.

– Kto to? – spytał Andrew.

– Agata.

– Powiedz, że za chwilę oddzwonię.

Ręce Andrew miał już wolne, ale wyraźnie brakowało mu ochoty na rozmowę.

– Czemu? – Jowita wzruszyła ramionami i odebrała. – Słucham? Nie. Nie. No to chyba jasne. Uhm. Wpadka?

Spacerowała ze smartfonem po pokoju, wodząc wzrokiem po suficie.

– Oczywiście, że celowo. – Ton jej głosu wibrował na strunach najszczerzego oburzenia. – To była kopia sukienki Dagny Juel Przybyszewskiej. Tak, przez jot, no oczywiście, że u zwykłe. Jot, u, e jak Ewa, el jak Lola. Wygooglaj sobie. Tak. No, może nie taka dokładna. Twórcza reinterpretacja. Przecież to nie bal kostiumowy. Uhm. Jasne, to bardzo trudny fason, ale wiesz, że Andrew stroni od banałów. Spotyka się z kobietą, która nie boi się ryzyka. Marta jest artystką, kultywuje swoje krakowskie tradycje.

Rozłączyła się, po czym wsunęła mu telefon z powrotem do tylnej kieszeni spodni.

Andrew przez cały czas rozmowy przyglądał się współpracownicy tak, jakby miał ochotę złożyć jej pokłon.

Spojrzenie Jowity mówiło: powinieneś jeszcze przyklęknąć.

Spojrzenie Marty mówiło: moje pantofle są takie czerwone. I mają taki śmieszny pompon. Lubię oglądać swoje pantofle.

Podejrzenia, że Jowita wysłała ją do Krakowa, bo chce uwieść jej chłopaka, wydały się idiotyczne. Jeśli Jowita zapragnie zdobyć Andrew, nie będzie snuła podstępnych intryg. Po prostu pstryknie palcami.

– To w ogóle nie jest podobne do żadnej z sukienek Dagny – zauważyła Marta, patrząc w lustro.

Jowita stanęła za nią.

– Nie? Cóż, więc może nie mów o tym głośno.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Witek zajmował się Martą przez pięć lat. I choć sprawiał wrażenie ojca nieco oderwanego od rzeczywistości, w gruncie rzeczy doskonale wiedział, jak ludzie postępują z dziećmi. Rano prowadzą je do przedszkola, po południu dają jeść, wieczorem zaś czytają o Czerwonym Kapturku, Piotrusiu Króliku albo Kaczce Tekli Kałużyńskiej, aż dziecko zaśmie z błogim uśmiechem na ustach. O ile dwa pierwsze punkty nie budziły jego zastrzeżeń, to trzeci uważał za odrażający.

Znał teorie filozofów o dzieciach – czystych tablicach, dobrych dzikusach, małych prorokach, bramach do innego świata pozwalających nam zrozumieć, skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy. Uważał je za stek bzdur.

Jego poglądy w tej kwestii były zawsze jednoznaczne i precyzyjne: dzieci to istoty, które nie potrafią opanować podstaw logiki i wciąż się ślinią. Kropka. Na tle dorosłych są wręcz głupie. Ale, na Boga, *Piotruś Królik*? Przecież to oznacza, że traktuje się potomka jak idiotę. I co gorsza – zachęca się go do pozostania na tym poziomie. Rozumiał jeszcze, gdy postępował tak chłop, rzeźnik czy krawcowa. Ale jego dziekan na wydziale filozofii? Afiszujący się z dziełami z serii *Poczytaj mi, mamo*? Przecież jeśli ktoś jest głupi, należy go oświecić. Czy nie to jest zadaniem filozofów? On nie czytałby *Piotrusia Królika* nawet amebie.

Wszystkie te wieczory, gdy usiłował uśpić Martę, wyglądały więc podobnie.

– Opowiedz mi o Kopciuszku – prosiła.

– A co wiesz o Kopciuszku?

– Nie mogła iść na bal, bo jej siostry i macocha były okrutne i musiała przebierać ziarenka, bo jej mama umarła, i było jej smutno, ale wszystkim pomagała, a potem miała but, taki ze szkła.

– No widzisz, Marto, znasz *Kopciuszka*.

– Ale ty mi opowiedz.

– Chcesz znać moją wersję?

– Eee...?

– Znasz *Kopciuszka*. Zastanawiam się, czy liczysz, że moje słowa pokryją się dokładnie z odpowiednikami w twojej głowie, niejako nałożą na twój obraz i uzyskasz w ten sposób uspokajające przekonanie, że świat jest miejscem bezpiecznym i powtarzalnym. Czy też może oczekujesz, że historia za każdym razem będzie opowiadana w inny sposób, zaś archetyp się dopełni. A kto wie, może nawet niektóre dopowiedzenia zanegują jego pierwotny sens i otworzą ci oczy na wypływający z rzeczywistości relatywizm.

– Yyy...

– Chcesz, żebym opowiedział ci coś, co już znasz, bo masz ochotę usłyszeć moją wersję historii?

Marta patrzyła na ojca z rozpaczą. Znowu zaczynał.

– Opowiedz o Koniku Garbusku? – poprosiła.

– Po co? *Garbuska* też znasz, więc na jedno wychodzi. Zostańmy przy *Kopciuszku*. Masz dziś szansę poszerzyć swoją samoświadomość. Kusząca perspektywa dla wyobraźni. Chcesz słuchać czegoś, co przecież znasz, bo liczysz na nową wersję. Mam opowiedzieć to trochę inaczej, prawda?

Kiwała głową, choć nie miała pojęcia, o czym jej ojciec mówi.

– Ale czy potrafisz odpowiedzieć sobie na pytanie, czym w istocie jest bajka o *Kopciuszku*?

Marta zakołysała ciałem w przód i w tył, wpatrując się w ścianę przy łóżku. Najbardziej kuszącą perspektywą wydawało jej się miarowe uderzanie w nią główką.

– A co dokładnie mogę zmienić, żeby bajka o *Kopciuszku* ciągle została bajką o *Kopciuszku*? Czy jeśli powtórzę ci ją tak, jak mama opowiedziała wczoraj, ale powiem, że trzewiczki nie były szklane, tylko z czerwonego atłasu, to nadal będzie to bajka o *Kopciuszku*?

– Eee... tak?

– A upaprane gumowce?

– Noo...

– A jeśli dodamy trzecią siostrę, to nadal będzie to bajka o *Kopciuszku*? Czy myślisz, że *Kopciuszek* mógłby mieć trzy przyrodnie siostry?

– No chyba...

– A dwanaście sióstr? I trzech rodzonych braci? Czy mógłby żyć w wielodzietnej rodzinie?

– Eee...

– Ha! Właśnie! Więc ile sióstr może mieć *Kopciuszek*, żeby pozostał *Kopciuszkiem*?

Marta wybuchła płaczem.

– Mamo!

I tak wyglądały wszystkie wieczory. Witek zadawał pytania i natychmiast podważał każdą odpowiedź Marty. W ten sposób usiłował ćwiczyć jej wyobraźnię, inteligencję i zmysł krytyczny.

Poza tym uważał, że wspaniale się razem bawią.

Powracającym motywem owych rozmów – które ojciec nazwał dialogami sokratycznymi, a Marta „dlaczego mama nie może mnie dziś usypiać?” – były ludzkie opinie. Jaki mamy wpływ na to, co myślimy? Czy jeśli lubię tego różowego królika w stroju strażaka, to moja autonomiczna decyzja, czy też jestem zdeterminowany przez geny, kulturę i wychowanie?

Gdyby ojciec pewnego lodowatego grudniowego popołudnia nie wyszedł z naręczem prania do magła i nie przepadł na zawsze, pewnie pytałby ją o to do dziś.

Wylosuj z tłumu dowolną osobę, następnie zwier się jej, że pochodzisz z Krakowa. Reakcja zawsze sprowadzi się do kilku odpowiedzi:

1. Musisz bardzo tęsknić.
2. Tam żyje się wolniej.
3. Nikt nie biega po schodach ruchomych.
4. To miasto ma duszę.

Być może istnieją osoby, które komentują wzmiankę o tym mieście w jakiś inny sposób, ale Marta

nigdy ich nie spotkała. W drodze na pogrzeb spędziła ponad dwie godziny w pociągu, w którym padła klimatyzacja, gawędząc niezobowiązująco z jakimś zestresowanym handlowcem (reakcja nr 2 i 4). Mężczyzna bardzo współczuł Marcie wyprowadzki do Warszawy. W ogóle nie przyjmował do wiadomości, że zrobiła to z własnej woli, ze śpiewem na ustach, ponieważ nienawidziła Krakowa z całego serca. Coś takiego nie mieściło mu się w głowie. Krakowianie kochali przecież ten piękny, stary gród. Tu żyło się wolniej i człowiek miał czas, żeby prowadzić głębokie rozmowy o sensie życia. Nikt nie pędził. Marta nie winiła handlowca ani nie próbowała z nim polemizować. To jedno z tych przekonań, które ludzie mają w ustawieniach fabrycznych i wszelkie dyskusje są pozbawione sensu.

Drobny, ale nieustępliwy krakowski deszcz był zbyt zblazowany, by stać się porządnym prysznicem. Ot, regularne splunięcia setki złośliwych chmurek. Nie zdziwiło jej szczególnie to przywitanie. Cóż, ona też nie zamierzała padać na kolana i całować ziemi przodków.

W tłumie na dworcu dostrzegła Roberta. Sprawiał wrażenie człowieka, który się nie wyspał. Podkrążone oczy, wymięty sprany T-shirt, lekki zarost od razu nasuwały na myśl wyjątkowo ciężką noc. Zerowe stężenie samczego zarozumiałstwa w spojrzeniu sugerowało, że była to noc spędzona raczej z formularzem podatkowym niż ze Scarlett Johansson. Marta знаła go od piętnastu lat, gdy jako nastolatek przyjechał ze Stanów na wakacje i już tu został. Wiedziała, że Robert wygląda tak każdego dnia. Już w liceum miał wciąż ten nieprzytomny wyraz twarzy. Poza tym nic się nie zmieniło. No, może tylko zaczął się lekko garbić, a jego ubranie...

– Czy to koszulka z Tweetym? – spytała, podając mu podróżną torbę z czarnej skóry. Poszli w stronę windy.

– Z Tweetym?

– Pokaż – stanęła przed nim, chwyciła materiał i rozprostowała zagięcia. Na szarym tle rysowały się niewyraźne kontury czegoś, co wyglądało na niezbyt udaną abstrakcję albo plamy po spaghetti z sosem serowym. Ona jednak znała ten rysunek.

– Jezu, to naprawdę koszulka z Tweetym.

Robert rozłożył ręce w geście: „ale o co ci właściwie chodzi?”.

– Nosisz ją od liceum – zauważyła.

– No i?

– Od pierwszej klasy liceum.

– To całkiem niezła koszulka.

– I już wtedy była sprana.

– Nie ma przecież dziur ani nic. Jest miła w dotyku.

– Zupełnie wyblakła, wzory się wytarły. Czemu jej nie wyrzucisz?

– Ale to jeszcze zupełnie dobra koszulka – upierał się zdumiony.

Wyjechali windą na górny parking i wsiedli do peugeota kombi. Zdziwił ją ten samochód. Po pierwsze, nie pasował w ogóle do Roberta. Po drugie, był nieskazitelnie czysty, jakby dopiero wyjechał z fabryki.

Na parkingu stało mnóstwo aut i Robert ostrożnie manewrował między nimi, usiłując włączyć się w sznurek wyjeżdżających.

– Chcesz gdzieś iść wieczorem? Na kolację? Na piwo?

– Nie, raczej nie. Położę się wcześniej spać.

– Piankę? – spytał, nie odrywając wzroku od przedniej szyby. Otwórz schowek.

W środku leżała paczka biało-różowych marshmallows. Marta rozerwała torebkę i wsunęła sobie kilka pianek do ust. Nic nie jadła od śniadania, więc wydawały się jej jeszcze słodsze, bardziej sztuczne i bardziej zamulające niż zwykle.

Były fantastyczne!

– Chcesz jedną? – spytała Roberta.

– Nie, nie cierpię ich. Zaklejają zęby.

– To po co je wozisz?

– Kupiłem dla ciebie. Zawsze je jesz. I jeszcze krążki ryżowe. Ale krążkami tylko byś tu nakruszyła. Ten hotel to gdzieś na Kazimierzu, no nie?

– Tak myślę.

– Mogłaś przenocować u nas.

Machnęła ręką.

Mówiąc „u nas”, miał na myśli willę Toli, ciotecznej babki jego i Andrew. Robert mieszkał w wiosce oddalonej czterdzieści kilometrów od Krakowa. Tam stał jego teleskop, tam prowadził obserwacje nieba, lecz trzy, czasem cztery noce w tygodniu spędzał w domu Toli. W Krakowie prowadził zajęcia ze studentami i nie chciał rano tracić czasu na dojazdy.

– Andrew wszystko załatwił. Wynajął pokój. I w ogóle. Chciałam wrócić jutro... po... po... no wiesz, po wszystkim – nie mogła wydusić z siebie słowa „pogrzeb”.

– Mhm. Zdziwiłem się, że przyjeżdżasz.

– Ale zostanę jeszcze dzień. Ciotka Ela mówi, że ojciec zostawił mieszkanie. Ale nie wiem, czy jest testament czy coś takiego. Bo jeśli nie, to ja dziedziczę.

– Mieszkanie? A gdzie?

– Nie wiem. Gdzieś w Krakowie.

– Myślałem, że twój tato siedzi za granicą.

– Ja też. Muszę to sprawdzić. Z Elą się nie dogadam. Jest walnięta. Zawsze była.

Deszcz przestał siąpić. Jechali właśnie wzdłuż Plant i Marcie zaczęło się wydawać, że ludzie rzeczywiście chodzą tu w zwolnionym tempie. Już mam omamy, pomyślała.

– Może je wynajmiesz?

Pokręciła głową.

– Sprzedam. Kończą mi się pieniądze, które wzięłam za mieszkanie mamy. Nawet nie wiem, ile mi jeszcze zostało.

– Czemu nie zajrzysz na konto? – spytał Robert, skręcając w ulicę Dietla.

– Boję się tego, co tam zobaczę.

– Bardzo dojrzałe podejście – pokiwał z uznaniem głową.

– Muszę poprawić książkę, żeby #OPKO mi to wydało.

– Dużo jest do poprawy?

– Wszystko. Ta nowa książka... też nie idzie za dobrze.

– Nie za dobrze? Przecież jej nie piszesz. Siedzisz i gadasz do zdjęcia aktorki. Jak ma iść?

Przez chwilę przyglądała się twarzy Roberta. W jego rysach było coś, co trochę przypominało Andrew i wszystkich Bajakowskich: mocno zarysowana szczęka, prosty nos, wąskie usta, dobre zęby. Lecz w przypadku Roberta górę wzięły irlandzkie geny matki. Miał bladą skórę, trochę drobniejszą sylwetkę, zakłopotany wyraz twarzy i nie promieniał tak mocno zdrowiem, siłą, energią i radością jak Andrew. Szczerze mówiąc, w ogóle nimi nie promieniał.

– Pamiętasz, jak byliśmy w liceum? Mówiłam ci, że muszę pisać, bo nic innego w życiu nie potrafię.

– Nastolatki mówią wiele pretensjonalnych rzeczy.

– A teraz się okazuję, że pisać też nie umiem.

– „Implikatura” cię drukuje.

– Znasz kogoś, kto to czyta? Kto w ogóle chciałby ją czytać?

– To chyba tu. – Robert wskazał kamienicę z odnowioną kremową elewacją. – Zobaczę, gdzie da się zaparkować. I wiesz, dopóki walczysz, jesteś zwycięzcą, nie? Możesz tak myśleć.

– Dopóki nie sprzedam książki, jestem kimś, kto utrzymuje się ze śmierci rodziców.

Andrew zadzwonił chwilę po dwudziestej i zdawkowo spytał Martę o samopoczucie, po czym szybko zmienił temat. Był w dobrym humorze. Stacja przysłała mu wyniki oglądalności pilotażowego odcinka. Może nie były nadzwyczajne, ale z pewnością zadowalające.

– Dobry punkt wyjścia – stwierdził, ale mogło to oznaczać cokolwiek. Andrew uznałby za dobry punkt wyjścia nawet tytuł dziennikarskiej hieny roku. – To nasz sukces, skarbie – dodał, ale wiedziała, że kłamie. W ten sposób mówił: „Przepraszam, że zmusiłem cię, żebyś pojechała na ten pogrzeb. I że nie pojechałem z tobą”. A potem musiał przerwać, bo miał kogoś na drugiej linii. Zresztą zaraz i tak wychodził na spotkanie. – Mam nadzieję, że pokój ci się podoba – rzucił na koniec, tonem „nie musisz dziękować, bo wiem, że jesteś oczarowana”.

Przez resztę wieczoru Marta poprawiała *Leprechauna z kromlechów Lisseyviggeen* i zerknęła na telefon.

Apartament okazał się pokojem na poddaszu z wielkim łóżkiem na środku pokoju zaścielonym lnianą idealnie odprasowaną narzutą. Wszędzie stały wazony z orchideami. Z leżącego na nocnej szafce folderu Marta dowiedziała się, że to: „Najlepszy w Krakowie apartament dla zakochanych. Niezapomniane chwile w niezapomnianym mieście. Daj się uwieść”.

W kuchennej wnieście na blacie stało ozdobne wiaderko z lodem, a w nim chłodziła się butelka australijskiego chardonnay. Obok leżało pięć ciasteczek na irlandzkim maśle, przełożonych konfiturą z kaszubskich truskawek. Każde było zapakowane oddzielnie w celofan. Obok właściciel zostawił bilecik z odręcznie wypisanymi życzeniami „magicznych momentów”.

Przed dwudziestą drugą ktoś zadzwonił z numeru zastrzeżonego, ale rozłączył się, gdy tylko powiedziała: „Tak?”.

Nie chciała pierwsza odzywać się do Andrew. Najpierw bała się, że przerwie mu spotkanie, potem – że już śpi. Ale najbardziej ze wszystkiego bała się, że wie, co to za spotkanie, zaś to, co Andrew właśnie

robi, ze snem nie ma nic wspólnego, poza – może – miejscem akcji.

Żałowała, że odmówiła Robertowi i nie wyszła z nim wieczorem. Piłaby teraz piwo na Kazimierzu, wspominała kolegów z liceum i nie zerkała na telefon co trzy minuty. Najwyżej co dwadzieścia. Albo przyprowadziłaby Roberta tutaj. Cały czasy śmiałyby się i mówiła sztucznie podnieconym tonem. Kiedy Andrew zadzwoniłby wreszcie życzyć jej dobrej nocy, powiedziałyby: „Ach, jest ze mną twój brat, czy wiesz, że w liceum my o mało nie...? Chcesz mu przekazać pozdrowienia?”.

O pierwszej otworzyła ciepłe już wino i nałła sobie kieliszek.

A potem resztę kieliszków.

Zadzwoniła do Andrew.

Nikt nie odebrał.

Przez kolejne dwie godziny, leżąc w ogromnym łóżku w pachnącej lawendą pościeli, Marta wmawiała sobie, że Andrew po prostu ma mocny sen. Włączyła wiszący na ścianie plazmowy telewizor i oglądała medyczną operę mydlaną na niemieckim kanale z serialami. Nie rozumiała ani słowa, lecz gdy piękny dyrygent ze szramą na lewym policzku skonał na stole operacyjnym, płakała wraz z całym zespołem germańskich chirurgów.

Rano deszcz przestał padać.

Uchyliła dachowe okno i stała przez chwilę w bieliźnie na łóżku, licząc, że wiatr nieco ją otrzeźwi.

Wzięła prysznic, wróciła do pokoju i wyjęła z szafy czarną ołówkową spódnicę, jedwabną koszulę oraz marynarkę, czyli zestaw, który kilka dni wcześniej Jowita uznała za odpowiedni na pogrzeb. Szorowała właśnie zęby, modląc się w duchu, by pasta okazała się wystarczająca silna dla jej skacowanego oddechu, gdy zadzwonił Andrew.

– Coś się stało? Dzwoniłaś.

– Nic. Myślałam, że może jeszcze nie śpisz.

– O drugiej w nocy?

– Sama nie wiem.

– Sorry, wyciszyłem komórkę. W nocy były jakieś głuchoe telefony, to wyłączyłem głos. Jak apartament? Podoba ci się?

– Mhm.

– Dostałaś wino?

– Mhm.

– Mam nadzieję, że to miejsce poprawia ci humor.

– Mhm – wymruczała. Równie mocno jak Stephenowi Hawkingowi pobyt w kurorcie dla olimpijczyków, dodała w myślach.

– Wiesz, najpierw chciałem zarezerwować coś odpowiedniego do sytuacji. Ale wolę, żebyś się rozweseliła i myślała o czymś przyjemnym.

– Co miało być odpowiednie do sytuacji? Ochronka dla sierot?

– Żartujesz, czyli czujesz się lepiej. Jowita pyta, czy na pewno wiesz, co masz włożyć.

– Wiem.

– Uważaj na dziennikarzy. Nie powinno być problemów. Ale na wszelki wypadek nie wdawaj się

w dyskusje, okay? Mów, że odezwiesz się później, bo teraz nie jest odpowiedni moment. Zabrałaś okulary?

– Mhm.

– Jowita mówi, żebyś zrobiła sobie zdjęcie i przysłała ememesa. Sprawdźmy, czy wszystko gra.

– A może jeszcze wrzucę na Instagrama albo założę bloga ze stylizacjami pogrzebowymi?

– Po prostu przyślij zdjęcie. Pa – rzucił krótko Andrew i się rozłączył.

Marta kręciła się przed bramą cmentarza i zerknęła na zegarek. Było już dwie po dwunastej. Właśnie zaczynało się nabożeństwo w kaplicy. Jeśli chciała dotrzeć na uroczystość punktualnie, powinna już pójść.

Ale nie chciała.

W ogóle nie chciała oglądać Eli, trumny, kwiatów. Jeśli już musiała na to patrzeć – to możliwie najkrócej.

Najbardziej bała się spotkania z Palomą. Przez całe życie zastanawiała się, jak wygląda, w jaki sposób się porusza. Czy jest inteligentna? Zmysłowa? Miła? A może zimna jak sople lodu? Kim jest kobieta, dla której zostawia się wszystko, naprawdę wszystko, i nie ogląda się za siebie?

Słońce świeciło mocno, jak w środku lata. Lekkie powiewy wiatru niosły słodko-dymny zapach cmentarza. Gdzieś z oddali słychać było regularny stukot, przypominający odgłos skuwania tynku ze ściany.

Przypomniał się jej koszmar, który dręczył ją przez cały okres studiów. Pani z dziekanatu wyciąga ją z wykładu i prowadzi przed salę. Mówi, że teraz jej kolej zdawania egzaminu. A Marta, całkowicie sparaliżowana, czyta tabliczkę na drzwiach i uświadamia sobie, że to przedmiot, na który miała chodzić, lecz zupełnie o nim zapomniała.

Coś mignęło za bramą. Odniosła wrażenie, że ktoś jej się przygląda. Czyżby dziennikarze rzeczywiście ją śledzili? Nie, to chyba tylko złudzenie.

Kurczowo ścisnęła pięć białych róż przewiązanych fioletową pozbawioną okolicznościowych zwrotów wstęgą.

Stukot się nasilił. Teraz dobiegał zza pleców Marty. Odwróciła się i oparła łokieć o chłodny mur. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że dość bezceremonialnie wpatruje się w przechodzącą obok dziewczynę.

A ściślej mówiąc – w cud.

Czarne lakierowane szpilki były wysokie jak dziecięce szczudła i tak cienkie, że można by nawlec na nie nitkę i przyszywać guziki. Nogi niosły brzuch ogromny niczym balon.

Poza monstrualnym brzuchem dziewczyna była zdumiewająco szczupła. Przy każdym kroku miało się wrażenie, że opięta do granic możliwości, mikroskopijna sukienka z czarnych cekinów wreszcie pęknie. Albo uniesie się pół centymetra wyżej i odsłoni jakiś błyszczący strzępek materiału, symbolicznie pełniący rolę bielizny.

Nic takiego jednak się nie stało.

Dziewczyna niepewnie przekroczyła bramę i skręciła w pierwszą aleję.

Marta wciąż miała beznadziejnie głupi wyraz twarzy. Bez namysłu ruszyła za nastolatką, starając się

trzymać bezpieczny dystans. Jak urzeczona wpatrywała się w chwiejną konstrukcję. Nagle blondynka odchyliła się w bok tak mocno, że Marta odruchowo zasłoniła oczy. Nie chciała oglądać jej upadku. Lecz dziewczyna, niczym wańka-wstańka, wróciła do równowagi.

Marta odetchnęła z ulgą.

Przyłapała się na tym, że jej kibicuje.

W tym powolnym, chybotliwym drobieniu kryło się bowiem wielkie zwycięstwo ludzkiego ducha nad prawami natury. Każdy inżynier przysiągłby, że taka konstrukcja przetrwa w pionie góra pięć sekund – ruchu w ogóle nie biorąc pod uwagę. Lecz ta dziewczyna najwyraźniej wszelkie prawa fizyki miała w głębokim poważaniu.

Przystanąła.

Po prawej stronie, przy czwartym grobowcu od alejki stała grupka żałobników. Stuk obcasów sprawił, że stojący wokół trumny ludzie dyskretnie odwracali głowy i ich zapasy dyskrecji natychmiast się wyczerpywały. Rozdziawiali buzie i zerkali na sąsiadów.

– Na pewno ucieszyłby się... – Siwa kobieta w za dużym kapeluszu, która właśnie przemawiała nad grobem, zamilkła. Też odwróciła głowę w stronę alejki.

Dziewczyna nie dostrzegła poruszenia, które wywołała. Oparła się o granitową tablicę najbliższej mogiły i ściągnawszy but, wytrzepała gryzące drobinki. Włożyła szpilkę z powrotem i ruszyła w stronę zebranych.

Podeszła do stojącego nieco na uboczu dwudziestoparolatka w zielonej bluzie z kapturem i spodniach z mocno obniżonym krokiem. Chłopak miał zaokrągloną sylwetkę, bladą dziecinną twarz i nerwowo bawił się rękawem bluzy. Dziewczyna oplotła rękę wokół jego ramienia, a on spuścił wzrok jak zażenowany gimnazjalista.

Wygraliby każdy plebiscyt na najbardziej niestosownie ubraną parę żałobników w historii ludzkości.

– Na pewno ucieszyłby się, że przyszliście – kobieta podjęła porzucony wątek.

Marta od dłuższej chwili gapiła się uporczywie na obcych ludzi. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, ruszyła w stronę kaplicy stojącej w przeciwnym rogu cmentarza. I wtedy ktoś głośno zakaszał. Nawet galopujące suchoty nie wywołują kaszlu tak teatralnego. Odwróciła się i jej wzrok spotkał się ze wzrokiem przemawiającej kobiety.

Ela.

Zakaszała ponownie, nieco lżej, co prawdopodobnie w tej gruźliczej odmianie alfabetu Morse’a miało znaczyć: „odbiło ci do reszty?”.

Musiałam coś źle zrozumieć. To pogrzeb był o dwunastej, nie nabożeństwo, pomyślała Marta.

Z pełną powagi miną, ignorując ciekawskie spojrzenia, dołączyła do reszty żałobników.

Wokół grobu stało ponad dwadzieścia osób, przeważnie w średnim wieku, choć nie brakowało i kilku emerytek. Oraz ta dziwaczna para. Marta nie знаła nikogo prócz siostry ojca. Fioletowe cienie pod oczami ciotki Eli, jej nienaturalnie spokojny głos i nieobecne spojrzenie sugerowały, że wylała potoki łez i nałykała się czegoś na uspokojenie. Reszta żałobników przypominała oficjalną, nieco znudzoną delegację. Żadnej zrozpaczonej wdowy. Ani nawet wyjątkowo opanowanej wdowy. Owszem, jedna z pań wyróżniała się egzotycznym stylem: siwofioletowa trwała, mnóstwo podtrzymujących woalkę spinek w kształcie słoni – lecz z całą pewnością nie była Latynoską. Co więc stało się z Palomą?

– Witek na pewno ucieszyłby się, że przyszliście. Wszyscy. Wreszcie. – Ela odetchnęła. – Był raczej

samotnikiem, ale...

Głośny szloch po raz kolejny przerwał wywody ciotki.

Dziewczyna w szpilkach dramatycznym gestem zakryła twarz chusteczką. Szloch wstrząsnął całym jej ciałem. Marta zauważyła, że bladoróżowe tipsy przyozdobione zostały maleńkimi bukietami czarnych kwiatów.

– ...Był raczej samotnikiem – ciotka starała się zagłuszyć kolejne fale rozpaczyny młodej kobiety. Głos jej drżał. Gromiła wzrokiem resztę żałobników, którzy szeptem wymieniali uwagi. – Ale po śmierci nikt nie chce być samotny.

Zacięła się.

Powietrze gęstniało od plotek.

– A nie, przepraszam! Miało być: może i był samotnikiem, ale i tak każdy przecież umiera samotnie. Tak. W końcu tak. No. Tak.

Ciotka spojrzała na swoje dłonie, szukając nieistniejącej kartki.

– Tak. Dobrze. To w takim razie niech córka teraz coś powie.

Zapadła–grobowa–cisza.

– Marto – ponagliła Ela.

Marta stała nieruchomo, miażdżąc łądygi trzymanej w ręku wiązanki. Błagam cię, Boże, niech to będzie tylko sen. Jak ten koszmar z egzaminem na studiach. Niech to nie będzie prawda, niech się obudzę zrana potem.

Na jej ramieniu zacisnęła się dłoń ciotki. Boleśnie realnie. Następnie ta dłoń pchnęła Martę do przodu, bliżej grobu.

Nikt nie odważył się zakłócić ciszy.

– No więc – zaczęła Marta. Nie należy zaczynać zdania od „no więc”. Polonistko od siedmiu boleści, skarciła się w myślach.

– No więc – powtórzyła. Czowała słony smak w ustach. Zrobiło jej się słabo. – Będzie nam bardzo brakowało... twojej nieobecności.

Stała tak przez chwilę, wpatrując się w płytę z napisem „Witold Lipka – Spoczywaj w pokoju”, aż ciotka postanowiła przerwać to żenujące wystąpienie.

– Może syn zechce powiedzieć więcej.

Martę zmroziło.

– Kacper – powiedziała ciotka.

Marta z trudem podniosła oczy. Chłopak w zielonej bluzie wysunął ramię z uścisku ciężarnej towarzyszkii i zaczął przeciskać się między nagrobkami. Poruszał się z taką furją, że Marta nie zdziwiłaby się, gdyby wyrwał z ziemi ławeczkę albo kosz na śmieci i rzucił w nich wszystkich.

– Kacper! – zawołała ciotka niezbyt głośno, żeby zachować powagę w obliczu ceremonii.

On jednak oddalał się w stronę cmentarnej bramy. Nie odwrócił się ani razu. Dziewczyna w cekinach rozszlochała się na dobre.

– *Anielski orszak niech twą duszę przyjmie* – zaintonowała ciotka.

I choć był to świecki pogrzeb, reszta żałobników z ulgą zaczęła śpiewać religijne pieśni. Przyglądanie

się zażenowaniu innych jest miłą rozrywką, lecz ma granice. Po ich przekroczeniu człowiek zaczyna czuć się naprawdę paskudnie. Śpiewano więc głośno, do momentu, aż grabarz rzucił ostatnią grudkę ziemi.

Marta nie śpiewała. Bezwiednie powtarzała znajome fragmenty.

Świeżo usypany grób zapełniał się wiązkami i wieńcami. „Niekłopotliwemu sąsiadowi – sąsiedzi”, „Solidnemu klientowi – wdzięczni dostawcy”.

Z letargu wyrwały ją wibracje komórki. Dyskretnie zerknęła na wyświetlacz.

„Nie wdawaj się w dyskusje. Czy ktoś robi ci zdjęcia?” – odczytała esemesa.

A potem ludzie zaczęli się rozchodzić. Kilka osób stało na uboczu i składało kondolencje ciotce Eli. Dziewczyna w ciąży szła w stronę bramy, stukając obcasami.

I to już wszystko? Tak po prostu? – zastanawiała się Marta.

Zbliżyła się do sterty niczym niewyróżniających się kompozycji kwiatowych i wiązanek pogrzebowych, które dostać można od ręki w każdej kwiaciarni. Położyła swoje białe róże. Zatonęły w okazalszych bukietach chryzantem, goździków i gerber. Z jakiegoś powodu poczuła ulgę. Duży wieniec w kształcie serca z kwiatów czerwonego anturium był – jak odczytała – od Eli. Poczuła ucisk w gardle. Poszukała wzrokiem starszej kobiety i dostrzegła ciotkę przy alejce, wspartą na ramieniu łysego mężczyzny w średnim wieku. Ostatni uczestnicy uroczystości składali jej wyrazy współczucia. Marta podeszła i stanęła za nimi. Kiedy w końcu znalazła się oko w oko z ciotką, zabrakło jej słów. Ta natomiast otworzyła nieco podniszczoną kopertówkę z czarnego skaju i wyciągnęła kartkę wyrwaną z notesu oraz pęk kluczy. Podała je Marcie.

– Tu masz adres.

– Odwiedzałaś go?

– On nikogo nie chciał widzieć.

Marta pamiętała Elę jako silną, głośną kobietę, która co jakiś czas przyjeżdżała ze wsi, by zamienić życie bratowej w piekło. Witek był późnym dzieckiem, osiemnaście lat młodszym od siostry. Właściwie to ona go wychowywała, bo rodzice byli już mocno schorowani. Chłopiec niespodziewanie okazał się szalenie inteligentny. Nikt – ani w małej wiejskiej szkole, ani tym bardziej w rodzinie – nie wiedział, jak sobie radzić z tak nieprzyzwoicie wysokim poziomem IQ. Większość ludzi, włączając rodziców, starała się po prostu schodzić chłopcu z drogi. Ela zaś przyjęła inną strategię: czciła Witka jak jakieś bóstwo i nigdy w niego nie zwątpiła. Nawet na sekundę.

Trudno stwierdzić, czy na świecie żyła choć jedna kobieta warta Witolda Lipki. Jeśli nawet, powinna wywodzić się z królewskiego rodu, rozporządzać wielkim majątkiem i nosić tytuł co najmniej Miss Europy, a nie być jakąś pospolitą studentką drugiego roku filozofii. Ela nie wybaczyła bratowej, że ta bezczelnie zaszła w ciążę i zaciągnęła chłopaka przed ołtarz. Marty nigdy nie przestała zdumiewać czysta, szalona nienawiść ciotki.

Przez całe dzieciństwo wierzyła, że na świecie nie ma potężniejszej kobiety niż ciotka Ela, że drżą przed nią wszyscy: Kapitan Planeta, Rosjanie, a nawet papież.

Teraz ciotka zmieniła się w przygarbioną staruszkę. Marcie zrobiło się jej żal.

I wtedy dostrzegła coś jeszcze. Na samym środku gęstej pokrywy kwiatowej leżała przepiękna kompozycja z białych mieczyków, róż, gipsówki, jodłowych gałązek, groszków i jeszcze kilku gatunków, których Marta nie знаła. Popisowy projekt jakiegoś mistrza układania kwiatów. Każda wiązanka wyglądała na jej tle jak uboga krewna.

Podeszła bliżej i rozprostowała doczepioną do niej białą wstęgę.

„Zawsze będziesz w naszych sercach. Andrew&Marta”.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Marta majstrowała przy zamkach, by dopasować odpowiednie klucze. Drzwi miały ten sam niebieski kolor, co ściany klatki schodowej. Nie wisała na nich żadna tabliczka z nazwiskiem ani numer mieszkania.

Już od progu poczuła swąd spalenizny, który po chwili, gdy nos już się przyzwyczyił, ustąpił pola gnijącym resztkom jedzenia. Zatkąła nos. Gdy na sekundę puściła, by zaczerpnąć powietrza, zauważyła, że bukiet zapachów znowu się rozwinął. Teraz na pierwszy plan wysuwały się aromaty PCV, octu i czegoś mdlącego.

Na wieszaku przy wejściu wisiła tylko tani parasol w czerwoną kratę i wiatrówka w nieokreślonym kolorze pamiętająca z pewnością jeszcze lata osiemdziesiąte. Przejechała palcami po sztucznym, trochę śliskim materiale. Andrew mawiał, że ludzie, nawet niekoniecznie bardzo zamożni, płacą tyle za sukienki Diora, bo wzbudzają w nich tęsknotę za paryskimi bulwarami i kolacjami na Lazurowym Wybrzeżu. Ta kurtka nasuwała z kolei myśli o kilometrowych kolejkach, brakach w zaopatrzeniu i samobójstwie. Zbyt cienka, by chronić przed wiatrem, zbyt okropna, by ktoś przy zdrowych zmysłach nosił ją dla elegancji. Wydawała się jedną z rzeczy stworzonych jedynie po to, by przypominać ludziom, jak beznadziejne i pozbawione sensu jest ich życie.

Marta rzuciła okiem na salon, który okazał się jeszcze bardziej przygnębiający niż przedpokój. Drzwi do sypialni były zamknięte, a ona nie miała ochoty ich otwierać. Trudno o coś bardziej odległego od słonecznych, tętniących muzyką i kolorami plaż Copacabany.

Mieszkanie było sterylnie czyste.

I coś w nim przeraźliwie śmierdziało.

Pokręciła się chwilę po przedpokoju, a potem weszła do kuchni, pociągając nosem. Lodówka? Szafki? Kosz na śmieci?

Otworzyła szafkę pod zlewem. W okrągłym pojemniku z czerwonego plastiku leżał pusty worek. Ciotka musiała wyrzucić śmieci.

A może odpływ? Zapach zdawał się dobiegać właśnie stąd.

Podeszła do zlewu, chwyciła zużytą gąbkę do naczyń i dokładnie obwąchała. Myjka nie pachniała pięknie, lecz to nie ona była winna nieznośnemu swędowi.

– To przez jajko – usłyszała.

Skamieniała. Odwróciła się i zobaczyła wchodzącą do kuchni nastolatkę z pogrzebu.

Dziewczyna musiała przed chwilą wyjść z kąpieli, bo cały jej strój składał się z dwóch ręczników: owiniętego wokół ciała i turbanu na głowie. Bez makijażu i szpilek wyglądała jak pensjonarka zesłana do krewnych na prowincję, by ukryć wstydlawy sekret.

– Jajko – powtórzyła nastolatka i wskazała palcem na sufit.

Na poźółkłej tapecie nad kuchenką widniała czarna plama wielkości talerzyka do ciasta.

– Gotował jajko. A ono wybuchło. Woda się wygotowała. A on nie mógł wyłączyć. No bo już nie żył, tak jakby.

Marta uniosła brwi.

– Garnek się spalił – kontynuowała dziewczyna. – Dlatego trochę tu śmierdzi. I nie przestaje, choć Ela wietrzyła. Bo z tym jajkiem coś było nie tak. Albo to był zbuk.

Zamyśliła się na moment.

– Albo... Wiesz, jak stanęłam na taborecie i się przyjrzałam, to ja tam chyba widzę kawałki dzioba.

– Jakiego dzioba?

– Kurczątko. Albo tak tapeta się dziwnie łuszczy. Ale to raczej dziób. To mogło być takie jajko z ptakiem w środku. Za krótko patrzyłam. Muszę uważać. – Wskazała na brzuch.

– Kim pani jest?

– Ojej, przepraszam. Jaka pani? No weź... – Dziewczyna machnęła ręką, podeszła do Marty i ucałowała ją w policzki. – Sabina. A my będziemy, eee, nigdy nie mogę tego zapamiętać, jak brat i siostra się żenią. Nie między sobą, tylko wiesz. To ja się właśnie ożenię z twoim bratem.

– Gratulacje – powiedziała Marta bez entuzjazmu.

– To znaczy jak policja przestanie go ścigać.

– Aha.

– Mówię mu: idź i się poddaj. Może ci dadzą zawiasy. A on, że poczeka, aż im się to ściganie znudzi. A ja myślę, że może im się tak szybko nie znudzić.

– Jak mogę się skontaktować z Kacprem? – spytała Marta. Poczowała się dziwnie, gdy wymawiała to imię.

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Jest samotnikiem. Wyjętym spod prawa.

– Słucham?

– Samotnikiem wyjętym spod prawa. Nie powinnam się z nim zadawać.

– Tak ci powiedział? – Marta miała coś w rodzaju déjà vu. Słowa wydały się jej dziwnie znajome. Ale gdzie i kiedy mogła je usłyszeć? Czy to możliwe, żeby ojciec wypowiedział coś takiego, zanim odszedł przed laty? Nie, to chyba nie w jego stylu. Poza tym, zabrzmiały dość świeżo i w jakimś sensie – wesoło.

Sabina pokiwała głową.

– I często się upiera. Idiotycznie. Jak dziś. Wiesz, ile go przekonywałam, żeby się ubrał na pogrzeb normalnie? Na czarno, jak człowiek. Mówię mu: „Kacper, ojciec to ojciec. Jaki by nie był, już go nie ma. Weź coś ciemnego chociaż, nie musi być czarne”. Nie przegadasz. I ile się osób na niego gapiło?

Marta wzruszyła ramionami.

– Nie możesz tu zostać. To mieszkanie idzie na sprzedaż.

– Matka nie chce mnie widzieć, dopóki się nie pobierzemy. – Nastolatka głośno westchnęła. – Miałam jechać na pogrzeb, więc jej wreszcie powiedziałam, że Kacper jest ojcem. A ona na to: „No to żyj z tym Kacprem, jak żeś taka mądra”. Nie mam gdzie iść, nie?

– Nie. Nie, nie, nie. Muszę pogadać z Kacprem. Naprawdę potrzebuję pieniędzy.

Sabina uśmiechnęła się szeroko, jakby kamień spadł jej z serca.

– Ach, o pieniądze to się w ogóle nie martw. Możesz ze mną pracować w sklepie.

– Boże, gdzie?

– W sklepie. Pan Witek zostawił sklep. To tu, przed blokiem. Chodź! – pociągnęła Martę za rękaw i zaczęła prowadzić do drzwi. Nagle zatrzymała się i popatrzyła na ręcznik.

– Ano, tak. Daj mi minutkę, to coś na siebie narzucę.

– Naprawdę nie możesz wyjść przed blok bez posypania twarzy brokatem? – spytała Marta czterdzieści minut później, kiedy stanęły wreszcie przed klatką.

Słońce zaczęło zachodzić, lecz ciągle było ciepło.

– Ale to trwa tylko chwilę – zdziwiła się Sabina. – Żaden kłopot. Po co straszyć ludzi wyglądem? To za tymi garażami. – Wskazała palcem na niski, obity żółtą blachą budynek, zachwiała się i wpadła w ramiona Marty. Zielone sandały nie były tak wysokie jak szpilki z pogrzebu, lecz w żadnym razie nie zostały zaprojektowane jako coś, w czym wychodzi się na spacer.

– Czemu nie włożysz niższych butów?

– Nie mam niższych. To znaczy może jedno. – Sabina przypomniała sobie parę starych rozczłapanych tenisówek, w których chodziła karmić kury, i zaczerwieniła się. – Ale one nie nadają się do chodzenia. Naprawdę nigdy tu nie byłaś?

Marta pokręciła głową. Myśl, że ojciec po odejściu z domu nie rozplynał się w powietrzu, ale mieszkał w konkretnym mieszkaniu, chodził codziennie tą właśnie ścieżką, potykał się o tę pękniętą płytkę chodnikową i pracował w sklepie, wytrącała ją z równowagi. Wolała czasy, kiedy dalsze losy ojca pozostawały w jej wyobraźni. Nad tym miała kontrolę. Wyobrażenia nie mogła zrobić jej krzywdy.

– Skąd w ogóle miałaś klucze?

– Ela dała Kacprowi. Powiedziała, żebyśmy brali rzeczy, jak czegoś potrzebujemy. Zanim przyjdiesz. Bo tobie zawsze niezbyt dobrze z oczu patrzyło.

– Kiedy widziała mnie ostatnio, miałam siedem lat!

– Nie przejmuj się. Ja tak wcale nie uważam. Masz ładne oczy.

– Co za ulga! – burknęła Marta.

– Choć mogłabyś coś z nimi zrobić. Niedokończone są, tak jakby. Mogę ci dokleić sztuczne rzęsy, jak chcesz. Mam trochę na górze. Patrz, miałybyś tak jak u mnie. W ogóle nie widać, że doklejane.

Stała przed Martą i przymknęła oczy. Rzęsy tworzyły tak gęstą masę, że gdyby dokleiła ich jeszcze kilka, przy każdym mrugnięciu nabijałyby jej siniaka pod okiem.

– Spakowałaś na pogrzeb zapas sztucznych rzęs?

– No jasne. Przecież mogą się odkleić od płaczu.

– Dobrze znałaś... zmarłego? – spytała Marta, gdy weszły w wąską jarzębinową alejkę, ciągnącą się wzdłuż garaży i niewielkiego parkingu.

– No skąd. Nie widziałam go na oczy.

– Nigdy? – Marta aż przystanęła. Przypomniała sobie szloch Sabiny na pogrzebie.

– Nawet Kacper go prawie nie widywał.

– Czy on ma jeszcze jakieś rodzeństwo?

– Cztery siostry.

Marta podbiegła do najbliższej ławeczki. Usiadła, przyciskając dłoń do mostka.

– Cztery siostry – wyszeptwała.

Sabina najpierw przyglądała się jej badawczo, a po chwili roześmiała się i machnęła ręką.

– No co ty. Pan Witek nie jest ich ojcem. Każda ma innego ojca. Tylko matkę mają wszyscy wspólną.

Kacper jest, no chyba tobie mogę powiedzieć, jest taką wpadką, tak jakby.

– Wpadką tak jakby?

– Znaczą pan Witek i matka Kacpra nigdy nie byli na poważnie. Ona tylko przychodziła do sklepu.

I tak to się potoczyło. Ale przysyłał alimenty. Bardzo regularnie – dodała pospiesznie Sabina. – Matka Kacpra mówi, że ojców pozostałych dzieci musiała nachodzić, podawać do sądów, urządzać awantury. A pan Witek zawsze płacił punktualnie. I co do grosza.

Ton jej głosu sugerował ogromne uznanie dla zasad moralnych niedoszłego teścia.

– Solidna firma – prychnęła Marta.

– Nooo.

– Aż chwyta za serce.

– No właśnie. A ja się łatwo wzruszam.

Stały przed niskim paskudnym budynkiem obłożonym żółtą blachą falistą. Sabina wyciągnęła z torebki pęk kluczy.

Naprzeciw sklepu był mały, dopiero co odnowiony plac zabaw. Za nim wznosiła się kolonia upapranych pyłem, kurzem i spalinami wieżowców. Mieszkańcy najdalej wysuniętych budynków mogli cieszyć się widokiem na ruchliwą wylotówkę z miasta. Po drugiej stronie jezdni deweloper kończył budowę czterech nowoczesnych apartamentowców oraz jakiegoś okazałego biurowca.

Cały front sklepu był upstrzony naklejkami: CHEMIA, WĘDLINY, KOSMETYKI, LODY, PIECZYWO, NAPOJE, SŁODYCZE. Marta zastanawiała się, gdzie to wszystko się mieści. Dopiero wtedy zauważyła nad wejściem szyld z aluminiowej blachy, bardzo już starej, bo czerwone niegdyś litery wyblakły od słońca i zdawały się wtapiać w pożółkłe tło. Jednak ciągle można było odczytać napis:

PALOMA.

Niżej brązową farbą ktoś dopisał: ART. RÓŻNE.

Ha, więc jednak nie zwariowała! Paloma naprawdę istniała. Może umarła, może rzuciła ojca i dlatego wrócił do Krakowa. Tak czy siak, nigdy jej nie zapomniał.

Chociaż...

Sklep nie robił imponującego wrażenia. Właściwie nie robił nawet wrażenia sklepu – ot, jaskrawożółta buda, w przedziwny sposób zarazem krzykliwa i pozbawiona wyrazu. Coś takiego może zepsuć każdą przestrzeń. Chyba że przestrzeń składa się z garaży, bloków z okresu małej stabilizacji, gierkowskich wieżowców i jest jej wszystko jedno.

Czy jakakolwiek kobieta chciałaby, żeby nazwano na jej cześć blaszak z artykułami różnymi? Co ojciec sobie myślał? Czy obudził się pewnego dnia z postanowieniem, że skoro szczyt w kategorii

„upamiętnienie ukochanych kobiet” zajął już gość od Tadź Mahal, to on spróbuje wyznaczyć dno?

Sabina rozejrzała się dokładnie, jakby upewniała się, czy nikt jej nie śledzi, a potem otworzyła drzwi i przepuściła Martę.

Ding-dong! Otwarcie drzwi uruchomiło dzwoneczek sygnalizujący pojawienie się klienta.

W środku było duszno, w powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach miętowego płynu do mycia naczyń. W niewielkiej przestrzeni upchnięto dwie lady chłodnicze, które dwadzieścia lat temu mogły uchodzić za nowoczesne, a także zamrażarkę z lodami i mieszankami warzyw oraz regał na pieczywo. Na półkach za ladą stały konserwy, soki w kartonach, dżemy, pasteryzowane mleko, słoiki z gołąbkami i pulpetami w sosie pomidorowym, a także z fasolą i kiełbasą oraz słoje z Flakami Babuni, do tego karton saszetek Gorącego Kubka, proszek do prania, trzy rodzaje taniego mydła, papier toaletowy, podpaski, uniwersalny płyn do zmywania. Wokół kasy piętrzyły się gummy w listkach, chipsy paprykowe, prażynki o smaku keczupu, kilka rodzajów batonów i ciastka na wagę.

Był to jeden z tych osiedlowych sklepików, do którego wpada się, gdy zabraknie soli, śmietany czy polopiryny. Bo jest blisko i... właściwie tylko dlatego, że jest blisko.

Jedno wydawało się pewne: osoba, która zaprojektowała ten obiekt, musiała żywić głęboką nienawiść do gospodarki kapitalistycznej. Włożyła wiele wysiłku w to, by chronić społeczeństwo przed nadmierną konsumpcją. Z podziwu godną konsekwencją trzymała się idei, że ludzie powinni kupować tylko to, po co przyszedli, i wracać do domu. Wystrój i towary na półkach miały nie przyciągać wzroku i, broń Boże, nie budzić niezdrowego podniecenia. Tutaj nawet tuńczyk w oleju uchodziłby za egzotyczną fanaberię i nowinkarstwo. Całość sprawiała smutne i siermiężne wrażenie. Marta pierwszy raz w życiu była w sklepie, w którym nie miała ochoty nic przekąsić.

– Chodź. – Sabina pociągnęła Martę dalej. Uniosła do góry wyszczerbioną ladę i razem przeszły na stronę sprzedawcy. Wpatrywały się teraz w kotarkę zasłaniającą przejście na zaplecze.

– Tam jest dużo miejsca – rzuciła Sabina. – Kiedyś była tu piekar... – Urwała, gwałtownie szarpnęła Martę i zmusiła do kucnięcia za ladą. Sama zrobiła to samo. Ostrożnie omiotła wzrokiem drzwi, a następnie jedyne okno w sklepie. Niski, mocno umięśniony dwudziestoparolatek w policyjnym mundurze przyklepił się do zakratowanej szyby i obserwował wewnątrz.

– Zamknęłam? – szepnęła Sabina.

– Co?

– Drzwi. Boże, chyba zamknęłam, nie?

Marta poczuła, że dziewczyna kurczowo ściska jej nadgarstek.

– Ale co my robimy?

– Kręci się tu od rana. Chyba szuka Kacpra. Pewnie chce nas przesłuchać.

– Mnie? Chce mnie przesłuchać? Porąbało cię? Rano nawet nie wiedziałam, że Kacper istnieje.

Marta miała ochotę wyprostować się i pomachać do policjanta. Nie miała powodu, żeby się ukrywać. Przestraszyła się jednak, że coś takiego mogłoby przedostać się do prasy... Czy Andrew słuchałby jej tłumaczeń?

Policjant podszedł do drzwi i nacisnął klamkę.

Wstrzymały oddech.

Drzwi jednak nie ustąpiły.

Sabina odetchnęła z ulgą.

– Co on takiego zrobił? – spytała Marta.

– Nie wiem. Nie mówi mi takich rzeczy. Przecież mogłabym się zdenerwować, nie? – Wskazała na brzuch.

– A teraz się nie denerwujesz?

– Czym? Przecież nie wiem, co zrobił. Co się będę martwić na zapas?

Policjant jeszcze raz zerknął przez okno, a potem zniknął.

– Jasne. – Marta wstała spod lady, odlepiając od pleców zupełnie przepoconą bluzkę. Próbowwała też otrzepać czarną spódnicę, lecz białe, mączne ślady nie chciały zniknąć. – Myślę, że nie będzie problemu ze sprzedażą tej budy. Tu jest mnóstwo klientów.

Wskazała na rząd spłowiałoróżowych wieżowców za oknem.

– Skoro Witek tu przeżył, to każdy przeżyje. A tam dalej, po drugiej stronie jezdni buduje się nowe osiedle. Z wielkim biurowcem. Setki nowych klientów. Wyjdźmy stąd.

– Naprawdę nie chcesz zachować sklepu? – Sabina spytała takim tonem, jakby Marta pozbywała się rodowego dworu.

– Nawet nie umiem nikomu wcisnąć własnej książki. Po jaką cholere mi sklep z artykułami różnymi na Prądniku?

– Małe sklepiki mają duszę.

– Ten ma duszę Władysława Gomułki.

– Kogo?

Marta tylko machnęła ręką.

– Słuchaj, chcę wrócić do Warszawy, więc im szybciej to załatwię, tym lepiej. Jutro dam ogłoszenie o sprzedaży sklepu i mieszkania. A ty się lepiej dowiedz, droga Bonnie, gdzie się schował twój Clyde.

– Kto? – Sabina zmrużyła oczy.

– No, Kacper.

– To nie takie proste. Kacper ma wspaniały charakter. Ale trudny. Jest samotnikiem...

– ...wyjętym spod prawa – westchnęła Marta. – Weźmiecie swoją połowę i będziesz mu posyłała paczki do jego pustelni. Albo izolatki. A teraz wracaj do domu.

– Przecież wracamy.

– Nie do tego. Do tego prawdziwego.

Sabina najpierw wychyliła ostrożnie głowę za drzwi i sprawdziła teren. Potem przepuściła Martę, wyszła przed sklep i zamknęła PALOMEĘ na klucz.

– Moja mama... – zaczęła Sabina.

– Daj mi do niej numer.

– Po co?

– Sprawię, że cię stąd zabierze.

Sabina wzruszyła ramionami. Szukała w torebce komórki, nie przestając jednak rozglądać się na boki. Policjant dawno znikł, lecz i Marta miała wrażenie, że ktoś na nie patrzy. Poczowała się nieswojo.

– Nie znasz mamy – powiedziała Sabina. – Jest bardzo rodzinną osobą. Dlatego bez rodziny nie mam co się pokazywać w domu. A tu się możemy elegancko urządzać. Masz rację. Zacznijmy od szyldu.

– Co?

– Od szyldu. Cały czas się na niego gapisz. Mnie się też nie podoba.

– Nie, ja tylko...

– Jest strasznie stary. Był już stary, jak twój ojciec kupił sklep.

– Witek musiał go sam powiesić.

Sabina pokręciła głową.

– Gadałam z Misią. Sąsiadką z naprzeciwka. Czterdzieści lat tu mieszka. Najpierw był tu fryzjer, ale go przymknęli. I zrobili piekarnię. Potem wypuścili fryzjera, oddali mu miejsce, ale fryzjerowi strasznie się ręce trzęsły po odsiadce i odsprzedał lokal Witkowi. To fryzjer nazwał to miejsce PALOMA, i to zanim poszedł siedzieć.

– Nie sądzę – odparła Marta.

– Ale tak było. Po co bym ci miała kłamać? Witek chciał zmienić szyld, bo mówił, że to głupia nazwa dla sklepu spożywczego. Tylko jakoś się z tym nie zebrał.

– Ta twoja pani Misia coś pokręciła.

– Czemu?

– Bo to niemożliwe. To musiałyby być prawdziwy zbieg okoliczności, żeby... żeby...

Marta nagle zrozumiała. Odtwarzała sobie w głowie strzęp tamtej podsłuchanej rozmowy telefonicznej. „Ma swoją Palomę...” Matka nie mówiła przecież, że chodzi o kobietę. Marta sobie to dopowiedziała. Podobnie jak wyjazd do Brazylii.

– Jezu – wyszeptała, dotykając rdzewiejącej blachy. – To jest PALOMA?

WYPIEK

ROZDZIAŁ ÓSMY

Marta nie wiedziała, co począć z Sabiną, mieszkaniem, bratem i całą resztą. A przede wszystkim, co zrobić z informacją, kim, a dokładniej mówiąc, czym w rzeczywistości była PALOMA. A najważniejsze – nie paliła się do tego, by dzielić się tą opowieścią z Andrew.

Sama próbuje rozwiązać swoje sprawy. W apartamencie hotelu na Kazimierzu mogła zostać jeszcze tylko jeden dzień, dlatego natychmiast się zgodziła, gdy Robert zaproponował, by kilka dni spędziła u niego.

Po pierwsze: nie tracić głowy.

Siedziała w fotelu z laptopem na kolanach i pisała ogłoszenia. Właściwie to od godziny poprawiała kilka zdań. Robert włączył wiszący na ścianie telewizor i skakał po kanałach, kiwając się jednocześnie na wielkim łóżku.

– To wodne? – zapytał.

– Mhm – odpowiedziała zamyślona.

Podszedł do niej i zerknął jej przez ramię.

– „Sklep jak sklep”? „Zwyczajne mieszkanie”?

Nie odpowiedziała.

– Może napisz coś łaskawszego?

– To i tak jest bardzo łaskawe. Wierz mi – powiedziała z goryczą.

– Jesteś uprzedzona, bo nie cierpisz tego miasta. Nic ci się tu nie podoba.

– Nieprawda. Spędziłam tu z Andrew weekend, pamiętasz? Parę miesięcy temu. Zaraz po powrocie ze Stanów. Było w porządku. Przez dwa dni chodziłam po mieście i myślałam: nie muszę tu żyć, nie muszę tu żyć. A teraz, cały ten przyjazd to jeszcze jedna próba sił. To zemsta.

– Eee, Kraków się na tobie mści? A wiesz to od tej aktorki ze zdjęcia? Tak ci szepcze do ucha, kiedy zostajecie same?

– Nie gadam z żadną aktorką. Tylko to wszystko jest takie dziwne. Cały czas w tym samym mieście.

– Naprawdę nigdy nie chciałaś wiedzieć, co robi twój ojciec?

Przez dłuższą chwilę milczeli, a potem Marta wstała, nalała sobie niegazowanej wody mineralnej i wypila duszkiem całą szklanę.

– Copacabana – powiedziała. – Byłam pewna, że tam wyjechał. I został na zawsze. Opowiadał mi często, że to najpiękniejsza plaża na świecie.

Przez chwilę obracała w dłoni pustą szklanę, a potem dołała sobie wody.

– A potem w liceum przeczytałam ten kawałek z Herberta: *mówiłem: ojciec jest Sindbadem/i jest mu z nami czasem gorzko.*

– Widziałaś w nim postać z wiersza? – zdziwił się Robert.

– A teraz w końcu odzyskał wolność – stwierdziła Marta. – Leży na Copacabanie i rozmyśla o swoich teoriach. Z piękną i tajemniczą Palomą – roześmiała się głośno i krótko. – Uznałam, że uciekł do niej. Albo że jest hazardzistą. W każdym razie, że robi coś, czemu nie można się oprzeć. Za żadne skarby. Nikt by się nie oparł. A teraz...

– A teraz twoje wyobrażenia trafił szlag – uciął Robert. – Może i dobrze się stało.

– Mówisz jak twój brat.

– Prawda jest lepsza od fałszywych wyobrażeń. Tak jest i już.

– Widziałam sklep i mieszkanie. Widziałam Copacabanę w necie. I wiesz co? Lepsza była Copacabana.

Komórka Roberta zawibrowała. Wyciągnął ją z kieszeni i odczytał esemesa.

– To babcia – powiedział. – Musimy się pomału zbierać. Czeka na nas kolacja.

Marta machnęła ręką.

– Nie musiała robić sobie kłopotu.

– Jakiego kłopotu? Babcia? Żartujesz? Jest ostatnią... daj głośniej.

– Co?

– Głośniej!

Marta odwróciła się w stronę płaskiego telewizora. Na ekranie byli Andrew z Jowitą.

Podkręciła dźwięk.

Siedzieli obok siebie przy długim drewnianym stole w przytulnej kawiarni w stylu francuskim. Tłoczyło się tam sporo ludzi. Panował umiarkowany ruch, toteż co chwilę ktoś przechodził przed obiektywem kamery. Wywiad miał formę niezobowiązującego brunchu. Siedząca naprzeciwko dziennikarka spytała o coś, czego Marta nie dosłyszała.

– Och, daj spokój – odpowiedział Andrew. – Przez miesiąc to mogę się zastanawiać nad wyborem krawatu na gwiazdkowe przyjęcie. Ale zawód wybrałem sobie w dziesięć minut. Usiadłem, zastanowiłem się, co chcę robić, i wiedziałem. Po prostu, jeśli idzie o to, co najważniejsze, człowiek wie, co ma robić. Tylko czasem się boi i zaczyna kalkulować. W tym właśnie momencie pozbawia się całej zabawy, całego funu. A przy okazji – stylu. Ja wierzę w spontaniczność. I ryzyko. Bez tego życie traci smak. Nie można się bać. Nie można kapitulować.

– Więc chodzi o wytrwałość? – spytała dziennikarka.

Andrew nalał sobie wody z karafki, wziął kilka łyków i się zamyślił.

– Tak. Na przykład moja dziewczyna. To wybitna intelektualistka. Ma teorie dotyczące wszystkiego. Imponuje mi jej samozaparcie.

W jednej chwili Marta zrobiła się czerwona.

– Cały czas pisze – mówił Andrew tysiącom obcych ludzi. – Choć na razie nie odnosi żadnych sukcesów w tej dziedzinie. Przeciwnie. Wiesz, ile wydawnictw odrzuciło jej książkę? Dwanaście. Tak, nie przesłyszałaś się. Myślisz, że to ją złamało? Każdego dnia siada przed komputerem i robi swoje. Bo wierzy w to, co robi. Pisz, choć nikt tego nie ceni. Nikt nie czyta. To prawdziwa niezależność. Podziwiam ją za to.

Marta zamknęła oczy. Chciała umrzeć.

– À propos partnerek. Tworzycie z Jowitą bardzo stylowy duet – zauważyła prezenterka. – Aż trudno uwierzyć, że jesteście parą jedynie w pracy.

Jowita uśmiechnęła się powściągliwie.

– Dziękuję. To oczywiście ogromny komplement dla mnie. Andrew to jeden z najbardziej wyjątkowych mężczyzn, jakich znam.

– Przy tak niezwykłej kobiecie każdy zmienia się w kogoś wyjątkowego. Motywacja... – zaczął mówić Andrew, lecz nie dane mu było skończyć, bo Marta wyłączyła telewizor.

Usiadła w fotelu, wzięła na kolana laptopa i wcisnęła „delete”. Wykasowała wszystko, co napisała do tej pory. Zaczęła szybko i zdecydowanie stukać w klawiaturę.

Robert stanął przy niej i zerknął na ekran.

– „Słoneczne, przestronne wnętrza”? Będziesz musiała zrobić zdjęcia.

– Lepiej nie.

– Nikt nie przyjedzie tego oglądać, jeśli nie wrzucisz zdjęć. „Dziesięć minut do centrum”?

Marta nie przerwała pisania.

– Byłby idiotą, gdyby wolał ją od ciebie...

Nie zareagowała. Jakby mówił sam do siebie.

– ...Tylko dlatego, że jakiś „Vogue” uznał ją za jedną z pięćdziesięciu najbardziej stylowych Słowianek?

Stukała jeszcze szybciej i bardziej zapamiętałe.

– ...A „New Yorker” wydrukował cykl jej artykułów o nowych trendach modowych w tej części Europy.

– Właściwie to były dwa teksty – wtrąciła Marta, która jednak doskonale wyłapywała pewne komunikaty.

– Właśnie! Nawet nie cykl. Tylko dwa teksty. Poza tym jest sztuczna. I ma taki duży pieprzyk na lewym uchu – skrzywił się Robert. – A my, Bajakowscy, jesteśmy fetyszystami małżowin usznych.

– Słucham?

– No, ty na przykład masz bardzo ładne. Kształtne, nieduże...

– Robert!

– No co? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że mogłabyś z nią przegrać.

Marta przerwała pisanie i powoli obróciła się w stronę Roberta.

– Bo ma pieprzyk na uchu? Nie przegram z pierdoloną miss stylu, bo ma pieprzyk?

– Jest naprawdę paskudny.

Wyglądała, jakby za chwilę miała wybuchnąć – nie wiadomo było tylko: śmiechem czy płaczem.

– Mówisz do dziewczyny, która przegrała rywalizację z osiedlowym sklepem spożywczym.

Komórka Roberta ponownie zawibrowała.

– Musimy już iść – powiedział.

Marta lubiła jeździć samochodem po zmroku, a teraz, tu z Robertem, było jej tak przyjemnie, że nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby zbczyli nieco z trasy i pojechali trochę naokoło. Na przykład przez Portugalię.

Było pogodnie, silnik szumiał, z radia płynął jazz. Wszystko to razem działało wyjątkowo kojąco. Mijali pojedynczych biegaczy na Błoniach i ludzi na wieczornym spacerze z psem. Marta przymknęła oczy i zaczęła drzemać.

Wybudził ją nieustępliwy pisk komórki Roberta. Zanim wyciągnął telefon z kieszeni spodni, wykonał serię wygibasów.

– Już dojeżdżamy – powiedział z irytacją. – No przecież jedzenie poczeka. E, tak. Jest. Oczywiście.

Podał telefon Marcie.

– Do ciebie.

– Tak? – spytała.

– Nauczysz się w końcu ładować telefon? – odezwał się Andrew.

– Jest naładowany, tylko wyłączyłam, bo znowu dzwonią ci ludzie od komórek. No wiesz, chcę, żebym wybrała jakąś ofertę.

– Nie łatwiej którąś wreszcie wybrać? Albo ich spławić?

Rozważała przez chwilę tę myśl.

– Łatwiej wyłączyć telefon.

– Oczywiście. Jak twoje sprawy?

– Świetnie.

Robert uniósł brwi, lecz powstrzymał się od komentarza.

– Postaram się to ogarnąć w kilka dni – dodała.

Nie sprecyzowała, co wymaga ogarniania. Andrew cieszył się doskonałym zdrowiem psychicznym i życzyła sobie, żeby tak pozostało.

– W porządku – odparł głosem tak nieobecnym, że Marta niczym księżniczka z bajki wyczuła przez czterdzieści kołder niepokojące ziarenko grochu. – Przedłużyć ci rezerwację hotelu?

– Nie trzeba – zapewniła pospiesznie. – Robert powiedział, że mogę się u nich zatrzymać, jak długo zechcę – ostatnie słowa prawie wykrzyczała. – Twój brat bardzo mi pomaga. Jest dla mnie okropnie miły.

– To wspaniale – ucieszył się Andrew. – Naprawdę świetnie. A mogłabyś zostać tam jeszcze trochę dłużej?

Marta przełknęła ślinę. Przez chwilę nic nie mówiła.

– Tak, pewnie tak. Nie wiem. Spytam.

– To świetnie, bo musimy pogadać. A to nie na telefon.

– Okay – powiedziała i się rozłączyła.

Teraz była księżniczką, która dostała tyczką od grochu po głowie.

Robert skręcił w wąską, cichą uliczkę i przejechał jeszcze kilkaset metrów, zanim zatrzymał się przed zieloną bramą z kutego żelaza.

Modernistyczna bryła okazałego domu z lat trzydziestych była zachwycająca. Biała prosta forma

tworzyła nieoczekiwanie piękną rzeźbę. Jediną ozdobę stanowiły okna: ogromne szklane tafle na parterze i piętrze oraz małe okrągłe szyby pod dachem, przypominające iluminatory na jachcie. Całość budziła skojarzenie z nadmorską willą w wytwornym europejskim kurorcie.

Marta miała wrażenie, że za chwilę drzwi się otworzą, na zewnątrz wyjdzie Gatsby i zaprosi ją na partię tenisa, a kelner w liberii poda musujące martini w rozłożystych kieliszkach i kwiczoły nafaszerowane confit z kaczych języków. W rzeczywistości mieszkał tu abnegat w koszulce z Tweetym i stara sekretnica, która nie podałaaby Marcie szklanki wody, choćby ta padała z pragnienia. Poczuli się nieco zawiedziona.

Kiedy chodziła do liceum, willa należała do państwa, a babcia Roberta przyjechała z Ameryki, by walczyć o odzyskanie rodzinnego majątku. Marta widziała panią Tolę tylko kilka razy i ani przez sekundę nie wątpiła, że jej się uda.

Wysiedli z samochodu i Marta pożałowała, że nie wzięła cieńszego swetra. Wieczór był ciepły, niebo rozgwieżdżone. Z sąsiednich ogrodów dochodził gwar rozmów, a w powietrzu czuć było zapach dymu i grillowanego mięsa. Przełknęła ślinę. Nic nie jadła od obiadu. Robert zabrał z tylnego siedzenia samochodu jej torbę podróżną i przeszli przez zapuszczony ogród.

Spodziewała się smakowitych aromatów gorącego jedzenia, lecz dom pachniał drewnem, gnijącymi owocami i dziwnymi ziołami, których Marta nie potrafiła rozpoznać. A może Tola przygotowała kolację na zimno? Kanapki z szynką i serem, sałatkę, deser? Lecz w takim razie – po co ich pospieszała?

Wielką kuchnię oświetlał jedynie księżyc i uliczna latarnia. Wąskimi schodami poszli na górę. Na piętrze Marta zdążyła naliczyć sześć par drzwi. Robert otworzył jedno z nich, zapalił światło i zaprosił Martę do środka.

– No, rozgość się – powiedział i rzucił jej torbę na surowe drewniane łóżko.

– Dzięki. Bardzo tu... – przez chwilę szukała eleganckiego synonimu dla słowa „pusto” – ... przestronnie. Człowiek nie potyka się o różne rzeczy.

Pokój był większy niż salon w mieszkaniu Witka. Stało tam solidne dębowe łóże i właściwie nic więcej. Poza tym pod ścianą ustawiono tylko rząd skórzanych walizek. Wszystkie musiały należeć do Toli. Marta wiedziała, że nie ma tu – i być po prostu nie może – ani jednego bagażu, który Robert przywiózł z Ameryki. Babcia Roberta zawsze traktowała Martę z góry. Nie spodziewała się więc wygód, ale jednak liczyła na coś więcej niż pokutną celę.

– To jedyny umeblowany pokój w domu – napomknął Robert.

– Ach, rozumiem – powiedziała, choć jej mina wskazywała, że jest dokładnie odwrotnie.

– To znaczy oprócz mojego, sypialni babci i salonu. Zawsze śpią tu goście.

Pokiwała głową i usiadła na łóżku.

– Wygodne.

– Zachęca, by przez chwilę odpocząć, i żeby ta chwila nadmiernie się nie przeciągnęła – stwierdziła Tola, która właśnie weszła. – Tak właśnie powinno urządzać się pokoje dla gości.

Marta szeroko otworzyła usta i stała przez chwilę z rozdziawioną buzią.

Piętnaście lat temu Tola była wysoką, chudą damą paradującą w kostiumach Donny Karan. Długo sprawiała wrażenie kobiety w średnim wieku. To wrażenie z pewnością kosztowało fortunę, lecz Bajakowscy nie musieli liczyć się z pieniędzmi. To, co utracili w komunistycznej Polsce, odbudowali w Stanach – częściowo dzięki rodzinie, która wyemigrowała za Atlantyk podczas pierwszej wojny

światowej.

Udało im się przede wszystkim dzięki sile serc, tak w każdym razie twierdził Andrew. Często powtarzał za Henrym Fordem: „Zabierzcie mi cały majątek, tylko zostawcie mi moich ludzi, a ja odbuduję wszystko”. Liczy się tylko charakter i siła serca.

I coś rzeczywiście było na rzeczy.

Nie wiadomo, czy serca Bajakowskich w Ameryce były z jakimś szczególnym entuzjazmem. Z pewnością jednak ich charaktery pozostały niewzruszone. Z Polski wywieźli sporo rodowej biżuterii i coś znacznie cenniejszego, jeśli brać pod uwagę stopę zwrotu – kawalera i trzy panny na wydaniu. Dwa lata po przyjeździe Tola poślubiła asystenta gubernatora – późniejszego republikańskiego kongresmena – którego rodzina trzęsała przemysłem zbrojeniowym. Jej siostra szczęśliwie pokochała pięćdziesięciodwuletniego ordynatora kliniki chirurgii plastycznej. Zaś najstarsza z dziewcząt, urocza i zwariowana Nela, po krótkim romansie z trzykrotnym mistrzem rodeo obdarzyła swymi uczuciami wdowca z Connecticut. Nie miał pięknej muskulatury i dzikiego temperamentu, za to inwestował we właściwe akcje.

Brat zaś zdobył serce córki właściciela sieci sklepów obuwniczych ze wschodniego wybrzeża.

Tak oto dzięki znakomicie ulokowanym uczuciom fortuna Bajakowskich została odbudowana z nawiązką.

Marta mierzyła starszą panią wzrokiem. Nie wierzyła, że można w aż takim stopniu przypominać Winstona Churchilla. Tola – cioteczna babka Andrew i Roberta – była już stara, pięćdziesiąt kilo grubsza, a kaszmirowy kostium zamieniła na obszerne czerwone kimono. Choć bardziej odpowiedni byłby strój do sumo. Marta próbowała nie liczyć jej podbródków, lecz pokusa była zbyt silna. Oto, co to miasto robi z ludźmi, pomyślała.

– Czuj się u nas jak domownik – zaznaczył Robert w odpowiedzi na zaczepne zachowanie babki.

– A skoro już o tym mowa, zejździe na dół, bo kolacja czeka. Okropnie zgłodniałam. Wymyśliłam na dziś kulebiaka z kaszą, serem i miętą.

– Brzmi świetnie. – Marta się uśmiechnęła. – Nie musiała się pani fatygować.

– Fatygować?

– Z pieczeniem kulebiaka.

Dawna Tola nie ruszyłaby w kuchni palcem. Ale widocznie tusza zmienia charakter. Człowiek staje się weselszy i bardziej przyjazny otoczeniu. Poza tym starsze osoby mają naturalną potrzebę dokarmiania innych istot, a Marta odnosiła się do tego powszechnie znanego faktu z wyrozumiałą pobłażliwością.

Babka przyczłapała do Marty, zmrużyła oczy i przyglądała się jej przez chwilę. Powietrze wypełniła dziwna mieszanka zbyt mocnych perfum i zbyt mocnego alkoholu.

– Kiedy mówię, że kolacja czeka, nie mam na myśli tego, że czeka na stole. Czekają na zrobienie.

– Pospieszcie się. – Tola siedziała w części jadalnej za solidnym stołem z surowego, bielonego drewna i niecierpliwie zerkała na zegar. Dolała spory chlust śliwowicy do porcelanowej filiżanki z herbatą i nadgryzła kolejny herbatnik.

Po drugiej stronie kuchni Robert zagniatał ciasto drożdżowe. Marta zaś mieszała ugotowaną kaszę z twarogiem i zastanawiała się, co jej, do cholery, nie odpowiadało w telemarketingu.

– Już prawie jedenasta – ponaglała Tola.

– Będzie gotowe po północy. – Marta była poirytowana. – Czy lekarz pani nie przestrzegał, jak groźna jest...

– ...depresja? Bardzo mnie przestrzegano przed depresją. To obecnie plaga. – Pociągnęła porządny łyk herbaty. – A teraz dodaj cebulę. Za bardzo rozdziabujesz kaszę. Muszą zostać całe ziarna.

Filizankę uzupełniła następną porcją śliwownicy.

– Już dawno po wieczornym dzienniku, a ja jeszcze nie zjadłam nic naprawdę dobrego ani porządnie się nie napiłam. Tak być nie może. Zmarnowałam dzień. Lekarz by się zdenerwował. To się może skończyć depresją. Kasza! – krzyknęła. – Chcesz z niej zrobić marmoladę?!

Marta w milczeniu siekała miętę. Próbowwała się uspokoić, lecz jej myśli bez przerwy krążyły wokół tego, co usłyszała w samochodzie. „Musimy porozmawiać. To nie na telefon”. Trudno uznać te słowa za szczególnie kojące. Dla niej brzmiały zupełnie jak wyrok.

Była pewna, że Andrew przyjedzie do Krakowa tylko po to, by zakomunikować jej, że odchodzi do Jowity – właściwie za każdym razem, gdy otwierał usta, bała się to usłyszeć.

– Przynieś jajka ze spiżarni – zakomenderowała Tola. – Trzeba posmarować ciasto żółtkiem.

– Spiżarni?! – krzyknęła Marta.

– Owszem. To te drzwi za lodówką.

– Spiżarni – szeptała Marta, gdy zbliżała się do niewielkich białych drzwi. – Do spiżarni.

Nim nacisnęła klamkę, jeszcze raz ze zdumieniem rozejrzała się dokoła. Kuchnia osobliwie przypominała Tolę – warta majątek, koszmarnie zapuszczona i kryjąca w sobie kilka ton jedzenia. Zabudowana dębowymi szafkami płynnie przechodziła w jadalnię z dużym stołem, kredensem i szafkami, zaś jadalnia w salon z jeszcze większym stołem, kanapą ze stolikiem kawowym i szafkami z alkoholem.

W chłodnej komórce za drzwiami białe ściany zabudowano od góry do dołu prostymi półkami. Deski ugiwały się od najróżniejszych słoików, puszek, butelek, baniaków i paczek. Z sufitu zwisały sznury suszonych grzybów, pęta kiełbas, główki czosnku i wieńce ostrych papryczek. Marta dopiero po chwili znalazła wytłoczki z jajkami – po drodze potykała się co rusz o stłoczone na ziemi lniane worki wypełnione wieloma rodzajami mąk i kasz, a także baniaki z fermentującymi płynami.

Zakręciło jej się w głowie.

Co się stało z tamtą szczupłą, powściągliwą damą? Jak to możliwe, że zmieniła wyrefinowane życie w coś tak absurdalnego, impulsywnego i bezgranicznie niezdrowego? – Marta nie mogła się nadziwić.

Kiedy tuż przed pierwszą w nocy Robert wyciągnął z pieca blachę i zapach pieczonego ciasta rozszedł się po kuchni, a Tola nalała wszystkim herbaty ze śliwownicą, Martę ogarnęła nagle fala błogości. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio czuła się tak pokrzepiona.

Po zjedzeniu solidnej porcji kulebiaka i wypiciu trzech kolejek aromatycznej herbaty z wkładką, w duchu przyznała Toli rację – jeśli dopadnie ją depresja, to na pewno nie dziś.

– Wyrzuty sumienia? – spytał upiór o dziwnie znajomej twarzy.

Umarłam i jestem w piekle, pomyślała Marta. Przetarła oczy, usiadła na łóżku, rozejrzała się i dotarło do niej, że to ten sam pusty pokój, w którym wczoraj zasnęła. W świetle pochmurnego, późnego poranka dostrzegła, że deski podłogowe nie zostały – jak wczoraj sądziła – pobielone, tylko pokrywała je

warstwa tłustego kurzu. Zastanawiała się też, kto myje te wszystkie ogromne okna. Białe słońce przyniosło odpowiedź: nikt.

Tola pochylała się nad nią i mamrotała coś pod nosem.

– Słucham?

– Mówię, że pewnie dręczą cię teraz wyrzuty sumienia.

Marta potrząsnęła głową. Nie miała pewności, czy na pewno już się obudziła.

– Szczerze mówiąc, niespecjalnie. – Starła się stłumić ziewnięcie.

– Możesz sobie nie zdawać sprawy. To się dzieje w podświadomości. Bycie gościem to nic przyjemnego, prawda?

– Eee... tak?

– Ktoś daje ci coś za darmo, a ty nie możesz się zrewanżować.

– No... – Marta mruknęła pojednawczo. Spała nadzwyczaj mocno, co zawdzięczała bez wątpienia śliwownicy, a liczba dręczących ją dylematów moralnych szacowała na zero.

– Ktoś ofiaruje ci łóżko pod swoim dachem, a ty mu w zamian nic. Koszmar. – Staruszka chwyciła dłoń dziewczyny. – A ja, moja droga, zostałam wychowana w czasach, kiedy dbało się o samopoczucie innych. Zwłaszcza gości.

Zrobiła znaczącą pauzę i spojrzała Marcie głęboko w oczy.

– Więc żeby oszczędzić ci zakłopotania, wymyśliłam, jak możesz się zrewanżować. Zrobisz mi kanapkę.

– Kanapkę?

– I parę innych rzeczy. Nie mogę się cały czas żywić kanapkami, prawda? To byłoby niezdrowe. Wręcz zabójcze.

– Ale kiedy?

– No właśnie. – We wzroku Toli pojawił się wyrzut. – Nie zabraniam nikomu spać, ale kanapka powinna być gotowa godzinę temu.

– Skąd miałam wiedzieć, że chce pani kanapkę?

– Ja się jakoś domyśliłam twojej potrzeby rewanżu. Ty mogłaś się domyślić kanapki. Wstawaj, bo lubię, gdy bekon jest naprawdę dobrze wysmażony. A w międzyczasie pokrój wołowinę na gulasz, bo w tym tempie – obrzuciła Martę krytycznym spojrzeniem – nie wiem, jak zdążysz z obiadem.

– Obiadem? Na co mam zdążyć?

– Przerwy między posiłkami nie mogą być dłuższe niż cztery godziny. To się fatalnie odbija na zdrowiu. No, wstawaj!

W ciągu kolejnych dni, kiedy to Marta rewanżowała się za gościnę, najbardziej zdziwiło ją to, jak często staruszka powoływała się na porady dietetyków. Stosowała się do poleceń ludzi nauki z podziwu godną gorliwością. Na przykład kwestia pięciu posiłków dziennie: jakże skrupulatnie przestrzegała tej liczby! Tyle że zdaniem Toli posiłkiem można określić jedynie coś, co składa się z minimum trzech dań i jest zwieńczone deserem.

– Na starość powinno się prowadzić proste życie – mawiała.

Ograniczała więc swoją aktywność do kilku podstawowych czynności: spała, jadła, upijała się, paliła,

leżała przed telewizorem, oglądając romanse i programy kulinarne. Śledziła też festiwale muzyki country i kilka amerykańskich oper mydlanych. Najbardziej jednak lubiła serie dokumentalnych programów o psach znanych osób. Nigdy nie przegapiła nowego odcinka, często z zainteresowaniem patrzyła na szóstą czy siódmą powtórkę losów jakiegoś mastiffa. Co do Marty, to program wpędzał ją w potworne przygnębienie. Nie mogła uwierzyć, jak wiele psów ma nie tylko znacznie więcej pieniędzy niż ona, ale i wiedzie ciekawsze, bardziej obfitujące w przygody życie.

W piątkowy wieczór, po całym dniu gotowania dla Toli, smażenia dla Toli, pieczenia dla Toli oraz wysłuchiwanie, dlaczego żadna z potraw nie okazała się wystarczająco dobra dla Toli, Marta zaszyła się wreszcie w swoim pokoju. Przyciągnęła stojący pod ścianą kufer podróżny, a następnie ustawiła przy łóżku, by pełnił rolę stolika nocnego. Wyciągnęła z torby zdjęcie Trumana Capote i postawiła je na prowizorycznym skórzanym blacie. Potem wyjęła wydruk *Leprechauna z kromlechów Lisseyviggeen*. Przez chwilę przerzucała kartki. Każda z siedmiuset stron wydruku została tak pokreślona czerwonym długopisem, że trudno było odczytać oryginalny tekst. Większość marginesów pokrywały uwagi krytyczne, znaki zapytania i wykrzykniki. Sarkastyczny e-mail od #OPKO z sugerowanymi zmianami („ich wprowadzenie nie gwarantuje wydania”) liczył trzydzieści dwie strony.

Chciała płakać.

Kiedy zaczęła pisać tę powieść w nowojorskim mieszkaniu Andrew, poczuła, że znalazła to, za czym tęskniła przez całe życie. Czasem świt zastawał ją nad klawiaturą, a ona zerkała obojętnym wzrokiem na pierwsze promienie słońca i wracała do pracy. Nic sobie nie robiła z bólu pleców i drętwiejących nadgarstków. Miasto tętniło życiem, sztuką i okazjami. Okazjami przelatującymi szybko jak bagaże na lotniskowej taśmie. Bawiła się, kochała i pisała. Zmarnowała już tyle czasu i nie miała ochoty na ani jedną bezcelową godzinę więcej. Mocno wierzyła, że tak już zawsze będzie wyglądało jej życie. Pisanie, Andrew, Nowy Jork.

Na Manhattanie można uwierzyć we wszystko.

Teraz po pięciu minutach tępego wpatrywania się w pierwszą stronę książki jej krtań zaczęła boleśnie się zaciskać.

Nie miała pojęcia, od czego zacząć.

Kuchnia! Nic nie mogę tam znaleźć. Jeden wielki syf. Trzeba tam zrobić porządek. – Odłożyła maszynopis i zeszła na dół.

Przez cały weekend myła okna, granitowe blaty i parkiety, szorowała zapomniane rondle i patelnie, prała stopy lnianych ścierek, bieżników i obrusów, segregowała naczynia, polerowała sztuce, czyściła piekarnik, kuchenkę i lodówkę, przede wszystkim jednak wyносиła do śmieci tony butelek, puszek, zepsutego jedzenia, niedziałających sprzętów. Ta kuchnia była jak czarna dziura: trudno zliczyć, ile materii wessała. Marta otwierała szafkę, którą – mogłaby przysiąc – skończyła sprzątać przed godziną, a z jej wnętrza wysypywały się stopy torebek i tekturowych pudełeczek. Przyprawy z państw, które zniknęły już z mapy świata, oklejone cenami w nieistniejących od lat walutach.

– Czy nie myślała pani, żeby zatrudnić kogoś do pomocy? – spytała w sobotni poranek Marta, gdy smażyła dla Toli omlet cesarski.

– Robisz to za szybko! – Tola zerknęła na zawartość patelni. – Dodaj masła. Strasznie go pożałowałaś. I czemu nie przygotowałaś sobie konfitury? Omlet wystygnie, gdy będziesz jej szukać.

Zamyśliła się.

– Do pomocy? Przychodziła tu taka jedna, ale miała problemy z komunikacją. Parszywe czasy.

– Nie znała polskiego?

– Znała. Po prostu nie rozumiała, czego od niej oczekuję.

– A pani? – Marta poczuła, że powinna ująć się za nieznaną dziewczyną. – Czy pani znała jej oczekiwania?

– Owszem – odparł Robert, który właśnie wszedł do kuchni. – Dusia wyrażała życzenia niezwykle precyzyjnie: „W dupę se wsadź to swoje al dente, popierdolona starucho”. Tak powiedziała na pożegnanie.

– Czemu nie znalazła pani kogoś innego?

– Przed nią było siedemnaście innych – westchnął Robert.

– I co?

– Wszystkie miały problemy z komunikacją.

– Prawdziwy pech. – Marta pokiwała głową.

Tola wzruszyła ramionami.

– Przecież mówię: parszywe czasy.

– A w Stanach?

– Aurelia Aureola. – Tola wzniosła oczy do góry i głośno westchnęła jak ktoś, kto wspomina wyjątkowo namiętny i zarazem wykańczający romans. – Siedem razy Aurelia Aureola mnie porzuciła. I siedem razy wracała. W sumie była u mnie dwanaście lat. Każdego dnia przeklinała mnie i tę robotę. Nauczyłam ją piec perfekcyjnie, a kiedy ja mówię „perfekcyjnie”, to mam na myśli fakt, że wyrwana z łóżka o czwartej nad ranem z zawiązanymi oczami potrafiła zagnieść najlepszą brioszkę w Nowym Jorku. Dziś cały Manhattan kupuje brioszki u Aurelii Aureoli.

Marta zakończyła szaleńczy maraton porządków w poniedziałek nad ranem. Położyła się do łóżka, dopiero gdy zaczęło świtać, i spała jak dziecko przez cały dzień. Kiedy się obudziła, do pokoju wsączały się czerwone promienie zachodzącego słońca. Andrew siedział na skraju łóżka i potrząsał delikatnie jej ramieniem.

– Andrew! – Poderwała się, usiadła i gwałtownie przyciągnęła go do siebie. Przez chwilę trzymała go z taką siłą, jakby niespodziewanie wrócił po latach wojennej tułaczki, gdy już dawno uznano go za zmarłego. – Co ty tu robisz?

– Porywam cię.

– Strasznie bym chciała, ale wszystko się skomplikowało. Tak trochę. I muszę zostać jeszcze kilka dni, ale potem zaraz...

– A, nie, nie. – Wyswobodził się z jej ramion. – Porwę cię na chwilę. Potem musisz tu zostać.

– Dlaczego? – spytała i przycisnęła poduszkę do brzucha, jakby była tarczą chroniącą przed ciosem.

– Mam niespodziankę.

– Nie – jęknęła. – Błagam, nie. Żadnych niespodzianek.

– Nie martw się. Wstań. Zaraz pójdziesz pod prysznic, ale teraz chodź.

Wyszła z łóżka i włożyła szkła kontaktowe. Andrew stał pod ścianą z niesamowicie dumną miną. Niczym iluzjonista cylinder, wskazywał ręką na długi wieszak, na którym prezentowały się dziwaczne stroje: koszule z jednym, absurdalnie bufiastym rękawem, szerokie, cienkie płaszcze o kroju szlafroka,

długie, proste czarne sukienki o staroświeckich, zabudowanych pod szyję górach i niespodziewanie współczesnych minidolach, wyszywane falbanami bluzki doszyte do wąskich, męskich spodni. Wieszak wyglądał jak rekwizyt z teatralnej garderoby. Obok stały dwie walizki, a na nich przytargane z przedpokoju duże owalne lustro w mosiężnej ramie.

– Kombinowałem, jak cię wprowadzić do poradnika o stylu. A że właściwie nie masz żadnego stylu...

Marta szerzej otworzyła oczy.

– To znaczy, jesteś bardzo inteligentna. Oczywiście – dodał gorliwie. – I masz potencjał. Potrzebujesz tylko czegoś, co cię do końca określi. No, podejdz.

Zbliżyła się do wieszaka. Andrew zachęcił ją gestem, żeby przyjrzała się ubraniom.

– Ten tekst Jowity o sukience Dagny, to znaczy kopii jej sukienki. To było genialne. Będziesz cyganerią.

– Czym?

– Cyganerią. Krakowską bohemą.

Marta miała wrażenie, że się przesłyszała. Andrew wydawał się za to rozemocjonowany.

– Myślałem: co do niej pasuje? Jakoś nic nie pasowało. A teraz – pstryk. Wszystko się zgadza. Przecież to wspaniałe, nie?

Marta z wahaniem dotknęła śliskiego materiału płaszcza.

– To, oczywiście, tylko na początek. Jowita dogadała się z Topolą, jej nowa kolekcja będzie o krakowskiej cyganerii. Tylko potrzebuje więcej czasu, więc resztę ciuchów podeśle ci kurierem.

– Topolą? – Marta była zdumiona.

– Nie wścieka się już na ciebie, Jowita z nią pogadała. A wiesz, jak ona potrafi przekonywać.

– Topola się na mnie nie wścieka? Ona na mnie?

– Przymierz. – Przyłożył jej do twarzy ascetyczną białą bluzkę z niespodziewanie bufiastymi rękawami. – Bardzo dobrze. I do tego džinsy, żeby nie wyszło zbyt teatralnie. Trzeba zachować umiar. Tak, z džinsami będzie świetnie.

Marta w milczeniu ściągnęła piżamę i włożyła bluzkę. Miała wrażenie, że Andrew patrzy na nią jak wtedy, gdy zaczęli się spotykać, że odkrywa ją na nowo.

– Wiesz co? Znam się na tym. To będzie hit. A teraz idź się umyj, bo zaraz musimy wychodzić.

– Dokąd?

– Na spacer po mieście. I kolację. Musimy się spieszyć. Po ósmej będzie fotograf.

Stanął za nią, odgarnął włosy z jej karku i pocałował w szyję.

– Leć pod prysznic. Albo chodźmy tam razem.

Zjedli doskonałą gicz jagnięcą we francuskim bistro na Kazimierzu i popili wytrawnym cydrem. Wspominali wakacje w Nowym Jorku, śmiali się ze znajomej dziennikarki i omawiali nawyki żywieniowe Toli. Andrew uważał, że babka – wbrew temu, co sama sądziła – popada w coraz większą depresję. Zupełnie przestała radzić sobie z bólem, alkoholizmem i otyłością. Miał nadzieję, że może Marcie uda się ją namówić na powrót do Nowego Jorku.

– Jej mąż nie żyje. Dlaczego musi wracać?

– Ma tam dzieci. Rodzinę. Zobowiązania wobec lokalnej społeczności. Tola przewodziła wielu organizacjom. Wszyscy pytają, co się stało. Poza tym, pobyt tu niezbyt jej służy, prawda? – Andrew się uśmiechnął. – Póki żył dziadek, pilnowała się. A teraz... Spraw, żeby wróciła, a moja rodzina cię pokocha.

Po kolacji kręcili się chwilę po placu Nowym, a potem usiedli przy stoliku wystawionym na zewnątrz jednej z kawiarni. Zamówili butelkę burgunda. Marta bez przerwy szukała dłoni Andrew. Bała się, że czar pryśnie, a ona obudzi się sama w pustym pokoju. Przez cały weekend dręczyły ją złe przecucia. Właściwie ostatnio w ogóle nie miewała już dobrych przecuć. Czasami tylko bała się mniej. A teraz, nieśmiało, zaczynała się w niej tlić znów krucha nadzieja.

Kiedy opróżnili butelkę i uregulowali rachunek, było już ciemno. Andrew wziął Martę pod rękę i poszli w stronę białej dorożki stojącej nieopodal.

– Serio? – spytała rozbawiona winem Marta. – Chcesz jechać dorożką?

– Nie uśmiechaj się tak szeroko – upomniał ją. – Bo przypominasz hostessę. Fotograf stoi za tamtą latarnią. Chcemy podkreślić, że jesteś melancholijna i zamyślona.

– Czemu machasz na dorożkarza? Nigdzie się nie wybiera.

– On wie, że ma czekać. Ale to musi wiarygodnie wyglądać na zdjęciach. Wychodzimy z knajpki i łapiemy dorożkę zamiast taksówki.

Andrew pomógł Marcie wsiąść. Usadowił się obok niej.

– W stronę Małego Rynku, byle nie za szybko – zwrócił się do siedzącego na koźle tyczkowego chłopaka w cienkich okularach, przypominającego raczej studenta pierwszego roku teologii niż fiakra.

– To nie jest wiarygodne – powiedziała. – Poza turystami nikt w Krakowie nie łapie dorożek.

– I o to chodzi. – Andrew objął Martę ramieniem i odgarniał z jej twarzy włosy. – Gdybyśmy byli turystami, dorożka byłaby tandetna. Ale mamy tu swoje korzenie, jesteśmy na prawach mieszkańców. Dlatego to oryginalne.

Nie przekonało to Marty. W milczeniu wsłuchiwała się w miarowy stukot kopyt. Jechali właśnie po bruku ulicy Szerokiej, mijali turystów, zakochane pary i grupy młodzieży szukające imprezy. Niektórzy przyglądali się dorożce, przez co Marta czuła się jak statystka w historycznej inscenizacji. Albo jak teatralny rekwizyt.

– Dorożka? To przecież takie sztuczne.

– Kojarzy się z Krakowem.

– To klisza.

– I bardzo dobrze. Chodzi o symbol.

– Niezbyt oryginalny symbol.

– Takie właśnie są symbole. O co ci chodzi?

Wzruszyła ramionami i wtuliła się mocniej w jego szary sweter z cieniutkiej wełny pachnący grejpfrutem i piżmem. Tak bardzo chciała wrócić do domu.

– A nie mogłabym być cyganerią w Warszawie? Będę nosić, co tylko zechcesz, co tylko Topola...

– To ma sens tylko tutaj.

– Nie czuję tego. Cała ta krakowskość. To do mnie nie pasuje.

– Pasuje, pasuje. O czym pisałaś pracę magisterską?

Zmarszczyła brwi.

– A co ona ma do tego?

– Dagny Juel Przybyszewska – powiedział Andrew tonem psychoterapeuty, który po dziesięciu latach terapii dokopał się wreszcie przyczyny nocnych koszmarów. – To było bardzo osobiste.

– Ta praca opowiadała o tym, jak przyjazd do Krakowa doprowadził Dagny do śmierci. W myślach nazywałam ją *Miasto, morderca kobiet*. Tak, była osobista.

– Właśnie – ucieszył się Andrew. – Przecież mówię. Ona cię zawsze fascynowała. To o czymś świadczy, nie? Jej związek z Przybyszewskim...

– Bo był zupełnie chory.

– I ty w tym wszystkim. Bez rodziny, bez korzeni, nocne życie, pisanie, dziecko filozofów i podróżników.

Marta przypomniała sobie wewnątrz PALOMY i mieszkanie ojca, rutynę i nieznośną jałowość obrastającą jego życie, tydzień po tygodniu, rok po roku.

– To nie do końca tak – odparła oględnie, ponieważ wolała oszczędzić mu szczegółów.

– I ta twoja książka, dziwna i niezrozumiała.

– Jezu, Andrew! To kryminał! – krzyknęła tak głośno, że dorożkarz odwrócił się, by sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku. – Jak może być niezrozumiała? Poprawię niejasne fragmenty.

– I jest wydawca.

– Kto?

– Mój wydawca.

– Przecież on nie wydaje powieści. – Marta starała się opanować ogarniające ją podniecenie.

Marcin Pollek wydawał lifestylowe pismo „Tyle Stylu”, lifestylowe poradniki oraz był producentem lifestylowych programów, w tym Kwestii Stylu Andrew Bajakowskiego.

– Spodobałaś mu się jako Dagny. Uważa, że to świetny pomysł. Oryginalny i świeży.

– Książka?

– Ty. Posiedź tu trochę. Przypilnuj, żeby babcia za dużo nie jadła, a Robert z kimś gadał. Załatwimy ci kilka ustawek.

– Wolałabym nie. Z tym spadkiem, widzisz, wszystko się trochę skomplikowało.

– No to świetnie. – Uśmiechnął się szeroko. – Akurat będziesz miała czas, żeby to załatwić. Poza tym – wskazał ręką otaczające ich kamienice na Starowiślniej – nie mów, że nie tęskniłaś.

Boże, daj mi cierpliwość, bo zaraz zacznę wrzeszczeć, pomyślała. Przygryzła wargi i starała się głęboko oddychać. W Krakowie umarła moja matka, ojciec odszedł w siną dal, najdłuższy związek to prześladowający mnie świr, spędziłam dzieciństwo na filozoficznej analizie obuwia Kopciuszka. A on mi mówi, że musiałam tęsknić!

– Chcę wracać do Warszawy – powiedziała cicho. – Za każdym razem, kiedy tu jestem, spotyka mnie coś strasznego.

– Marta...

– To miasto zawsze mi kogoś zabiera. Zawsze. A teraz nie został już nikt.

Milczała przez chwilę.

– Tylko ty – wyszeptała.

Zbliźali się właśnie do zaskakująco wyludnionych Plant. Światła latarni rozmazywały się w lekkiej mgłę. Andrew posłał Marcie kojący uśmiech rodzica, który upewnia dziecko, że pod szafą nie ma potwora.

– Nigdzie się nie wybieram. Posiedź tu. Kraków to świetny materiał. Ma duszę. Jeśli tylko odpowiednio go obrobić.

Znów odgarnął kosmyk z jej czoła i pogłaskał po policzku. Nie uśmiechnęła się.

– Jeśli coś ma duszę, to nie poddaje się obróbce. Może zacząć obrabiać ciebie.

Przez chwilę patrzył jej w oczy.

– A wiesz, to bardzo mądre. Możemy z tego zrobić nagłówek do tych zdjęć.

Gdy się obudziła, Andrew, po drugiej stronie łóżka, pracował już na laptopie. Zdążył się spakować, wziąć prysznic, włożyć dzinsy, koszulkę polo z błękitnego jedwabiu i zrobić sobie espresso. Popijał je, nie odrywając wzroku od monitora. Co za entuzjazm! I to przed siódmą rano! Całkiem prawdopodobne, że zdążył też pobiegać, zjeść pełne witamin i minerałów śniadanie, przeczytać kilka motywujących sentencji, zrobić plan dnia, tygodnia i reszty życia. Kto wie, może nawet odmówił modlitwę.

Podobno, żeby utrzymać wysoką temperaturę w związku, trzeba stale, wzajemnie się nakręcać. Ciekawe, jak miałyby mocniej nakręcić Andrew Bajakowskiego?

Elektrowstrząsami?

Ziewnęła.

Chętnie pospałaby jeszcze trochę. Świat zdawał się pytać: „A jaka jest twoja wymówka?”. W obliczu wirującej w powietrzu energii poczuła, że ma moralny obowiązek otworzyć oczy.

Andrew zauważył, że się przebudziła, i pocałował ją w czoło.

– Załóż szkła – powiedział i wyszedł.

Po chwili wrócił z filiżanką kawy i podał ją Marcie. Usiadł obok z laptopem i przeglądał zdjęcia z wczorajszego wieczoru. Zaczerwieniła się. Zawsze czuła zażenowanie, gdy patrzyła na siebie na fotografiach.

Dobrze wypadła tam, gdzie była tłem dla Andrew. Stojąc za nim albo wtulając się w jego ramię, miała w sobie coś z Dagny: lekki chaos na głowie, oryginalną bluzkę, równie mgliste spojrzenie (w przypadku Marty efekt wypitego na Kazimierzu wina). Za to na samotnych, wyraźnych fotografiach przypominała nieco zużytą miotłę.

– A nie mówiłem? – uśmiechnął się Andrew. – Przecież to świetne. Te ciuchy leżą na tobie jak druga skóra.

– Mam to nosić bez przerwy? – Odrobinę przerażona wskazała na wieszak z kolekcją od Topoli.

– Na pewno do sesji. Dam ci znać, kiedy będzie następna ustawka. A poza tym noś, co chcesz. – Andrew zamyślił się. – Choć byłoby świetnie, gdybyś je nosiła na co dzień. Mogłabyś się wczuć w styl...

– W takim razie do sesji. – Odetchnęła.

– Może następny poradnik napiszemy razem, co? O byciu współczesnym boho. Boholokalsem. Też mam przecież krakowskie korzenie. Pomyśl, jesteśmy współczesną wersją artystów, którzy odmienili styl tego miasta.

No, no. My jesteśmy! – pomyślała. Już nie utalentowany Andrew i Dziewczyna Która Się Stara. My! Para artystów!

Postanowiła przymknąć oczy na fakt, że *Leprechauna z kromlechów Lisseyviggeen* odrzuciło każde wydawnictwo w kraju, włącznie z #OPKO. Nie przestawała jej też zadziwiać zdolność Andrew do natychmiastowego utożsamiania się z aktualnie głoszonymi ideami. Jeszcze wczoraj roztrząsał, czy podczas toastu na przyjęciu kieliszki powinny o siebie stuknąć, czy może należy pozostać przy symbolicznym muśnięciu szkła o szkło. Dziś odkrył w sobie Przybyszewskiego.

– Tylko uważaj na dziennikarzy – ostrzegł.

– Przecież im płacisz, żeby pisali o nas dobrze.

– A czytelnicy gazet płacą im za to, żeby szukali sensacji. Ci ludzie biorą od wszystkich, a potem drukują, co chcą. Poza tym, sponsorowane teksty pociągają za sobą niesponsorowane. Nie mogę opłacić wszystkich – w jego głosie zabrzmiała nutka żalu.

– Andrew, mówiłam ci już. Mam trochę kłopotów.

– Więc je rozwiąż – odparł zirytowanym głosem. – Jesteś dorosła. Zająłem się wszystkim. Będziesz miała swoją książkę. Swój sukces. Masz tego po prostu nie schrzanić. Rozumiesz?

Kiwała głową jak upomniana uczennica. Znów przed oczami stanęło jej wnętrze PALOMY, tipsy Sabiny i jej beznadziejnie ufny wyraz twarzy.

Andrew spojrział na zegarek, schował laptop do torby i szukał wzrokiem bagażu.

– Nie wiem, od czego zacząć – Marta powiedziała z wahaniem.

– Od najtrudniejszego. Potem pójdzie z górki. Jezu, po prostu masz pokazywać się w odpowiednich strojach, w odpowiednich miejscach, z odpowiednimi ludźmi. To chyba nie jest specjalnie skomplikowane, co?

W odpowiedzi usłyszał nieokreślone westchnienie, które wziął za przytaknięcie.

– Zaplanuj pierwszy krok. I zrób go. A potem kolejne, jeden po drugim. To cholernie proste. Tylko nie zacznij dzielić włosa na czworo, okay? Błagam, obiecaj, że tym razem tego nie zrobisz.

Zerknął na zegarek, chwycił bagaż i przysunął się do Marty. Kiedy nachylał się nad nią, zbliżyła usta do pocałunku, lecz Andrew chwycił delikatnie zębami jej ucho i pieścił przez chwilę małżowinę, pomrukując cicho z zadowolenia.

– Wspaniale – rzucił bardziej do siebie niż do niej. – Aha. I nim zajmiesz się swoimi sprawami, idź do kuchni. Babcia mówi, że obiecałaś upiec szarlotkę. Choć możesz o tym nie pamiętać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Żadnego dzielenia włosa na czworo. Przed zrobieniem sesji zdjęciowej mieszkanie wymagało gruntownego odświeżenia. Trzeba też było podjąć decyzję w sprawie Sabiny. Nic nie stało jednak na przeszkodzie, by spróbować opchnąć sąsiadom udziały w sklepie lub przynajmniej wybadać rynek.

Marta stała właśnie przed witryną PALOMY i małymi plastikowymi nożyczkami odcinała kawałki taśmy klejącej, gdy zauważyła w szybie odbicie postaci chłopaka, który dość bezceremonialnie w nią się wpatrywał. Znieruchomiała.

Dżinsy, koszulka, glany – cały na czarno siedział na neonowozielonym rowerze niczym kruk przynoszący okropne nowiny. Do tego wyraźnie zagniewany. Trudno jednak było zgadnąć, czy to gniew wymierzony w Martę, czy w całą ludzkość. Wyglądał na licealistę, który rzucił szkołę, by czytać wiersze Wojaczka, pić wódkę i popełnić samobójstwo.

Marta powoli odwróciła się w jego stronę. Przez chwilę mierzył ją wzrokiem i usilnie chciał pokazać, że nie okaże litości. Jego image rujnował jednak trądzik i sypiący się dopiero wąs.

A potem po prostu odjechał.

Co to, kurwa, jest? – myślała wściekła. Kolejny zaginiony brat? Narzeczony nieznannej siostry? Czy teraz każdego dnia będę spotykać coraz dziwniejsze egzemplarze i wszyscy, po kolei, zaczną okazywać się członkami rodziny i czegoś od mnie chcieć?

Jak tylko skończyła naklejać ogłoszenie, ze sklepu zaczął dobiegać odgłos przesuwanych mebli.

Nacisnęła klamkę, ale było zamknięte.

Zapukała.

Cisza.

Wyciągnęła klucz i otworzyła drzwi. Weszła do środka.

– Halo! – zawołała, lecz nikt nie odpowiedział.

Przez chwilę miała wrażenie, że się przesłyszała.

Zrobiła jeszcze jeden krok i nasłuchiwała... Zaplecze! Jasne, jak mogła zapomnieć. Sklep musiał mieć zaplecze. Podniosła ladę, przeszła na stronę sprzedawcy, rozsunęła brudnoczerwoną kotarę i przeszła na tyły.

Jednego Marta nie mogła ojcu odmówić: stylistycznej konsekwencji. Zaplecze w chorobliwym odcieniu żółci było większe, niż się spodziewała po rozmiarach budy – zawalone gratami, zapasami, biegnącymi po ścianach rurami i nie wiadomo co łączącymi kablami, świetnie współgrało z klimatem zarówno części sklepowej PALOMY, jak i mieszkania właściciela. Jedną ze ścian zajmował nieużywany od lat, okopcony piec ceramiczny. Prócz niego stał tu też nowocześniejszy piec konwekcyjny, zamrażarki, drewniane skrzynki, proste biurko z laminowanej płyty, a także duży roboczy blat pokryty mąką i strzępkami ciasta.

I właśnie przy tym blacie stała Sabina i ocierała łzy.

Narzuciła biały męski fartuch na małą mini z lśniącej czarnej skóry i lamparci top opinający ogromny brzuch. Miała na nogach te same buty co w dniu pogrzebu. Tusz do rzęs spłynął jej po policzkach, a szminka rozmaszała się w kącikach ust. Twarz pokrywały białe plamy. Mąka zmieszana ze łożami utworzyła coś w rodzaju ciasta solnego. Wyglądała na ofiarę sadystycznego cukiernika w niemieckim filmie porno.

– Ej, co jest? – zdziwiła się Marta.

Sabina przygryzła wargę, brudząc górne jedyńki różowym błyszczkiem. Ruchem ręki wskazała na stos piętrzących się na biurku segregatorów, zeszytów, teczek i luźnych kartek. Zakryła usta, żeby zatamować nadchodzącą falę głośnego szlochu.

– Nie. Tylko nie zaczynaj. Pokaż to – powiedziała Marta.

– Rachunki – załkała dziewczyna. – Dostawcy, zwroty, podatki, kontrole.

– Przecież to sklep.

– Wiem. Ale tego jest tyle....

– Po co tu w ogóle przysłaś?

– Zgłodniałam.

– Chcesz zawiadomić urząd skarbowy, że weźmiesz pierniczka?

– Nie mogę niczego wziąć. To nie moje.

– Częstuj się.

Sabina machnęła dłonią na znak protestu.

– Aha. Nie możesz wziąć batonika, ale chcesz go sprzedać i wziąć za to pieniądze? Czy tak? To będzie okay?

– Ekspedientki biorą pieniądze za to, że sprzedają towar.

– Od ludzi, którzy je najpierw zatrudnili. To dość ważny element układanki.

– Kacper na pewno tego by chciał.

– Więc niech się zjawi i nam to powie.

Sabina odgarniała blond włosy z czoła i patrzyła na swoje imponujące tipsy, żeby dać sobie chwilę do namysłu.

– Przecież to się wszystko popsuje. Nie można tak marnować jedzenia. Ela mówiła, że pan Witek nie miał oszczędności na koncie. A dostawcy czekają na pieniądze.

Marta zacisnęła powieki. Nie pomyślała o tym wcześniej. Sklep przynosił chyba jakieś dochody. Jeśli nie wpływały na konto, co mogło się z nimi dzieć? Może ojciec schował je gdzieś w domu? Lecz co, jeśli nie uda się nic znaleźć? Musi przecież spłacić dostawców, opłacić rachunki za sklep, a także za mieszkanie. Spojrzała na blat cały ubrudzony mąką i rzucił się jej w oczy kawał fabrycznego ciasta, z którego wykrojone zostały jakieś dziwaczne, nierówne kształty.

– Zamierzałaś piec? – spytała Sabinę.

– Jak? – dziewczyna rozłożyła ręce. Podeszła do biurka i wyciągnęła poślisk kartkę w przezroczystej koszulce. Zaczęła czytać:

– „Przeprowadzić parowanie? Włączyć zapalniczkę? Wcisnąć pokrętło, przekręcić je do pozycji zapłonu palnika?”

Marta zerknęła jej przez ramię. Pokręciła głową.

– Nie. To instrukcja tego dużego pieca. Ceramicznego. Nikt z niego nie korzysta. Piecze się chyba w tym – wskazała palcem na piec konwekcyjny: taki, jakie można spotkać w każdym markecie. – A właściwie to raczej się podgrzewa mrożone bułki i chleby.

Na twarzy Sabiny pojawił się cień nadziei, lecz gdy dziewczyna zbliżyła się do pieca konwekcyjnego i dokładnie go obejrzała, znów popadła w przygnębienie.

– Termostat bezpieczeństwa – odczytała napis na nalepce, po czym podsunęła sobie podniszczony niski taboret, usiadła pod piecem i objęła głowę rękoma.

Marta westchnęła.

Jakaż była naiwna, sądząc, że skoro dostała spadek, to zrobi z nim, co zechce. Czy naprawdę liczyła, że Kraków sprawi jej bezinteresowny prezent? Poczła się jak dziewczynka, która wsiadła do samochodu miłego, starszego pana i zaczyna właśnie podejrzewać, że wcale nie jadą do fabryki czekoladek z nadzieiem truskawkowym.

Po co tu przyszła? Oczywiście, miała zrobić pierwszy krok. Ten najtrudniejszy – jak radził jej Andrew – a potem następne. I nie dzielić włosa na czworo. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że bierze Sabinę za fraki i wyrzuca za drzwi. A na koniec z uśmiechem na twarzy otrzepuje ręce. Nie rozwiązałyby to może wszystkich jej problemów, ale rozwiązałyby problem Sabiny. Kusząca perspektywa.

I wtedy zobaczyła królika. Główka maskotki wystawała z lakierowanej torby nabijanej ćwiekami, która leżała na biurku. Marta mogłaby przysiąc, że guzikowe oczka gapią się na nią z wyrzutem.

Na tym polegał kłopot z Sabina. To było coś takiego jak słynny rysunek, który jednocześnie przedstawia starszkę oraz młodą dziewczynę – w zależności od tego, jak się na niego patrzy. Sabina przez cały czas wyglądała jak młodziutka gwiazda zapasów w kisielu. Nagle jednak, kiwając się na tym paskudnym taboreciku, dosłownie w ciągu jednej sekundy zmieniała się w szczeniaczka, który rozpaczliwie próbuje znaleźć drogę do mamy.

Stop, stop! To właśnie od wiecznego roztrząsania takich kwestii Marta bez przerwy pakowała się w kłopoty. Wiedziała jedno: przyszła tu, by rozwiązać problem. Absolutnie, pod żadnym pozorem nie powinna pozwolić, by Sabina zbliżała się do czegokolwiek w sklepie choć na sekundę. Bo zaczynała snuć plany i roić sobie jakieś bzdury.

Ale ten idiotyczny królik...

Marta zaczęła się kręcić po zapleczu, przeglądając kartki z recepturami. Otwierała każdą szafkę, pospiesznie lustrując zawartość i przechodząc do następnej. Po chwili wyciągnęła dwulitrowy słoje, po brzegi wypełniony gęstą ciemnożółtą substancją. Podeszła do dziewczyny.

– Wstań i dokończ ciastka – powiedziała. – Żle je skręcałaś. Ma wyjść wiatraczek.

– Wiatraczek? Jaki wiatraczek?

– A skąd mam wiedzieć? Tu masz instrukcje, z obrazkami. I nadziej je tym.

Podła jej słoje z napisem „Koncentrat morelowy”. Sabina podniosła się i podeszła do blatu. Marta otworzyła drzwiczki chłodni i wyciągnęła dwie paczki z surowymi, lecz fachowo uformowanymi kajzerkami.

– No, są i bułki – mruknęła pod nosem. Stała przy piecu konwekcyjnym i zaczęła mu się dokładnie przyglądać.

Po piętnastu minutach bluzgania lampki wreszcie się zapaliły. Żółte światło rozgrzewało nie tylko

wnętrze pieca, ale i powietrze wokół. Marta odruchowo wachlowała się dłonią. Gdy zgasła zielona lampka, można było zacząć piec.

Sabina przyniosła ciastka ułożone starannie na natłuszczonej blasze. Zerknęła na nie podejrzliwie. Bardziej przypominały swastyki niż wiatraki.

– To nic. To tylko próba. Przynieś resztę.

Po chwili obie miały czoła mokre od potu, lecz mimo to nie odeszły na krok od gorącej maszyny.

Bez słowa wpatrywały się w puchnące słodkości. Pod wpływem temperatury ciastka zdeformowały się jeszcze bardziej i choć teraz zupełnie już nie przypominały wiatraków, to przynajmniej nikt im nie zarzucił szerzenia nazistowskiej ideologii.

Ding-dong. Dzwonek!

Przez chwilę patrzyły na siebie i próbowały sobie przypomnieć, co ten dziwaczny sygnał ma z nimi wspólnego.

– Idź – nakazała Marta. – Masz klienta.

Sabina się zawahała.

– No idź.

Dziewczyna przejrzała się w nieco już zaśniedziałym lusterku, poprawiła włosy, starła z policzków tusz i mąkę, odchyliła kotarę i wyszła. Marta usiadła przy biurku i wzięła do ręki pierwszy z brzegu segregator. Jak duże obroty miał sklep? Czy ojciec zostawił jakiś majątek? Wolno przewracała kolejne kartki. Starła się zgłębić biznesowe tajemnice PALOMY, lecz zestawienia w kolumnach i tabelach przypominały raczej wielostronicowy szyfrogram.

Ding-dong! Znow ktoś wszedł do sklepu. To oznaczało, że interes kręcił się nie najgorzej. A jeśli jeszcze skończą budować to nowe osiedle...

Jej rozmyślenia przerwał wrzask Sabiny.

– Proszę pana!

Marta skuliła się z przerażenia. Nie przypuszczała, że ludzki głos może wyrazić taką dawkę protestu. Naraz zrobiło się cicho.

– Proszę pana! – dziewczyna krzyczała jeszcze głośniej.

Podeszła do kotary, rozchyliła ją delikatnie i zobaczyła, że Sabina znika za drzwiami.

Spanikowała, poszła jednak za nimi. Ciało stawiało opór, lecz rozsądek podpowiadał: sprawdź, co się dzieje.

Czy coś groziło Sabinie? Czy ojciec miał wrogów? A może chodziło o Kacpra?

– Proszę pana! – znow ten krzyk.

Przechodnie byli zdumieni widokiem skąpo ubranej dziewczyny w ciąży, która wymachuje ręką i podskakuje jak kundelek. Marta sięgnęła po okulary słoneczne.

– Co ty robisz? – szepnęła.

– Pomylił się – odpowiedziała Sabina, wskazując ręką jarzębinową aleję na końcu osiedlowej uliczki. Postać na rowerze była już daleko, lecz czarne ubranie, przygarbiona sylwetka i neonowozielony rower wydały się Marcie znajome.

– Dał za dużo. – Dziewczyna dyszała z przejęciem. – Wziął dwie wody niegazowane i dał za dużo.

Marta chciała wrzasnąć, lecz nie mogła wykrztusić słowa. Czuła nieprawdopodobną ulgę, że Sabina nie leży w kałuży własnej krwi, z nożem wbitym między żebra. Wyobraźnia podsunęła jej obrazy najgorszej jatki. Dziewczyna wyglądała jednak na całkiem żywą. Ani śladu walki, ran kłutych czy ciętych.

Tyle hałasu o pomyłkę w rachunkach?! – pomyślała.

– Nie przesadzasz? – westchnęła Marta. – Ile za dużo?

Sabina zamyśliła się.

– Dokładnie trzysta czterdzieści sześć złotych. I dwadzieścia cztery grosze.

Marta nie zdążyła tego skomentować, bo z zaplecza dobiegł sygnał oznaczający koniec pieczenia.

– Lepiej się pospieszmy – rzuciła w stronę Sabiny. Spojrzała w niebo, pełne ciężkich, grafitowych chmur. Zaczynał kropić deszcz. Zaraz mogło lunąć. Chciała zdążyć do tramwaju, zanim rozpada się na dobre. W Galerii Krakowskiej miała zamiar kupić coś do czytania. Zastanawiała się, czy ktoś mógł ją rozpoznać? Po co w ogóle tu przysła?

– Pomóż mi wyciągnąć ciastka – poprosiła nastolatka, gdy otwierała drzwi do PALOMY.

Marta zawahała się, w końcu jednak weszła za nią do środka.

– Tylko pierwsza partia. Potem rób, co chcesz.

Chwilę później stały nad parującymi ciasteczkami. Sabina wzięła największe z nich. Przypominało koślawą szkolną tarczę. Odmuchiwała je przez chwilę, a potem odgryzła pierwszy kęs.

– Coś nie wyszło – skrzywiła się.

– To tak smakuje – przekonywała Marta.

– Niemożliwe.

– Mieszkałam w tym mieście. Znam te ciastka.

– Przecież to paskudne.

Marta wzruszyła ramionami.

– Są tanie.

– Obrzydliwe.

– Ale tanie.

– Tego się nie da jeść.

– Poczekaj, aż spróbujesz kajzerek.

Marta od godziny kręciła się po Empiku w Galerii Krakowskiej. Nie spieszyła się, bo wiedziała, że jak tylko przekroczy próg domu, Tola zapędzi ją do roboty. Skończyła przeglądać *Nowy Jork zbuntowany. Miasto w czasach prohibicji, jazzu i gangsterów* i wrzuciła książkę do koszyka.

Na wspomnienie Manhattanu odpłynęła myślami bardzo, bardzo daleko. Od czasu wakacji w Stanach starała się żyć jak przedtem. Wystarczyło jednak, że zauważyła gdzieś zdjęcie Flatiron Building, obejrzała kawałek *Seksu w wielkim mieście* albo usłyszała Ellę Fitzgerald śpiewającą *the great big city's a wondrous toy* i zaczynała tęsknić. Dopadało ją wtedy to okropne uczucie, że prawdziwe życie przecieka jej przez palce i powinna natychmiast coś z tym zrobić. Ale co? Nigdy wcześniej nie było to tak bolesne. Chwile mijały bezpowrotnie – jedna po drugiej – a ona tkwiła tu jak owad w żywicy.

Podeszła do regału z pismami lifestylowymi. Wiedziała od Andrew, że materiał z premiery programu ukazał się w najnowszym numerze magazynu „Tyle Stylu” – niszowym dwumiesięczniku, dostępnym tylko w wybranych salonach prasowych, który za dwadzieścia złotych pokazywał mnóstwo artystycznie nieostrych i prześwietlonych zdjęć butów, płaszczy, komosy z kurkami, rozmarynowych lemoniad i chudych, bladych ludzi. Spotkanie tu i teraz kogoś, kto to czyta, graniczyło pewnie z cudem. Niemniej, nie miała odwagi otworzyć gazety – bała się, że ktoś ją rozpozna. Być może istniały bardziej żenujące sposoby spędzania wolnego czasu niż publiczna lektura materiałów prasowych na swój temat, ale nie mogło być ich zbyt wiele. Odłożyła czasopismo na miejsce. Zaczeka na wersję PDF od Andrew.

Po chwili jednak zmieniła zdanie.

Andrew ciągle jej nie rzucił, *Leprechaun z kromlechów Lisseyviggeen* wreszcie zostanie wydany, a wspomnienie Nowego Jorku oddaliło lęki i wątpliwości – musiała więc zrobić coś, co pozwoli jej poczuć kontrolę nad sytuacją. Jeśli jest choć cień szansy, że ta droga zaprowadzi ją do życia z właściwym mężczyzną, we właściwym mieście...

Nim wrzuciła magazyn do koszyka, zdążyła jeszcze go przekartkować. Relacja z premiery została umieszczona między refleksyjnym artykułem na temat budek z hamburgerami w latach dziewięćdziesiątych a przepełnioną melancholią reklamą dzianinowych bluz sportowych. Trzy zdjęcia przedstawiały Martę w sukience Dagny.

Niepewnie rozglądała się na boki, choć w głębi duszy wiedziała, że prawdopodobieństwo, że ktoś ją tu przypadkowo rozpozna, jest bliskie zeru.

W pewnym sensie miała rację: nikt w sklepie nie rozpoznał jej przypadkowo. Chłopak z rzadką brodą obserwował Martę znad płachty „Cieni i Blasków” celowo i z premedytacją. Przyszedł za nią do Empiku. Potrafił odczytać, że coś ją wyraźnie dręczy, a to oznaczało, że traci siły. Wcześniej czy później popełni błąd. A wtedy – on będzie gotowy.

Zresztą od dawna już jest.

Czekał tylko na dobry moment.

Widział, jak podchodzi z koszykiem do kasy i ustawia się w długiej kolejce. Jak ślamazarnie porusza się do przodu, jak nerwowo kładzie na ladzie książkę i gazetę. Z oddali nie mógł dostrzec tytułów. Podała sprzedawcy kartę płatniczą i wstukała PIN.

Sprzedawca pokręcił głową.

Ponowiła próbę.

I jeszcze raz.

Kolejka za nią robiła się coraz dłuższa.

Sprzedawca wzruszył ramionami i z zażenowanym uśmiechem coś Marcie tłumaczył. Porzuciła gazetę i książkę na ladzie i szybkim krokiem wyszła. Zaszła jakaś zmiana. Jej twarz nabrała interesującego odcienia soku malinowego. Chłopak zastanawiał się przez chwilę, czy pójść za nią. Najpierw jednak postanowił sprawdzić, co miała zamiar kupić. Nie musi się spieszyć. Wie, gdzie jej szukać.

Po prostu wspaniale! Płatała się przed wejściem do księgarni. Nerwowo przetrząsała torebkę w poszukiwaniu drobnych. Po jej twarzy zaczęły płynąć krople potu. Dwie trzymające się za ręce rude nastolatki trąciły Martę w ramię i roześmiały się głośno. Przymknęła oczy. Pulsujący ból w skroniach

rozsadzał jej głowę.

Pięć minut temu powrót z Andrew do Nowego Jorku wydawał się całkiem realny. Teraz jednak mogło się okazać, że nie ma nawet na bilet. Jeśli nie znajdzie drobnych, czeka ją dwugodzinny spacer w strugach deszczu albo zaczepianie obcych i błaganie o pożyczanie trzech złotych. Gdyby ktoś ją rozpoznał... Wyobraziła sobie minę Andrew i zaczęła chichotać pod nosem. Starła się opanować, jednak po chwili kuliła się ze śmiechu. Zatykała usta, ale zaraz potem parsknęła na cały głos. Dziewczynka w różowym dresie przyglądała się jej tak długo, aż matka chwyciła dziecko za rękę i odciągnęła w stronę ruchomych schodów. Marta zauważyła, że zrobiło się koło niej tak pusto, jak wokół brodaczy wykrzykujących w parkach datę końca świata.

Czy naprawdę wyobrażała sobie, że jeśli przestanie sprawdzać stan konta, to pieniądze nigdy się nie wyczerpią? Magiczna siła uzupełni niedobory? Zasady rządzące światem finansów zlitują się nad nią i odpuszczą?

Cóż, w głębi duszy na to właśnie liczyła. A jeśli już musiało się to stać prędzej czy później – to dlaczego, do cholery, nie później? Czy świat nie mógł poczekać, aż sprzeda mieszkanie ojca?

W bocznej kieszonce, między opakowaniem po żelkach Haribo a warszawską kartą miejską, której ważność upłynęła w okolicach Wielkanocy, znalazła pomięte dwadzieścia złotych. Z trudem powstrzymała się od ucałowania banknotu.

Tylko bez hysterii.

Nie cierpiała swojego niewątpliwego talentu do pakowania się w sytuacje podbramkowe, lecz tylko takie mobilizowały ją do działania. Los w jednej chwili wyśmiał jej wątpliwości. Było jej głupio. Zaczęła jasno myśleć. W kasie PALOMY na pewno są pieniądze, więc na razie nie umrze z głodu. Ma też prawo do połowy mieszkania i sklepu. Wrzuci ogłoszenia do internetu. Da atrakcyjną cenę. Może zdoła odsprzedać udziały w interesie? Część towaru? Wyposażenie? Albo wynająć mieszkanie? Z pewnością ma mnóstwo możliwości, jeśli tylko zacznie działać. I przestanie dzielić włos na czworo. Żadnego roztkliwiania się nad ciężarnymi nastolatkami i ich głupimi maskotkami. Żadnego zwlekania w nadziei, że problem rozwiąże się sam.

Sabina musi zniknąć. Kacper musi się odnaleźć. Może ogłoszenie wywabi go z kryjówki? A po nastolatkę niech przyjedzie matka i zabierze ją do domu.

Upewniła się, że nikt jej nie obserwuje, wyciągnęła telefon i wybrała numer.

– Eeeliizaaa – wymruczał seksownie głos po drugiej stronie. Przez chwilę myślała, że dodzwoniła się do agencji towarzyskiej. – Cegiełka nie może teraz odebrać. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału.

Zostawiła wiadomość, po której nawet kukółka wróciłaby skruszona po własne piskłę. Długo rozwodziła się nad tragicznymi warunkami, w jakich przyszło żyć Sabinie, a potem, dla pewności, dwa razy podyktowała adres, pod którym córka „Eeeliizyyy” toczyła nierówną walkę z głodem, plagą robactwa i licznymi chorobami. Była pewna, że pani Cegiełka jeszcze dziś wsiądzie w samochód i ruszy dziecku na ratunek.

A potem pojechała na Wolę Justowską. W przepełnionym autobusie przypomniała sobie, że Tola została zaproszona do kogoś na garden party. Marta miała więc wieczór tylko dla siebie i mogła z nim zrobić, co tylko chciała. Szarlotka dla Toli była już gotowa. Powinna teraz się odstresować w jakiś miły (i, rzecz jasna, darmowy) sposób. Książka? Długa kąpiel z pianą? Kolejny odcinek *Przyjaciół*?

Kiedy wysiadła na przystanku, do deszczu dołączył gwałtowny wiatr, którego podmuchy chłostały

przechodniów biczami wodnymi. Marta przemykała, kuląc się z zimna. Pocieszała się myślą, że przynajmniej nie musi zaspokajać czyjegoś wściekłego głodu. Jest wolna!

Postanowiła wsłuchać się we własne potrzeby, zastanowić się, co naprawdę czuje.

Czuła wściekły głód.

Na szczęście zastała w domu Roberta, który obiecał, że pomoże jej zrobić coś do jedzenia.

Marzyła o solidnej włoskiej kolacji przy świecach i winie w rodzinnym nowojorskim bistro. Z Andrew u boku, który trzyma ją za rękę i zapewnia, że wszystko dobrze się ułoży (a na koniec płaci rachunek). Kelnerzy sprawnie donoszą kolejne dania, przygrywa kwartet smyczkowy, Andrew patrzy na nią ze zrozumieniem. Nikt jej nie ocenia.

Niestety, dziś trafiła na niewłaściwego brata.

– Naprawdę? – Robert wyciągnął pestkę z dojrzałej węgierki i dorzucił ją do miski pełnej wydrylowanych śliwek. – Całe oszczędności w kilka miesięcy?

Wzruszyła ramionami i wróciła do zagniatania ciasta. W milczeniu na przemian przyciągała i odpychała od siebie drożdżową kulę.

– Nie rozumiem – potrząsnął głową. – Nie pojechałaś z nami na weekend do Berlina, w dziesięciolecie matury. Powiedziałaś, że za nic nie ruszysz tej kasy. A chodziło tylko o parę stówek.

Siedzieli przy stole w jadalni naprzeciw siebie, przygotowując składniki do śliwkowej drożdżówki. Na kuchence pyркаł sos boloński. Robert wstał i przemieszał wołowinę, nabrał trochę sosu na łyżeczkę, spróbował, trochę dosolił.

– Zawsze byłaś taka odpowiedzialna.

Marta otworzyła usta, lecz zaraz je zamknęła i wróciła do wyrabiania ciasta.

Co miała powiedzieć? Że chodziło właśnie o to, że zawsze była „taka odpowiedzialna”? Ludzie, którzy od najmłodszych lat muszą traktować życie poważnie i ostrożnie stawiać każdy krok, z czasem zaczynają gardzić wszelką lekkomyślnością. Szydzą z pięknoduchów, życząc im jakiejś twardej, okrutnej lekcji. Noszą swoją odpowiedzialność niczym zbroję, dumni z pancerza, pozwalającego stawiać czoło przeciwnościom. Marta zaś nosiła swoją odpowiedzialność niczym gorset ortopedyczny. Była poważna, ponieważ nie miała innego wyjścia. Nie czuła z tego powodu żadnej dumy, radości ani siły. Za jej zachowawczą rezerwą wobec możliwości, jakie niesie świat, kryły się zawiedzione nadzieje, rozczarowanie i trochę żalu. Żalu, który kłuł w serce, za każdym razem, gdy ktoś mówił: „Ona jest taka odpowiedzialna”. I kiedy pojawił się Andrew...

Uformowała wyrobione ciasto w kulę, włożyła je do natłuszczonej oliwą miski i przykryła białą lnianą ściereczką. Popatrzyła na swoje, niedokończone jeszcze, dzieło i widok ten przyniósł jej ulgę. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nie potrzebowała tego ciasta, żeby je zjeść – w spiżarni czekała patera z szarlotką. Chciała je po prostu wyrobić. Zanurzyć dłonie w lepkiej masie i mieszać, ugniatać, składać, aż kula zacznie łatwo odchodzić od dłoni. Reszta roboty należała już do drożdży. Choć nie było przy niej zręczliwej Toli – Robert wziął jakiś przepis z internetu – wiedziała, że nie zaśnie, póki nie upiecze choć jednej drożdżówki.

Nagle dotarło do niej, że Robert coś mówi. Ucierał właśnie kawałek zeschniętego parmezanu i ciągle roztrząsał kwestie oszczędności, o czym Marta chciałaby na chwilę zapomnieć. Był wyraźnie poruszony. Chyba chodziło o Berlin. Bardzo chciał, żeby wtedy pojechała i nawet proponował, że wszystko opłaci, lecz ona odmówiła. Jednak wystarczyło, by Andrew wspomniał o Nowym Jorku, i nie wahała się ani

chwili. Wydała wszystko. Co do grosza.

Poczuła się trochę winna. Jakby zlekceważyła łączącą ich przyjaźń. Może powinna się wytłumaczyć. Może powinna wytłumaczyć się przed sobą, uporządkować to, co ją dręczyło, co trzymała głęboko ukryte, bo bała się, że jeśli pozwoli temu wypłynąć, to świat utraci fundamenty i rozsypie się w pył.

Tylko czy Robert zrozumie? Przywiązywał się do przedmiotów, ludzi, miejsc i fatalnie znosił zmiany. Przed laty jego ojciec, zaniepokojony, że syn nie wykazuje typowej dla Bajakowskich śmiałości, werwy i chęci podboju świata, postanowił zastosować terapię szokową. Spakował piętnastoletniego przerażonego chłopca i wysłał na wakacje do Polski. Robert nie chciał jechać do Krakowa. Ani nigdzie indziej. Chciał, by zostawiono go w spokoju.

Ojciec wziął go z zaskoczenia. Wyrwał z łóżka o piątej nad ranem i zawiózł na lotnisko. „Wyjeżdżasz jako chłopiec, wrócisz jako mężczyzna”, powiedział. Robert przepłakał całą podróż. Nie odezwał się słowem do nikogo przez kolejny tydzień. Nie rozpakował bagażu. Cały czas chodził w tych samych ciuchach. Ósmego dnia wyszedł z domu Toli wczesnym rankiem. Wrócił chwilę po północy i wyciągnął wszystkie rzeczy z walizek, po czym staranie ułożył w ogromnej szafie z wiśniowego drewna. Następnie zszedł do ogrodu, wziął starą siekierę i spokojnie, z rozmysłem, metodycznie porąbał walizki w drobny mak.

– Zostaje – oznajmił zdumionej Toli.

Kraków okazał się znacznie spokojniejszy niż Nowy Jork. Bardziej kameralny. Nikt nie burzył ulubionych kamienic Roberta, by postawić jakiś szklany drapacz chmur. Wszędzie miał blisko. Czterdzieści kilometrów dalej znalazł doskonałe miejsce do obserwacji gwiazd. Tola nie oczekiwała, że wnuk przemieni się w wysportowanego wilka z Wall Street. Robert uznałby, że to zbyt wielkie słowo, lecz Marta wiedziała, że Kraków okazał się jego miłością. A zakochiwał się niezwykle rzadko.

– I naprawdę się nie bałaś... – spytał, wkładając spaghetti do wysokiego garnka – ...co będzie, kiedy...

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie.

I zaczęła mówić, szybko i chaotycznie. Nie bała się, co będzie. Po raz pierwszy w życiu nie czuła strachu. I to było absolutnie fantastyczne. Jakby jednym dotknięciem Andrew zrzucił z niej ciasną, niewygodną skorupę codziennej nudy i rutyny. Dostrzegł w niej młodą, pozbawioną zahamowań, żądną przygód dziewczynę. Nikt wcześniej tak na nią nie patrzył. Poczuła się śmiesznie z tymi swoimi obawami, czy wystarczy jej na czynsz za tę paskudną kawalerkę. Miała przy sobie mężczyznę, któremu świat leżał u stóp. Nie chciała, by dostrzegł w niej kogoś, kto odmawia sobie wszystkich życiowych przyjemności, bo ciuła grosze z marnej pensji, w beznadziejnej pracy.

I jeszcze książka. Przyznała się Andrew, że od czasu do czasu, w wolne dni pisuje coś do szuflady. A on zaczął ją przekonywać, żeby stworzyła powieść. Nie musi marnować swoich zdolności i sprzedawać ludziom noży przez telefon. Może zaryzykować i pokazać światu, na co ją stać. Wierzył w talent Marty. Zawsze podkreślał przy ludziach, że jego dziewczyna jest pisarką, a nawet, dzięki znajomościom, załatwił jej fuchę w „Implikaturze”. „Sięgaj po marzenia”, powtarzał (Jowita cynicznie podważyła czystość jego intencji słowami: „Oczywiście, że musi pisać. Brak stałego zatrudnienia może być czymś sexy. Ale nie sprzedaż noży przez telefon”).

Kiedy skończyła mówić, Robert wykladał właśnie makaron na talerze i posypywał sos wiórkami parmezanu. Kiedy stawiał przed nią parujące spaghetti, zauważył, że Marta lekko drży i wpatruje się w ścianę, jakby właśnie dotarł do niej cały bezsens tej historii.

– Co mam teraz zrobić?

Posłał jej uśmiech pełen otuchy i pewności, że wszystko będzie dobrze, wszystko się poukłada. Był to uśmiech Andrew.

– Cóż... – szukał w myślach scen z filmów, które pokazywały, co się robi w takich sytuacjach. – Teraz nadszedł chyba moment, kiedy powinnaś głośno szlochać i w kółko powtarzać: tak bardzo chciałam, żeby ktoś mnie kochał.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obudziła się wcześniej rano nieco wystraszona. Zdawało się jej, że o czymś zapomniała. Chłodny prysznic odświeżył jej pamięć: musi spytać Andrew, o której przyjeżdża jutro do Krakowa, była bankrutem, od tygodnia nie robiła peelingu twarzy. Wróciła do łóżka, otworzyła laptopa i sprawdziła pocztę. Ciekawe, ile monetów wysyła firma telekomunikacyjna, nim odłączy człowiekowi sieć, myślała. Wieczorem wrzuciła na trzy serwisy z nieruchomościami proste ogłoszenie bez zdjęć. Trudno było oczekiwać, że opis sklepu czy mieszkania Witka zelektryzuje rzeszę ludzi, lecz brak jakiegokolwiek odzewu mocno Martę zdołował. Nic. Już miała się wylogować, gdy jej uwagę przykuł e-mail od sabin.si@, zatytułowany „Paloma – newsletter”. Pełna złych przeczuc kliknęła.

***** SUPER Promocja *****

Tylko dla Naszych Klientek!

JESTEŚCIE NAJPIĘKNIEJSZE! ;-*

Kup trzy pary rajstop BELL, weź udział w losowaniu & wygraj **hybrydowy manicure!**

***** Cudowne rzęsy KIM KARDASHIAN *****

Wystarczy, że wydasz u nas 300 zł do końca miesiąca,

a **DOKLEJENIE RZĘS DOSTANIESZ GRATIS!**

Głośno westchnęła.

Na wyrwanej z brulionu kartce spisała wszystkie informacje, które musi natychmiast zdobyć: metraż mieszkania i sklepu, rok budowy, gdzie jest Kacper, ile pieniędzy zostało w kasie, ile kosztują mieszkania w okolicy, jak rozsądnie dysponować kwotą siedemnastu złotych i dwudziestu groszy – czyli tym, co pozostało z oszczędności życia.

Przypomniała sobie jeszcze o praniu. Ostatnie dzinsy, które wzięła z Warszawy, obryzgał wczoraj błotem jakiś narwany taksówkarz. Wyczerpała też zapas koszulek.

Swoją drogą, gdzie się pierze rzeczy, gdy człowiek zostaje bez dachu nad głową? Dworcowe toalety? Publiczne fontanny? Wisła? – myślała.

Podeszła do wieszaka z ciuchami od Topoli i niechętnie zaczęła przerzucać ubrania. Starła się znaleźć coś możliwie skromnego i mało rzucającego się w oczy. Miało to tyle sensu, co spacer po Sodomie w poszukiwaniu ludzi żyjących w celibacie. Machnęła ręką i ściągnęła pierwszą z brzegu sukienkę – długą, czarną, z dziwnym, asymetrycznym, wysokim kołnierzem.

Jutro czeka ją sesja z Andrew na krakowskim rynku, może więc rzeczywiście najwyższy czas, żeby zaczęła wczuwać się w nastrój.

Zadzwoiła komórka. Konsultant, z którym dziś wreszcie miała podpisać umowę.

– Bardzo mi przykro, ale nie stać mnie na abonament. Muszę kupić coś na kartę – na chwilę się zamyśliła. – Choć na kartę, szczerze mówiąc, też mnie nie stać.

Wzięła listę spraw do załatwienia i zeszła na dół.

Tola i Robert siedzieli przy stole w jadalni. Ona dolewała sobie soku do herbaty. Sińce pod oczami wskazywały, że poszła późno spać – jeśli w ogóle. Z imprezy musiała wrócić dopiero nad ranem. Robert po ich rozmowie pojechał za miasto oglądać gwiazdy.

Uniósł brwi na widok jej stroju.

– Co tam trzymasz? Odezwę do krakowskiego ludu?

– Daj spokój. Skończyły mi się czyste, normalne ciuchy.

Włożył łyżeczkę do słoika z miodem spadziowym i polał nim cienką kromkę maślanej bułki.

– Lepiej mi powiedz, jak jest na polu.

– Czekaj. Nie wychodziłem dziś jeszcze. – Robert wyciągnął telefon z kieszeni spranych dżinsów i zaczął sprawdzać.

Popatrzyła na niego zdumiona. Pół metra dzieliło jego krzesło od drzwi balkonowych prowadzących do ogrodu.

– Czemu po prostu nie wystawisz ręki na zewnątrz? Będzie szybciej.

– Jestem naukowcem. Nie interesują mnie anegdotyczne dowody. Trzyście stopni. Temperatura odczuwalna – dziewięć. Poza tym, zanim powiesz mieszczan na barykadę, zjedz coś.

– Właśnie – dodała Tola i chlusnęła do herbaty kolejny raz. Marta zauważyła, że to, co wzięła za sok, jest butelką śliwowicy. – Częstuj się. Przyniosłam trochę resztek z wczorajszej imprezy.

Trochę resztek? Marta zerknęła na półmiski pełne suszonych kiełbas, szynki, pasztetów i półgęsków, talerze z kawałkami najróżniejszych serów, miseczki z bryndzą, żurawiną, marynowanymi grzybami, kiszonymi pomidorami, ćwikłą, śledziami w rodzynekach, jakimiś rybami w galarecie, koszyki ciemnego chleba, cztery rodzaje ciasta... Najwyraźniej Tola znalazła ludzi, którzy podzielali jej opinie w kwestii tego, czym jest odpowiedniej wielkości porcja.

Wszystko wyglądało niezwykle apetycznie, lecz ona wciąż czuła w żołądku wczorajsze spaghetti. Według rad dietetyków powinna więc zadowolić się teraz jogurtem niskotłuszczowym posypanym zielonym jęczmieniem. Rozum jednak podpowiadał, że już wkrótce, gdy Marta koczować będzie na zimnej dworcowej ławce i skończy żuć resztki zeschniętej bułki, gorzko pożałuje tych wzgardzonych kalorii. A jeśli wniesie do kuchni Toli jogurt niskotłuszczowy i zielony jęczmień – zyska szansę przekonania się o tym jeszcze dziś.

Z dębowego kredensu wyciągnęła duży talerz i usiadła przy stole. Robert podał jej białą miseczkę.

– Najpierw spróbuj powideł. Są genialne. To babci, z zeszłego roku.

– Bo śliwki trzeba lekko podwędzić. Jeden z sekretów Bajakowskich. – Tola machnęła ręką. – Ja tylko kultywuję tradycję.

Jasne! – pomyślała Marta z przekąsem. Jesteś genialna w zapędzaniu ludzi do niewolniczej pracy. Ciekawe, kto tak naprawdę usmażył powidła, bo odkąd ona tu mieszka, ani razu nie widziała, żeby Tola choć zamieszała łyżką w garnku. Kultywowanie tradycji! Dobre sobie! Kultywowanie tradycji w wydaniu Toli polegało na traktowaniu wszystkich dokoła jak chłopów pańszczyźnianych i dziewczek służebnych.

– A skoro już o śliwkach mowa... – Tola podniosła butelkę i zbliżyła do filizanki Marty.

– Nie, nie, nie. Dziękuję, nie ma jeszcze dziewiętej. Jak pani może to pić?

– Właśnie tak. – Kobieta uniosła filiżankę i wypła herbatę do dna.

– Ale czy o tej porze nie smakuje okropnie? – Marta się wzdrygnęła, smarując powidłami kawałek chałki. Ugryzła. Są rzeczywiście genialne, przyznała w myślach.

– Owoce trzeba jeść do każdego posiłku. Co najmniej pięć porcji dziennie. To sekret długiego życia.

– Przedestylowane?

Tola spojrzała na nią z politowaniem.

– Dla świeżych nie warto żyć aż tak długo.

Marta nałożyła sobie na talerz kawałek wędzonego pstrąga, kabanosa, trójkąt sera korycińskiego i trochę chrzanu.

– Ale jest dziewiąta rano.

Robert prychnął i okruchy bułki, którą jadł, poleciały we wszystkie strony.

– Jesteś bohemą, prawda? Nie powinnaś się przejmować dziewiątą rano, tylko tym, co jest sednem egzystencji, i w ogóle.

– Mam gdzieś sedno egzystencji. Chcę tylko wiedzieć, kiedy ta cała Sabina się zmyje. I jak mam sprzedać mieszkanie, skoro Kacper się ukrywa.

– Idź do prawnika.

– Skończyły mi się pieniądze.

– No to na policję.

– Mhm. I co? Doniosę na brata? Wyeksmituję na bruk nastolatkę w ciąży? Co potem? Zacznę rzucać ślepcom pod nogi skórki po bananach?

– Na pewno coś wymyślisz. Muszę lecieć do pracy. – Robert wstał od stołu i ruszył w stronę drzwi.

Pracy, prawdziwej pracy. Za prawdziwe pieniądze. Ja też miałam kiedyś pracę, pomyślała.

– Wie pani co, jednak poproszę. – Podsunęła Toli swoją filiżankę z earl greyem.

Wzmocniona śliwownicą herbata paliła w gardle, lecz po całym ciele rozlał się żar, który zadziałał kojąco. Marta westchnęła.

– Rok temu całymi dniami dzwoniłam do ludzi i próbowałam im wciskać noże Sharp-polu.

Wzięła głęboki wdech.

– *Twe marzenie dziś się ziszcza, wykroimy z ciebie mistrza* – zanuciła cicho i rozpaczliwie, a potem na chwilę zamilkła. – Wydawało mi się, że nie ma na świecie nic bardziej żalosego.

Dolała herbaty do filiżanki i przez chwilę wpatrywała się w nią, jakby była czarodziejską kulą przepowiadającą przyszłość.

– Teraz zaczynam podejrzewać, że to był szczytowy punkt mojej kariery.

Tola sprawiała wrażenie zakłopotanej. Popatrzyła na Martę z troską. A raczej z czymś, co w jej mniemaniu oznaczało troskę. Chwyciła butelkę śliwownicy.

– Dolać ci?

Przed PALOMĄ stały dwie kobiety. Chuda niska szatynka w średnim wieku wyglądała, jakby życie sprząło kolory nie tylko z jej welurowego dresu, ale i z niej samej. Trzymała w ręku jednorazową

reklamówkę pełną kajzerek. Wyciągnęła z kieszeni paczkę tanich cienkich mentoli i podsunęła pod nos pulchnej blondynce.

– Zapali pani?

Blondynka odmówiła, potrząsając lekko głową. Nie mogła się odezwać, bo zajadała drożdżówkę z budyniem śmietankowym. Przez chwilę żuła w zamyśleniu, po czym wypluła do kosza na śmieci. Tam też wylądowała reszta bułki. Co prawda, w pierwszym odruchu chciała rozdrobnić drożdżówkę i rzucić ją ptakom, lecz przypomniała sobie, że ptaki nigdy nie wyrządziły jej żadnej krzywdy. Przekroczyła czterdziestkę, lecz ogromny dekolt, utlenione włosy i legginsy w panterkę wskazywały, że nie zamierza się poddawać.

Marta przystanęła za nimi i zaczęła czytać przyklejone do blachy ogłoszenie kogoś, kto chciał kupić mieszkanie na tym osiedlu.

Chuda zapaliła kolejnego mentola i zaciągnęła się mocno.

– Co oni sypią do tych bułek? – rzuciła filozoficznie w przestrzeń, wypuszczając pierwszą chmurę dymu. – Za każdym razem myślę, no trudno, człowiek się przyzwyczai, gorsze już przecież nie będzie. A potem się okazuje, że będzie.

– Ale jak można to jeść? – Blondynka się skrzywiła.

Chuda wzruszyła ramionami.

– Jest tanie. A chleb wszędzie tu taki sam. No, tak dziś pieką. Jak się przepali papierosem, to idzie wytrzymać.

– Przepali papierosem?

– Jeden kęs, jeden mach. I jakoś wchodzi. Jeszcze przepić piwem najlepiej.

– Uhm – zamruczała blondynka.

– Ale to już nie potrwa długo. Nie pociągną.

Martę zmroziło.

– Nie? – spytała ta druga i poprawiła opadające ramiączko stanika.

– Sam właściciel się tym udławił. Mówią, że to boża sprawiedliwość. Widzi pani, jeszcze zrobił dziecko jakiejś małolacie.

Kobiety zerknęły przez okno. Sabina cierpliwie tłumaczyła coś starszej pani o siwofioletowych włosach. Martę zaskoczyła promieniująca z nastolatki życzliwość. Wcześniej jej nie dostrzegą.

– Ale to i tak zaraz padnie. – Wskazała na wnętrze sklepu. – Sama pani powie, czy ta tu wygląda na rozgarniętą?

Blondynka przyglądała się przez chwilę Sabinie. Podrapała się po obsypanej zbyt białym pudrem brodzie i wydała wyrok.

– Niespecjalnie.

– Widać, czym próbuje nadrabiać.

– Żadnych ambicji te dziewczyny dziś nie mają – pokręciła głową Panterka.

– Nic się nie szanują. Nic.

Marta weszła do sklepu otulona w czarną cienką pelerynę, która – według Topoli – miała upodobnić

ją do Dagny Juel Przybyszewskiej. Zdaniem Marty (i zapewne reszty ludzkości) nadawała jej wygląd osoby, która obejrzała cykl o Gotham City o jeden raz za dużo.

Przez całą drogę przechodnie rzucali jej kpiące spojrzenia. Owszem, istnieją ludzie, którzy potrafią nosić takie rzeczy. Marta widywała ich czasem w Warszawie, a Nowy Jork był wręcz nimi przepełniony: szczupłe, androginiczne istoty o nieodgadnionych twarzach, przemykające przez miasto w ostentacyjnie zbyt dużych płaszczach, bezkształtnych sukienkach i dziwacznych, asymetrycznych koszulach. Ci ludzie wyglądali niezwykle stylowo. Może kluczem do sukcesu była pewność, z jaką się poruszali, albo emanująca z nich absolutna obojętność na opinie otoczenia, wzrok, który mówił: „Szokuje cię? I tak ma być, ty drobnomieszczański ćwoku!”. A może sekret tkwił w czymś innym? Było to bez znaczenia, bo Marta – nawet gdyby ten sekret знаła – nie potrafiłaby go wykorzystać. Kuliła się za to z zażenowania, a jej spojrzenie mówiło: „Tak, wiem, jak to wygląda. To nie był mój wybór. Przykro mi”.

W drzwiach minęła fioletowowłosą staruszkę, którą pamiętała z pogrzebu. Sabina układała właśnie w chłodni pęta kiełbasy toruńskiej. Manewrowała wędliną powoli i ostrożnie, żeby nie uszkodzić tipsów. Jakby grała w bierki dla rzeźników. Gruba warstwa makijażu nie była w stanie ukryć zmęczenia. Jej brzuch nadał się jeszcze bardziej. Miała na sobie sukienkę wielkości karteczki samoprzylepnej uszytą z czarnej tandetnej koronki, taki materiał byłby odpowiedni jedynie w charakterze firanki w domu pogrzebowym. Skąd, ona bierze te ubrania?

– Dobrze, że jesteś – ucieszyła się na widok Marty. – Szukam właśnie hasła.

– Hasła?

– Przewodnego. Takiego motto, nie? Dla PALOMY.

– Po co?

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek. Firma musi mieć hasło. Bez tego nie ma szans. Na przykład: „L’Oréal – ponieważ jesteś tego warta”. Czym my skusimy klienta? Tylko to musi być szczere. PALOMA – ponieważ... ponieważ...

Marta wodziła wzrokiem po ciemnym wnętrzu sklepu w poszukiwaniu choć jednej zalety tego miejsca.

– „Ponieważ przyjmowanie kalorii ochroni cię od śmierci głodowej”? – zaryzykowała.

Sabina zmrużyła oczy.

– To nie jest najlepsze hasło.

– Wymagałoby pewnych poprawek – zgodziła się Marta. – Poza tym, nie musisz się tym przejmować. Dzwoniłam po twoją matkę i na pewno wkrótce cię stąd zabierze.

– Już tu była.

– Kiedy?

– Przed chwilą. Minęłyście się w drzwiach. O, jeszcze stoi i gada z tamtą panią. – Wskazała ręką okno, za którym widać było tlenioną blondynkę w panterce. Tłumaczyła coś chudej kobiecie w dresie, palącej następnego papierosa.

– To twoja matka? – Marta prawie krzyknęła.

– Mhm. Przywiozła mi trochę ubrań – wskazała na dwie duże jaskrawe torby podróżne. – Kazała mi czekać na Kacpra.

– To naprawdę twoja matka? – powtórzyła. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Mówiłam ci, to nic nie da. Jest bardzo rodzinna, czyli bez rodziny mam nie...

– Przecież ona się ciebie wypiera!

Sabina przez chwilę milczała.

– Wstydzi się, że tu pracuję. I ogólnie, nie? – Wymownie spojrzała na swój brzuch.

– Twoja mama nie wygląda na konserwatystkę.

Dziewczyna wbiła wzrok w tipsy.

– Mówi, że ona na ciążę ze mną złapała właściciela największej kurzej fermy w powiecie. A ja nie potrafię złapać chłopaka ze sklepikiem osiedlowym.

– Z połową sklepiku – doprecyzowała Marta.

– Mówi, że przyniosłam jej wstyd. Brakuje mi ambicji.

I wtedy znów to zrobiła. Spod grubego makijażu wyłonił się bezradny szczeniaczek. Marta zamknęła oczy. Była bankrutem, a bankrutów nie stać na nic, zwłaszcza na litość. Spojrzała na ekran smartfona. Zero połączeń. Od dwóch godzin żadna sieć komórkowa nie próbowała jej niczego wcisnąć. Była już tak splukana, że nikt nie chciał jej nękać. Straszne uczucie.

– Ambicji? Twoja matka chyba inaczej rozumie to słowo niż reszta świata. Dam ci radę. Idź na jakiś kurs czy coś.

– Już mam kurs.

– Taaak?

– Jestem stylistką powiek i paznokci – Sabina powiedziała z dumą. – Nie chcę więcej.

– Bo?

– Wolę rodzinę niż karierę. Praca dziś jest, a jutro jej nie ma. Nie pomoże ci w potrzebie.

– Teraz jesteś w potrzebie. Matka wypieprzyła cię z domu, a Kacper się zmył.

– Na pewno wróci. – Oczy dziewczyny się zaszkliły.

– Jeśli pójdzie w ślady ojca, to raczej mało realne.

– Nie mów tak – głos nastolatki łamał się coraz bardziej.

– Błagam, nie zaczynaj.

– Ale czego? – Sabina była już tylko o mały krok od zalania się łzami.

– Widzisz! O tym właśnie mówię! Nie możesz tak po prostu zaczynać płakać.

– Nie płaczę – chlipnęła.

– Musisz stanąć na nogi. Liczyć na siebie. Takie jest życie, bardzo mi przykro. Nikt ci nie pomoże. Im wcześniej sobie to uświadomisz, tym mniej będzie bolało.

Sabina zdawała się nie słuchać. Zbladła i chwyciła się za brzuch.

– Ty mi przecież pomagasz – wyszeptwała.

– O nie. Nie ma mowy...

Sabina nie odpowiedziała. Zakryła dłonią usta, przeszła pod ladą i ruszyła w stronę drzwi. Wglądała, jakby bardzo potrzebowała świeżego powietrza.

– Nic ci nie jest? Wyjdźmy stąd! – zawołała za nią Marta. – Co dziś jadłaś...? – Nie skończyła, bo Sabina na swych niebotycznych obcasach wybiegła ze sklepu.

Zastała ją pochyloną nad przepelnionym koszem na śmieci, wokół którego leżało mnóstwo

przydeptanych niedopałków. Wymiotowała. Sukienka podwinęła się lekko, ukazując fragment koronkowych stringów. Marta przypomniała sobie, że do tego samego kosza matka Sabiny chwilę temu wypluła pierwszy kęs drożdżówki. Dowodziło to, że mimo pewnych braków w dziedzinie lojalności, miała więcej rozumu niż córka. Przeczula bowiem, że każdy wyrób PALOMY skończy tu wcześniej czy później, i postanowiła nie fundować mu wycieczki przez własny układ pokarmowy.

Marta podała dziewczynie chusteczkę higieniczną. Gdy zbliżyła się do kosza, sama poczuła mdłości. Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął jej wnętrznościami, zdołała się jednak opanować.

– Chodźmy na zaplecze. Przemyjesz twarz i pójdziemy do domu. Musisz się położyć.

Sabina kiwnęła głową. Dziesięć minut później szły już do mieszkania Witka. Droga trwała całą wieczność, bo Sabina chwiała się na szpilkach i lustrowała zawartość każdego mijanego kosza na śmieci. Marta starała się ją podtrzymywać, co było trudne, bo niosła dwie wielkie, wściekle różowe torby podróżne wypełnione ubraniami, przywiezionymi przez panią Elizę.

Odprowadzi Sabinę do Witka, wróci do sklepu i weźmie pieniądze.

– Wyglądamy jak jakaś odpustowa handlarka i pijaczka – westchnęła Marta.

Mężczyzna, który kucał na parkingu za zielonym audi z wgniecionym zderzakiem i robił im zdjęcia, był tego samego zdania.

Kiedy weszły do mieszkania, żołądek dziewczyny trochę się uspokoił. Marta za to poczuła nową falę mdłości. Okropny zapach, który pamiętała z poprzedniej wizyty, jeszcze się nasilił. Śmierdziało jak z flakonu, w którym przez rok gniły kwiaty.

Złota walizka stała w sypialni. Sabina nie rozpakowała jej do końca. Wydawało się to nieprawdopodobne, biorąc pod uwagę, że każdy centymetr mieszkania wypełniały błyszczące, czarne skrawki tkanin, które okazywały się bluzkami, sukienkami i spódniczkami. Marta zajrzała do przywiezionych przez panią Elizę Cegiełkę toreb podróżnych. W pierwszej znalazła błyszczące, kolorowe ciuchy. W drugiej – imponującą kolekcję tanich szpilek, a także zawiniętą w foliową reklamówkę wiejską kurę i trzydzieści jajek.

Zaraz po wejściu do kuchni Marta skrzywiła się i z obrzydzeniem spojrzała na plamę na suficie.

– To chyba rzeczywiście był kurczak. – Podeszła do okna, uchyliła je i zaczęła głęboko oddychać. Na górze ktoś tłukł schabowe, w powietrzu unosiła się woń gotowanej kapusty.

– Bardzo symboliczne – stwierdziła Sabina uroczystym tonem.

– Co znowu?

– Jajko. Jajko to symbol nowego życia, nie? Niesamowita sprawa. Pan Witek umiera. Ale ze śmiercią przychodzi zapowiedź nowego życia.

– Ludzie umierają. Ale zostają nam po nich zgniłe kurczaki na sufitach – podsumowała Marta. – Szalenie przekonujący symbol.

Zbliżyła się do Sabiny i dokładnie się jej przyjrzała. Twarz dziewczyny była coraz bledsza.

– Zrobię ci herbatę. – Podsunęła jej taboret. Wzięła z kuchenki czajnik i nalała wody. Obok kranu zauważyła blaszaną miskę z kilkoma pozostawionymi frytkami z mrożonki, co dało jej pewne wyobrażenie o jej diecie. – Mam nadzieję, że jest tu jakaś herbata.

Dziewczyna usiadła na taborecie przy dosuniętym do ściany stole. Wygładziła dłonią ceratę w okropne

pomarańczowe stokrotki.

– Przyniosłam miętę ze sklepu – powiedziała. – Były ostatnie dwa pudełka, ale domówiłam nowe.

– Co zrobiłaś? – Marta obróciła się gwałtownie w jej stronę.

– Zamówiłam miętę.

– Co?

– I resztę rzeczy.

– Jaką resztę?

Sabina wzruszyła ramionami.

– No, wszystko.

– O czym ty mówisz?

– Wędliny, mrożone ciasto i bułki, mleko, sery, gazety, eee co tam jeszcze było... A, mydło, proszek, mielonki w puszkach.

– Kto ci pozwolił cokolwiek zamawiać?

– Stale przychodzą dostawcy. Mieli umowy z Witkiem. Od lat podobno. To kim ja jestem, żeby zrywać umowę?

– Witek nie żyje. To zerwało umowę.

– W kasie były pieniądze.

– Ile wzięłaś?

– Wszystko.

Marta chwyciła się brzegu zlewozmywaka.

– Boże! – westchnęła. – Chcesz powiedzieć, że w kasie nie ma pieniędzy?

– Nawet jest mniej, tak jakby.

– Mniej?

– Ale tylko na trochę – dodała Sabina tonem, który prawdopodobnie uznała za uspokajający. – Facet od kielbas, salcesonu i pasztetu dał mi na kreskę. I ten od mleka też. I od mieszanek chlebowych. Zwrócę, jak sprzedam. Tak robili z Witkiem. I z nami będą tak samo współpracować.

– Z nami? – Marta zasłoniła dłońmi oczy.

– No tak.

– Czy do ciebie jeszcze nie dotarło, że nie ma żadnych nas? Ten sklep idzie na sprzedaż.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Co masz na myśli? – spytała Marta, która zdołała wreszcie odrobinę ochłonąć i zapalić gaz pod czajnikiem. Nagle potknęła się o skraj spódnicy. W ostatniej chwili złapała róg kuchenki.

– Może ty też usiądź. – Sabina wysunęła spod stołu drugi taboret i podała go Marcie. – W ogóle czemu się tak dziwnie ubrałaś?

– Co?

– No nie chciałam nic mówić, bo nie moja sprawa. Ale wiesz – zniżyła głos – takim strojem zwracasz na siebie uwagę. Gdyby ktoś chciał robić z nami interesy... wiesz... to nie wygląda zbyt poważnie.

Marta przetarła oczy ze zdumienia.

To nie mogło się dziać naprawdę.

Sabina siedziała przed nią w sukience, która zapewne spełniała jakieś funkcje, lecz przykrycie bielizny do nich nie należało. Obrzmiałe sutki prześwitywały przez cienką koronkę. Nawet w mieszkaniu nie ściągnęła rzymianek na kilkunastocentymetrowym obcasie. Spuchnięte stopy przypominały obwiązane sznurkiem balerony.

– Ja zwracam na siebie uwagę strojem? – spytała Marta, dokładnie wymawiając każdy wyraz, jakby chciała się upewnić, czy wszystko dobrze rozumie

– Troszeczkę. Ciągnie się po ziemi. Brudzi. I potykasz się cały czas. Nie krytykuję, bo każdy ma swój gust, nie? Ale takie rzeczy są po prostu niepraktyczne na co dzień, a ty... – Sabina zerwała się nagle i pobiegła do łazienki.

Marta opadła na taboret. Starła się opanować.

Wzięła wszystkie pieniądze z kasy! – pomyślała załamana. I jeszcze mnie zadłużyła u jakiegoś salcesoniarza! Wczoraj się okazało, że jestem spłukana. Dziś, że jest jeszcze gorzej. Cudownie! Andrew zawsze powtarzał: „Każda porażka ma w sobie ziarenko sukcesu”. W moim przypadku to też działa. Tylko trochę inaczej. W każdej porażce kiełkuje ziarenko jeszcze większej porażki. Tylko czekać, aż Sabina zastawi sklep u osiedlowego gangstera albo urządzi w mieszkaniu hostel.

To przypomniało Marcie o papierach dotyczących mieszkania. Zaczęła poszukiwania od kuchennych szafek, lecz znalazła w nich jedynie sztucce z rączkami z niebieskiego plastiku, garnki tak cienkie, że aby coś w nich podgrzać, wystarczyło pochuchać od dołu, zepsuty stary budzik i kilka wyszczerbionych kubków i talerzy.

W jednej z szuflad leżało kilka teczek, które wyglądały zachęcająco. Postanowiła zabrać je do Toli i tam spokojnie przejrzeć. Przekładając je na stół, zauważyła biały papier przyklejony do dna szuflady. Odwróciła go i zamarła.

Zdjęcie. Trzyletnia dziewczynka w sukience w biedronki klęczała w piaskownicy i obsypywała piaskiem młodą kobietę z trwałą ondulacją i szerokim uśmiechem. Jakiś słoneczny letni dzień, a one wyglądały na szczęśliwe i beztroskie. Marta znała kobietę ze zdjęcia – to była jej matka. Pamiętała też sukienkę w biedronki, ponieważ urządziła potworną scenę, kiedy spłowiały, a zbyt ciasny już ciuch został wreszcie wyniesiony na śmietnik.

Stała tak, zapatrzona w kawałek papieru, niezdolna do ruchu.

– Woda! – usłyszała nagle za sobą.

– Co? – spytała nieprzytomnie.

– Woda się gotuje! – krzychała z łazienki Sabina.

Dopiero teraz usłyszała przeraźliwe wycie gwizdka. Zerwała się i wyłączyła gaz.

– Co się stało? – Sabina wróciła do kuchni. Strąki włosów przykleiły się jej do twarzy. Mimo że okryła ramiona burym, zmechaconym kocem, trzęsła się z zimna.

– W porządku. Zamyśliłam się tylko. Jedźmy do szpitala.

– Nic mi nie jest. – Dziewczyna machnęła ręką i zachwiała się. – Tak mi się czasem dzieje, jak zjem za dużo. A te bułki ze śniadania były okropne w smaku.

– Zjadłaś więcej niż jedną?

- No. Jakieś, hmm, siedem. Nie, czekaj, nie, siedmiu bym przecież nie zjadła. Tak sześć i trzy czwarte. Tak. Bo tej z gulaszem angielskim, fasolką w sosie meksykańskim i cukinią w occie już nie dojadłam.
- Nie?
- Pomyślałam, że jak dojem, to potem się będę czuła przejedzona.
- Połączyłaś gulasz angielski z sosem meksykańskim i cukinią w occie?
- Tylko w tej jednej. Inne były z nutellą, jajkiem na twardo, dżemem truskawkowym, kiełbasą, serem topionym, keczupem i śledziem w sosie musztardowym.
- Zjadłaś to wszystko naraz?
- Robię się głodna, jak mnie coś zdenerwuje.
- Siedem bułek? Co cię aż tak zdenerwowało?
- Ten policjant. – Sabina głośno przełknęła ślinę. Głos jej zadrżał. – On mnie chyba śledzi, tak jakby.
- Nie przewidziało ci się?
- Pokręciła głową.
- Dziś mi robił zdjęcia zza drzewa. Zamknij okno, bo strasznie tu zimno. – Zaszczękała zębami.
- Marta spełniła jej prośbę i wyciągnęła komórkę, chowając do torebki teczkę z dokumentami i zdjęciem.
- Robert, czy mógłbyś po mnie wpaść? – spytała.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tola nie odzywała się prawie wcale. Trudno było odczytać, co myśli, bo na jej twarzy rysowała się doskonała obojętność. Napoiła Sabinę jakimś mętnym płynem, ułożyła na przykrytej beżową narzutą kanapie w salonie i okryła pledem. Dziewczyna zasnęła niemal natychmiast. Pochrapywała przez sen, ścisnęła mocno koc, zostawiając na nim ślady szminki, niczym pieczętki z papeterii dla dorastających dziewcząt. Marta gapiła się w parkiet, zbyt zażenowana, by się odezwać. W osiedlowym blaszaku ubrania dziewczyny wyglądały wulgarnie i nieodpowiednio. Tu zaś... czuła się, jakby podstępnie wprosiła się na przyjęcie w ogrodach Pałacu Buckingham i przyniosła królowej w prezencie krasnala z gipsu.

Co jej szkodziło zachować się choć raz rozsądnie i porzucić dziewczynę w szpitalu? Odebrać jej klucze do mieszkania Witka? Andrew będzie tu jutro. Co się stanie, jeśli babka wszystko mu opowie? Rzecz jasna, kiedyś i tak trzeba będzie go poinformować, jak to wszystko wygląda, lecz Marta zdecydowanie wolała, by poznał jej wersję wydarzeń.

Staruszka naląła sobie brandy do szerokiej kwadratowej szklanki i usiadła w fotelu obok kanapy. Po chwili zapadła w drzemkę, budząc się jednak regularnie, by upić trochę alkoholu. Jakby była wartownikiem, który nawet w czasie odpoczynku nie może zaniedbać podstawowych obowiązków.

Przed siódmą Robert z Martą poszli do pobliskich delikatesów kupić trochę owoców na kolację. Gdy wrócili, niosąc siatki wypełnione dojrzałymi gruszkami, kiściami fioletowych polskich winogron, awokado, mango i dwoma dojrzałymi melonami, babka i dziewczyna już nie spały. Od progu przywitał ich podniesiony głos Toli.

– Przystępca, nie przestępca, trudno. Ważne, że nie komunista.

„Zostawiłam ją tylko na chwilę, a ona już opowiada o Kacprze. Cudownie!”

Babka Roberta nie wyglądała jednak na oburzoną. Stała przy stoliku obok fotela i drżącą dłonią dolewała do szklanki brandy. Drugą ręką gestykulowała, przez co połowa alkoholu lądowała na stoliku. Policzki dziewczyny wyraźnie się zaróżowiły. Siedziała na kanapie sztywno wyprostowana, nie opierając się o zagłówek. Ręce spłótła na brzuchu. Sprawiała wrażenie uczennicy wezwanej z rodzicami do gabinetu dyrektora.

– Komuniści są najgorsi – Tola usiłowała przekrzyczeć telewizor. – Zniszczyliby ci życie. Tak jak mnie.

Jak zwykle zapodziała gdzieś pilota i nie mogła przyciszyć. O tym, by w ogóle wyłączyć telewizor, nie mogło być mowy, ponieważ Tola wierzyła, że choć rodzina i przyjaciele odgrywają, rzecz jasna, w życiu każdego człowieka pewną rolę, to dom, prawdziwy dom jest tam, gdzie Nina Terentiew. Marta wyciągnęła pilota ze szpary w fotelu i następnie uciszyła lektora, z przejściem opowiadającego o barwnym życiu chihuahua jakiejś brytyjskiej piosenkarki. Babka Roberta spojrzała na nią z wdzięcznością, a następnie zwróciła się do wnuka:

– Mieli mango?

- Mhm.
- Sprawdziłeś skórkę?
- Jasne.
- Wystarczająco czerwone?

Kiwnął głową.

- Wystarczająco dojrzałe?

Ponownie przytaknął.

- Więc je skrój.

Robert wyszedł do części kuchennej i zaczął rozpakowywać zakupy.

- Ale przecież wyjechała pani do Stanów. – Marta usadowiła się na kanapie obok Sabiny.

– Myślisz, że chciałam? Byłam tu szczęśliwa. – Umilkła na chwilę. – Najmłodsza. Wszyscy bez przerwy wspominali, jak cudowne życie wiedli przed wojną. Kolacje, przyjęcia, bale. Dziś myślę, że trochę idealizowali. – Wzruszyła ramionami. – Skąd mogłam to wiedzieć? Oni żyli tylko przeszłością. A ja nie miałam przeszłości. Czekałam, aż to wszystko wróci. Aż zacnie się tu moje prawdziwe życie. Wyjdę za mąż i będę się bawić na całego. – Zamyśliła się. Patrzyła przez chwilę na szklankę, jakby nie miała pojęcia, jak znalazła się w jej ręce. A potem zaśmiała się gorzko i uniosła ją, wznosząc jakiś niemy toast.

– W końcu udało nam się wyjechać. Najpierw Anglia, potem Stany. Myślałam, że wszystko będzie dobrze.

- Nic się tam pani nie podobało?
- Ameryka to piekło – powiedziała Tola. – Nikomu nie można ufać.
- Nie? – zainteresowała się Sabina.
- Nie. Wiesz, za kogo wyszłam, dziecko?

Sabina pokręciła głową.

– Za polityka – powiedziała Tola i jednym haustem wypła resztkę brandy. Wykrzywiła się z obrzydzeniem wywołanym przez alkohol lub wspomnienia.

– Wyborcom mówił, że trzeba szanować tradycyjne wartości. Nie pić. Nie palić. Nie uprawiać hazardu. Żadnej zabawy. Narkotyków. Żadnych zdrad. Nic. Człowiek ma ciężko pracować, odkładać każdy grosz i kłaść się spać o dwudziestej pierwszej. Pięćdziesiąt lat to powtarzał. I co?

- Kłamał? – Sabina uniosła brwi w oczekiwaniu na zakończenie opowieści.

Tola prychnęła.

– A gdzie tam. Pracował, odkładał każdy grosz i chodził spać o dwudziestej pierwszej. Zimą nawet wcześniej. Jego rodzina prowadziła kampanię na rzecz przywrócenia prohibicji. Pieprzeni fanatycy.

Sabina zmarszczyła brwi, próbując pojąć sens tej wypowiedzi.

– Banda smutasów – westchnęła Tola. – Boże. Od początku mnie niepokoiły te jego poglądy. Ale matka powiedziała: „Nie bądź głupia. To polityk. Niezdolny do mówienia prawdy. Zwykły hipokryta, jak wszyscy. Wybawisz się przy nim za wszystkie czasy”.

Babka Roberta wybuchła krótkim spazmatycznym śmiechem i dołała sobie brandy.

- Spędziłam życie na urządzaniu herbatek dobroczynnych i pikników trzeźwości. Bo mówił szczerze.

Boże! Uczciwy polityk! Kongresmen, który żył według tego, co sam głosił! Czy nie mam prawa czuć się oszukana? To chore społeczeństwo. Nikomu nie można ufać. Nawet politykom, że kłamią.

Sabina przytakiwała jej ze współczuciem.

– I tak długo tam pani wytrzymała?

– Cóż. – Tola potrząsnęła głową. Jej głos stawał się coraz bardziej bełkotliwy. – Mój mąż milczał całymi dniami, co ja mówię, milczał całymi latami. Ale przynajmniej byłam tam bezpieczna. Komunizm nie miał w Ameryce szans. Masz, na co zapracowałaś. Nikt nie da ci nic za darmo. I to mi się podoba.

Robert wszedł do pokoju. Niósł półmisek ze skrojonym mango, melonem oraz serami. W drugiej ręce trzymał porcelanowy imbryk.

– Wychowali cię arystokraci – powiedział. – Potem bogato wyszłaś za mąż. Wszystko dostałaś za darmo.

– To co innego. – Tola machnęła ręką. – Bądź tak dobry i przynieś jabłka i śliwki. Leżą na parapecie w kuchni. I szarlotkę ze spiżarni.

Po chwili Robert wrócił z paterą przykrytą szklaną kopułą.

– Częstuj się, dziecko – babka zwróciła się do Sabiny. – Trzeba zrównoważyć te paskudztwa, które zjadłaś, moim domowym wypiekiem. W dzisiejszych czasach możesz ufać tylko pracy własnych rąk.

Marta omal nie udławiła się trójkąciem camemberta. Wspólnie z Robertem zrobili wczoraj ciasto, nadzienie i kruszonkę. Wkład babki w upieczenie ciasta sprowadzał się do sarkastycznego komentowania tempa ich pracy. Tola korzystała z pracy własnych rąk tylko wtedy, kiedy nalewała sobie kolejnego drinka.

– Przepyszne. – Sabina wgrzyzała się w ciasto, nie zważając na obsypującą jej sukienkę kruszonką. Pochłonęła kwadrat szybko i mechanicznie niczym Pacman i od razu sięgnęła po następny kawałek. Marta pomyślała, że żołądek nastolatki jest niezniszczalny.

Robert przyniósł z kuchni miskę antonówek, koszteli i węgierek. W drugiej ręce trzymał mały nożyk z drewnianym trzonkiem i garść serwetek.

Sabina właśnie częstowała się trzecim kawałkiem szarlotki.

– Naprawdę dobra. Mogłabym zjeść całą blachę.

Marta tego się właśnie obawiała. Skinęła na Roberta.

– Wezwij jej taksówkę.

– Niech je, ile chce – zawołała babka. – Na zdrowie. Ja żyję tylko dzięki Maniusi.

– Lekarka? – spytała Sabina.

– Kucharka – odparła Tola. – Gotowała u nas od zawsze i wzięliśmy ją do Ameryki. Dzięki niej... – zaczęła mówić i nagle głośno przełknęła ślinę.

Marta potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć, że staruszka zdrobniła czyjekolwiek imię.

Tola odezwała się dopiero po chwili. Patrzyła Sabinie głęboko w oczy.

– Jedzenie Maniusi to była jedyna dobra rzecz w tym głupim kraju. Kiedy umarła...

– Już nigdy nie zjadła pani nic równie dobrego – wtrąciła Sabina.

– Podglądałam ją. Mogłam potem wyszkolić Aurelię Aureolę.

Wbrew obawom Marty dogadywały się całkiem nieźle. Nawet się sobie zwierzały! Ona nigdy nie

została dopuszczona do sekretów staruszki.

– Pani też jest świetną kucharką. – Sabina spojrzała na Tolę z uznaniem.

– Jestem lepsza od świetnych kucharek. Jestem mistrzynią. Gdzie cygaretki?

– Leżą przed tobą – mruknął Robert.

Tola niepewnym ruchem odpaliła cygaretkę i przysunęła do siebie popielniczkę. Wycelowała palcem w Sabinę.

– Każdy może być świetnym kucharzem. Każdy. Zwłaszcza, gdy sprawy idą dobrze, zgodnie z planem.

Wciągnęła dym, przymknęła na chwilę oczy i wypuściła z ust szarą chmurę. Marta nigdy nie widziała jej całkiem trzeźwej, dziś jednak, po raz pierwszy, widziała Tolę całkiem pijaną.

– Ale ja jestem mistrzynią. Wiesz dlaczego?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Bo znam sekret.

– Sekret? – Sabina otrzepała sukienkę z kruszonki.

– Prawdziwy sekret. Wiem, co zrobić, gdy wychodzi zakalec. Jak go uratować – wybełkotała staruszka, głośno postukując palcem w blat stołu.

– Jak?

– Sekretne miejsce... Musisz go trzymać w odpowiednim miejscu. I wszystko uratujesz. – Czknęła. – Wszystko. Czysta magia. Dlatego Aurelia Aureola zrobiła taką karierę. Najlepsza piekarnia na Manhattanie. Ona wie. – Znów czknięcie. – Siedem razy Aurelia Aureola odchodziła... – Chrapnięcie. – Nigdy do syta. Nigdy do syta.

Nastolatka zmrużyła oczy.

– To znaczy gdzie?

– Ciiiiiiiiii – wyszeptala babka Roberta, przykładając palec do ust. – Tajemnica.

Jej ciało kołysało się przez chwilę, zupełnie jakby ujeżdżała konika na biegunach. A potem zasnęła.

Marcie ulżyło. Przez cały wieczór zamartwiała się, jednak jej lęki okazały się bezpodstawne, wręcz nedorzeczne. Tola nie tylko nie przejawiała zdziwienia strojem i makijażem nastolatki, lecz zupełnie naturalnie podeszła do opowieści o Kacprze. Chyba polubiła Sabinę. Problem tak naprawdę tkwił w Marcie: to ona przypisywała innym swoje własne obawy i uprzedzenia. Potwór, który wyszedł z szafy, rozpląnął się w zetknięciu z rzeczywistością. Nie było czego się bać i jutro, gdy...

– Czy to on? – spytała nagle Sabina.

– Kto?

– W telewizji. – Dała głośniej.

Na ekranie podczas jakiejś eleganckiej imprezy – Marcie wydawało się, że rozpoznaje restaurację Belvedere w Łazienkach – Andrew Bajakowski, w idealnie skrojonym smokingu, pouczał widzów.

– Dlatego tak ważne jest, z kim się zadajesz. Przyjaciele zawsze ujawnią innym twój prawdziwy poziom. To, kim są, świadczy o tym, kim ty w istocie jesteś. Możesz się oburzać, lecz ludzie lokują cię w hierarchii według tego, z kim się pokazujesz. Kto jest wystarczająco dobry, by być twoim znajomym? Szukaj towarzystwa osób, które podziwiasz. Pokazuj się z ludźmi, którzy są dwa kroki przed tobą. Niech reprezentują to, czym ty dopiero chcesz się stać.

Zamilkł na chwilę i melancholijnie spojrział w dal, jakby właśnie teraz, spontanicznie wymyślał te kwestie.

– Ktoś gorszy zawsze ściągnie cię w dół. Do swojego poziomu. A ty wyślesz światu sygnał, że w duchu też uważasz się za gorszego. I świat ci uwierzy. – Chrząknął. – Jeśli otoczysz się tombakiem, wierz mi, nikt, nigdy nie weźmie cię za brylant. Nigdy – podkreślił dobitnie Andrew.

– Dobrze powiedziane. – Sabina pokiwała głową.

Następnego ranka Marta obudziła się po ósmej. Zjadła jajecznicę z pomidorami w cichej pustej kuchni, słuchając, jak drobny deszcz bębni o parapet. Potem zaparzyła kawę. Popijała ją, ciesząc się samotnością i spokojem. Zapragnęła zabrać filizankę, wrócić do łóżka i spędzić resztę dnia na analizie rynku nieruchomości, czytaniu i pisaniu. A wieczór poświęcić na przygotowanie się do spotkania z Andrew.

Najpierw jednak chciała się upewnić, czy z Sabiną wszystko w porządku. Zadzwoiła, lecz dziewczyna nie odebrała telefonu.

To nic takiego, uspokajała się w myślach. Przecież kiedy od nas wychodziła, wyglądała już dużo lepiej. A taksówkarz na pewno odwiózł ją pod sam blok. Poczekał, aż wejdzie do klatki i zapali światło. Wielu taksówkarzy tak robi. Właściwie wszyscy. Nic się nie stało. Sabina po prostu odsypia wczorajszy wieczór. Poza tym jest dorosła.

Otworzyła drewniany chlebak i wyjęła przedwczorajszą bułeczkę z różą. Odgryzała spore kęsy i próbowała zapanować nad wyobraźnią.

Wykręciła numer jeszcze raz i odczekała dziesięć sygnałów... piętnaście... dwadzieścia.

Mogła wyciszyć telefon. Ludzie tak robią.

– Nie ma się czym martwić – powiedziała z przekonaniem Marta. I w tej właśnie chwili zaczęła się martwić. Doskonale zdawała sobie sprawę, że obrazy z kronik policyjnych, seriali medycznych i japońskich horrorów będą się jej wyświetlać w głowie co dwie minuty, nie pozwalając się na niczym skoncentrować. Ostatnio na przykład widziała reportaż o samotnej starej kobiecie, która złamała nogę i umarła z głodu w swojej kawalerce, a syn dopiero po miesiącu zorientował się, że matka coś ostatnio rzadko się odzywa. Sąsiedzi mówili, że wychowała go sama, z ogromnym poświęceniem, odejmując sobie od ust. I oto, jak się jej odwdzieczył.

Stop! Ona nie jest moją rodziną! – przekonywała siebie w myślach. A już całą pewnością nie odejmuje sobie od ust. Wręcz zadłużyła mnie u jakiegoś producenta salcesonu. Nikt mi nie będzie miał za złe, jeśli znajdą ją martwą.

A jednak nie dawało jej to spokoju.

Zaparzyła kolejną kawę, ukroiła kawałek szarlotki i zaczęła przeglądać teczki, które zabrała z kuchni Witka. Znalazła plan i metraż mieszkania oraz stertę rachunków. Wyglądało na to, że płacił wszystko na bieżąco. Nie zostawił jej chyba żadnych wielkich długów. Niestety nic nie wskazywało na to, by zostawił jakiegokolwiek oszczędności.

Przez chwilę – bardzo długą chwilę – wpatrywała się w stare zdjęcie, które znalazła na dnie szuflady. Zadzwoiła do Sabiny. Cisza.

Ubrała się i pojechała na Prądnik.

W mieszkaniu Witka zastała tylko puste, rozgrzebane łóżko. Kołdra przyobleczona w żółtą spraną

poszwę z kory zwisała, dotykając podłogi. Po zszarzałym prześcieradle walało się chaotycznie kilka jaśków z wzorem dżungli. Zmrużyła oczy. Brzydota tego miejsca wywoływała w niej niemal fizyczny ból. Nie mogła się pogodzić z myślą, że ojciec spędził tu resztę życia. Że wybrał to miejsce. Podeszła do łóżka i poprawiła pościel. Jeśli liczyła, że pokój dzięki temu zacznie wyglądać przytulniej, to grubo się myliła. Przez chwilę walczyła z pokusą, by zebrać leżące na podłodze kawałki tipsów, lecz postanowiła niczego nie ruszać. Ostatecznie miało to tyle sensu, co tuszowanie krosty na twarzy człowieka słonia.

Na stoliku przy łóżku, obok buteleczek z lakierami, klejami i brokatem, leżała komórka Sabiny. Włożyła ją do kieszeni i postanowiła pójść do PALOMY.

– Halo! Jest tam kto? Halo! – Otyła nastolatka z kruczoczarnymi włosami stała przy ladzie z paczką wafelków waniliowych.

Na widok Marty odłożyła słodczyce na ladę. Ze stojącego przy kasie szklanego pojemnika wyjęła karteczkę wielkości wizytówki i wyszła.

Marta zerknęła na stos kartoników. Fioletowa czcionka informowała klientów o dwudziestoprocentowym rabacie na słodkie napoje, pod warunkiem że wydadzą minimum dwadzieścia pięć złotych na zakupy. A więc na to poszły pieniądze z kasy! Wspaniale!

Przeszła pod ladą i zerknęła na zaplecze.

Sabina stała przy wiadrze ze spienioną wodą. Lała łyzy i tuliła kij od mopa.

– Cóż za niespodzianka – westchnęła Marta. – Co znowu?

– Nic – chlipnęła nastolatka.

– Posłuchaj, nie mam czasu na wyciąganie z ciebie zwierzeń. I nie jestem w tym dobra. Mów, o co chodzi, albo wracam do domu.

Dziewczyna wyprostowała się i chyba próbowała powstrzymać płacz, co jeszcze pogorszyło sytuację: tłumiony spazm wybuchł ze zdwojoną siłą.

Całą przestrzeń zaplecza wypełniały jakieś nowe pudełka, palety i częściowo tylko rozpakowane kartony. Marta wzięła Sabinę pod ramię i pociągnęła w stronę stojącego w rogu taboretu. Nastolatka nie stawiała oporu. Przypominało to jakąś dziwną zabawę w pchanie kukiełki przez tor przeszkód. W powietrzu unosił się zapach kiełbasy, wilgotnej tektury i chemikaliów.

Marcie udało się wreszcie usadzić dziewczynę na stołku. Zanim Sabina się odezwała, trzeba było przeczekać kilka kolejnych fal szlochu.

– Ktoś umarł? Boli cię coś? Znów się przejadłaś? A może ty po prostu płaczesz cały czas? Może masz takie hobby?

– Brakuje mi go – załkała Sabina. – Tak strasznie mi go brakuje.

Marta próbowała zrozumieć, o co może chodzić, i dopiero po chwili dotarło do niej, że mówi o Kacprze. Wyciągnęła chusteczkę, zwilżyła ją pod wodą i zaczęła wycierać dziewczynie twarz.

– Co ja teraz zrobię? – spytała Sabina.

– Coś wymyślisz.

– Wczoraj... jak tak na was patrzyłam... Wszyscy mają domy, rodziny... wszyscy spędzają czas... tak po prostu razem... Opowiadają ciekawe rzeczy o przeszłości i w ogóle, nie...? Tak sobie po prostu siedzicie, śmiejecie się, cała rodzina, razem...

– Mówisz o wczorajszym wieczorze? Naprawdę uważasz to za ideał życia rodzinnego? To nie jest moja rodzina.

– W jakimś sensie jest, nie?

Marta pokręciła głową.

– W żadnym sensie. I Bogu niech będą dzięki.

– Tola się wzruszyła, kiedy opowiadała, jak jej smażyłaś pączki o trzeciej nad ranem.

– To nie było wzruszenie. To była pijacka czkawka. Słuchaj, wróćmy po prostu do domu, okay? To znaczy: ty pójdziesz do mieszkania Witka, ja pojedę do Toli. Nie wiem, po co tu przysłaś. W takim stanie.

– Wędliny się zepsują, a są na kredyt. No, a w poniedziałek ma przyjść ten od ciasta francuskiego i mieszanek chlebowych. A wczoraj już i tak zamknęłyśmy wcześniej, bo... bo – zaczęła się jąkać, a potem znów wybuchła płaczem. – Czy coś jest ze mną nie tak?

Marta milcząco wpatrywała się w podłogę, żeby wykręcić się od udzielenia odpowiedzi. Okrucieństwo nie leżało w jej naturze.

– Dlaczego nie mógł po prostu zostać? Przecież wie, że nie mam nikogo. – Płacz przeszedł w coś w rodzaju zawodzenia. Marta podeszła do dziewczyny i poklepała ją po ramieniu.

– No. – Miała nadzieję, że brzmi to odpowiednio krzepiąco. – No.

Sabina wstała, przez chwilę patrzyła przed siebie pustym niewidzącym wzrokiem i nagle wtuliła się w Martę z całych sił.

Marta zdrętwiała.

Nie była przyzwyczajona do takich gestów. Nikt wcześniej nie dotknął jej w taki sposób. Nawet Andrew. Zwłaszcza Andrew. Andrew Bajakowski szlochający i potrzebujący ratunku – ten obraz zdecydowanie przekraczał granicę wyobraźni. Matka też nigdy nie pozwoliła sobie na słabość. To było nowe, dziwaczne i z całą pewnością bardzo jej się nie podobało. Zrozumiała nagle, o co chodzi mężczyznom, gdy mówią, że wolą oberwać niż znosić kobiece łzy. To właśnie było nie do zniesienia. W tym momencie zrobiłaby wszystko, absolutnie wszystko, żeby nie musieć znosić tego dłużej.

Delikatnie odsunęła od siebie Sabinę.

– No – powiedziała. – Idź do domu. Połóż się. Zrób sobie herbatę czy paznokcie, czy co tam chcesz. Posłuchaj piosenek. Zajrzę do ciebie potem.

– Ale sklep...

– Zajmę się tym. Idź.

– Ale...

– No idź. Odstraszasz klientów.

Sabina stała przez chwilę, rozważając coś w duchu.

– A jakbyśmy otworzyły tu piekarnię, co? – Ścierała z policzków resztki łez. – Dobrze ci wyszła ta szarlotka.

– Chyba oszalałaś.

– Tola zna tyle przepisów.

– Nie rozumiesz? Wyprowadzam się stąd.

- Odmalujemy ściany, kupimy takie słodkie szafki...
- Jesteśmy spłukane.
- I ściereczki. Figurki.
- Do zera. Spłukane do zera.

Sabina rozmarzyła się na całego. Zaczęła krążyć po zapleczu, przyglądała się ścianom, półkom i podłodze. Nieoczekiwanie wpadła w zachwyty. Jakby odkryła coś, czego nikt wcześniej nie zauważył. Czułe pogładziła ciężką kotarę oddzielającą zaplecze od części sklepowej, a obłok kurzu zawirował w powietrzu. Zerknęła na stary piec.

- I umiesz już robić chleb. – Nastolatka pochwaliła Martę.
- Cały czas coś psuję.
- Ja też się nauczę. No i znają tu PALOMEĘ od lat, nie?
- Z najpaskudniejszych bułek w tej części Europy. Idź już sobie. Muszę skończyć te głupie wiatraczki.
- Przemysł to – powiedziała Sabina, wychodząc.

Marta z ciężkim westchnieniem zawiesiła pelerynę na haku, włożyła fartuch ojca i zabrała się za rozkładanie towaru, napełnianie trójkącików ciasta francuskiego koncentratami, podpiekanie mrożonych kajzerek, układanie wędlin w chłodni i obsługiwanie klientów. Ludzie trochę dziwnie patrzyli na duże słoneczne okulary, ale minimalizowały ryzyko, że ktokolwiek ją rozpozna. Poza tym, choć wywiady z Andrew pojawiały się już w ogólnopolskich stacjach, Marta do tej pory funkcjonowała jedynie w niszowych, lifestylowych pismach i na blogu Andrew. Mało prawdopodobne, by klienci PALOMY to czytali. A nawet gdyby – większość tych zdjęć była tak nieostra, że nawet Marta z trudem siebie rozpoznawała.

A jednak się bała.

Słońce wyszło zza chmur i wywabiło na plac zabaw kilka matek z dziećmi. Kobiety popychały teraz karuzelę i bujały świeżo odmalowanymi huśtawkami, trzęsąc się przy okazji z zimna w zbyt cienkich dżinsach i letnich tenisówkach. Jakby lada moment mógł wrócić lipiec. Za to dzieci zostały tak szczelnie okutane szalami, czapkami i kurtkami, że patrząc na nie, człowiek odnosił wrażenie, iż żyje – jak mu się do tej pory wydawało – nie w strefie klimatu umiarkowanego, lecz w jakimś Westeros, a prognozy pogody układa niania Brana Starka.

Marta przez chwilę przyglądała się bitwie o dostęp do sznurkowej drabinki, a potem wróciła do rozpakowywania towaru. Niosła właśnie z zaplecza dwa półcie podwędzanych żeberek, gdy w kieszeni fartucha zabuczała jej komórka.

- Co u ciebie? Wczułaś się już w swój nowy wizerunek?
- Do szpiku kości – powiedziała, dzieląc wędzone żeberka rzeźnickim nożem na dwie połówki. – O której dokładnie będziecie?
- Nie będziemy. Dostaliśmy z Jowitą propozycję poprowadzenia warsztatów na Mazurach. Nie mogę zdradzić dla kogo. Ale takim ludziom się nie odmawia. – Andrew pękał z dumy. – No i kasa świetna. To się pojawiło w ostatniej chwili, bo zaplanowali zupełnie inne warsztaty, ale firma szkoleniowa dała ciała, a hotel już zarezerwowano na tydzień.
- A sesja?
- Przyjedzie Pandusia z fotografem. Zrobisz sesję z Robertem. Zostaniecie przyłapani na wieczornym

oglądaniu nieba. Kurier przyśle ci po południu sukienkę.

– Robert nigdy się nie zgodzi.

– Zostaw to mnie.

– Andrew... – westchnęła Marta. Było jej żal, że go dziś nie zobaczy. Niepokoił ją ten wspólny wyjazd do hotelu, całonocne imprezy integracyjne, morze alkoholu, leśne zaułki, romantyczne przejażdżki łodzią. Dzięki temu zyskała jednak dodatkowy czas, by rozwiązać sprawę Sabiny.

– Ja też tęsknię. Ale mam coś, co cię pocieszy. Wyniki badań są świetne. Będzie książka.

– Wyniki badań? – Marta nie rozumiała, o czym Andrew mówi. Lustrowała właśnie wnętrze chłodni z wędlinami i jej uwagę przykuły dziwnie wyrzuczone pęta kiełbasy zwyczajnej (13,99 zł/kg). Przesunęła je lekko i odkryła leżącą pod nimi otwartą wytłoczkę z tuzinem jajek. Sabina musiała być dziś w naprawdę w kiepskim stanie.

– Czytelnicy kupili twój wizerunek.

– Ale co to ma wspólnego z wizerunkiem?

– A kto będzie chciał to czytać, jeśli nie będziesz miała wizerunku? Czy wiesz...

Nagle dotarło do niej. Wyobraziła sobie *Leprechauna z kromlechów Lisseyviggeen* na wystawie w Empiku, zachwyty w oczach Andrew. Od czasu całej tej afery z krakowską cyganerią znów patrzył na nią z podziwem, zupełnie jak w pierwszych tygodniach romansu.

Euforia Marty trwała tylko kilka sekund.

Nagle przestała słuchać.

Przed wejściem do sklepu wyrósł policjant, który śledził Sabinę. Poprawił mundur, wyrzucił do kosza gumę do żucia, podniósł czapkę i przejechał palcami po ściętych na jeża włosach. Schylił się i zaczął czyścić czubki butów chusteczką higieniczną. I w tym właśnie momencie na rowerze podjechał nastolatek w czerni. Marta pamiętała go: kilka dni wcześniej wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem, a potem zapłacił trzy i pół stowy za dwie wody mineralne. Teraz zeskoczył z roweru, pokazał policjantowi PALOMĘ i coś energicznie tłumaczył.

Co jest, do cholery? – pomyślała Marta, niezdarnie przechylając wytłoczkę. Trzy jajka upadły i rozlały się po podłodze i na jej butach.

– Czas na fazę uderzeniową – mówił właśnie Andrew.

– Skarbie, nie teraz. – Przeszła na zaplecze po wiadro z mopem, po czym wróciła i zaczęła wycierać podłogę. W drugiej ręce wciąż trzymała komórkę.

– Daj z siebie wszystko – mówił Andrew, któremu najwyraźniej włączył się tryb „mówca motywacyjny”. – Musisz prowadzić życie, o jakim inni tylko śnią. Ze stylem. Ludzie mają patrzeć na ciebie i myśleć: „To jest to. Też tak chcę”.

– Jezu, mówiłam ci, że się do tego nie nadaję. – Chciała zetrzeć jajko z buta, ale pobrudziła dół sukienki białkowymi glutami. Ręce jej się lepily od zimnej mazi.

Książka! Marzyła o tej chwili od zawsze. Nie oczekiwała, że wszechświat uczci ten moment gromem z jasnego nieba, podwójną tęczą nad miastem czy też tańcem dzikich gęsi. Ale stolik w restauracji i odrobina szampana byłyby chyba całkiem na miejscu. Na Boga, chodziło o spełnienie marzenia życia. Dlaczego los stwierdził, że odpowiednią oprawą dla tego wydarzenia będzie ścieranie jajka z butów w PALOMIE? Jeśli czuwał nad nią jakiś Anioł Stróż, to z pewnością oblał zajęcia ze scenografii.

Za oknem nastolatek w czerni wręczył policjantowi białą kartkę i odjechał. Mężczyzna miał teraz nerwowo papier, patrząc na oddalającą się postać.

– Każdy się nadaje – przekonywał dalej Andrew. – Każdy. Znam się na tym. A najlepsze jest to, że moda na styl krakowskiej bohemy z początków dwudziestego wieku ma szansę się przyjąć w Stanach. Wśród Polonii. Oczywiście na razie to faza testowa i za wcześnie...

– Moda?

– Testowaliśmy kilka rzeczy na Facebooku. Wyniki są zachęcające. Oczywiście to nie było takie normalne badanie, jeszcze nie. Tylko takie sprawdzanie. Twoje zdjęcie w dorożce było najczęściej udostępnianym materiałem na profilu DzieciGreenpointu.com. Dwa tysiące siedemset trzydzieści cztery udostępnienia. W trzy dni. Nie spodziewaliśmy się, szczerze mówiąc. Wydawca mówi, że trzeba iść za ciosem.

– Tym się teraz zajmują wydawcy? Liczą lajki na Facebooku?

– Udostępnienia. Udostępnienia są ważniejsze. Oni się na tym znają. Zamówili analizę specjalisty od social media.

Zadzwoił dzwonek nad wejściem do sklepu.

Marta przygryzła dolną wargę tak mocno, że syknęła z bólu. Do środka wszedł elegancko ubrany staruszek z pekińczykiem na rękach. Mężczyzna rozejrzał się dokoła, potrząsnął głową i opuścił sklep.

– Co to za odgłos? – spytał Andrew.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę muszę...

– I ten specjalista twierdzi, że jest duża szansa na sukces. „Praktycznie gwarantowana”. Tak się wyraził. Możesz być wzorem dla młodych Polaków w Stanach.

– Andrew!

– Poczekaj, mam tu jego sprawozdanie. Bla, bla, bla... analiza jakościowa... bla, bla... O, słuchaj! „Łączy współczesny luz, nonkonformizm i jednocześnie zaspokaja potrzebę powrotu do korzeni. Jest jak Kraków. Z rodowodem, ale bez zadęcia”. Jeśli wszystko pójdzie naprawdę okay, to może wydamy cię też w Stanach.

Klamka w drzwiach ponownie zaczęła się uginać.

– Naprawdę muszę kończyć.

– Rozumiesz, co mówię? Może będziesz...

– Pa. – Rozłączyła się.

Zabrzmiał dzwoneczek, do sklepu wszedł policjant i obrzucił wewnątrz czujnym spojrzeniem. Marta spuściła oczy, odwróciła się w stronę regału z konserwami i zaczęła sprawdzać daty ważności na mielonkach. Skupiona mina sugerowała, że wykonuje właśnie niezwykle ważną i pilną pracę, której nagłe przerwanie niesłoby dalekosiężne i tragiczne konsekwencje dla ludzkości.

Policjant jednak najwyraźniej nie pojął aluzji.

Stał przy ladzie i chrząknął kilka razy.

– Taaak? – Marta spytała niechętnie.

Mężczyzna był wyraźnie spięty. Podniósł czapkę i dłonią otarł pot z czoła i twarzy... Mimo młodego wieku na czubku głowy miał łysinę wielkości plastra ogórka. Niski, gruboszyjny, z nieproporcjonalnie rozbudowanymi ramionami i klatką piersiową zdawał się wylewać z granatowej koszuli. Przypominał

żółwia ninja z nieco zbyt entuzjastycznym stosunkiem do sterydów.

– Poproszę dwie koperty z morelą. Albo trzy.

Marta unikała wzroku policjanta. Podeszła do pieczywa i metalowymi szczypcami włożyła do papierowej torebki trzy ciastka obsypane grubym cukrem.

– Pani tu pracuje?

Wzruszyła ramionami.

– Jak pan widzi.

– A gdzie ta druga?

– Kto?

– Blondynka.

– Nie wiem – rzuciła Marta nieco zbyt pośpiesznie. – Nie moja sprawa, co kto robi w wolnym czasie.

– Kiedy będzie w sklepie?

– Trudno powiedzieć. Źle się czuje ostatnio. Czy to wszystko?

– Niech pani dorzuci jeszcze ze dwa. Uwielbiam je. Nigdzie w okolicy takich nie robią. Szkoda, że...

– Urwał nagle.

Dorzucając koperty do torebki, Marta zastanawiała się, czy policjant z niej żartuje. Czy jest w ogóle możliwe, żeby ktokolwiek uważał te wypieki za dobre? Może to jakaś wyrefinowana technika śledcza? Nowy trend w przesłuchaniach? Funkcjonariusz rzuca szokującą, wywołującą konsternację uwagę, a zbity z tropu oskarżony mięknie i przyznaje się do wszystkiego. Na przykład policjant podchodzi do włączki i mówi: „Ale ma pan piękne spodnie. Czy to Armani? Gdzie je pan zdobył?”. Albo wchodzi do PALOMY i chwali jakość wypieków.

Jej rozważania przerwał nowy klient. Staruszek z pekińczykiem zdecydował się jednak wrócić do sklepu. Marta miała nadzieję, że policjant wyjdzie. Stał jednak przy ladzie i przyglądał się zamyślony półce z batonami, jakby szykował się do podjęcia ważnej decyzji.

– Czy to dobra kiełbasa? – Staruszek wskazał na grube, podeschnięte pęto.

– Jak to kiełbasa. – Marta się zaczerwieniła. Kłamstwa nie przechodziły jej przez gardło. Wiedziała, że ludzie zaglądną do PALOMY, bo mają blisko i jest tu w miarę tanio, ale wstydziła się, że sprzedaje rzeczy, których sama nie wzięłaby do ust. Nawet jeśli tego właśnie chcieli, nawet jeśli wracali po więcej – nie zmniejszało to jej zażenowania. Od kiedy gotowała i piekla dla Toli, zrobiła się potwornie wybredna.

– Proszę ukroić dwadzieścia pięć deka – rzekł staruszek. – Dla Pimpusia.

– Oczywiście.

Marta zerknęła na kiełbasę. Wybacz mi, Pimpusiu, westchnęła w duchu, wkładając foliowe rękawiczki.

– Piesku, czy to nie słodkie, że pan się tak o ciebie troszczy? – spytała nienaturalnie głośno. – Karmi kiełbasą, choć mógłby cię porzucić w środku lasu, gdzie zdechłbyś z zimna, głodu i odwodnienia. Albo rozszarpany przez dzikie zwierzęta.

Staruszek uniósł brwi. Mocniej przytulił psa, jakby się obawiał, że sprzedawczyni za moment przeskoczy przez ladę i porwie pupila. Ona jednak odważyła kiełbasę.

– Nie wszyscy żyją w takiej harmonii, jak ty i twój pan. Ja na przykład w ogóle nie wiem, gdzie jest mój brat. Słyszysz, Pimpusiu? Nie wiem, gdzie jest. Ani co robi. Nigdy od niego nie dostałam ani plasterka kiełbasy.

– Ile tego wyszło? – spytał staruszek. Widać było, jak bardzo żałuje, że nie zaufał pierwszemu wrażeniu i postanowił dać PALOMIE szansę.

– Dwadzieścia sześć i pół deka. – Marta wskazała na wagę. – Proszę spojrzeć.

– W porządku.

– Nie. Niech pan popatrzy. Proszę się przyjrzeć. Nigdy nikogo nie oszukałam. Słyszysz pan. Nigdy.

– To bardzo pięknie – powiedział staruszek, wierząc się z zażenowania.

– Nie policzę więc panu ani grama więcej. Choć pieniądze, oczywiście, bardzo by mi się przydały. Bo nie wiem, gdzie jest mój brat, jak mówiłam. I przez to mam kłopot ze sprzedażą sklepu. Choć i tak nie ma żadnych chętnych.

– Tak, oczywiście – przytaknął mężczyzna, patrząc tęsknie w stronę drzwi.

– A może pan chciałby kupić sklep?

– Słucham?

– Może kupi pan sklep. Zaoszczędzi pan na jedzeniu dla Pimpusia.

– Nie, dziękuję.

– Na pewno? Za pół ceny? I razem możemy poszukać mojego brata...

– Do widzenia – mruknął staruszek i wyszedł pośpiesznie.

Policjant z obojętną miną położył na ladzie paczkę gum miodowych i odliczone dwa złote i dwadzieścia groszy.

– Przecież pani wie, że nie sprzedaje tego sklepu. Jest już za późno – powiedział, jakby to było coś oczywistego, i też opuścił sklep.

Przez chwilę stała z otwartymi ustami i nie mogła się ruszyć. Jeśli to rzeczywiście nowa metoda zbierania zeznań – to bez wątpienia skuteczna.

Wybiegła za policjantem.

Ciągle stał przed PALOMĄ i przeżuwał z błogim wyrazem twarzy resztki morelowej koperty. Sięgał już do torebki po następne ciastko.

– Nie sprzedam tego sklepu? Bo co?

Ręką pokazał jej, że nie może mówić z pełnymi ustami.

Marta przyglądała się, jak przełyka ciastko. Jej oczy coraz bardziej się zwężyły, a usta zmieniały się w linię tak wąską jak spódniczki Sabiny.

– Czy jestem o coś oskarżona?

– Oskarżona? Po prostu nie sądzę, żeby ktoś go od pani kupił.

– Bo? Coś jest ze mną nie tak? Źle mi z oczu patrzy? Mamy mnóstwo klientów. Widziałam bilans – skłamała. – A nawet jeśli nie tak do końca mnóstwo, to można wyżyć. A teraz sprzedaż wystrzeli w górę. – Marta wskazała na ogrodzony teren po drugiej stronie ruchliwej jezdni. Cztery sześciopiętrowe bloki otaczały stojącą w środku olbrzymią wieżę ze szkła. – Dziesiątki mieszkań czekają, aż wprowadzą się lokatorzy. Setki lokatorów. I ten ogromny biurowiec. Przecież tu codziennie będzie pracować z tysiąc

osób. Jeśli jakiś inwestor ma głowę na karku, to odkupi sklep. I wie pan co? Nawet nie będzie się targował. Bo sam ten biurowiec zapewni mu odpowiednią klientelę.

– To nie jest biurowiec. To centrum handlowe.

– Co?

– Centrum handlowe. Otwierają za trzy tygodnie. Wszystkie te budy tutaj... No, większość właścicieli już się zwinęła.

– To niemożliwe.

– Przykro mi.

Usiadła na schodku przed sklepem i oparła głowę na kolanach.

– A, byłbym zapomniał.

Policjant wyciągnął z kieszeni wymiętą kopertę i podał ją Marcie.

– Taki jeden mnie zaczepił, kiedy tu szedłem. Mówił, że jest pani winny.

W środku były pieniądze. Przeliczyła.

– Sześćset złotych? Mnie? To jakiś obłąd.

– No, myślę sobie, skoro w PALOMIE dają takie kreski, to nic dziwnego, że jest kłopot z interesem. Bez obrazy. Bo ciastka pyszne.

– Zna go pan?

– Lata za taką jedną bibliotekarką. – Zamyślił się na moment. – Ale w sumie, kto za nią nie lata.

Pozostawił Martę sam na sam z tą zagadką, odwrócił się i zaczął iść w stronę wieżowców. Nagle zawrócił. Ściągnął czapkę i nerwowym gestem pogładził włosy. Poprawił kołnierz. Podeszedł do Marty, w poufałym geście nachylił się nad dziewczyną, a potem szybko, w obawie, że jeśli nie zrobi tego właśnie teraz, w tej sekundzie, to nie zrobi już nigdy i szansa przepadnie, wyszeptał:

– Ta blondynka... ona... jest w ciąży, prawda?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Sabina twierdziła, że policja obserwuje ją od dnia pogrzebu Witka. Jeśli w tym czasie zdołali ustalić, że dziewczyna jest w ciąży, to Kacper mógł spać spokojnie.

– Na to mi wygląda – wyszeptała Marta.

– Ale czy – zaczerwienił się – eee... czy wie pani może... czy ona kogoś ma? Bo nie... – przygryzał mięsiste, spierzchnięte wargi – ...nie widzę obrączki ani nikogo, wie pani... żeby ją odprowadzał czy coś...

Marta wybuchła śmiechem.

– Chce pan wiedzieć, czy ona ma faceta? Dlatego pan za nią chodzi?

– Wcale za nią nie chodzę – odparł speszony policjant. Poczerwienił... – To co? Ma kogoś?

Poczuła taką ulgę, że była gotowa zaprowadzić go do mieszkania, pomóc Sabinie się spakować i błogosławić im na nowej drodze życia.

Jeśli był to test niebios na siostrzaną lojalność, to raczej nie dostanę maksymalnej liczby punktów, pomyślała. Mało ją to obchodziło. Miała w sobie resztki przyzwoitości, więc odparła:

– Niestety, wydaje mi się, że kręcił się przy niej taki jeden. Dopytam.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marta nigdy nie dowiedziała się, jakim cudem, podstępem czy obietnicą, Andrew zdołał nakłonić brata do sesji zdjęciowej na krakowskim rynku. Właściwie mogła żyć bez tej wiedzy. Tak naprawdę spokoju nie dawał jej fakt, że Robert włożył luźny garnitur z wełnianej flaneli i koniakowe oksfordy na skórzanej podeszwie.

To było niepojęte.

Znała kilka byłych dziewczyn Roberta i żadnej nie udało się go nakłonić do wyrzucenia starych koszulek z bohaterami kreskówek. A ich determinacja była ogromna. Ostatnia, rudowłosa lektorka francuskiego, spotykała się z Robertem tylko po zmroku, w największych mordowniach Nowej Huty, by mieć pewność, że nikt jej nie rozpozna. Nauczyła się nawet obsługi Photoshopa, żeby móc zamieszczać ich wspólne zdjęcia na Facebooku. „Kocham cię, ale nigdy nie pozwolę, żeby przyjaciele zobaczyli mnie z kimś, kto nosi szalik w takim odcieniu”. Zerwali, kiedy w dzikich zaroślach na Zakrzówku natknęli się na miłego mężczyznę z labradorem, który serdecznie pozdrowił lektorkę, spytał o postępy w pracy i o zdrowie rodziców. Gdy tylko mężczyzna odszedł, lektorka wpadła w szal. „To był wnuk krawca Turbasy!”, wykrzykiwała, płosząc wszystkie ptaki w okolicy.

Robert nigdy nie zrozumiał, o co jej chodziło.

A teraz po prostu przechadzał się pod kościołem Mariackim, pogwizdując pod nosem, jakby od dziecka zajmował się układaniem stylizacji na ekskluzywne blogi o męskiej modzie. W ręce trzymał kolorową tubę. Martę zaskoczyło to, jak dobrze wyglądał. Może nie „obiektywnie wspaniale”, bo widać było, że garnitur nie został uszyty na miarę i odstawał w kilku miejscach, ale jak na faceta, który jeszcze wczoraj za szczyt wyrafinowanej elegancji uważał dzinsy bez dziur i czysty czarny podkoszulek – trudno było nie pisnąć z zachwytu.

Zegarek wskazywał dwudziestą pierwszą dziesiątą. Deszcz przestał siąpić kilka godzin temu, lecz powietrze ciągle było przesiąknięte świeżością. Wieczór był ciepły i gwiaździsty. Marta miała na sobie luźną czarną sukienkę do kostek i obszerny lazurowy szal z kaszmiru. Starła się wyglądać naturalnie i ignorować towarzystwo Pandusi z fotografem.

Dyskretnie zerknęła na wręczoną jej przez dziennikarkę karteczkę.

– Spójrz, jakie piękne niebo – powiedziała do Roberta.

– Tu wszystko jest przesiąknięte historią – odpowiedział, nie mrugnawszy nawet okiem.

– Gwiazdy patrzą na nas tak, jak patrzyły na naszych przodków... Jezus Maria. Co to ma być?

Pandusia podeszła do niej, wzięła kartkę i spojrzała na tekst, a potem na Martę.

– O co ci chodzi?

– Po co mamy gadać te bzdury? Przecież to sesja fotograficzna. Macie nam zrobić zdjęcia. Bo przypadkiem natknęliście się na nas na rynku.

Dziennikarka pokręciła głową.

– Musicie się wczuć w nastrój.

– Wybacz, ale nie jestem dziś w nastroju do wychwalania mądrości przodków.

Szczelniej owinęła ramiona szalem. Znów to samo uczucie: jest tylko statystką w historycznej inscenizacji. Spojrzała na Sukiennice oraz na lśniący od deszczu i świateł plac pełen turystów. To nie jest miasto, to dekoracja teatralna, myślała.

– Okay – westchnęła Pandusia. – W takim razie przesuniemy się trochę w stronę Sukiennic. Dobra, wystarczy. Tu będzie świetnie. – Zrobiła gest w kierunku fotografa, żeby się przygotował. – Marto, stoisz i spoglądasz na wieżę kościoła, a ty, Robercie, patrzysz wprost w niebo przez lunetę.

– Jaką lunetę?

– No, trzymasz ją przecież w ręce.

Robert przyglądał się rurce, jakby ją zobaczył po raz pierwszy.

– To jest luneta?

– Mówiłem ci, że to dziwnie wygląda – zwrócił się do Pandusi fotograf.

Dziennikarka całkowicie go zignorowała. Z wyrzutem spojrzała na Roberta.

– Andrew się wkurzył, że nie chciałeś zabrać swojej. Właściwie dlaczego? Musieliśmy to organizować w ostatniej chwili.

– Tuba mojego teleskopu waży trzydzieści kilo. Mógł urządzić sesję z Pudzianem.

Dziennikarka skrzywiła się z niezadowolenia.

– A kto w ogóle zatrzymuje się nagle, żeby obejrzeć gwiazdy przez lunetę? – spytał trzeźwo Robert.

– Ludzie o artystycznych duszach. Tacy jak wy. No, popatrz przez chwilę, a potem daj ją Marcie. Ją też musimy uchwycić.

Robert uznał, że odpowiadanie na jej uwagi mija się z celem. Posłusznie uniósł tubę i stał przez chwilę nieruchomo.

– To kalejdoskop – powiedział.

– Nie gadaj głupot – obruszyła się Pandusia.

– Popatrz sama! – Robert podał jej tubę.

– Nie ma się co kłócić, bo na zdjęciach i tak nie będzie widać, co to jest. Marto, pooglądaj teraz przez chwilę niebo przez lunetę. A ty – zwróciła się do fotografa – rób zdjęcia.

Marta uniosła tubę i oglądała zmieniające się wzory.

– Przysłoń dłonią przód – zauważył Robert. – Ktoś na tej lunecie nadrukował obrazek z Królową Śnieżką.

Pół godziny później siedzieli w kawiarnianym ogródku przy Brackiej. Marta z Robertem i fotografem rozglądali się dokoła w poszukiwaniu kogoś, kto przyjmie zamówienie. Pandusia nie zwracała na nich uwagi. Z błogim wyrazem twarzy obserwowała wieczorne życie miasta. Co chwilę poprawiała okulary (z nowej kolekcji Renaty Topoli) i podskubywała brodę, jakby przygotowywała się do wygłoszenia śmiałej antropologicznej obserwacji.

– Nie wiem, czy zauważyliście, ale ludzie w tym mieście chodzą jakby wolniej.

– Kelnerzy z pewnością – westchnęła Marta.

– Wesele zrobicie gdzieś na rynku?

– Jakie wesele?

– Twoje i Andrew.

Marta się zaczerwieniła. Próbowwała przybrać obojętny wyraz twarzy. Było to trudne, gdyż samo głośne stwierdzenie, że mogłaby wyjść za Andrew, wywołało u niej emocjonalne tsunami. Zachowujesz się jak gimnazjalistka, skarciła się w duchu.

– Nie planujemy wesela.

– Nie?

– Nawet gdybym się zastanawiała, co by było, gdyby Andrew poprosił mnie o rękę... Nie mówię, że taka sytuacja miała miejsce – dodała z godnością. – Nie jestem jakąś desperatką, czekającą na oświadczyzny. Ale, wyobraźmy sobie, czysto teoretycznie, że kiedyś tam, jak już się znudzimy niezależnością... Tylko Manhattan. To nasze miejsce. Jest taki jeden kościół...

– Słyszałam co innego.

Na kilka sekund pulsująca krew w skroniach Marty zdołała zagłuszyć przechodzących obok turystów śpiewających *We Are The Champions* z rosyjskim akcentem. Gdzie ten cholerny kelner?! Nigdy w życiu tak bardzo nie potrzebowała kufła piwa. Albo trzech.

– Co słyszałaś?

– Och, Andrew wspominał, że fajnie byłoby kiedyś zrobić wesele w stylu Przybyszewskich – odpowiedziała Pandusia. – Myślałam, że to obgadaliście.

– Przybyszewscy nie mieli wesela.

– Żadnego? – zdziwiła się dziennikarka. – Ale wyraźnie...

– Pobrali się spontanicznie. Wzięli ślub, bo kosztował markę. A oni wtedy mieli przy sobie dokładnie jedną markę.

– Dobre. – Fotograf z uznaniem pokiwał głową. – Naprawdę świetne. Ciekawe, kto im to doradził.

Pandusia wskazała palcem na Martę.

– Podobno zawsze się nimi pasjonowałaś. Musiałaś marzyć o czymś takim.

– Jasne – prychnęła Marta. – Wszystkie dziewczyny w Krakowie od kołyski marzą o ślubie za jedną markę.

– Właśnie dlatego nazywają nas centusiami – dodał Robert.

Wreszcie podszedł do nich kelner. Marta z Robertem zamówili portera, Pandusia wzięła wódkę i tost z oscypkiem, a fotograf podwójne espresso.

– Mówcie, co chcecie. A ja – dziennikarka uderzyła dłonią w stół – uważam, że to bardzo romantyczna historia.

Marta wzniosła oczy ku niebu.

– Co jest romantyczne? Kiedy brali ślub, kochanka Przybyszewskiego była w ciąży z drugim dzieckiem. Potem Przybyszewski zrobił teźże kochance dziecko trzecie. I jeszcze jedno. Przy tym ostatnim dziewczyna popełniła samobójstwo. Przybyszewski oddał dzieci do sierocińca. A kiedy znudził się Dagny, wysłał ją w podróż z chorym psychicznie gówniarzem, który ją zastrzelił.

Pandusia wzruszyła ramionami.

– Romantyczna miłość zawsze jest trudna. Najeżona przeszkodami. Dlatego jest tak silna i tak nas ekscytuje.

– Ekscytuje? – spytała Marta. – Ten człowiek żadnej nie przepuścił. Jak może być ikoną miłości? Robienie wesela w stylu Przybyszewskiego to najbardziej absurdalny pomysł, o jakim słyszałam. Równie dobrze można by zrobić wesele w stylu Tigera Woodsa.

Fotograf pokręcił głową.

– Niestety – powiedział z żalem. – Pola golfowe źle wychodzą na zdjęciach. Są zbyt monotonne.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Nowa cyganeria jada ślimaki we francuskich restauracjach i pija wina z tokańskich winnic, lecz to, co najważniejsze – nonkonformizm, duch artystycznych poszukiwań, bunt – pozostają te same, co przed wiekiem. Marta Lipka nie rozmienia się na drobne. Praca w korporacji? «Za żadne skarby», odpowiada. Zrywać się z łóżka o siódmej, by wbić się w garsonkę i z przyklepionym do twarzy uśmiechem wypełniać czyjeś plany sprzedażowe? To nie dla niej.

Woli sama być sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Liczy się celebrowanie życia i własnego talentu. Przygoda. Twórczość. Pasja. «Robiąc nudne rzeczy, stajesz się nudnym człowiekiem», mówi. I dodaje, że każdy dzień powinno się spędzać na robieniu czegoś, co rozwija i poszerza horyzonty.

Skąd ten bunt? W Krakowie atmosferą wolności nasiąka się już w domu. Marta, dziecko podróżnika i filozofki...”

– Błagam, przestań – Marta wyszarpnęła Robertowi gruby magazyn o życiu gwiazd, który czytał na głos, i odłożyła na stojak z pismami. W zamian dostał mop. – I dokończ wreszcie tę cholerną podłogę, bo nigdy stąd nie wyjdziemy.

Posłusznie wrócił do zmywania, choć czynność ta wprawiała go w dziwną melancholię. Im bardziej bowiem się starał, tym gorszy efekt uzyskiwał. Błoto naniesione przez klientów PALOMY, które z zapałem usunął, spełniało – o czym właśnie się przekonywał – ważną funkcję estetyczną: przykrywało naturalny kolor (nigdy nie widział tak brzydkiego!) płytek. Skąd ojciec Marty je wytrzasnął? Wszedł do sklepu i poprosił o płytki w odcieniu odchodów chorego niemowlaka?

Przez chwilę przyglądał się, jak Marta szoruje ladę chłodniczą gąbczastą szmatką i walczy ze zbyt długimi rękawami fartucha Witka, które bez przerwy się odwijają. Po twarzy spływały jej kropelki potu.

– To rzeczywiście nie wygląda na garsonkę – przyznał. – Ani na wnętrze korporacji.

– To nie moje słowa. W ogóle nie udzielałam żadnego wywiadu.

– Więc kto... – Nie dokończył, bo domyślał się odpowiedzi.

Rozejrzał się po wnętrzu PALOMY.

– Czy Andrew w ogóle wie, czym się zajmujesz?

– Niezbyt dokładnie.

– Niezbyt dokładnie?

– Wie, że odziedziczyłam sklep. I że chcę go sprzedać. Nie okłamuję go przecież, nie? Gdyby ktoś chciał kupić tę budę, nie zastanawiałabym się ani przez sekundę. Poza tym to temat na dłuższą rozmowę, a on... – Zaczerwieniła się lekko i wróciła do szorowania chłodni.

Andrew od tygodnia prowadził szkolenia w luksusowym ośrodku spa na Mazurach i nie miał czasu nawet pogadać przez telefon. Kilka razy próbowała rozkręcić dłuższą rozmowę, ale zbywał ją, a potem szybko się rozłączał. Podobno tworzyli z Jowitą program warsztatów na bieżąco, a to wymagało skupienia i koncentracji. A także – z dość niezrozumiałych dla Marty powodów – wspólnych kąpiele

w basenie, rejsów łódką oraz długich pobytów w saunie.

Dziś przez cały dzień nie znalazł chwili, by oddzwonić. Musi być bardzo, bardzo zajęty.

Marta znów czuła się niepewna i zagrożona. Słowa Pandusi o ślubie wydawały się jej teraz okrutnym żartem. Może dziennikarka się przesłyszała? Może był to jeden z tych podniecających pomysłów, na jakie Andrew wpadał po wypiciu kilku kieliszków wina, a których sens weryfikował poranny kac? Może – ta możliwość wydawała się jej najboleśniej i zarazem najbardziej prawdopodobna – rzeczywiście chciał się z nią ożenić, lecz Jowita uznała ten pomysł za nedorzeczny?

A on posłuchał.

Zawsze słuchał.

Wypolerowała miękką szmatką szybę lamy chłodniczej i zaczęła układać w czystym wnętrzu bloki tanich wyrobów seropodobnych. Ponieważ Sabina od kilku dni miała nieustające mdłości, Marta przejęła prowadzenie sklepu. To była ostatnia szansa na jakikolwiek zarobek. Musiały spłacić dostawców, zapłacić rachunki i wyprzedać tyle towaru, ile się da. Nie miała złudzeń – po otwarciu centrum handlowego nikt już raczej nie zajrzy do PALOMY.

Trochę bała się też tego, że ktoś ją w końcu rozpozna. Sesja z Robertem ukazała się właśnie w bardzo popularnym tygodniku kobiecym.

Było jeszcze coś: znów zarabiała pieniądze. Niewielkie, pozwalające jedynie na to, by mogła zapłacić rachunek za prąd, kupić sobie bilet i jedzenie dla Sabiny. Każda większa nieprzewidziana sytuacja mogła sprawić, że zatonie, lecz na razie utrzymywała się na powierzchni. Spłacała dostawców w terminie. Pękała z dumy. Miała ochotę ucałować każdego, kto kupił od niej pączka czy słoik fasolki. Klienci to widzieli i chyba ją lubili.

Prawdziwą gwiazdą była jednak Sabina. Ludzie, zwłaszcza faceci, bez przerwy pytali, kiedy wróci do pracy. Wymyślone przez nastolatkę konkursy cieszyły się absurdalnym wręcz powodzeniem. Po wyjściu z PALOMY Marta zajrzała kilka razy do mieszkania Witka, by przygotować dziewczynie obiad, i zawsze zastawała tam jakąś zwyciężczynię loterii poddającą się malowaniu paznokci czy doklejaniu rzęs.

Wreszcie udało się doprowadzić sklep do jako takiego porządku. Robert przyglądał się, jak Marta wiesza na haku poplamiony męski fartuch i narzuca na siebie designerski długi sweter z fioletowej wełny. Obiecał zrobić kilka profesjonalnych zdjęć mieszkania Witka.

Zastali Sabinę z dużym kubkiem herbaty miętowej w dłoni. Robert kręcił się przez chwilę po mieszkaniu i oglądał – nie bez perwersyjnej fascynacji – wszystkie pomieszczenia. W końcu wszedł do kuchni, gdzie Marta podgrzewała rosół ugotowany u Toli, a Sabina spoglądała przez okno niczym uwięziona w wieży księżniczka czekająca na wybawiciela.

– Dlaczego twój ojciec położył tapetę na suficie? – spytał Robert.

Marta wpatrywała się w niego przez chwilę, mrugając oczami.

– To pytanie retoryczne, czy naprawdę wyobrażasz sobie, że wiem? I co? Zrobisz te zdjęcia?

– Tak sobie myślę... – powiedział Robert. – Może by usunąć część tych mebli, co? Jakoś je przestawić czy coś?

– Wtedy mieszkanie będzie robić dobre wrażenie?

Wzruszył ramionami.

– Na pewno nie gorsze. Co tu tak śmierdzi?

Marta uświadomiła sobie, że tak się przyzwyczaiła do tego zapachu, że już go prawie nie czuje.

– Zepsute jajko, które eksplodowało – wskazała na sufit. – Może to zdrapiesz? Ja ani Sabina nie dosiegamy.

Nie czekając na odpowiedź, podała mu mały nóż. Robert stanął na krześle i zaczął zeskrobywać z sufitu przyschnięte jajko. Co parę sekund przerywał, by zasłonić nos i usta.

– Tylko ostrożnie – zawołała Marta i wymknęła się do przedpokoju. Znowu była pewna, że słyszy wibracje komórki. I znów się myliła. Andrew wciąż nie oddzwaniał. Dzisiejsze warsztaty mocno się przeciągały. – Staraj się jej nie uszkodzić. Bo nie wiem, skąd wezmę pieniądze na nową tapetę.

– Ze sklepu – odkrzyknęła Sabina.

Marta westchnęła głęboko, wzięła telefon i wróciła do kuchni.

– Mówiłam ci przecież. Szanse na sprzedanie sklepu... teraz po prostu nie istnieją.

– No to go zostawmy. Mamy zajęcie. A coś zawsze wpadnie do kieszeni. Nie mówię, że w tym miesiącu, ale może nie trzeba będzie do niego dopłacać. Zbyt dużo.

– Nie będzie trzeba dopłacać zbyt dużo? Czy ty jesteś normalna? Widziałas to centrum? Będą tam sprzedawać tony chleba równie paskudnego jak nasz. Tańszego o połowę.

– Poza tym jest opóźnienie. Brakuje im jakiegoś podpisu czy coś. Nie otworzą w terminie.

– Serio? – Marta się zaciekawiła. Wyobraźnia podsunęła jej właśnie obraz rozbiórki szklanej wieży.

– No, potrwa to chyba z tydzień dłużej, niż myśleli.

– Tydzień – prychnęła. – No to jesteśmy uratowane.

Weszła na Facebooka, by sprawdzić te rewelacje. I wtedy zobaczyła selfie Andrew: razem z Jowitą, w identycznych białych szlafrokach, wyjątkowo czymś rozbawieni, siedzieli na leżakach w grocie solnej. Zdjęcie sprzed dwóch godzin. Martę zalewały na przemian fale wściekłości i bezsilności.

Sabina dołała sobie wrzątku do herbaty i usiadła na parapecie.

– Skąd możesz wiedzieć, co ludzie wybiorą? Na pewno wielu woli tradycyjne jedzenie a nie szajs z marketów. Wiesz, co sypią do żarcia w tych wielkich sklepach?

– Naszym tradycyjnym wyrobem jest mrożone ciasto francuskie na margarynie. Nadziane koncentratem morelowym, który nawet nie stał koło moreli.

Sabina rozłożyła ręce.

– Mimo wszystko to rodzinna firma.

– Rodzinna firma! – krzyknęła Marta. Nie mogła zapanować nad emocjami. – Co ty nie powiesz! Wydrukujmy historię naszego rodu i powieśmy przed sklepem. Zgłośmy się do lokalnych mediów. Na pewno wzruszeni mieszkańcy będą nas bronić do ostatniej kropli krwi.

– Nie przesadzaj – powiedziała Sabina.

– Martwy dzieciórób. Ukrywający się przestępca. Nastoletnia samotna matka. Artystka znana głównie z równo skrojonego salcesonu.

– I grzyb – wtrącił Robert.

Marta wskazała na brzuch Sabiny.

– Nawet się specjalnie nie zdziwię, jak się urodzi z ogonem i rogami, a Polański poprosi o prawa do

ekranizacji naszej biografii.

Po chwili dopiero zawiesiła wzrok na Robercie.

– Co mówiłeś?

Robert oderwał kawałek tapety. Martę zdziwiło, jak łatwo odeszła. Sufit pokrywały charakterystyczne, brązowe plamy. Mężczyzna bez słowa zabrał taboret i przeniósł do większego pokoju. Stał przy framudze drzwi i odchylił tapetę w miejscu, w którym ściana styka się z sufitem.

Zszedł ze stołka.

– Tu wszędzie jest grzyb – powiedział.

Marta zbladła.

– Zaklej to z powrotem – wyszeptwała.

– Myślisz, że potencjalnego kupca nie zainteresuje tapeta na suficie? Że każdy machnie ręką i nikt pod nią nie zajrzy?

– Co teraz zrobimy? – spytała Sabina.

– Teraz... Teraz... – Marta usiadła na podłodze pod ścianą i chciała powiedzieć coś, co będzie mądre, pocieszające i pełne niezłomnej wiary w przyszłość, lecz słowa uwięzły jej w gardle i zaczęła płakać. – Nienawidzę tego miasta.

Sabina kucnęła obok niej i objęła ją ramieniem.

– Przestań – syknęła Marta, lecz nastolatka nie odpuściła.

W tym właśnie momencie zadzwoniła komórka Marty. Przez chwilę wsłuchiwała się w głośne wibracje, jakby były odgłosem z obcego świata. Została jednak na miejscu, bo nie miała ochoty z nikim gadać. Ani z dostawcami, ani nawet z Andrew. Zwłaszcza z Andrew.

– Gdzie ją położyłaś? – Robert krążył po pokoju z zawstydzonym wyrazem twarzy, jakby osobiście doprowadził do zagrzybienia mieszkania.

Machnęła ręką na znak, żeby nie szukał.

– Pomogę ci – powiedział nagle.

– Jak?

– Pójdziemy wieczorem... gdzieś... – Nie miał pojęcia, gdzie się zabiera dziewczynę, żeby zapomniała o kłopotach, ale Google na pewno zna odpowiedź. Potem to sprawdzi. – Trochę się zabawisz.

Bez przekonania kiwnęła głową, lecz coś w jej spojrzeniu sugerowało, że ucieszył ją ten pomysł. Tymczasem Sabina przyniosła Marcie paczkę jednorazowych chusteczek.

Robert wskazał na sufit.

– A potem pomogę wam to usunąć.

– Znasz się na tym? – zdziwiła się Marta.

– Trochę – powiedział.

– Niby skąd?

– Pamiętasz? W drugiej klasie brałem udział w olimpiadzie z biologii.

– I co w związku z tym?

– Umiem wyhodować grzyba. A łatwiej coś zniszczyć niż stworzyć. – W tym momencie zadzwoniła jego komórka. – Poradzimy sobie. Poza tym jest internet, nie? – Sięgnął do kieszeni.

– Nienawidzę tego miasta – powtórzyła Marta i otarła łzy chusteczką. – Tu nigdy nie zdarza się nic dobrego.

Robert wyciągnął telefon, zerknął na wyświetlacz i bez słowa podał aparat dziewczynie.

– Jak ci się podobał artykuł? – Andrew od razu przeszedł do sedna.

– Cóż, moje przemyślenia są dość zaskakujące. Zwłaszcza dla mnie samej. I nie wiem...

– Przepraszam, ale nie mam teraz czasu i przepraszam, że tak przez telefon, ale może byśmy się pobrali, co?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy Marta była dzieckiem i płakała z powodu obtartego kolana albo plamy na sukience lalki, ojciec zawsze brał ją na kolana. „Nie martw się, spróbuj na to spojrzeć z perspektywy wieczności” – mówił. Kiwała głową i cichła. Co prawda, nie miała pojęcia, czym jest wieczność czy perspektywa, lecz zdążyła się już połapać, że poważna mina w połączeniu z solennym potakiwaniem chronią ją przed wykładem i pytaniami ze strony ojca.

W dorosłym życiu, gdy wpadała w kłopoty, ludzie radzili często, by pomyślała o Tych, Którzy Mają Prawdziwe Problemy i Cierpią Bardziej. O dzieciach bez rąk i nóg. Klęsce nieurodzaju w Zimbabwe albo o ofiarach trzęsienia ziemi w Japonii. To zadziwiające, ile osób uważa kroniki nieszczęśliwych wypadków za pokrzepiającą lekturę.

Wieczność.

Perspektywa.

Głód.

Wojna.

Epidemia.

To były mądre i głębokie rady.

Jedyny problem polegał na tym, że w ogóle nie działały.

A teraz...

A teraz Marta zaciągnęła zasłony w oknie i skakała po łóżku, wymachując rękami i śpiewając *Something Stupid*. Śmiała się w głos i co jakiś czas kładła się, i tarzała w poduszkach. Resztki rozsądku powstrzymywały ją przed zrobieniem gwiazdy na środku pokoju.

Czy perspektywa wieczności pomaga odzyskać spokój ducha? Być może. Nie jest jednak tak zabawna jak perspektywa małżeństwa z kimś, na kogo punkcie szalejesz. To naprawdę wspaniałe uczucie. Znacznie lepsze niż brak malarii.

Grzyb na suficie, pustki na koncie, kłopoty z książką, Sabina, niepewność uczuć Andrew – to przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Wszystko będzie dobrze! Wszystko da się poukładać!

Miała cały dom dla siebie. Tola była w Bronowicach na kolejnym proszonym przyjęciu, a Robert niespodziewanie postanowił wyjechać na weekend za miasto i oglądać gwiazdy. Nie zabrał jej wieczorem na kolację. Jaki sens ma pocieszanie kogoś, kto właśnie wygrał na loterii?

Całą noc wierciła się w łóżku i co jakiś czas schodziła do kuchni, żeby napić się wody. Zasnęła dopiero nad ranem. Była pewna, że wyczerpała już limit wszystkich radosnych myśli, lecz na sekundę przed zaśnięciem przypomniawszy sobie jeszcze dziewczyny z łazienki w miastoMANIAQ-u. Jak ją nazwały...? Osobiście dopilnuje, żeby dostały zaproszenia na ślub.

To był krótki, płytki sen, lecz mimo to, gdy obudziła się o świcie, poczuła nieodpartą potrzebę, by wyskoczyć z łóżka i zacząć dzień. Nagle zrozumiała, skąd w Andrew tyle energii. On właściwie w każdej

sekundzie życia spodziewał się, że może rozbić bank.

Zjadła jajka na boczku, ugotowała kleik ryżowy i przed ósmą pojechała zawieźć go Sabinie. Dziewczyna jeszcze spała. Marta zastała na kuchennym stole kartkę: „W niedzielę są targi ślubne na Kazimierzu!!! Będą fajne promocje!!! Może się wybierzemy, co?? Możemy zrobić w PALOMIE wielką wyprzedaż towaru...? Potrzebujemy mnóstwo kasy, bo musisz być najpiękniejszą panną młodą ever!!! Wczoraj cała noc = przeglądanie katalogów z paznokciami. Muszę wiedzieć, co jest najlepsze i najmodniejsze. Zrobię ci takie pazury, że Andrew oszaleje ze szczęścia i z miłości. Chociaż już szaleje, bo jesteś najlepsza. Tak się cieszę!!!! Sabina”.

Marta uśmiechnęła się pod nosem. Choć nie ustaliła jeszcze z Andrew żadnych szczegółów – mieli to zrobić, gdy tylko przyjedzie do Krakowa – była pewna, że ich koncepcja będzie się nieco różnić od tej wymarzonej przez Sabinę. Cieszyła się jednak, że ma kogoś, kto tak mocno jej kibicuje, kogo będzie mogła zabrać na wyprawę do sklepu z sukniami albo kto wyskoczy z nią na targi ślubne. I pomoże zorganizować wielką wyprzedaż w PALOMIE.

Dziewczyna miała rację: Marta potrzebowała pieniędzy. W duchu przyrzekła sobie, że nie poszaleje za bardzo z sukienką, a całą nadwyżkę z wyprzedaży w sklepie odda Sabinie. Potem coś wymyśli. Może pani Cegiełka wreszcie przyjedzie po córkę? Może dziewczyna otworzy jakiś zakład kosmetyczny? Albo wynajmą mieszkanie? Może wreszcie znajdzie się Kacper? I sprawy pójdą w dobrym kierunku. Dlaczego nie? Dziś wszystko wydawało się Marcie możliwe. Nie budziła Sabiny, postawiła litrowy słoik z kleikiem na blacie w kuchni i poszła do sklepu.

Andrew zadzwonił, gdy otwierała drzwi PALOMY. Zaplanował sesję zaręczynową w domu Toli. To miała być wyśmienita, prawdziwie krakowska kolacja, obfita i suto zakrapiana winem. Mnóstwo jedzenia, różnorodnych alkoholi, swobodne, spontaniczne ucztowanie w gronie przyjaciół – intelektualistów i artystów.

– Ale my się nie przyjaźnimy z żadnymi intelektualistami – powiedziała Marta.

– Nic nie szkodzi – odparł Andrew. – Przywiozę trochę ludzi. Wyglądają bardzo mądrze i ekstrawagancko. Te nowe oprawki okularów Topoli są naprawdę świetne.

Jakże szybko zleciał ten sobotni ranek i południe. Marta podśpiewywała, gdy zlepiła brzegi trójkącików ciasta francuskiego i uśmiechała się do klientów z wdzięcznością. Kilka razy złapała się na tym, że krojąc wędlinę w maszynie, zaczynała kręcić biodrami i przytupywać w rytm latynoskich piosenek. W myślach układała już weselną listę przebojów.

Zamknęła PALOMĘ o pierwszej. Miała nadzieję, że uda się jej wstąpić do kilku sklepów z modą ślubną w centrum. Włożyła pęk kluczy do torebki i stała jeszcze przed sklepem, zastanawiając się, czy suknie w stylu lat trzydziestych wciąż są w modzie, gdy poczuła czyjś oddech na karku.

– Utyłaś – powiedział znajomy głos.

Marta wzdrygnęła się i odwróciła powoli.

– Gek... ooo... Julian?

Miał czarny, sfatygowany garnitur z wyświeceniami na kolanach i przylizane, gładko zaczesane włosy. Uśmiechał się lekko. Trzymał w ręku czerwoną różę owiniętą w celofan. To znaczy, że na mnie czekał. Wiedział, gdzie mnie znaleźć, pomyślała.

Przełknęła ślinę.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała.

– Przepraszam. Ale ty mi też sprawiłaś zawód. – Posłał jej karcące spojrzenie. – Kiedyś miałaś o wiele szczuplejsze nogi. Dlaczego nie odpowiadasz na moje maile?

Przez chwilę gorączkowo zastanawiała, czy dałaby radę szybko otworzyć drzwi, wbiec do sklepu i tam się zabarykadować – gdyby sprawy poszły źle. Ale zamknęła już PALOMEĘ na dwa zamki. Nie ma szans.

– Po prostu. Mam swoje sprawy. Ty masz swoje. No wiesz.

Gekon spojrzał na różę.

– Kiedy udaje mi się do ciebie dodzwonić, cieszę się, że odzyskaliśmy kontakt. Czasem urządzam z tej okazji przyjęcie. Tylko dla siebie. Ale gdy dzwonię znowu, zawsze słyszę, że nie ma takiego numeru.

Marta milczała.

– O co w tym chodzi? – spytał Gekon. – Dlaczego tak często zmieniasz numer?

– Ha. Dobre pytanie.

– Mnie przecież możesz powiedzieć wszystko. Masz problemy? Ktoś cię ściga? Co?

– Wiesz co? Miło było cię spotkać, ale naprawdę strasznie się spieszę. – Próbowwała się wymknąć, lecz blokował jej drogę.

– Jeśli ktoś cię niepokoi, powiedz. Wystarczy jedno słowo. Jeżdżę na taksówce. Znam ludzi z miasta.

– Nie trzeba.

– Nie krępuj się.

– Naprawdę sobie radzę.

– Zawsze pakowałaś się w kłopoty. Zadawałaś z dziwnymi ludźmi. Tak było. Nie zaprzeczaj. Od lat powtarzam sobie: „Martę trzeba chronić przed nią samą”. Ale nie martw się. Już do tego przywykłem.

Marta wzięła głęboki wdech. Strach ustępował miejsca irytacji.

– Przywykłeś?

– Zawsze wdepniesz w coś takiego. Teraz ten twój chłopak. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Jakoś tego nie widzę. On nie jest dla ciebie.

– Wczoraj mi się oświadczył.

Gekon zastygł.

– Iiiii?

– Powiedziałaś „tak”.

Zaśmiał się, ukazując małe, dziecinne ząbki.

– Teraz mówisz „tak”, a za miesiąc ci się odwidzi. Jest w tobie ta zdradziecka skaza.

Spojrzał na nią z taką mieszaniną pogardy, goryczy i wyrzutów, jakby sprzedała jego życie za trzydzieści srebrników. Uniosła brwi.

– Boże, człowieku. To było czternaście lat temu.

– Niektórzy traktują słowa poważnie.

– Serio? Jakie słowa? „Zabierz mnie, skarbie, do Buenos Aires”? Powiedziałaś to jeden raz. Czternaście lat temu. Na imprezie. W trakcie gry w butelkę. Byliśmy wszyscy kompletnie pijani. Nie rozumiem, jak...

– Aż do matury w każde wakacje pracowałem w myjni, żeby odłożyć pieniądze na podróż. W każde. Żałuję, że nie potrafisz kochać.

– Żałuj, że nie zagraliśmy w Monopol. Miałybyś teraz sieć hoteli w Atenach.

I wtedy rzucił jej różę pod nogi. Cofnęła się. Kwiat leżący na pękniętej płycie chodnikowej niepokojąco przypominał samego Gekona: jeden wielki wyrzut sumienia. Mężczyzna skoczył na różę, ani na sekundę nie spuszczać wzroku z Marty. Rozdeptywał płatki z jakąś perwersyjną dokładnością, niczym szkolny prymus sumiennie pracujący na ocenę celującą. Szelest celofanu przyprawił Martę o gęsią skórkę. Po raz pierwszy dotarło do niej, że facet, który uważa ją za swoją drugą połówkę, nie jest lekko stuknięty. Jest po prostu szalony.

– Wiesz co? – powiedziała. – Nie mam ochoty tego słuchać. Idę do domu.

– Do domu... – Uśmiechnął się. – Do którego domu? Do tatusia podróżnika? He, he, he... Sprawdzić, czy nie odnalazł się zaginiony braciszek? Och, a może lepiej, żeby zguba się jednak nie odnalazła? Bo z tego, co słyszałem, może sprawiać problemy.

– Nie wiem, skąd wiesz...

– Wiem więcej, niż myślisz – przerwał jej. – I na pewno więcej, niżbyś chciała. Ta słodka blondyneczka lubi sobie pogadać. Oj, lubi. Wiesz. Co w sercu, to na języku.

– Co cię to w ogóle obchodzi?

– Mówiłem ci. Ktoś musi cię chronić przed tobą samą. Znowu wpakowałaś się w jakieś gówno.

– Ty? Ty będziesz mnie chronił?

– Jak zobaczyłem te sesje w gazetach... – Zaśmiał się. – Nasza Marta ikoną stylu.

– Nie twoja sprawa.

– Nie? Co ty nie powiesz? Może i nie moja. Ale wiesz co? – Wyciągnął z kieszeni jakieś odbitki i zamachał nimi w powietrzu. – Jest kilka osób, które uznają, że to jak najbardziej ich sprawa. Prawdziwe życie nowej Dagny Przybyszewskiej. Jak kroisz szynkową. Albo podtrzymujesz nad koszem pod spożywcziakiem rzygającą laskę. Ta twoja nowa najlepsza przyjaciółka. No, no... Robi wrażenie. Tak, myślę, że kiedy zobaczą ją redaktorzy „Tyle Stylu”, to uznają, że to ich sprawa.

– Nie zrobisz tego – powiedziała. Zaschło jej w gardle.

– Albo blog twojego chłopca. Wchodzę tam codziennie. Tyle komentarzy. Tylu czytelników. Tyle twoich zdjęć. Za każdym razem ręka mnie świerzbi. Chcę dorzucić kilka swoich fotek. Ale jeszcze się powstrzymuję. Choć...

– Co to ma być? Szantaż? Czego ode mnie chcesz?

– Żebyś dała nam szansę.

Wiedziała, że Gekon nie ma poczucia humoru, lecz mimo to wpatrywała się w jego twarz, sprawdzając, czy jednak może żartuje.

Nie żartował.

– Czy słyszałaś, co powiedziałam? Mam narzeczonego. Wychodzę za mąż.

– Wiem, wiem. Rozumiem. Chłopak zastępczy.

– Co?

– Przerabiałem to z kilkoma dziewczynami. Niby z nimi byłem, ale wiadomo, że to nie mogło się udać.

Tylko traciłem czas. Podświadomości nie oszukasz. Gdzieś w głębi serca wiedziałem. I myślę, że ty też to wiesz. Tylko ty i ja...

– O czym ty do cholery mówisz?

– Nie mam ci za złe, że na niego poleciałaś. Bogaty, przystojny, wiadomo, co kręci takie dziewczyny jak ty. Byłem daleko. Często nieobecny.

– Uciekłam stąd, żebyś był bez przerwy nieobecny.

Pokręcił głową.

– Staralem się o ciebie, ale widać nie dość.

– Nie dość? Człowieku! Wytoczyłam ci sprawę o nękanie.

– Ale wycofałaś papiery.

– Bo twój adwokat przysięgał, że już nigdy nie będę musiała cię oglądać.

– Nie oszukuj samej siebie, Marto. Trochę godności. Jak powiedziałem, mogę wybaczyć ci, że na chwilę straciłaś głowę dla tego pedziowatego patafiana. Rozumiem twoje obecne rozdarcie.

– Między tobą a Andrew? Niezły pomysł. Przykro mi, ale nie.

– Kłamiesz.

– Jestem najbardziej nierozdartą kobietą pod słońcem. Słyszysz? Pieprzonym monolitem!

– Czemu tak tłumisz swoje uczucia? – Skrzywił się z niesmakiem. – Trudno to zrozumieć. Mówiłem ci, że człowiek nie może uciec od siebie, zmieniając miejsce zamieszkania. Nie chcesz mi dać szansy. Tak jak nigdy nie dawałaś jej Krakowowi. A tylko tu możesz być szczęśliwa.

Nagle, wbrew wszystkiemu, Marta poczuła, że ogarnia ją litość.

Czas obszedł się z nim okrutnie. I to w tak przewrotny sposób! Julian zawsze miał twarz skrzywdzonego chłopca. To dzięki tej twarzy w czasach licealnych uchodził za outsidera, prowokując westchnienia koleżanek z młodszych klas. A teraz... teraz wciąż wyglądał tak samo jak kilkanaście lat temu. I to właśnie było straszne. Trzydziestolatek o twarzy skrzywdzonego dziecka nie wygląda jak romantyk. Wygląda jak idiota. Musiał zdawać sobie sprawę, jak żałośnie wyglądało teraz jego życie. Także w tej chwili, gdy stał przed Martą ze swoimi dowodami w kieszeni, próbując zmusić ją do uległości. Coś w jego sylwetce zdradzało, że należy do gatunku ludzi, którzy za każdym razem, gdy ujrzą swoje odbicie w lustrze, pytają: „Kto to jest, do cholery?”.

– Julianie – Marta powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Czy nie chciałbyś porozmawiać z psychiatrą? Naprawdę tego potrzebujesz.

Gekon przez chwilę miał taką minę, jakby w istocie rozważał tę myśl. Nagle kopnął zniszczoną różę w stronę trawnika i posłał Marcie pełne wyrzutu spojrzenie.

– Najpierw porozmawiam z dziennikarzami.

Odwrócił się i odszedł.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Does he love me I want to know

How can I tell if he loves me so

Chłodne powietrze wpadało do kuchni Witka przez otwarte na oścież okno. Niosło zapach ryby smażonej w przypalonym tłuszczu i muzykę. Wirujące nad parapetem drobinki kurzu zdawały się poruszać w rytm śpiewanej przez Cher piosenki.

Ciekawe, który sąsiad podkręcił radio na cały regulator. Najpewniej student turystyki spod dwunastki przebudził się z pijackiego letargu i zapragnął kontynuować imprezę. Nie zauważył, że weekend się skończył. I jest poniedziałek. A może właśnie zauważył, ale się na to nie zgodził. Jeśli tak, to miał rację. W każdym razie Marta solidaryzowała się z nim.

Lekko zakołysała biodrami, opierając się o stojącą przy oknie, pochłapaną farbami drabinkę.

– *Does he love me...* – zawtórowała, lekko fałszując.

Robert przyglądał się, jak krzyżuje ręce na piersi, obejmując się za ramiona. Jej nogi drżały.

– Włóż sweter – powiedział. – Cała się trzęsiesz.

– Ja się nie trzęsę – syknęła. – Tańczę.

– Wiedz jedno. Może dostaniesz kiedyś okładkę „Timesa”. Może dostaniesz Pulitzera. Ale nie licz na Taniec z Gwiazdami.

– Och, twój gust jest taki pospolity. Nie doceniasz prawdziwej oryginalności.

– Ten taniec jest gorszy niż twoje bułki. To w pewnym sensie osiągnięcie.

Marta podniosła przybrudzoną ścierkę z parapetu i rzuciła nią w Roberta. Zrobił unik i przy okazji kopnął taboret, który przewrócił się wprost na kaloryfer.

– Nie obudź Sabiny – powiedziała.

Shoop, shoop cichło. Najwidoczniej piosenka nie zaspokoiła apetytu sąsiada na Cher, bo po kilku sekundach w mieszkaniu zabrzmiały pierwsze takty *I Got You Babe*.

– Chodź. – Robert wyciągnął rękę w jej stronę. – Pokażę ci, jak to się robi.

Spojrzała na niego nieufnie. Podeszła jednak. Robert objął ją w talii i zaczęli się bujać w rytm muzyki. Ich ręce były sztywne i zachowywali zbyt duży dystans – niczym para gimnazjalistów na szkolnej dyskotecie, przejętych, by nie narobić sobie obciachu.

– Nie wiedziałam, że lubisz tańczyć. Ani nawet, że umiesz.

– Bo nie umiem.

Na potwierdzenie tych słów nadepnął jej na palec.

– Aha.

– I nie lubię.

– Nie?

Robert przysunął się bliżej, delikatnie uniósł Marcie brodę i spojrzał jej prosto w oczy.

– To po prostu jedyny sposób, żeby nie musiał patrzeć, jak się poruszasz.

Kropla wody spadła Marcie na twarz.

Zamrugła oczami.

Kilka minut wcześniej spryskali tapetę, a teraz czekali, aż nasiąknie i pozwoli oderwać się od sufitu.

Robert wrócił z samotnej wyprawy w niedzielę po południu. Obiecał pożyczyć pieniądze na ekipę, która skuje tynk i odgrzybi kuchnie i pokoje. Odda mu, jak tylko sprzeda mieszkanie.

Fachowcy mogli przyjechać dopiero za dwa dni, więc żeby zaoszczędzić trochę czasu, Marta z Robertem sami wzięli się za usuwanie tapety. Potem czekało na nich trudniejsze zadanie. Musieli przejrzeć wszystkie rzeczy znajdujące się w mieszkaniu. A następnie posortować je na:

Okropne, tandetne, niepraktyczne i zawadzające – na śmietnik.

Okropne, tandetne, zawadzające, acz mogące się jeszcze przydać – do piwnicy.

Okropne, tandetne, zawadzające, lecz posiadające jakąś wartość praktyczną lub sentymentalną. Albo niedające się łatwo wynieść – przykryć folią na czas remontu.

Najtrudniej było zdecydować, do której kategorii zaliczyć Sabinę.

Z pokoju obok dobiegły ich odgłosy szurania. Muzyka musiała jednak ją obudzić.

– Musi się zacząć przygotowywać do przeprowadzki – zauważył Robert. – W środę z samego rana przychodzą ci faceci od grzyba.

– Ona chce tu przesiedzieć cały remont.

– To niemożliwe. Te preparaty są toksyczne. Poza tym właściwie od razu powinna stąd zniknąć. Lekarze przestrzegają kobiety w ciąży przed mieszkaniem z grzybem.

– Mocniej przestrzegają przed mieszkaniem w kartonie na dworcu. Nie widziałeś jej matki.

– Tak źle?

– Słowa „zapierać się” zyskały nową jakość.

– Czeka, czeka. To ta właścicielka fermy drobiu?

– Myślisz, że opamięta się, nim kur zapieje trzy razy?

– Nie. Ale może niech cię spłaci i niech Sabina zatrzyma mieszkanie.

– Ona uważa, że Kacper powinien się o to zatroszczyć. – Marta ściszyła głos.

Do kuchni weszła Sabina w koszuli nocnej z prześwitującego czerwonego materiału obszytego czarnym futerkiem. Zasłoniła usta i ziewnęła.

– Ja się tylko napiję. Nie przeszkadzajcie sobie.

Wyciągnęła z lodówki butelkę tłustego mleka. Odkręciła ją i małymi, szybkimi łykami wypila połowę. Marta przypomniała sobie starego alkoholika, który zjawia się w sklepie Witka zaraz po otwarciu i kupuje dwulitrowy napój gazowany o smaku kiwi. Pochłania go na miejscu. „Co zrobić, jak suszy” – mawia. Sabina była jedyną osobą na świecie, która piła w sposób bardziej zachłanny.

Tymczasem Sonny i Cher skończyli się radować z faktu, że mają się nawzajem. Robert i Marta jeszcze chwilę po ostatnich taktach kołysali się w niezgrabnym, sztywnym tańcu, jakby chcieli sami siebie

przekonać, że nie robią nic złego i nie mają nic do ukrycia. Kiedy jednak w następnej piosence rozpoznali *Almost Lover*, odsunęli się od siebie gwałtownie.

– Wystarczy na razie tego wietrzenia – powiedział Robert i zamknął okno.

Zaczął wynosić do przedpokoju sprzęty wyjęte wcześniej z górnych szafek.

– Uważaj na to! – krzyknęła Marta.

Tłusty brud oblepiający pudło z enerdowską sokowirówką zostawił paskudną plamę na podkoszulku Roberta.

Machnął ręką.

– Spierze się.

Sabina wstawiła mleko z powrotem do lodówki.

– Co z tym szantażystą? Odezwał się?

– Dzięki, że mi o nim przypomniałaś! – fuknęła Marta.

Tego ranka po raz pierwszy od sobotniego popołudnia udało jej się nie myśleć o Gekonie. Słowa Sabiny zadziały jak otrzeźwiający lewy prosty. Przez chwilę żałowała, że zaraz po rozmowie z tym psycholem przyszła i opowiedziała o wszystkim. W domu nie było ani Toli, ani Roberta. A ona musiała się wygadać.

– Może go postraszę Kacprem? – zaproponowała dziewczyna.

– A wiesz, gdzie on jest?

– Nie, ale powiem temu idiocie, że jak wróci, to się z nim rozprawi. Że Kacper jest ścigany i nieobliczalny.

– Już mu dość naopowiadałaś.

– Skąd miałam wiedzieć? – Sabina się skrzywiła. – Był taki miły. Raz mi przyniósł rafaello.

– Po prostu się w to nie mieszaj. – Marta była zła coraz bardziej. Okazało się, że Sabina regularnie ucinała sobie pogawędki z Gekonem nie tylko na temat Marty, lecz również Kacpra.

Dlaczego nie posłuchałam Andrew, wyrzucała sobie. To było takie proste. Od punktu A do punktu B. Dlaczego dałam się w to wciągnąć?

Sabina ponownie otworzyła lodówkę. Wyciągnęła kiść niedojrzałych bananów.

– Chce ktoś?

Pokręcili głowami.

– Wiedziałam, że tak będzie – westchnęła Sabina. – Szkoda, że nie oglądasz *Plotkary*.

Marta zmrużyła oczy.

– Co by mi to dało?

– Wiedzę. Jak się robisz nagle sławna albo bogata, zawsze ktoś cię szantażuje. Zawsze.

Robert wziął drabinkę pod pachę.

– Tylko coś sprawdzę. – Wyszedł z kuchni.

– Myślisz, że może ci coś zrobić? – Sabina odgryzła czubek banana.

– Wolę nie myśleć.

– Powiedziałaś Andrew?

– To nie jest na telefon. Andrew będzie tu w sobotę. Nie wiem, jak mu to wszystko wytłumaczyć. – Usiadła na taborecie. Na samą myśl o tej rozmowie żołądek podchodził jej do gardła.

– Nie twoja wina, że facet ci grozi. Każdemu może się zdarzyć.

– Serio? Ilu znasz ludzi, którzy potajemnie prowadzą sklepy spożywcze z sekretnymi znajomymi?

Robert wrócił do kuchni. Spojrzał na Sabinę, która właśnie wyrzucała do kosza skórkę od banana.

– Niedobrze. To cholerstwo rozpleniło się też tam, gdzie śpiesz.

– Nic mi nie będzie – powiedziała i uśmiechnęła się, klepiąc go w ramię. – Ojciec kiedyś hodował pieczarki. Jestem zahartowana.

Marta natychmiast poszła do sypialni. Szybko i niedbale zaczęła wrzucać do wściekle różowej torby rzeczy nastolatki: minisukienki, minibluzeczki, pudełka z rżęsami, kleje do paznokci, lakiery do paznokci, latarkę, a także Mrug-Mruga.

– Pomniesz! – krzyknęła Sabina i doskoczyła do Marty. Wyszarpnęła jej z dłoni czarną mini i własnym ciałem zasłoniła bagaż.

– Jak mogę to pomiąć? To jest tak krótkie, że nawet nie da rady tego złożyć. Odsuń się.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Weź się odwal. Coście tacy wydelikaceni w tym Krakowie? Grzyb – zły, smog – zły, azbest – zły. A potem same alergie.

– Azbest? – Ta uwaga zbiła Martę z tropu.

– Cały czas nas nachodzą z gminy. Że to niby niebezpieczne, że zagrożenie, no takie bla, bla, bla. A my całe życie pod takim dachem mieszkamy i nikt nie ma alergii.

Marta zgarnęła z łóżka srebrny peniuar z poliestru i kilka rozrzuconych bluzek, a potem podeszła do niskiego, drewnianego stołeczka bez oparcia, który pełnił funkcje nocnego stolika. Podniosła dowód osobisty Sabiny.

– Jak tylko skończymy, odwieziemy cię do domu. Nie możesz tu spędzić następnej nocy.

– Śmietankowa dziewięć w Koluszkowie. Wiesz, jak tam dojechać? – zwróciła się do Roberta.

– Mam GPS. Skończcie się pakować, ja zerwę tapetę w kuchni.

– Matka nie chce mnie widzieć – powiedziała Sabina.

– Cóż, będzie musiała.

– Proszę cię. Nie każ mi tam wracać.

– Posłuchaj, Kacper na pewno się znajdzie. Zajmie się tobą. Weźmie cię do siebie czy coś.

Sabina zrobiła błagalną minę.

– Mam tylko ciebie.

– Wygadujesz bzdury. Masz matkę, ojca, Kacpra, dziecko, jak się urodzi. Paznokcie.

– Nikt się mną nigdy tak nie opiekował. I zawsze marzyłam o siostrze. I tak dobrze się dogadujemy. No nie?

Marta spuściła wzrok. Trudno jej było znieść spojrzenie Sabiny. Nie wiedziała, co właśnie poczuła, lecz była absolutnie pewna, że nie chce tego czuć. I jeśli zacznie to teraz analizować – popłynie. Czymkolwiek była ta myśl, wiedziała, że musi ją z siebie strząsnąć. I to natychmiast.

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Nie zostawiaj mnie samej.

– Jak mam się teraz tobą zajmować? Dziewczyno, nie wiem, jak mam ogarnąć cały ten syf, który lada moment...

– Razem coś wymyślimy.

– Już wymyśliłyśmy. Sklep. Nas. To dlatego siedzę w tym szajsie po uszy.

– Myślałam, że jesteśmy jak siostry. Już tak na zawsze.

– Przykro mi.

Słońce już zachodziło, gdy zatrzymali się przed betonowym ogrodzeniem koloru nieświeżego łososia. To było ciemne, chłodne, mokre popołudnie. Jeden z tych dni, gdy najchętniej weszłoby się pod koc i nie wychodziło stamtąd aż do wiosny.

Marta wysiadła pierwsza. Zamiast jednak wyciągnąć rzeczy Sabiny z bagażnika i pomóc dziewczynie wygramolić się z samochodu, przez chwilę stała na środku ulicy w osłupieniu. Dom był prostym klokiem z pustaków, jakich w Polsce tysiące. W jego konstrukcji nie było nic szczególnego. Właściciele jednak nigdy nie pogodzili się z pospolitością budynku i postanowili udowodnić światu, że wystarczy odrobina fantazji, by klocek zmienił się w coś, od czego nie można oderwać wzroku.

Dom pomalowano na kolor pomarańczowy w bardzo interesującym odcieniu. W katalogu producenta farb mógłby figurować pod nazwą „skóra po przedawkowaniu samoopalacza”. Okna zasłaniały masywne wiśniowe okiennice, wyklejone pejzażami z muszelek i otoczone imitującą złoto lamówką. Przed zaskakująco prostymi białymi drzwiami stał kamienny posąg lokaja składającego głęboki ukłon wchodzącym do domu gościom. Puste oczy wyrzeźbionego sługi i jego dziwaczny półuśmiech robiły tak upiorne wrażenie, że Marta zastanawiała się, czy figura nie pełni roli tabliczki „uwaga zły pies”. Ona w każdym razie nigdy nie weszłaby tu po zmroku. Za dnia zresztą też nie miała szczególnej ochoty.

Za domem stał długi biały budynek gospodarczy. Wokół ciągnęły się pola.

Robert pomógł wsiąść Sabinie i postawił jej torbę przed furtką. Wzdrygnęła się, słysząc gdakanie kurczaków.

– Widzisz, są w domu. – Marta zobaczyła oświetlone okna na parterze.

– Zawsze się pali, żeby odstraszyć złodziei.

– Nie, ktoś się tam rusza. – Marta zastanawiała się, czy nie powinna uściskać nastolatki, lecz uznała, że czuje się już i tak wystarczająco niezręcznie. – Jesteśmy w kontakcie. Daj znać, jak urodzisz.

– Wpadnij kiedyś na sernik – zawołał Robert i otworzył Marcie drzwi do samochodu.

Jak tylko ruszyli, Martę poczuła niewyobrażalną ulgę. Powinna to była zrobić pierwszego dnia. Andrew miał rację – za dużo kombinowała. Wątpliwości i odkładanie nieprzyjemnych decyzji na później niejednemu raz wpędziło ją w kłopoty. Przecież wystarczyło trzymać się planu: z punktu A do punktu B, bez wikłania się w beznadziejne historie, które w żaden sposób jej nie dotyczą. Patrzyła przez szybę, jak Sabina naciska guzik dzwonka. Zaraz wejdzie do domu i zniknie z jej życia.

Jak łatwo można czasem rozwiązać skomplikowaną sytuację.

Przeważnie jednak nie można.

Zbliżali się do zakrętu, a Sabina wciąż stała i naciskała dzwonek. Właściwie nie spuszczała ręki

z przycisku.

– Zatrzymaj się – westchnęła Marta. – Chcę mieć pewność, że bezpiecznie dotarła do domu.

Zjechali na krzywy, wąski chodnik.

– Może oglądają telewizję i nie słyszą – pocieszała się Marta.

Robert kiwał głową.

– Albo poszli nakarmić kury. Tak, to chyba pora karmienia kur. Na pewno zaraz wrócą – dodała.

Obserwowali w lusterku, jak Sabina przestępuje z nogi na nogę – co było nie lada wyczynem, biorąc pod uwagę wysokość jej szpilek. Ściągnęła z ramion krótkie bolerko z fioletowego futerka i zrobiła z niego coś w rodzaju czapki przeciwdeszczowej. Rozmasowywała na przemian gołe ramiona i nogi.

– Nie będzie jej źle u matki. Na pewno jakoś się dogadają. W końcu to jej dziecko.

Robert nadal milczał.

– To duży dom. Ma tu niezłe warunki. Świeże powietrze i w ogóle.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Deszcz zaczynał padać coraz mocniej.

– Trawa, cisza i spokój. Jest nawet sadzawka w ogrodzie. Co prawda o tej porze roku... No! Nareszcie.

Przed furtkę wyszła kobieta w dresie w panterkę i czerwonych kaloszach. Marta rozpoznała matkę Sabiny. Mówiła coś do córki, gwałtownie gestykulując.

– Na pewno jakoś się dogadają – powtórzyła Marta.

Nastolatka bezradnie rozłożyła ręce i coś tłumaczyła.

– Za kilka lat będą się obie śmiać z tych kłótni. Jak dziecko przyjdzie na świat, to dziadkowie oszaleją ze szczęścia.

Kobieta wymachiwała rękami jak aktorka z telenoweli. Tymczasem jej córka milcząco kontemplanowała kształt płyt chodnikowych.

– W gruncie rzeczy są do siebie bardzo podobne.

Krople deszczu coraz głośniejsze bębniły w maskę samochodu. Świat za oknem zaczynał się rozmazywać.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Marta spojrzała na Roberta.

– A może zabierzemy ją do domu?

– Do twojej babci?

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie znam zasad savoir-vivre’u, więc mogę się mylić. Ale czy zrobienie z domu gospodarza schroniska dla samotnych matek nie jest pewnym, hm, nadużyciem?

– Przez większą część doby... – Robert przez chwilę szukał w myślach odpowiedniego określenia – ...babcia żyje w specyficznym stanie umysłu.

– Nawet w najbardziej specyficznym stanie umysłu potrafi liczyć do czterech.

Deszcz lunął na dobre.

Błysnęło.

Sabina zasłoniła oczy.

Stała przed bramką i kuliła się, jakby chciała zniknąć. Przypominała rozpluwającego się w słońcu

bałwana. Można było odnieść wrażenie, że zaraz zmieni się w mokrą plamę.

– Poza tym, Andrew by mnie zabił. Wystarczająco się wścieknie, kiedy usłyszy o Gekonie.

Wzdrygnęła się.

– Jak tylko zobaczy jej zdjęcia...

– Pewnie masz rację – odrzekł Robert.

– Gdybym ją jeszcze sprowadziła do domu jego babki...

– Mhm – zamruczał. – I będzie się przy tobie kręcić coraz więcej dziennikarzy.

– Dziennikarze! – zawołała z radością, bo znalazła kolejny niepodważalny argument za usunięciem dziewczyny ze swojego życia. – Ona uważa, że ludzie z gazet są przyjacielscy i życzliwi. Nie trzeba jej nawet przekupywać kasą. Wystarczy kilka kokosowych pralinek!

Pani Eliza zatrzasnęła furtkę przed nosem córki i poszła do domu. Szła przez ogród, co chwila odwracała się i gniewnie coś wykrzykiwała w stronę Sabiny. Ta usiadła na niskim murku przy ogrodzeniu, objęła swój brzuch i nerwowo go głaskała.

– Tylko się tak droczy. Chce ją tylko postraszyć. Zaraz wróci.

– I mogłaby chlapnąć coś o Kacprze – zauważył Robert.

– No jasne! Już przecież powiedziała Gekonowi. To najbardziej niedyskretna, ufna i naiwna osoba pod słońcem. Andrew uznałby...

– Że matka słusznie się jej wyparła.

Marta przytaknęła.

– Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdyby moje dziecko nakładało brokat na policzki o dziesiątej rano.

– Masz teraz mnóstwo swoich spraw.

– I nie mogę uratować całego świata. Matka jej w końcu otworzy. Przecież pada. A jeśli nie, to... w Krakowie na pewno są jakieś miłe przytulki dla samotnych matek, które pozwalają zacząć od nowa.

– Albo klasztory.

– O właśnie, klasztory.

– Ludzie, którzy lubią i umieją pomagać innym. Profesjonalnie. Znają się na tym.

Marta pokiwała głową.

– Nie tak głupio i chaotycznie jak my. Pomagając po amatorsku, można człowiekowi zrobić jeszcze większą krzywdę.

– Oczywiście. Wpędzić kogoś w wyuczoną bezradność albo coś...

– Poza tym jestem krakowską bohemą, nie? Powinnam wczuć się w rolę. A czy jest coś bardziej w stylu Przybyszewskiego niż oddanie dziecka do przytulku?

– Racja.

Obserwowali, jak Sabina otwiera torbę, wyciąga z niej sweter i okrywa nim ramiona. Następnie przykryła nogi tiulowymi chustami, oparła łokcie na kolanach i opuściła głowę. Po chwili o czymś sobie przypomniała. Ponownie rozsunęła zamek, zanurzyła rękę w rzeczach i wyciągnęła mały foliowy woreczek, z którego wyjęła drożdżówkę i zaczęła ją jeść.

Marta i Robert spojrzeli na siebie. Przez chwilę, która wydawała się trwać o wiele za długo, patrzyli

i słuchali deszczu bębniącego o maskę.

A potem Robert włączył silnik i zawrócił.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Zdejmij te mokre ciuchy i włącz pod koc. – Marta wskazała na łóżko w swoim pokoju w domu Toli.

– Nic mi nie będzie.

– Wiem, wiem. Wychowałaś się na wsi. Tam nikt się nie przeziębiał.

Dziewczyna wsunęła się pod koc, a na brzuchu położyła sobie laptopa Marty.

– Poczytam sobie, dobra?

Marta pokiwała tylko głową.

– Zmienić cię? – spytała Roberta, który z całych sił starał się nadmuchać duży zielony materac. Ostatecznie od dziś miało to być jej łóżko.

– Nie trzeba. – Przytknął palcem gumowy wlot.

– Twoja babcia na pewno nie ma pompki? Ludzie trzymają takie rzeczy. No wiesz, jak pójdzie opona w rowerze.

– Tola pompująca koło? A może jeszcze trenująca do triathlonu?

Wziął głęboki wdech i wrócił do dmuchania.

– Naprawdę chcesz mieć ślub za jedno euro? – spytała nagle Sabina, nie odrywając wzroku od monitora.

– Co?

– „Marta Lipka prosi: skończmy z weselami” – zaczęła czytać: – „Te imprezy nie mają nic wspólnego ze świętem miłości. To pokazy napuszenia, hipokryzji i pozorów. Tandetne potańcówki z wąsatymi wujkami, upijanie się do nieprzytomności, sałatki tonące w majonezie. Dagny Przybyszewska miała ślub na swoich warunkach. Za jedną markę”.

– To jakiś absurd. Nigdy czegoś takiego nie powiedziałam.

– „Andrew Bajakowski zgadza się ze swoją narzeczoną – kontynuowała Sabina. – Wesele, choćby najbardziej gustowne i skromne, zawsze jest imprezą sztuczną, zaplanowaną, odegraną. Zero spontaniczności. Wiem, że wielu ludzi myśli podobnie, ale boją się powiedzieć o tym na głos. Boją się rodziny, znajomych, kolegów z pracy. Trzeba zmienić klimat. Dlatego z Martą apelujemy. Liczymy na głosy poparcia. Niech urzędy stanu cywilnego stworzą opcje błyskawicznego ślubu za jedno euro. Państwo polskie powinno poważnie traktować swoich obywateli. Jeśli ktoś chce wziąć ślub, wie, co robi. Docelowo chcemy, by akcja objęła całą Polskę. Na razie jednak zamierzamy skupić się na Krakowie. To miasto kojarzone z romantyzmem, spontanicznością i uczuciami. A także artystami i cyganerią. Czy ma szansę stać się polskim Las Vegas? Wierzmy, że tak. Swoje poparcie można wyrazić...”

– O, dali wasze zdjęcie pod zdjęciem Przybyszewskich – powiedział Robert, zerkając Sabinie przez ramię. – Jesteś twarzą kampanii: „Jedna miłość. Jedno euro”.

– Ładnie brzmi – stwierdziła Sabina.

– Jak reklama agencji towarzyskiej w Bangladeszu – skrzywiła się Marta.

Sabina podeszła do torby i wyciągnęła z niej woreczek z drożdżówkami. Wybrała podłużną bułkę z dżemem i dwoma kęsami odgryzła trzy czwarte ciastka.

– Naprawdę nie zaprosisz nikogo na wesele? – Sabina próbowała mówić z pełnymi ustami. – Ani rodziny, ani znajomych? Nikogo? Mama miała rację.

– Z czym?

– Że w wielkich miastach bliscy się nie liczą.

– Ta mama, która wyrzuciła cię z domu? I udaje, że cię nie zna? Czy może masz jakąś inną?

Nagle usłyszały brzydki, głośny kaszel. Tola – nie wiadomo, od jak dawna – stała w drzwiach. Zaciągnęła się czarną cygaretką i wypuściła z ust kłęb szarego dymu. Robert miał rację. Z całą pewnością nie wyglądała na kogoś, kto zapobiegliwie kupił pompkę do roweru.

Sabina podeszła do niej i uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję, że pozwoliła mi pani tu się zatrzymać. Naprawdę nie wiem, jak mam się odwdziżyć.

– Ale ja wiem. Zejdźcie do kuchni.

– W sobotę jest kolacja – zaczęła Tola. – Zaręczyny Marty i Andrew. Mój wnuk przywiezie kilku gości. Ja też zamierzam zaprosić znajomych. Skoro wydawca za wszystko płaci...

– Im nas więcej, tym weselej, no nie? – Sabina klasnęła w dłonie. – Kocham poznawać nowe osoby.

Do Marty powoli zaczynało docierać, co zrobiła, zapraszając tu dziewczynę brata. Tak obawiała się reakcji Toli, a ona zbyła to wzruszeniem ramion. Teraz jednak czekała ją konfrontacja z Andrew. A to z całą pewnością nie pójdzie gładko. Miała jednak nadzieję, że jeśli tylko będą mieli okazję pobyć trochę sam na sam, zdoła mu wszystko wyjaśnić. A on zrozumie, że nie mogła postąpić inaczej. Może nawet polubi Sabinę. Teraz jednak dopadły ją wątpliwości. Sesja fotograficzna – to nie brzmiało dobrze.

– Brakuje mi, niestety, służby, żeby to wszystko wyglądało, jak należy – ciągnęła Tola. – Ale cóż. Wy będziecie kimś w rodzaju służby.

– Tylko bardziej wykształconej? – spytała Marta.

Tola uniosła brwi.

– Tylko mniej kompetentnej.

– Będziemy się przebierać! – ucieszyła się Sabina. – Mam strój pokojówki. Nie wiem tylko, czy nie został w...

– Chyba na głowę upadłaś – westchnęła Marta.

Babka Roberta zaciągnęła się cygaretką. Przez chwilę z przymkniętymi oczami delektowała się papierosowym dymem i rozważała pomysł nastolatki.

– Dlaczego nie? Prawdziwa służba... Niektórym z nas może to przypomnieć czasy dzieciństwa.

– Ona nie ma na myśli takiego stroju. Strój Sabiny... ..myślę, że nie przypomni pani gościom czasów dzieciństwa.

Tola pokiwała głową.

– Ach tak? To może być nawet bardziej zabawne!

Sabina otworzyła swój woreczek z drożdżówkami i wyciągnęła kolejną bułkę. Trzecią w ciągu ostatnich pięciu minut. Pozostałe położyła na kuchennym stole.

– Proszę się częstować – zaproponowała.

– Dobrze? – zainteresowała się Tola.

– Można zapchać żołądek, jak się dużo zje. Ale z tym przyjęciem... Bo ja chętnie pomogę, nie. Tylko my – wskazała też na Martę – nie umiemy gotować.

– Oczywiście, że nie umiecie. Będziecie tylko wykonywać polecenia.

– To chyba będzie coś w stylu „Krakowiacy z rodowodem i Cyganie” – powiedział Robert. – Zresztą, ja się zmywam. Nie zamierzam brać w tym udziału.

– Zamierzasz. – Tola wyciągnęła z pudełka następną cygaretkę i odpaliła od tłącej się końcówki poprzedniej. – Nie muszę chyba dodawać, jak mi zależy, żebyście dali z siebie wszystko.

– Bo będą ludzie z telewizji? – zgadywała Sabina.

– Bo będę ja. Po przekroczeniu pewnego wieku zaczynasz liczyć się z tym, że każda kolacja może być tą ostatnią.

– Ależ, babciu, przeżyjesz jeszcze wiele...

– Po prostu to wiesz. Mam życia wiele do zarzucenia. Ale nie tyle, żeby je żegnać przesoloną wątróbką.

– Andrew przysięgał, że nie będą bardzo przeszkadzać – wtrąciła Marta. – Zrobią kilka zdjęć jadalni, mnie, jedzeniu. I już ich nie będzie. Mamy się nimi za bardzo nie przejmować.

– Nie zamierzam przejmować się nimi. Sobą to co innego. Przecież to spece od wizerunku. Żyją z poprawiania rzeczywistości. Starać się, by wszystko było, jak należy, to odbierać im robotę. Można im wcisnąć każdy zakalec. Podać nawet to. – Wskazała na pozostawiony przez Sabinę worek z drożdżówkami.

Podniosła kopertę z morelą.

– Sfotografują to tak, że nawet Michel Roux zacznie się ślinić na ten widok. A potem opiszą jako wyjątkowej świeżości i kruchości słodkie dzieło sztuki. Na tym polega ich praca. Nie ma sensu się dla nich starać.

Odruchowo ugryzła ciastko. Przez chwilę żuła je w głębokim zamyśleniu.

– Może jednak się mylę – szepnęła ze zgrozą. – Może nawet im zadrżałaby ręka.

Odłożyła resztę ciastka na stół. Spojrzała na zegarek.

– Idźcie spać. Miałyście ciężki dzień.

– To miłe, że pani się tak o nas troszczy. – Sabina się uśmiechnęła.

– Bo jutro czeka was jeszcze cięższy dzień. Musicie być wypoczęte. Sesja, też mi coś – jęknęła. – Czego on właściwie chce? Mam pozwalać, żeby jedzenie stygło na talerzach? A oni w tym czasie będą nam skakać nad głowami z aparatem? Co?

– A co właściwie przyrządzimy? – zainteresowała się Sabina.

Tola otworzyła usta, jakby miała zaraz wymienić cały jadłospis ze szczegółami, ale mruknęła jedynie coś do siebie i zamilkła.

– To już zależy od Marty – powiedziała po namyśle. – W końcu to jej zaręczyny.

– I Andrew – wtrąciła Marta, bo czuła się wywołana do tablicy.

– Andrew już ustalił co nieco – skwitowała Tola.

– Mówił, że to musi być autentycznie krakowska kolacja. W autentycznym krakowskim miejscu.

W autentycznej krakowskiej rodzinie. Coś autentycznie jesiennego.

– Aha – rzekła Tola. – W takim razie autentyczny Kraków zostawimy dla Andrew. I jego ludzi. A my jutro pójdziemy się przejść po zwyczajnym Krakowie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Gęś faszerowana kaszą gryczaną, modra kapusta z żurawiną, małe kulebiaki z grzybami, krem z dyni z szałwią, słynny bigos Bajakowskich...

– Mów dalej. – Tola skinęła głową.

– Ciasteczka krakowskie, tort rumuński, tort dobosza, marynowane opieńki, konfitura z malin, z pigwy, pasztet z grzybami...

Staruszka uniosła głowę i gestem dłoni zachęciła Martę, żeby kontynuowała.

– I jeszcze może borówki do mięsa? Szarlotka? Kruche z węgierkami? Chrzan? Mus z wędzonego pstrąga? Na pewno bułeczki i chleb, jeśli tylko mi wyjdą. I, hmm, no nie wiem... kiełbasy i szynki ze wsi? Kindziuk? Pischinger?

– Dobrze. Co jeszcze? – nalegała Tola.

– Jeszcze? – Marta oniemiała.

Dotychczas zaproszenie gości oznaczało dla niej zakup kilku paczek delicji, pudełka grissini i – przy wyjątkowych okazjach – zamówienie margherity z pobliskiej pizzerii. Owszem, spodziewała się, że kolacja zaręczynowa wymaga nieco większych starań, nie przewidziała jednak rozmiarów ambicji babki Roberta. Tola nie zachowywała się jak ktoś, kto ma po prostu zorganizować przyjęcie. Raczej jak osoba poproszona o rozwiązanie kwestii głodu na świecie.

Następne dni Marta spędziła jak w transie. Musiała wybrać menu. Obrus. Zastawę. Muzykę. Kwiaty. Dekoracje stołu. Razem z Sabiną – pod czujnym okiem Toli – kilka razy dziennie bywały na Starym i Nowym Kleparzu, w kwiaciarniach, i w podkrakowskich gospodarstwach. Prały bieżniki i narzuty na kanapy. Pożyczały krzesła od sąsiadów. Przede wszystkim jednak gotowały, piekły, peklowały i marynowały mięsa, przygotowywały mieszanki ziół, smażyły konfitury, zagniaty ciasta, karmiły zakwas, masowo produkowały zakalce, sprzątały kuchnię i salon, tańczyły (dość okropnie), śpiewały (szkoda słów), zamartwiały się: ojcami swoich dzieci (Sabina), prześladowcami z czasów licealnych (Marta), absolutnie niczym się nie zamartwiały (Tola). Czasem dołączał do nich Robert – przywiózł zakupy, skoczył po pstrągi do Ojcową, siekał orzechy do tortu, kręcił ajerkoniak – był jednak mniej rozmowny niż zwykle. Przestał też nocować u Toli. Marta intuicyjnie rozumiała dlaczego. Była mu naprawdę wdzięczna, że mimo wszystko zdecydował się jej pomóc, bo bez niego musiałyby już chyba zupełnie zrezygnować ze snu.

W środę odwiedziły plac Imbramowski – tylko tam można było dostać kapustę na bigos spełniającą wymagania Toli.

– Niesamowite, nie? Więcej warzyw niż w Tesco – powiedziała Sabina, rozpakowując zakupy w kuchni.

– Nigdy nie byłaś na targu? – spytała Marta, przesiewając mąkę do miski.

– Na wsi nie ma takich rzeczy – odparła Sabina i ugryzła twarde mocno ukiszony ogórek. Ciągle była oszołomiona różnorodnością warzyw, owoców, serów, miodów i ziół, jakie dziś zobaczyła. Nie

przypuszczała, że na świecie istnieje tyle odmian pomidorów, tak wiele gatunków jabłek, a nawet – kto by pomyślał – ziemniaków. I kiszonki. Cudowne stoisko na samym końcu placu, wypełnione beczkami pełnymi szatkowanej kapusty, ogórków, papryki, korniszonów i główek czosnku. Sabina kupiła po trochu wszystkiego i przez całą drogę podjadała paseczki kruchej i soczystej kwaśnej kapusty. Gdy tylko skończyła, rozwiązała woreczek z ogórkami.

– Nawet Biedronki u nas jeszcze nie ma – dodała, żeby podkreślić skalę zacoiania, w jakim dorastała.

Otworzyła torebkę z wędzonymi śliwkami i zaczęła je drylować.

– Kiedyś musiało być tam jeszcze lepiej. Tak no... staroświecko.

– Znacznie brudniej. – Tola pokręciła głową. – I głośniej. I strasznie oszukiwali. No ale i tak każdy najlepiej pamięta smaki wyniesione z dzieciństwa.

– No nie wiem – Marta zamyśliła się, mieszając mąkę z wodą w dużej emaliowanej misce.

– Moi rodzice mają fermę drobiu – wyszeptała Sabina, nie patrząc nikomu w oczy. – Mama twierdzi, że bylibyśmy nienormalni, gdybyśmy kupowali mięso w sklepie.

Robert odwrócił się od patelni, na której podsmażał plastry kiełbasy jałowcowej.

– Jecie tylko kurczaki?

– Oprócz piątku.

– Chociaż tyle – rzekła litościwie Marta.

– W piątek jemy jajka sadzone.

Zapadła cisza. Po kuchni rozniósł się zapach jałowca i podsmażanego mięsa.

– To najsmutniejsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. – Tola była wstrząśnięta. – No, w każdym razie w tym miesiącu.

– Wcale nie to było najgorsze. – Sabina się zarumieniła.

Skropiła obficie wydrylowane śliwki czerwonym winem i odłożyła na bok. Nalała herbaty do filiżanki i upiła kilka łyków.

– Jestem jedynaczką. Jak byłam mała... to nie było żadnych innych dzieci. W rodzinie. Ani u sąsiadów. Sama się musiałam bawić.

– Wiem, jak to jest – westchnęła Marta.

– Ale były kurczaki. Kochałam je. Kochałam, chociaż śmierdziały i robiły kupy. Wymyślałam imiona. Na przykład Kevin.

– Urocze – rzuciła krótko babka.

– Szyłam kubraczki. A z poszewek na poduszki takie jakby czepek i buciki. Lubię, jak rzeczy są piękne. Tak mam. Albo się z tym rodzisz, albo nie... A kurczątko... one były takie słodkie. Żółciutkie i puchate. Zwłaszcza Kevin.

Upiła jeszcze łyk herbaty i spojrzała za okno, uśmiechając się cierpko do przywołanych wspomnień.

– A dlaczego Kevin, spytacie. Bo to imię ochronne. Na cześć *Kevina samego w domu*. On też niby nie miał szans. A jak wszystkich wykiwał? No jak? Uratował się, no nie? I tak myślałam: dam takie imię przyjacielowi, to sobie poradzi. Z ciebie, Kevin, to superspryciarz, tak mu gadałam. Ale pewnego dnia idę rano do kurnika i patrzę, patrzę, a tu tylko niebieski kubraczek zwisa z półki. Wrzasnęłam i poleciałam do kuchni... a tam Kevin się marynuje w majeranku.

– Straszne! – krzyknęła Marta.

Sabina nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej.

– Przytuliłam go do siebie. Taki był zimny i... ziołowy. Przysięgłam mu wtedy, że nigdy w życiu nie zjem żadnego kurczaka. Nigdy.

– Szlachetnie – powiedział Robert, zmniejszając płomień pod kiełbasą. Na drugą patelnię wrzucił posiekaną cebulę i zaczął ją podsmażać.

– W sobotę... – Sabina spuściła wzrok. – ...W sobotę mama upiekła z kolei Bubę. Podała ją z frytkami i mizerią. Ja... ja... tak lubię frytki i mizerię. Dziobnęłam tylko pierś. Delikatnie. To się w ogóle nie liczyło. Ale za moment dziobnęłam znowu. A w końcu zjadłam dwie piersi Buby i dołożyłam skrzydełko. Jej też uszyłam kubraczek, mówiłam, że jest moją przyjaciółką.

Nikt się nie odezwał.

– Ale się zmieniłam – powiedziała Sabina z przekonaniem. – Teraz jak się z kimś zaprzyjaźniam, to na śmierć i życie. Nie dałabym się złamać mizerią. Ani nawet frytkami.

Babcia pociągnęła spory łyk śliwowicy. Wskazała Robertowi patelnię z cebulą.

– Pamiętałeś, żeby dodać masło?

Odwróciła się też w stronę Marty, która nakryła wyrobione ciasto drożdżowe czystą lnianą ściereczką i położyła je na taborecie przy kaloryferze.

– Pokrój kapustę. A ty, Sabino, namocz grzyby i posiekaj wołowinę. To straszne, co cię spotkało. Nie mogłaś trafić gorzej.

– A co powiecie o bułkach, które mój ojciec sprzedawał ludziom? – wtrąciła Marta.

Robert odruchowo spojrział na kosz na śmieci.

– Wolałbym zjeść Tweety’ego niż bułkę od twojego ojca.

Wzrok babki powędrował w tym samym kierunku. Podrapała się w głowę.

– Jeśli mam być szczerą, wolałabym zjeść kawałek twojego ojca.

– Popisowym daniem mojej matki był makaron z margaryną, konserwą i przyprawą do zup – powiedziała Marta.

Tola szerzej otworzyła oczy, ale tym razem wstrzymała się od komentarza.

– Twierdziła, że to racjonalnie zbilansowany posiłek. Makaron dostarczał węglowodanów, margaryna – tłuszczów, konserwa – niezbędnego białka. A przyprawa robiła smak.

– Przyprawa do zupy?

– Mama nazywała ją sekretnym składnikiem.

– Czym? – włączyła się Sabina.

– Sekretnym składnikiem – powtórzyła Marta. – No, wiesz. Gdyby ktoś ją spytał o przepis.

Babka Roberta zmarszczyła nos.

– Ale nikt raczej nie pytał?

– Nie, nikt nie pytał.

ZAKALEC

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W piątkowe popołudnie Marta z Sabiną wracały z pobliskich delikatesów, niosąc doniczki ze świeżym rozmarynem, tymiankiem, miętą i szalwią. Przed domem stała zielona mazda. O maskę samochodu opierał się Andrew, żując gumę i nerwowo kopiąc drobne kamyczki. Jego opaloną twarz pokrywał lekki zarost. Za każdym razem, gdy Marta widziała go ponownie, po choćby kilku dniach rozłąki, zaskakiwało ją, jaki jest przystojny. Dziś, w swoich granatowych dżinsach i koszuli w kratkę vichy, wydał się jej nagle tak odległy i niedostępny, że poczuła, jakby traciła go nieodwołalnie.

Pandusia otworzyła okno i pomachała z tylnego siedzenia. Była czymś zaniepokojona. Obok siedział fotograf i ustawiał coś w aparacie.

W pierwszej chwili Marta przystanęła i zasłoniła sobie twarz doniczką szalwii. W panice mózg podpowiadał rozwiązania: przejdź na drugą stronę ulicy i udawaj, że nie masz nic wspólnego z tą tlenioną blondynką w lakierowanych kozaczkach. Albo zasłoń dziewczynę własnym ciałem i po prostu udawaj, że nie istnieje.

Sabina posłała Andrew szeroki uśmiech, a on odpowiedział oficjalnym skinieniem głowy.

– Chodź – mruknął, zbliżając się do Marty. – Pojedziesz z nami. – Jego głos brzmiał ponagląco, dało się wyczuć tłumione napięcie.

– Miałeś być dopiero jutro. Co się stało?

Ogarnęły ją złe przeczucia. Nienawidziła być zaskakiwana w taki sposób. Nie chodzi o to, że uciekała przed problemami. Co to, to nie. Chciała je po prostu rozwiązywać na swój własny sposób.

Na własnych zasadach.

Te zasady brzmiały: odwlekaj konfrontację z kłopotami tak długo, jak możesz, a pewnego dnia wpadnie ci do głowy genialne rozwiązanie. A jeśli nawet nic takiego się nie zdarzy, to w końcu poczujesz się na tyle odważna i pewna siebie, że będziesz gotowa stawić im czoła. Wystarczy poczekać. To na pewno wreszcie się stanie. Pewnego dnia. Jutro albo pojutrze. Raczej nie dziś.

Cierpliwości.

Można mieć wątpliwości, czy ta strategia była jakoś szczególnie skuteczna, lecz Marta przez lata zdążyła się do niej mocno przywiązać.

Przypomniała sobie pewne popołudnie w szkolnej stołówce w trzeciej klasie podstawówki. Następnego dnia miały się zacząć zimowe ferie. Marta przełknęła łąpczywie całą miseczkę budyniu śmietankowego, a potem przez dwadzieścia minut wpatrywała się w talerz wątróbki. Nienawidziła wątróbki pod każdą postacią. Ta zaś miała postać podeszwowatych, zimnych, brązowych grud. Tak muszą wyglądać guzy usuwane w czasie operacji – podsuwała jej wyobraźnia. Albo kolonia grzybów w zawilgoconej ruderze.

Siedzący naprzeciwko chłopak z trudem hamował odruch wymiotny, gdy przełykał ostatnie kawałki mięsa. Nie spuszczał wzroku z miseczki z deserem. To była nagroda za dobrnięcie do mety. Na Martę zaś czekał tylko posmak lodowatej wątróbki. Nie bez satysfakcji zauważyła, że budyń chłopca zdążył

całkowicie wystygnać, a na powierzchni pojawił się nieapetyczny kożuch.

Za oknem bielily się gałęzie drzew i pokryte świeżym śniegiem łagodne pagórki. Świat był jedną wielką obietnicą wakacji. Wojna na śnieżki. Jazda na sankach. Wieczory na lodowisku. Kulig, zimowe ognisko i pieczenie kiełbasek. Jednak gdy tylko odrywała głowę od talerza, napotykała czujny wzrok pani świetliczanki. Nawet o tym nie myślał, mówił.

I wtedy włączył się alarm przeciwpożarowy.

Nigdy nie zapomniała chwili, gdy drząc z zimna na szkolnym boisku, usłyszała, jak dyrektor ogłasza przez megafon, że to tylko ćwiczenia. A potem mogą zabrać plecaki i wracać do domu.

Nie zapomniała też miny chłopca ze stołówki. Wyglądał, jakby trzymał coś w ustach, być może był to ostatni kawałek mięsa, jedyna przeszkoda dzieląca go od mety. Bezradnie rozglądał się dokoła, nie rozumiejąc, co się stało. Z trudem docierało do niego, że budynku nie będzie.

Tak więc jej metody czasem działały.

Mówią, że hasło *Życie jest krótkie, zaczynaj od deseru* jest bez sensu. Ludziom, którzy traktują je serio, los wcześniej czy później podstawi nogę i powali ich na kolana. Marta zaś wierzyła, że los wcześniej czy później podłoży nogę każdemu. I lepiej leżeć na deskach z posmakiem waniliowego budynku w ustach niż z posmakiem zimnej wątróbki.

Niestety nie zawsze mogła liczyć na alarm przeciwpożarowy.

– Poczekaj – powiedziała do Andrew. – Pomogę jej zanieść zioła do domu. Bo Sabina nie może dźwigać ciężarów, a Tola nawet gdyby mogła...

– Nie trzeba. – Sabina potrząsnęła głową. – Poradzę sobie. To przecież lekkie. Jedźcie.

Marta zajęła miejsce obok kierowcy. Miała ogromną ochotę położyć Andrew dłoń na kolanie i usłyszeć, że wszystko jest w porządku. Nie zrobiła tego jednak. W samochodzie panował przygnębiający nastrój, który podkreślały lecące z radia ballady Cohena. W milczeniu dojechali na ulicę Pędzichów, gdzie jakimś cudem udało im się znaleźć pusty prostokąt pod jedną z kamienic i zaparkować. Andrew wziął Martę za rękę i zaprowadził na róg Pędzichów i Długiej. Przystanęli przy małym ogrodzonym skwerze, pośrodku którego stała kaplica Matki Boskiej.

O tej porze tydzień właśnie osiągał swoje przesilenie i przechodził w weekend. Mężczyźni w pogniecionych garniturach, poważni, zmęczeni, tak przygarbieni, jakby dźwigali na nich wszystkie problemy tego świata, mieszały się z hałaśliwymi grupkami pierwszych imprezowiczów. Przez Długą przelewały się potok samochodów, ludzi i przepełnionych tramwajów.

– Spójrz w górę. – Andrew wskazał dłonią na odrestaurowaną kamienicę przed nimi.

– Co to jest? – Nigdy wcześniej nie zauważyła wieńczących dach wieżyczek.

– Minaret. Zbudował go Teodor Rayski dla swojej żony, muzułmanki. Tę figurę tutaj – wskazał na Matkę Boską – podobno postawili zgorszeni mieszczanie. Bo jak to tak... symbol innowierców! W środku miasta! To bluźnierstwo! – deklamował Andrew. – Nie zamierzali tego tolerować. Potrzebne były egzorcyzmy. A to tylko kamienie. Wyobraź sobie, co musiało go spotykać osobiście. Zrywanie znajomości? Izolacja? Przekleństwa? Lecz czy człowiek zakochany nie jest jak wariat? Czy miłość nie zmienia każdego zakochanego w artystę? Czyż nie czyni nas buntownikami?

– Aha – bąknęła.

Nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ta rozmowa. Lecz bogobojne muzułmanki były tak dalekie od tematu Sabiny, że w Marcie zatliła się nadzieja, iż Andrew po prostu zapomni o jej ciężarnej koleżance.

– Szkoda, że nie mogę cię poślubić teraz. Dziś wieczorem.

– Nie ma pośpiechu. Wszystko zaplanujemy, obmyślimy.

– A jeśli nie chcę obmyślać i planować? Czemu zgadzamy się, żeby przepisy tłumiły całą spontaniczność?

Ścisnął jej dłoń tak mocno, że poczuła ból.

– Przestań – szepnęła. – Naprawdę nic się nie stanie, jeśli...

– Teraz ją pocałuj! – zawołała Pandusia.

Andrew wykonał polecenie.

Usłyszeli trzask przesłony w aparacie. A potem kolejny. I jeszcze jeden.

– Dobrze. Sprawdźmy, jak to wyszło – zdecydowała dziennikarka.

Andrew odciągnął Martę na bok.

– Co ty dziś wyprawiasz? – spytała rozdrażniona dziwną sytuacją.

Zatęskniła za kuchnią Toli.

– Straciłaś rozum?

– O co ci chodzi?

– Czytałaś mojego bloga?

– Przez ostatnie dni nie miałam czasu przeczytać etykietki na...

– Sklep spożywczy? Serio?

– Andrew...

– PALOMA? Zatrudniłaś się w blaszanej budzie o nazwie PALOMA?

– Skąd wiesz?

– Skąd wiem? Ze zdjęć opublikowanych w komentarzach.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś przez telefon?

– Boję się, że może być na podsłuchu.

– Gekon? Podsłuch? Chyba zwariowałeś. To nie jest typ...

– Och. – Andrew uśmiechnął się cierpko. – Widzę, że dobrze znasz tego mężczyznę.

– Miał nic nie robić przez najbliższe dwa tygodnie.

– No to, *darling*, trzeba ci przyznać, że umiesz negocjować z ludźmi. Kiedy, do cholery, zamierzałaś mi powiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Czekałam, aż przyjedziesz.

Zamilkli. Obok przechodziła para trzydziestolatków. Wysoka bujna brunetka w płomiennoczerwonym płaszczu ciągnęła za rękę drobnego smętnego mężczyznę o bladej cerze i podkrążonych oczach. W drugiej ręce niosła bukiet róż. Miała znudzoną minę kogoś, kto doświadczył w życiu zbyt wielu beznadziejnych randek i nie znieśie już ani jednej więcej. Jeszcze chwila i porzuci tego ponuraka na środku ulicy. Albo mu się oświadczy.

– Usunąłem je, ale i tak zdążyły wycieknąć do sieci – mówił dalej Andrew, gdy para oddaliła się

wystarczająco, by nie słyszeć ich rozmowy. – Musiałem zatrudnić moderatora. Sprawdza każdy komentarz przed opublikowaniem. Poblokowałem komentowanie na Facebooku. Kurwa mać.

– I to pomoże?

– Wątpię. Napisał maila. Że ma tego więcej. I roześle je wszędzie. Co ty sobie myślałaś?

– Jezu Chryste... – Marta przymknęła oczy i skrzyżowała ręce. Poczuła się, jakby właśnie wypila wannę mrożonej herbaty.

– Nie mam pojęcia, co zrobiłaś temu facetowi. I szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Pytałem, ile chce. Wyśmiał mnie. Mówi, że wiesz, co masz zrobić. Skoro wiesz, to spraw, żeby się zamknął.

– To wariat. Myśli, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

– O czym ty mówisz?

– Chce, żebym się z nim związała. Tego właśnie sobie życzy.

Andrew przez chwilę wpatrywał się w Martę, zastanawiając się, czy chce słuchać wyjaśnień.

– Miałaś tylko uważać – wyszeptał tonem udreżonej gospodini domowej, której mąż przegrał połowę pensji na automatach. – Tylko tyle. Odpowiednie miejsca. Odpowiednie stroje. Odpowiedni ludzie. To takie proste.

– Przykro mi.

– Co tak długo? – zawołała Pandusia, wysiadając z samochodu.

– Już idziemy – odkrzyknął Andrew. – Tobie jest przykro? – zwrócił się do Marty. – Musiałem odwołać dzisiejsze szkolenie, żeby tu przyjechać. W poniedziałek zaczynam część wykładów o wadze odpowiedniego doboru towarzystwa. Ludzie zamiast słuchać będą parskać śmiechem, pokazując na tabletach zdjęcia z tą twoją... tą twoją... kim ona jest?

– Dziewczyną mojego brata.

– A gdzie twój brat?

– Zniknął.

– Bo?

– Bo ściga go policja.

– Ściga go policja – powtórzył tępo Andrew.

– Ona potrzebuje wsparcia.

– Udzielaj go telefonicznie. Albo mailowo. Wysyłaj jej długie, pełne wsparcia maile. Każdego dnia.

– Ale...

– Tylko nigdy nie pokazuj się w jej towarzystwie. Nawet nie przechodź tą samą stroną ulicy. Nigdy. Rozumiesz?

– To raczej niemożliwe – powiedziała Marta. – Bo ona mieszka u Toli.

– Powiedz, że żartujesz.

– Nie miała się gdzie podziać.

– I sprowadziłaś ją do domu mojej babci?

– Jest prawie jak rodzina.

– Nie. Ani trochę nie jest.

– Nie mogłam jej tak po prostu zostawić. Mam pewne zobowiązania.

– Ty masz zobowiązania? Może przez chwilę przestaniesz myśleć o tym, co powinnaś, a czego nie powinnaś, i pomyślisz o mnie? Co? Tak dla odmiany? Bo wiesz, mój blog i program istnieją głównie dzięki sponsorom. Producenci ubrań, kosmetyków, którzy mi zaufali. Dali mi kasę, bo we mnie wierzą. Za tym idą pieniądze. Dla mnie i dla ciebie.

– Dla mnie?

– Dostaniesz kasę od Topoli. Jesteś twarzą jej marki, firma się rozkręca, kolekcja...

– Ale tu nie chodzi o mnie – przerwała mu Marta. – Ani o ciebie.

– Owszem, chodzi. Zaufanie jest ważniejsze od pieniędzy. W moim zawodzie to po prostu wszystko. Wiarygodność. Obiecałem im spójny, godny naśladowania wizerunek. A ty dajesz się fotografować z kimś tak...

– Ona nie ma dokąd pójść.

– To zupełnie obca osoba. A sponsorzy... Ja dotrzymuję zobowiązań. Tobie też powinno na tym zależeć. W końcu zaraz będziemy małżeństwem.

– Zaraz?

– Musimy przyspieszyć. Wydawca dostał szału. Plan jest taki. Bierzemy ślub w urzędzie stanu cywilnego. Najszybciej jak się da. Normalnie trwa to miesiąc, ale uda mi się przyspieszyć. Jowita ma dojszcia. Załatwimy to w ciągu dwóch tygodni.

– A zaręczyny?

– Jakie zaręczyny?

– No jutrzejsze... Przecież od tygodnia... Założę się, że nawet teraz Sabina piecze...

– Chyba nie zamierzałaś jej zapraszać do sesji? Co? Błagam, powiedz, że nie przyszło ci to do głowy.

Marta bez słowa wpatrywała się w wieżyczkę minaretu.

– Zresztą wolę nie wiedzieć, co planowałaś. To i tak bez znaczenia.

– Nie będzie sesji? Ale...

– Oczywiście, że nie. Chcesz go teraz sprowokować? Przez jakiś czas nie możemy w ogóle przyciągać uwagi mediów. A potem od razu – bach. Ślub. Pójdziemy gdzieś do kawiarni to uczcić. I na spacer. Najważniejsza jest sesja. Wrzucamy ją do najnowszego „Tyle Stylu”. Numer ślubny. I dołączamy książkę.

– Moją książkę? Mówiłeś, że to potrwa przynajmniej parę miesięcy.

– Jako dodatek do gazety można ją wydać o wiele wcześniej. Nie trzeba jej wrzucać w katalog dla hurtowników ani się martwić dystrybucją. Zdażymy.

– Ale co w ogóle książka ma z tym wspólnego?

Andrew wzruszył ramionami.

– Masz pewny druk. Trzy tysiące nakładu, tyle samo co gazety. To świetny wynik.

– No, ale co to ma wspólnego ze ślubem?

– Zadebiutujesz, nie? To najważniejsze. Można cię będzie opisywać jako młodą polską pisarkę. To mi ułatwi wrzucenie cię...

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Gdzie nadarzy się okazja. Sesja ślubna ukaże się też w polskich mediach w Nowym Jorku. To już załatwiłem. Zrobimy sobie przerwę od Polski, co? Mój program i tak się zaraz skończy, a ty tak marzysz, żeby wrócić do Stanów. Przeprowadzimy się, wymyślimy coś dla ciebie. Felieton. Program o kulturze. Animacja w polskim domu kultury. Coś zrobimy wspólnie. A ty będziesz sobie dalej pisać...

– Ciągle nie widzę związku. To przecież pismo o modzie.

– Na okładkę książki daliśmy portret Dagny i Przybyszewskiego. Zmiksowany z naszym zdjęciem.

– Nie mówisz serio.

– Widziałem wstępny projekt. Świetnie to wyszło. Spodoba ci się. Sepia przechodzi w...

– Andrew, przecież to kryminał o irlandzkim rybaku.

– Zmieniliśmy mu imię na Stanislav. Jest Norwegiem i mieszka nad Bałtykiem.

– Przecież tam jest mnóstwo odniesień do irlandzkiej mitologii.

– Których nie dostrzega nikt poza tobą...

– ...i ludźmi znającymi irlandzką mitologię.

– Wydasz dla nich wersję autorską. Poza tym to jest super. Posłuchaj. Ktoś zamordował Stanislavovi żonę, Dagny i teraz on, szalejąc z bólu, szuka mordercy.

– Że co?

– Bardzo pasuje, prawda? – Andrew miał minę bohatera oczekującego na wpięcie medalu.

– Ale kto to pozmieniał?

– Redaktor. Znaleźli chłopaka, bardzo zdolny podobno. Uprościł to, co trzeba. Ale dużo też zostawił.

– Ghostwriter?

– Przecież ty napisałaś książkę. On ją tylko trochę poprawił.

– Czyli ghostwriter.

– Redaktor kreatywny. Nareszcie wiem, kto zabił. Nigdy bym nie pomyślał, że to ta bierno-agresywna kwiaciarka – ucieszył się Andrew. – Choć ciągle nie wiem, czemu zabiła też rybaka. Bo był niemową?

Przejechał palcami po włosach.

– Ale może to lepiej, że zostało to takie niejasne.

Zauważyli, że Pandusia idzie w ich stronę.

– Zadzwoń do tego wariata – szepnął Andrew.

– Po co?

– Nie wiem. Nawymyślaj mu od zer i dupków albo zacznij go zwodzić i dawać nadzieję na przyszłość. Byle zadziałało. Ma się po prostu zamknąć, choć na trochę.

Marta nie zdążyła odpowiedzieć, bo stanęła przed nimi dziennikarka.

– Wiem, wiem. Trudno wam się sobą nacieszyć. Ale muszę jutro wcześniej wstać. Konfiskuję ci męża – chwyciła Andrew pod ramię i delikatnie pchnęła w stronę samochodu. Zaśmiała się głośno, jakby spłatała wspaniałego figla.

– Już, już – Andrew przywołał gestem Martę. – Przecież musimy ją podrzucić.

Gdy wysadzali Martę pod domem, dochodziła dziewiąta. W kuchni Toli paliło się światło. Andrew wysiadł z samochodu, otworzył narzeczonej drzwi i podał jej rękę. Podeszli do bramy.

– Rano zrobię ci przelew – powiedział.

– Przelew?

– Kasa od Topoli. I zaliczka za książkę. I za te sesje też coś wpadło. Nie pamiętam dokładnie ile. Jowita ma wszystkie wyliczenia. – Andrew lekko musnął ustami chłodny policzek Marty. – Dorośnij.

W kuchni zastała jedynie Sabinę. Pochylona nad stolnicą starannie wycinała klawisze z kruchego ciasta, a następnie pokrywała je konfiturą z czarnej porzeczki. Obok czekała już blaszana miseczek z białkami ubitymi na sztywną pianę. Mimo krótkiej sukienki, spod której wystawał pas do pończoch, i szminki w odcieniu „U mnie czy u ciebie?”, skupienie, z jakim nakładała przesmażone owoce na płaty ciasta, upodabniało ją do medytującej mniszki. Atmosfera w kuchni miała w sobie coś z nabożeństwa i Marta poczuła się niemal winna, że zaburzyła ten doskonały rytm.

Wszędzie stały talerze pełne orzechów włoskich, dojrzałych pomidorów, szarej renety i pigwy. Sułtanka, wiśnie i suszona żurawina moczyły się w ciemnym rumie. Parapet zajęło osiem niewielkich cukinii, żółta papryka oraz siatka bakłażanów.

– Chodź na chwilę – poprosiła dziewczyna, gdy oderwała w końcu wzrok od stolnicy. – Zobacz.

Delikatnie uniosła podłużną, płytką blaszkę z mazurkiem. Cieniutki płat kruchego ciasta został pokryty karmelem wymieszanym z nasączonymi rumem śliwkami. Na wierzchu zaś Sabina narysowała czekoladą: trzy różyczki, parę gołębi, usta, kokardę, yin i yang, dwie obrączki, serce przebite strzałą i łabędzia. Między malunkami biegły szlaczki z pokruszonych migdałów, perełek, rodzynek, czerwonej cukrowej posypki i spożywczego brokatu.

Marta w milczeniu przyglądała się dekoracjom. Najbardziej zaintrygował ją niewielki portret z lukru, w prawym górnym rogu, wykonany ze zmielonych na pył bezików i niezidentyfikowanych drobinek.

– Czy to Jan Paweł Drugi?

– No co ty – oburzyła się Sabina. – To przecież Andrew.

– Andrew?

– Popatrz na linię szczęki. Papież nie miał takiej kwadratowej. Najtrudniejsze były usta. I źrenice. Myślisz, że podobny?

– Jak żywy.

– Przystojniak z niego. Masz gust.

Marta bezmyślnie potakiwała głową

– Mam nadzieję, że mu się spodoba. Same źrenice zajęły mi prawie godzinę. Wyciąganie pęsetą pestek z winogron... Ale czemu on właściwie nie wszedł do środka?

Marta podeszła do okna i popatrzyła w ciemność w ogrodzie. Wiatr targający gałęziami modrzewia przyprawił ją o gęsią skórkę.

– Musiał wracać – odezwała się po chwili, nie odrywając jednak wzroku od drzewa

– Na jedną noc?

– Nie będzie go jutro.

– Jak to?

– Coś mu wypadło.

– Jaja sobie robisz.

– Coś ważnego.

– Przecież to wasze zaręczyny.

– Och, daj spokój. – Marta odwróciła się w stronę Sabiny. – Właściwie i tak jesteśmy zaręczeni. To niczego nie zmienia.

– Ale...

– Głupia szopka dla gazety.

– Ale...

– Bądźmy dorośli. Czasem coś ci wypada i już.

– Ale przecież... – Sabina spojrzała na stoły i blaty zastawione misami, miskami i miseczkami wypełnionymi przygotowywanym jedzeniem. Podeszła do talerza, na którym leżało pięć kruchych miodowych blatów do tortu rumuńskiego. – Robiłaś to całe rano. Wywaliłaś trzy porcje ciasta, bo się nie dały rozwałkować. A teraz...

– To tylko jedzenie. – Marta machnęła ręką.

Coś jednak ścisnęło ją w gardle.

Oczywiście wiedziała, że Andrew ma rację.

Powinna teraz czuć się winna, że wplątała go w aferę ze sklepem, Sabiną i Gekonem.

Powinna czuć wdzięczność, że on stara się wszystko naprawić.

Powinna podziwiać jego plan ratunkowy.

I wreszcie – powinna zacząć działać chłodno i logicznie.

Ale w głębi duszy wcale tego nie czuła.

I to ją przerażało.

– Tyle roboty. – Sabina z kamienną twarzą wpatrywała się w swoje dzieło. – Może dałoby radę znaleźć jakieś zastępstwo czy coś...

– Sabina...

– Albo przełożyć na niedzielę. Włożymy wszystko do lodówki i...

– Sabina!

– Tak?

– Daj sobie spokój.

– Nie można tak robić. Nie można.

– Okropnie zmarzłam. – Marta skrzyżowała ręce i potarła mocno ramiona.

– Bo gdyby jednak zmienił zdanie... – westchnęła Sabina.

– Cała jest ci potrzebna? – Marta wskazała na elektryczny czajnik, w którym gotowała się woda.

– To na grzyby. Ale mogą poczekać. Teraz to chyba bez różnicy.

Z salonu dobiegało jakieś okropne rżenie.

Raz w życiu słyszała podobny odgłos: w trakcie filmu dokumentalnego National Geographic o południowoamerykańskiej dżungli. Był to knur, który w ostatniej sekundzie zdołał się uwolnić z objęć

boa dusiciela. Zaniepokojona Marta zajrzała do pokoju. Tola leżała na kanapie z dłonią opartą o stół do kawy, wyciągniętą w stronę pustej pękatej szklanki. Dreszcz wstrząsał całym jej ciałem, z gardła dobywał się charkot, lecz musiało się jej śnić coś przyjemnego, bo twarz miała spokojną i radosną.

Marta ściszyła telewizor i nakryła starszą panią cienką narzutą.

To właśnie było w stylu Toli! Udawać, że ma się nad wszystkim kontrolę, a w kluczowym momencie upić się i zasnąć. Gdyby Andrew nie odwołał jutrzejszej kolacji, Marta miałaby kłopoty. Czuła jednak ulgę, że staruszka śpi. Tola była zbyt bezpośrednia i zadawała pytania, których Marta nie miała ochoty słyszeć. Zwłaszcza dzisiaj.

Wróciła do kuchni, wyjęła z kredensu filiżankę i kremową puszkę z earl grey. Zalała herbatę wrzątkiem i obracała dłonie nad parującym napojem, by je trochę ogrzać. Ciepło przyjemnie rozlewało się po całym jej ciele. Gdy niosła herbatę do stołu, zauważyła tuż obok srebrnej cukierniczki talerz z kanapkami z pieczonym schabem maźniętym sosem chrzanowym.

– To dla ciebie. I Andrew. Myślałam, że przyjdziecie na kolację – powiedziała Sabina.

– Umieram z głodu – ucieszyła się Marta, odgryzając pierwszy kęs.

Sabina wciąż opierała się o kuchenny blat i gapiała się w przestrzeń. Jej wzrok błędził po zapeklowanej wołowinie, obranych marchewkach, rozpoczętych farszach, gotowych wywarach i jednym nieudanym kremie czekoladowym do ciasta. Co jakiś czas jej uwagę zwracał drobny szczegół – miseczka z posiekanymi migdałami, ceramiczna obieraczka, z której nożyka zwisały jeszcze pasma marchewki. W jej oczach pojawiała się zapowiedź wycieczki do krainy obłędu. Trwało to sekundę. A potem wracało puste spojrzenie. Jak staruszka, która ocknęła się w piżamie w środku obcego miasta i próbuje dociec, co do cholery się stało.

Zaraz zacznie ryczeć. Muszę natychmiast wymyślić jakieś pocieszenie, stwierdziła Marta w myślach. Jednak żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Od patrzenia na góry zbędnego jedzenia miała coraz większy mętlik w głowie. Marzyła tylko o tym, by znaleźć się w łóżku i zasnąć. Nic nie wymyśli. Będzie stać i patrzeć na tę katastrofę.

Oczy Sabiny już zaczynały się szklić. Obie rozpaczliwie zerkały w stronę salonu, licząc chyba na jakąś wskazówkę od Toli.

Marta bardzo chciała coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły jej w gardle. Dotarło do niej, że tak bardzo próbuje powstrzymać wybuch płaczu Sabiny, bo tylko to chroni ją samą przed całkowitym rozklejeniem się. Nagle dziewczyna wydała się jej absurdalnie bliska. Siedziały w tej gorącej kuchni od wtorku. Ramię w ramię walczyły ze zbyt kwaśną kapustą do bigosu, opadającą pianą z białek i kaprysami piekarnika. Śmiały się nad kruchym ciastem, którym można było przybijać gwoździe, i klęły gorzej od Toli, gdy udało im się przypalić trzecią porcję karmelu pod rząd.

Zupełnie jakby uczyły się reguł nowej gry, od podstaw. Czas je gonił, narzucając konkretny cel – a one niczego nie potrzebowały tak mocno jak konkretnego celu. Może dziesięciolitrowy gar bigosu to nie doktorat z biochemii, ale po raz pierwszy od bardzo dawna robiły coś, co dokądś prowadziło.

Miały szanse coś świata udowodnić.

Przegrały.

Choć nie, właściwie to nie przegrały. Stało się coś gorszego. Świat nie chciał nawet zasiąść do tej partii.

Nagle Sabina spojrzała na swoje opuchnięte dłonie, wznające się w skórę srebrne pierścionki

i krótkie czerwone tipsy.

Wzięła głęboki wdech i odgarnęła opadające na twarz kosmyki, bieląc przy okazji czoło resztkami mąki.

Wyprostowała się.

A potem odwróciła się w stronę blachy z ciastkami i zmieszała ubite białka z posiekanymi drobno orzechami włoskimi. Następnie pokryła klawisze bezowymi kleksami i wsunęła je do piekarnika.

Z ruchów dziewczyny wyparowała niedawna bezradność. Przez szklane drzwiczki zerknęła na piekące się ciastka – te same, które przygotowywała, gdy Marta weszła do kuchni. Wytarła z czoła krople potu.

Gwiżdżąc pod nosem, wrzuciła miskę po białkach do zlewu i podeszła do pieca.

Jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Kuchnie wypełniał zapach węgierek smażących się w grubym żeliwnym garnku.

I masła.

Tola miała do masła ten sam stosunek, co do czekolady: dwie kostki dziennie jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziły.

Dzisiaj zaś kupiła ich tyle, że ludzie stojący za nią w kolejce do kasy w delikatesach, nerwowo rozglądali się dokoła i sprawdzali w telefonach wieści ze świata.

Tłuszcz topił się w żeliwnym rondlu, który z powodzeniem mógłby służyć za wanienkę dla niemowlaka. Sabina patrzyła na pieniący się wywar, jakby był magiczną miksturą zdradzającą sekrety przyszłości. Nie spuszczała go z oczu nawet na sekundę. Nawet nie mrugała. Ostrożnie, z pełną powagi miną zbierała dryfujące po powierzchni cząstki białka.

Z piekarnika wydobywał się apetyczny zapach kruchego ciasta.

– Myślisz, że już? – spytała Sabina, mieszając masło cedzakową łyżką.

Marta podeszła do kuchenki i zerknęła na wrzącą ciecz. Była przejrzysta i wyglądała jak roztopione bursztyny.

– Przynieś biszkopt ze spiżarni – poprosiła Martę, odstawiając garnek ze sklarowanym masłem na drewnianą podkładkę. – Muszę go nasączyć nalewką. I zrobić nowy krem.

Marta się zawahała. Świat był tym samym światem, co przed minutą, nie mogła się jednak oprzeć wrażeniu, że coś się radykalnie nie zgadza. Wolałaby chyba, żeby Sabina po prostu zaczęła płakać. Owszem, byłoby to przykre, lecz przynajmniej zrozumiałe. A teraz nie miała pojęcia, co się stało.

Jak powinna postąpić? Zdrowy rozsądek podpowiadał, że są lepsze sposoby spędzania piątkowych wieczorów niż prowokowanie niestabilnej psychicznie nastolatki, która ma pod ręką tasak ze stali nierdzewnej.

Poszła więc do niewielkiego chłodnego pomieszczenia, do którego wchodziło się wprost z kuchni. Ciasto stało na dużej wysłużonej zamrażarce.

W kuchni czasomierz piekarnika dał właśnie sygnał do wyciągnięcia ciastek. Marcie wydało się to odległe i nierealne. Podobnie jak cały dzisiejszy wieczór. Położyła dłonie na zimnej żelaznej obręczy tortownicy i zamknęła oczy. Wszystko potoczyło się tak szybko i bez jej udziału. Najchętniej skuliłaby się gdzieś w kącie, lecz w głowie wciąż miała wizje tego, co jeszcze może zrobić Gekon. A to nie wróżyło nic dobrego. Poza tym, tu nawet nie było wolnego kąta: w jednym stała reklamówka z węgierkami, w drugim pięciolitrowy garnek, który wydał się Marcie dziwnie znajomy.

Zaczyn!

Wczoraj w nocy przygotowała go pod okiem Toli, a dziś miała wyrobić chleb. Teraz oczywiście nie miało to żadnego sensu. Kto by zjadł tyle bochenków?

Trzeba go wyrzucić, nim skwaśnieje i zacznie śmierdzieć.

– Co tak długo? – zawołała z kuchni Sabina.

– Chwila!

Odchyliła białą, lnianą serwetkę i wzięła głęboki wdech. Świeży lekko owocowy zapach wydał się jej tak przyjemny i kojący, że z trudem powstrzymała się przed zanurkowaniem w naczyniu.

„Czasami rzeczy stają się najlepsze dopiero wtedy, gdy się zepsują” – mawiała Tola. I choć Marta wątpiła, by staruszka miała na myśli coś więcej niż śliwki czy mąkę, teraz te słowa wydały się jej pocieszające. A w tej chwili bardzo potrzebowała pocieszenia. Coś się w niej skręcało na myśl, że wszystko to wyląduje w koszu. Ale co miała zrobić?

Nie mogła przecież zmusić Andrew do przyjścia na kolację.

I nie był to wyjątek. Przeciwnie. Z każdym dniem jej życie coraz mocniej przypominało kulkę we flipperze: bezwładne obijanie się o przeszkody, których nie sposób usunąć ani kontrolować.

Nie mogła zabić Gekona.

Ani nawet sprawić, by się zamknął.

Nie mogła zatrzymać własnego ojca.

Uzdrowić mamy.

Ani skłonić brata do powrotu.

Nie mogła zmusić Sabiny, by zmądrzała i zaczęła się lepiej ubierać.

Ani Jowity, by zaczęła się ubierać źle.

Ani wydawcy do opublikowania jej wersji książki.

W porządku. Nie jestem fanatyczką kontroli, człowiek nie musi mieć na wszystko wpływu, myślała. Jednak, do cholery, powinien mieć wpływ na bodaj jedną, najgłupszą choćby sprawę. Coś musi od niego zależeć, bez tego trudno pozostać przy zdrowych zmysłach.

Tylko co jej zostało? Co właściwie mogła?

Mogła upiec chleb!

I to właśnie postanowiła zrobić.

Sabina kończyła tort czekoladowy, tarła chrzan do pasty z pstrąga i dusiła kapustę z mięsistymi wędzonymi węgierkami, czerwonym winem i żurawiną, a Marta wyrabiała ciasto i formowała podłużne bochenki.

Noc robiła się coraz ciemniejsza i cichsza. Gasły światła w okolicznych domach, milkły śpiewy i rozmowy wracających z imprez nastolatków, ostatni taksówkarze czekali, aż klienci znajdą w kieszeni pieniądze, których nie zdążyli przepić, i zapłacą za kurs.

Gdzieś tam w centrum tętniło zapewne życie, lecz podmiejski Kraków przestał ziewać i zasnął.

Marta wkładała właśnie dwudziesty drugi bochenek do wyłożonego umączoną ścierką bambusowego

koszyka, gdy do kuchni weszła Tola. Każdy centymetr jej ciała był wymięty, opuchnięty lub rozczochrany. Mrużyła oczy, jakby jeszcze się nie obudziła. Podeszła do lodówki i napiła się soku wprost z kartonu. Następnie zabrała ze sobą resztę, wzięła woreczek z lodem i szklanę, usiadła za stołem i zapaliła cygaretkę. Kuchnię wypełnił piekący zapach przypraw korzennych i tytoniu. Tola w milczeniu wypuszczała kółeczka dymu, a jej skóra robiła się coraz bardziej zaróżowiona, zaś spojrzenie – przytomne. Głęboko wierzyła, że tak jak niektórzy cierpią na niedobór żelaza czy witaminy C, ona cierpi na niedobory nikotyny i alkoholu. Musiała ich poziom regularnie uzupełniać, by zdrowo funkcjonować. Co ciekawe, zdawało się to działać.

Gdy skończyła palić, wyglądała na całkiem spokojną, a nawet rześką. Podeszła do pieca i krytycznie przyjrzała się zawartości garnków. Obwąchała klarowane masło. Zjadła ciastko z bezą. Wzięła łyżkę kapusty ze śliwkami.

Przymknęła oczy.

- Trzeba dodać masła.
- Mamy problem – przyznała Sabina.
- Czemu mnie to nie dziwi – westchnęła babka.
- Andrew nie przyjedzie. Coś mu wypadło.
- Coś mu wypadło?
- No. Nie będzie imprezy.

Tola odpaliła kolejną cygaretkę. Wciągnęła dym i zamyśliła się.

– A czemuż to ma jej nie być?

Sabina otworzyła usta, po czym się skrzywiła i wzięła głęboki wdech. Wodziła wzrokiem po suficie w poszukiwaniu sensownej odpowiedzi. Pytanie wytrąciło ją z równowagi.

– No bo nie będzie gości, nie? – wydusiła w końcu z siebie, ale bez przekonania.

– Słuchaj. Może temu światu brakuje paru rzeczy. Miłości, sprawiedliwości, piękna. I kilku innych. Ale na pewno nie ludzi, którzy chcą się napić za darmo.

– Czyli, że co?

– Czyli, że podzwonię rano, gdzie trzeba. I tak miało wpaść kilkoro znajomych. Wpadnie więcej. Tylko musicie się bardziej postarać. – Wskazała na garnki na piecu. – Oni nie będą temu robić zdjęć. Będą to jeść. Oni... – Zamyśliła się na chwilę. – Nie ma w tym mieście ludzi bardziej lubiących dobrze zjeść.

– Staramy się. – Sabina się wyprostowała. W jej głosie zabrzmiała nutka urazy. – Pracujemy non stop, przecież nawet nie zmrużyliśmy oka...

– Bardzo dobrze wam to robi. Gwarantuję. Praca uszlachetnia.

– Robert mówi – wtrąciła się Marta – że nie przepracowała pani w życiu ani jednego dnia.

Tola uśmiechnęła się szeroko.

– Otóż to, moje dziecko! Otóż to! I powiedz sama: czy ja ci wyglądam na szlachetną osobę?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wśród wszystkich dokumentów, jakie zostawił po sobie Witek – papierów, rachunków, kwitków i gwarancji – jedna rzecz wydała się Marcie szczególnie szokująca – zdjęcie w dowodzie osobistym. Przedstawiało zupełnie obcego mężczyznę. Gdyby wpadła na niego w centrum handlowym, rzuciłaby: „przepraszam” i pobiegła dalej.

Nagle dotarło do niej, jak bardzo ojca nie pamięta.

Nie przypominała sobie twarzy, sposobu, w jaki wchodził do pokoju, jadł kanapki, zmywał talerze i czytał gazety. Głos? Zapach? Koszule? Buty? Śmiech? Wszystko to przepadło na zawsze.

Za to dokładnie pamiętała ojca opowiadającego bajki. Prawdopodobnie dlatego, że był w tym naprawdę beznadziejny.

Z całego serca nienawidziła, gdy przerywał opowieść pytaniami sokratycznymi, lecz pod pewnymi względami jeszcze gorsze były minidygresje filozoficzne. Każde wtrącenie trwało dłużej niż cała bajka. A kiedy kończył półgodzinny monolog o ontologicznych podstawach bytu czy jakimś innym, niezbędnym czteroletniemu dziecku zagadnieniu, nie pamiętał już, czego dotyczyła dygresja. Przerywał Jasia Fasolę w miejscu, gdy ten oddaje krowę za magiczną fasolę, pół godziny gadał o Kancie, po czym przechodził do pocałunku księcia z Królewną Śnieżką.

Szczególną miłością darzył Jaspersa. W najbardziej ekscytującym momencie – gdy Marta zjadała paznokcie wraz z palcami, a królewna kłuła się wrzecionem, Kaj spotykał Królową Śniegu, Czerwony Kapturek – wilka, na sekundę przed tym, nim brzydkie kaczątko zmieniło się w łabędzia – ojciec z radością klaskał w dłonie: „O, i to jest właśnie sytuacja graniczna! Według Jaspersa...”.

Sytuacje graniczne były obsesją Witka. Żyjemy w uśpieniu, zabijani przez rutynę i oto zdarza się wstrząs, który całkowicie wytrąca nas z ustalonego porządku. Burzy cały świat. Każde wszystko przemyśleć jeszcze raz, wyszydza każdą wartość i przekonanie. Czy to nie ekscytujące?

Witek mógł na temat mówić godzinami.

I rzeczywiście to robił, najczęściej w porze dobranocki.

Ba, nie poprzestał na słowach. Jakby chcąc dać namacalny dowód swym wywodom, pewnego dnia wyszedł do magla i nigdy więcej nie wrócił. Musiała przyznać ojcu rację – nic już nie było takie jak przedtem.

Jaspers chyba nie uważał miłości za sytuację graniczną, a Lipka z nim polemizował. A może było odwrotnie? Marta, która nigdy nie miała serca do filozofii, dość mgliście pamiętała szczegóły tych wywodów. Mniejsza jednak o szczegóły.

Największym wstrząsem w życiu Marty, czymś, co wywróciło jej życie do góry nogami, był związek z Andrew. Wszyscy to rozumieli. Przelotni znajomi i najbliżsi przyjaciele. Nawet ci, którzy uważali, że Jaspers to zabawny facet wymyślony przez Sapkowskiego.

A jednak – nie była to prawda.

To, co najbardziej odmieniło życie Marty, miało się zdarzyć tego sobotniego ranka. I nie miało nic wspólnego z miłością.

– Zrób głoououououśniej. – Sabina próbowała opanować ziewanie.

Marta dopiero po chwili skojarzyła, że dziewczyna ma na myśli telewizor. Z tępych spojrzeniem rozejrzała się po salonie i potrząsnęła głową. Kończyła właśnie drugą kawę. Zdążyła też zjeść trzy naleśniki ze śliwkami, ale zastrzyk z kofeiny, tłuszczów oraz węglowodanów pomógł połowicznie. Owszem, wiedziała już, gdzie się znajduje, jaka jest pora roku, ale wciąż balansowała na granicy snu. Chwila nieuwagi i... Zaraz, co miałam...? – starała się zebrać myśli. Telewizor. Pilot. Głośniej. Po co?

Nawet szum drzew za oknem przyprawiał ją o ból głowy. Spała niecałe cztery godziny i nie miała ochoty słuchać wywodów jakichś celebrytów.

Te twarze wyglądały jednak dość znajomo.

Andrew i Jowita?

Siedzieli na kanapie w oślepiająco białym, zadziwiająco ascetycznym studio, na tle wielkiego ekranu. Obydwoje w dzinsach i błękitnych bawełnianych koszulkach – sprawiali wrażenie pary, która dzieli nawet szafę z ubraniami.

Jednak Marta była zbyt śpiąca, by się tym przejmować. Jowita nie robiła na niej żadnego wrażenia. W tej chwili Marta ani trochę nie zazdrościła kobietom pięknym, stylowym, zamożnym i pewnym siebie – nawet jeśli spały z jej narzeczonym. Zazdrościła kobietom, które spały do dziesiątej.

Chciała rzucić to wszystko w diabły, połknąć garść tabletek nasennych i obudzić się po weekendzie. I zrobiłaby to – gdyby nie Sabina. Bóg jeden wie, co stało się jej w głowę i jakaż to tajemnicza siła popchnęła ją do działania. Hormony zalały jej mózg? Zawiruszony protestancki gen uaktywnił się nagle i kazał jej pracować, pracować, pracować – i to z taką pewnością i skupieniem, że człowiek po prostu musiał się przyłączyć. Więc Marta się przyłączyła. W efekcie dwadzieścia trzy bochenki wyrastały przez całą noc, a teraz czekały w koszyczkach, keksówkach i foremkach, aż nagrzej się piekarnik. A one oglądały telewizję w salonie.

Usłyszały, jak ktoś otwiera drzwi, a potem do pokoju wszedł Robert.

– Gdzie byłeś wczoraj? – spytała Marta. – Miałeś nam pomagać.

– Niczego takiego nie...

– Cicho bądźcie – syknęła Sabina, bo siedząca naprzeciw Andrew dziennikarka machnęła ręką i na ekranie zaczęły się wyświetlać slajdy.

Najpierw Wawel i smok.

Marta wywróciła oczami.

Planty. Sukiennice. Kościół Mariacki.

– Nie było jeszcze gołębi – westchnęła.

I wtedy na ekranie pojawiła się dziewczynka w zielonym płaszczyku, która karmiła ptaki okruchami obwarzanka.

W studio chłopak z obsługi technicznej podszedł do Andrew i poprawił mu wpięty do koszulki mikrofon.

Sabina znalazła wreszcie pilota, który jak zwykle leżał wciśnięty w oparcie kanapy, i ustawiła

odpowiednią głośność.

Tymczasem na ekranie pojawiały się zdjęcia miasta z początku dwudziestego wieku: czarno-białe przekupki pod kościołem Mariackim, damy wylewające się ze zbyt ciasnych gorsetów, mężczyźni tak wyprostowani, przylizani i sztywni, jakby od chwili narodzin nie pozwolili sobie na jeden głęboki wdech.

I nagle fotografie w sepii z Dagny – jakiś szokujący na tym tle brak powagi, dziwaczne sukienki, nieokiełznana fryzura. I tajemniczy półuśmiech kobiety, która próbuje naśladować Monę Lisę. Albo ukryć braki w uzębieniu.

– O! – zawołała Sabina.

Na ekranie pokazano Martę w towarzystwie Andrew. Przyłapani w momencie, gdy zatrzymywali dorożkę po kolacji we francuskim bistro. Choć oglądanie własnej twarzy w telewizji śniadaniowej jest przeżyciem dość surrealistycznym, Marta musiała przyznać, że wyglądali z Andrew naprawdę świetnie. Spontanicznie i radośnie, jak para artystów zakochanych w sobie, życiu i tym mieście.

A potem po jednej stronie ekranu pojawiła się Marta – a po drugiej Dagny Przybyszewska. Specjalista od Photoshopa naprawdę się postarał: złudzenie, że kobiety stoją naprzeciw siebie i patrzą sobie w oczy, było nieodparte. Lecz Martę uderzyło coś, co nie miało nic wspólnego z obróbką zdjęć ani złudzeniem optycznym: jej absurdalne wręcz podobieństwo do Dagny. Na tym czarno-białym fotomontażu, w podobnych sukienkach, można by je wziąć za siostry. Ten sam wyraz twarzy, który można wziąć za nonszalancję, zakłopotanie albo zagubienie.

– Jak się właśnie dowiedzieliśmy – powiedziała dziennikarka – nowa kolekcja Renaty Topoli będzie się nazywała *Nonkonformizm w cieniu smoka*.

– Widziałam te projekty i powiem tylko, że jest na co czekać – dodała Jowita. – A już w styczniu znana sieć księgarni wprowadzi do sprzedaży limitowaną serię przedmiotów z wizerunkami Dagny i Stanisława.

– To prawdziwy przełom – dodał Andrew lekko zachrypniętym głosem.

Program musiał być kręcony kilka dni temu. Czy wiedział już wtedy o Gekonie? – zastanawiała się Marta.

– Wcześniej projektanci sięgali tylko po zachodnie ikony stylu. Cieszę się, że możemy dać światu coś od siebie.

– Czujesz się ojcem tego trendu?

– Nie zapominaj o Jowicie. Bez niej by mnie tu nie było. Poza tym Kraków to takie plastyczne i stylowe miejsce. Nie trzeba nikogo przekonywać. Moja dziewczyna mówi, że jeśli miasto ma duszę, to już sam ten fakt cię kształtuje.

– À propos twojej dziewczyny – wtrąciła dziennikarka. – Akcja „Ślub za euro” zatacza coraz szersze kręgi. Strona na Facebooku ma już ponad siedemdziesiąt tysięcy fanów. Skąd to szaleństwo?

Jowita odgarnęła pasmo włosów z policzka.

– Myślę, że uchwyciliśmy coś bardzo istotnego dla młodego pokolenia. Potrzebę autentyczności.

– Niechęć do napinania się – przytaknął Andrew. – Przebieranek. No wiesz... Kiedy tu przyjechałem, to najpierw pomyślałem, że nie da się z wami pracować.

– Był przerażony Polską. – Jowita się uśmiechnęła. Spojrzeli na siebie i roześmiali się, najwyraźniej na wspomnienie jakiejś znanej tylko im anegdotki.

– Zastanawiałem się: co ja tu robię? Ta tęsknota za *Dynastią*. Kiczowate sukienki. Solarium. Tipy. Dresy.

– Wąsy i sałatki z majonezem – dodała Jowita.

– O, tak. Sałatki z majonezem. I przybraniem. No wiesz, takie kwiatki z rzodkiewki albo... Nienawidzę przystrojonych sałatek.

– Mało jest rzeczy równie pretensjonalnych.

– Ale okazało się, że macie w sobie ogromny, naprawdę ogromny głód normalności. Wielu ludzi ma wyrobiony gust. I czują się z tym strasznie osamotnieni. Zaszczuci wręcz. Więc myślę, że po prostu pojawiłem się w odpowiednim momencie. Po to, żeby powiedzieć im: macie rację. Przestańcie się bać. Słyszycie? Przestańcie się bać. Nie musicie zakładać poliestrowych kamizelek. Nie musicie przebierać się za księżniczki. Nie musicie zapraszać nigdy niewidzianych ciotek na rosół i wódkę. Zróbcie to po swojemu. Macie prawo do prostoty. Oryginalności. Czegóż niepodrabialnego.

– Jak uczucie Dagny i Stanisława – dodała dziennikarka.

– Sam jestem zdziwiony, jak to chwyciło. Codziennie dostaję kilkadziesiąt maili z wyrazami poparcia. Wczoraj napisała do mnie para, która ma już wynajętą salę, orkiestrę, porozsyłali już zaproszenia. Ale w głębi duszy wcale tego nie chcieli. Nigdy. Po prostu ulegli presji rodziny.

Andrew nalał sobie wody z karafki.

– I ci autentyczni i wrażliwi młodzi ludzie piszą do mnie, że wszystko odwołali. Całą imprezę. Postanowili: tylko my i świadkowie. I chcą podziękować, bo ta akcja dała im siłę i przekonanie, że mają rację. Olgo, Macieju – bo mogę chyba zdradzić wasze imiona – to ja wam dziękuję. W imieniu swoim i Marty. Pokazujecie nam, że to, co robimy, ma sens. Ma znaczenie. A takich historii codziennie dostaję co najmniej kilka i najbardziej szokujące jest to...

– Co zszokowało Andrew Bajakowskiego? Tego dowiemy się już po krótkim bloku reklamowym – przerwała dziennikarka. – Zostańcie z nami.

Mimo zachęty Marta wyszła do kuchni, gdy tylko rozległ się dzingiel. Musiała sprawdzić stan nagrzania pieca.

Światło w piekarniku zgasło, sygnalizując odpowiednią temperaturę. Spryskała pierwsze cztery bochenki chłodną wodą, patrzyła, jak na skórzastej, napiętej powierzchni tworzy się wilgotna skórka. Następnie wsunęła je do pieca.

By odgonić senność, podeszła do okna, otworzyła je na oścież i wdychała rześkie poranne powietrze. Z głębi domu dobiegała muzyka, której słuchała Sabina. Nakładała się na to paplanina Toli, łączącej z telefonem przy uchu i zapraszającej jakichś ludzi na kolację zaręczynową. Dla Marty te odgłosy były niezauważalnym szmerem w tle. Wróciła do pieca.

Z ulgą stwierdziła, że chleb nie opadł natychmiast ani też nie wyszedł z blaszki, by oblepić wszystko dokoła trudną do usunięcia mazią. Zawsze to jakiś postęp. Bochenki wyglądały zupełnie normalnie, ale mimo to Marta patrzyła na nie bez krztyny zaufania. Nie czuła się pewnie w roli piekarza, a ciasto jest okropnie kapryśne. Nic nie można powiedzieć przed pierwszym kęsem. Wydawało się jej, że w trakcie swojej krótkiej kariery piekarskiej zdążyła już popełnić wszystkie możliwe błędy, narażając się na niewybredne komentarze Toli. Szybko jednak okazało się, że było to zbyt optymistyczne założenie, a lista potknięć jest nieskończona.

Musi się udać, pomyślała. Spędziła nad tym całą noc, a poza tym są jej cholerne zaręczyny i skoro

wszystko tak się strasznie sypie, ma prawo oczekiwać, że chociaż chleb jej się uda.

– Och, daj spokój, mój drogi, nie możemy przecież... – usłyszała donośny głos Toli.

Wyjrzała na korytarz.

Tola, w czerwonym szlafroku, z którego zdolny krawiec zdołałby uszyć niewielki namiot cyrkowy, kręciła się z telefonem w dłoni, wyraźnie z kimś flirtując. Zdumiewające, jak lekko się poruszała. Marta nigdy wcześniej nie zwróciła na to uwagi. Depresja? Bzdura. Babka Andrew przez całe swoje życie nie była równie daleka od depresji jak obecnie.

Mówią, że wewnątrz każdej grubej dziewczyny tkwi szczupła dziewczyna i czeka, aż ktoś ją dostrzeże. W przypadku Toli było odwrotnie. W szczupłym wypielęgnowanym ciele żony kongresmana tkwiła gruba abnegatka i czekała, aż ktoś ją wreszcie dokarmi.

W kuchni zaczął się roznosić zapach chleba. Niewiele rzeczy na świecie może mu dorównać. W każdym razie Marcie nic innego nie przychodziło do głowy. Mogłaby tak siedzieć i wdychać go przez cały dzień, lecz zostało zbyt wiele rzeczy do zrobienia. Szła właśnie do lodówki, by sprawdzić, czy pstrągi są nadziane wystarczającą ilością czosnku i mięty, gdy do kuchni zajrzał Robert.

Gwizdnął.

– Nieźle, jak na prawie odwołaną imprezę. Potrzebujesz czegoś? Jadę do sklepu po wino.

Pokręciła głową.

– Wam na pewno nikt nie zarzuci, że ulegacie schematom. Zaręczyny bez narzeczonego. Czy ktoś wcześniej na to wpadł? Bardzo oryginalne.

Marta spojrzała mu w oczy.

– Gekon wrzucił na bloga Andrew zdjęcia ze sklepu. I te z Sabiną. I coś jeszcze napisał. Jeden wielki syf. Poza tym straszy, że będzie pisał i wklejał dalej, żeby cały świat się dowiedział.

– I co? Pisze i wkleja?

– Nawet nie włączam komputera.

– Ale o co właściwie chodzi z Sabiną?

– O to, że jest Sabiną. Nosi szpilki z czerwoną podeszwą za pięćdziesiąt złotych. Sponsorzy grożą Andrew zerwaniem umów.

– Przynajmniej masz już to za sobą.

– Co?

– Andrew już o wszystkim wie.

– Jest naprawdę wściekły.

– Nie rzucił cię.

– Chyba tylko dlatego, że plan ratunkowy Jowity tego nie obejmuje.

– Ciągłe jesteś jego dziewczyną.

– Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Poza tym...

– Przejdzie mu. Wcześniej czy później.

– Nie było cię tam wczoraj. On... – Nagle zamilkła i podeszła do piekarnika. Uchyliła drzwiczki i przyjrzała się chlebom.

– Co on? – dopytywał Robert.

– Powiedział mi tyle rzeczy. A rano przysłał mnóstwo esemesów. Wiesz... że niszczę każdą okazję... każdą. Najpierw się angażuję, ale jak tylko coś zaczyna dobrze iść, to zmieniam się w wariatkę. I podświadomie szukam pretekstu, żeby wszystko rozwalić. Sama tworzę przeszkody. Bo w głębi duszy nie mogę znieść, że coś mi się układa. Za bardzo mnie to uwiera. – Podniosła ścierkę ze stołu i rzuciła w stronę Roberta.

Złapał.

– Chodź mi pomóc z tym chlebem – powiedziała.

Robert wyciągnął gorące blachy z pieca i położył je na kamiennych podstawkach na blacie. Marta postukała w bochenki. Skórka parzyła w palce.

– Jestem autodestrukcyjna. I zawsze sobie coś wynajdę. Zmyślony problem rozdmucham do gigantycznych rozmiarów. Tym razem był to sklep. I Sabina. I nie jestem wobec niego lojalna. Tak właśnie uważa.

– A ty?

– Co ja?

– Co ty o tym myślisz?

– Może mieć rację. – Wzruszyła ramionami. – Chyba coś w tym jest. Nie sądzisz?

Wsunęła do pieca kolejne dwie blachy. Podeszła do świeżo upieczonego chleba i wyciągnęła z szuflady dwie białe czyste ściereczki, którymi owinęła parujące bochenki.

Robert przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Myślę, że Sabina jest całkiem realna.

– Jak to nam wróży na przyszłość, skoro on przed ślubem tak o mnie myśli?

– W naszej rodzinie dobrą opinię o współmałżonku uważa się infantylną fanaberię. Popatrz na Tolę. Więc co obejmuje plan Jowity?

– Mamy siedzieć cicho, aż do ślubnej sesji. Ukaże się w gazecie, razem z moją książką.

– To świetnie. Kiedy ją skończyłaś?

– Ktoś ją skończył za mnie.

Robert zamilkł.

– Nie pytaj. Andrew mówi, że nie ma co zwlekać. Zresztą czytam to w kółko i widzę tylko kolejne niedoróbki. Jakoś się strasznie rozłazi to wszystko. Fabuła, postaci, wszystko.

– Ghostwriter?

– Redaktor kreatywny.

Robert przysunął sobie miseczkę z wyłuskanyimi orzechami włoskimi i zaczął je wyjadać. Skinięciem ręki kazał Marcie kontynuować.

– Potrzebny jest specjalista, żeby to uratować. Wiesz, odpowiednio wypromować, nadać kształt i żeby ludzie to kupili. Zrobić piarowskie czary-mary. Jak Tola z zakalcem – roześmiała się Marta. – Niestety wciąż nie zdradziła mi sekretu, jak uratować chleb, gdy coś pójdzie nie tak. Jak ją do tego zmusić?

– Spróbuj ją upić – zasugerował Robert. – I tak oto Kraków zyskał pisarza. Mieliśmy niedobory.

– Nie Kraków. Zaraz po ślubie uciekamy do Nowego Jorku. Jowita nam tam coś pewnie nagra. Zostaw

te orzechy!

Robert szybko wsunął sobie do ust jeszcze dwie połówki i odsunął miseczkę.

– I jak długo chcesz tam zostać?

– Dopóki Gekon nie przestanie się wkurzać.

– Czyli na zawsze? – Robert przełknął ślinę.

– Jeśli się uda.

Nie odpowiedział.

– Zrobię wszystko, żeby się udało.

Patrzyli na siebie w milczeniu, stanowczo za długo, jakby grali w „kto pierwszy opuści wzrok”. Pierwsza poddała się Marta.

– Myślałem, że dobrze się tu bawisz ostatnio. To znaczy z Sabiną i Tolą.

– Naprawdę?

– Tak to wyglądało. Sabina będzie za tobą tęsknić. Co ona zamierza zrobić?

– Ona nic nie wie – westchnęła Marta.

Przysunęła do siebie orzechy, które zabrała Robertowi, i nerwowym gestem wsunęła do ust cztery obrane połówki.

– Jeśli idzie o stosunek do problemów, to nie można ci odmówić konsekwencji – stwierdził Robert.

– Co mam jej powiedzieć? Muszę się wyprowadzić na inny kontynent, bo pokazałam się w twoim towarzystwie? – Marta przetarła oczy i stłumiła ziewnięcie. – A teraz wybacz, ale muszę zadzwonić.

Wyciągnęła komórkę z torebki, rozejrzała się po domu i próbowała znaleźć jakieś ciche, bezpieczne miejsce, gdzie nikt jej nie przeszkodzi.

Spizarnia!

Usiadła na chłodnej posadzce pod regałem ze słodkimi przetworami i wybrała numer. Nie od razu wcisnęła zieloną słuchawkę. Andrew kazał jej wymyślić jakąś inteligentną strategię, która sprawi, że Gekon da im spokój i będą żyli długo i szczęśliwie.

Musiła to przemyśleć.

Jeszcze całkiem niedawno najpierw przez dwa miesiące umierałyby ze strachu przed popełnieniem błędu, potem wykonałyby telefon, a na koniec przez dwa miesiące roztrząsałyby, co poszło nie tak.

Dziś jednak musiała skończyć chleb. Książka mogła czekać, aż rozwiąże swoje problemy, mogły też czekać nienapisane artykuły do „Implikatury”, i bardzo wiele innych rzeczy w jej życiu. Ale nie ciasto.

Przemyślała więc wszystko w tempie ekspresowym.

Okazało się to całkiem proste, również dlatego, że zastanawiała się nad tym od trzeciej klasy liceum.

Przez ten czas nasunęły się jej dwa rozwiązania sytuacji: ucieczka do Warszawy i ucieczka na inny kontynent.

To wszystko. Nic innego nie zadziało. Przez trzynaście lat.

Jakie jest więc prawdopodobieństwo, że wpadnie na rozwiązanie teraz, po całej nocy zagniatania ciasta, awanturze z Andrew i czterech godzinach snu?

No właśnie. Równie dobrze może zadzwonić od razu i gadać, co jej ślina na język przyniesie.

Poza tym, większość ludzi intuicyjnie dąży do pewnej równowagi w relacjach i pragnie sprawiedliwości. Jeśli Gekon jest jednym z nich, to powinien odebrać jej telefon w okolicach dwa tysiące trzydziestego roku.

Nacisnęła zieloną słuchawkę.

Odebrał po drugim sygnale.

– Ma-aar-ta?

– No.

– Ma-aar-taa?

– Co cię tak dziwi?

– Maa-aar-taa?

– Serio, Julianie? Nie mów, że nie rozpoznajesz tego numeru.

Głos po drugiej stronie nie odpowiadał. Słyszała tylko przyspieszony oddech.

– Sam przecież prosiłeś, żebym zadzwoniła.

– Eee, no tak. Od trzeciej klasy liceum. A ty nigdy...

Hm, jeśli się nad tym zastanowić, to naprawdę było dziwne. Jeśli próbujesz się do kogoś dodzwonić przez ponad dekadę i pewnego dnia ten ktoś oddzwania, to co właściwie masz mu powiedzieć?

– Do rzeczy. To, co zrobiłeś, jest zwyczajnie podłe.

– Eee... przepraszam – bąknął wyraźnie zmieszany. – Nie miałem wyboru.

– No jasne.

– Martuś, to nie jest wymierzone w ciebie. Ani w niego. To nic osobistego.

– Czyżby?

– No bo, zrozum. Nie chcę, żebyś cierpiała. Tak dla samego cierpienia. Tylko żebyś coś pojęła. No wiesz...

Tłumaczył się przed nią. Być może sprawił to niespodziewany telefon, a może jej ostry ton, w każdym razie był zupełnie zbity z tropu. Dlaczego nigdy wcześniej nie wpadła na to, że może powiedzieć otwarcie, o co chodzi?

– Co ty sobie wyobrażasz? – zapytała z naganą.

– Ale... ale... czego ode mnie chcesz?

– Czego chcę? Żebyś się od nas odpieprzył.

– Słucham?

– Od-pieep-rzyyy! Daj mi żyć, dobrze? Przestań to wszystko robić. Po prostu się odpieprz.

– Bo co?

– Myślisz, że po tym, co odwaliłeś, zacznę cię nagle kochać?

– Wystarczy, że nagle zaczęłaś dzwonić. – Cała niepewność i zakłopotanie uleciały z jego głosu. – Tak, Marto. Wreszcie, po tylu latach znalazłaś czas, żeby zadzwonić do Juliana. Czy to nie wspaniałe?

– Po co to wszystko robisz?

– Bo mogę. – Odpowiedź padła natychmiast.

Usłyszała jakiś trzask po drugiej stronie.

– Teraz to ja jestem w centrum twojego życia. Ty musisz czekać na mój krok.

Czasem najlepszą strategią jest szczerłość. Ale na pewno nie w przypadku psychopaty, pomyślała.

– Tak ci się tylko wydaje – powiedziała.

– Nie sądzę. Wreszcie to tobie zależy.

– Naprawdę tak cię to bawi?

– Bardzo płytko mnie postrzegasz. Wcale nie lubię dawać ci tych wszystkich lekcji. Ale czasem ból jest konieczny. Żeby kobieta otrząsnęła się z iluzji i zaczęła żyć prawdziwym życiem.

– Ja nie żyję prawdziwym życiem?

– Nowy Jork, sesje modowe. Nie bądź śmieszna.

– Co w tym śmiesznego?

– Ty na Manhattanie? Błagam cię.

– Wkrótce tam zamieszkam.

Parsknął śmiechem.

– Moja mała sierotka. Nawet tu nie możesz niczego ogarnąć. Manhattan? Jesteś tylko jego zabawką. A gdyby cię zostawił? Skomlałabyś przez telefon, żeby ktoś zabrał cię do domu? Sama nie przetrwałabyś tam nawet godziny. Dobrze wiesz, że cały ten Nowy Jork to bzdura. Ucieczka od prawdziwego życia. Jak ten twój urojony związek.

– Ty śmiesz mi mówić o urojonych związkach?! Z Andrew mamy prawdziwe plany.

– Zostaw go, zanim narobisz mu kłopotów.

– Przecież Andrew wie o wszystkim – powiedziała Marta. – Po tym, jak wszedłeś na jego blog i...

– Nie wie jeszcze wszystkiego. Obawiam się, że ty też.

– Jezus, człowieku, o czym ty mówisz?

– Wiem, gdzie jest twój brat.

– Co?

– Kacper. Znalazłem go.

– Gdzie?

– Chyba nie sądzisz, że ci powiem?

– Gdzie on jest?

– Nie martw się. Przekażę ucałowania od siostrzyczki. To naprawdę nie było takie trudne. Wręcz... He, he, he...

Omam nie zwymiotowała od tego śmiechu. Oddychała głęboko, jakby ogarnął ją paraliż. Gdzieś tam, na samym dnie świadomości pojawiła się myśl, że Gekon ma rację. To wcale nie jest takie trudne. W gruncie rzeczy sama potrafiłaby zgadnąć. Gdyby tylko się skoncentrowała. Gdyby przypomniała sobie, o co chodziło.

– Co chcesz zrobić? – spytała bez emocji.

– Cóż, dopiero odkryłem sekretną miejscówkę. Teraz dowiem się, co zrobił i co mu grozi. Potem

z nim pogadam. A potem...

– Tak?

– To zależy od tego, jak bardzo chcesz narobić kłopotów narzeczonemu. Wygląda mi na takiego, który nie przepada za kłopotami.

– Znowu mnie szantażujesz?

– Chciałbym to zachować dla siebie. Wierz mi. Ale boję się, że nie pozostawisz mi wyboru.

– Ja?

– Sama się stawiasz w pozycji autorytetu, wzoru do naśladowania. Więc my – twoi fani – mamy prawo do całościowego obrazu. Gardzę obłudą, Marto. Walczę z hipokryzją na każdym kroku. Dlatego boję się, że mnie po prostu do tego zmusisz.

– Więc to będzie moja wina?

– Niestety, tak. Bo co mogę zrobić? Co innego, gdybyś była anonimową samotną dziewczyną. W ogóle bym się nie wtrącał. Nikogo nie powinno obchodzić, co robią samotne anonimowe dziewczyny.

– Mam zerwać z Andrew, bo jakiś świr...

– Bo powinnaś żyć w prawdzie.

– Błagam cię. Nie wyskakuj mi z tekstami jak z jakiejś sekty.

– Prawda jest według ciebie sekciarska?

– Przestań gadać! I słuchaj! Na razie nie zamierzam się w ogóle udzielać publicznie. Rozumiesz? Żadnych wzorów, autorytetów, żadnych sesji. Ani wywiadów. Nic. Cisza.

– Andrew przed chwilą był telewizji.

– To było nagranie sprzed paru dni.

– I mówił o tej akcji, ślub za euro.

– To stare nagranie. Wszystko się zmieniło.

Odetchnęła głęboko.

– I nie wiem jeszcze, co będzie z Andrew. Nie mamy żadnych planów. Na razie żyjemy w zawieszeniu. Więc bardzo cię proszę, na razie i ty wstrzymaj się choć trochę. Zobaczymy, jak to się wszystko rozwinie. Głupio tak podejmować decyzję w nerwach.

– Ja się nie denerwuję. Czekałem czternaście lat. Teraz podejmuję decyzję, kiedy mam ochotę. Kiedy ja uważam, że nadszedł czas.

– Julian, proszę cię. Nie rób głupot.

– I sam decyduję, co jest głupotą – dla wzmocnienia efektu na koniec wydał odgłos cmoknięcia. Był to zdecydowanie najbardziej obleśny dźwięk, jaki Marta w życiu słyszała. A potem się rozłączył.

Wybrała numer jeszcze raz, ale nie odebrał.

Spróbowała jeszcze pięć razy. Za szóstym usłyszała komunikat: „Abonent czasowo niedostępny. Prosimy spróbować później”.

Gdy wracała do kuchni, dzierząc pod pachą butelkę oliwy z pierwszego tłoczenia (do skrapiania małych focaccii), poczuła, jak przez całą jej irytację, lęk i zmęczenie przebija satysfakcja, że Gekon musiał wyłączyć telefon, żeby uwolnić się od natręta.

Wydawała z pieca zarumienione bochenki. Wkładała nowe. Skrapiała je wodą. Nacinała nożem. Owijała w ścierki. Zerknęła na zegarek. Jej ruchy stały się pewne i automatyczne, dzięki czemu nie musiała już obsesyjnie myśleć o chlebie i mogła się skupić na obsesyjnym myśleniu o Kacprze.

Umysł bez przerwy wyświetlał obraz chłopaka w hip-hopowych ciuchach, kiwającego się nerwowo nad grobem Witka. Na nieco dziecinnej twarzy malowały się napięcie i czujność. Zaledwie kilka minut – tyle go widziała. Choć trudno oceniać książkę po okładce, jednego Marta była absolutnie pewna: ludzie, którzy tak wyglądają, nie popełniają prestiżowych przestępstw.

Bo czy mogła liczyć, że brat zdefraudował pieniądze z funduszu hedgingowego? Próbował skorumpować jakiegoś ministra? Szpiegował dla rosyjskiego wywiadu? Ścigali go, bo wykorzystywał poufne informacje w handlu papierami wartościowymi? Czy powodem ukrywania się mogły być zwłoki top modelki znalezione w basenie po kokainowo-seksualnej orgii?

Cokolwiek zrobił Kacper – z pewnością nie było w tym nic wzbudzającego cichy podziw czytelnika „Tyle Stylu”.

Gdyby tak brał heroinę, zastrzelił kochankę, obnażał się w miejscach publicznych, pomyślała Marta. To byłoby jeszcze do przełknięcia. Od biedy dałoby się podciągnąć pod kategorię „och, ci artyści!”.

Niestety, Kacper z pewnością popełnił jakieś żenujące przestępstwo z najniższej półki. Handlował trawką, fałszował spirytus, dał komuś po pysku. Mógł też obrabować sklep, wdać się w bójkę, porysować sąsiadowi samochód. Co jeszcze wchodziło w grę? Rozbój? Zniszczenie mienia? Jazda tramwajem bez biletu?

Komu to mogło imponować? Z pewnością nie ludziom atrakcyjnym z punktu widzenia reklamodawców.

A to oznaczało, że sponsorzy się wściekną. A Andrew...

To już wolę stresować się chlebem, pomyślała.

Okazja do niepokoju pojawiła się niemal natychmiast.

Pierwsze wyciągnięte z pieca bochenki zdążyły już bowiem trochę przestygnąć, a to oznaczało, że nadszedł czas próby. Mimowolnie przygryzła wargi. Ciasto jest bezwzględne i jeśli po rozkrojeniu ukaza się kleksy wilgotnej zbitej bryły – cała partia będzie schrzaniiona. No chyba że Tola – o ile nie kłamała, a z pewnością kłamała – zdradzi swój sekret: cudowny sposób na zakalec. W każdym razie, lepiej na to nie liczyć.

Chwyliła nóż, przyłożyła ostrze do ciepłej skórki i szybko się cofnęła. Ścisnęła w dłoni drewniany trzonek i liczyła do dziesięciu. Kiedy skończyła, przeżegnała się, zamknęła oczy i znów przyłożyła nóż.

Po czym policzyła do piętnastu.

Dość. Dlaczego nie może odkroić kromki chleba? Przecież to szaleństwo. Nawet jeśli nie wyszedł, to i tak zrobiły z Sabiną tyle jedzenia, że mogły wykarmić kilka dzielnic. Czemu zawsze tak się z tym cacka?

I nagle zrozumiała.

Ten dziwny paraliż, który ogarniał ją za każdym razem, gdy miała spróbować tego, co sama upiekła, nie miał nic wspólnego ze strachem przed popełnieniem błędu. Owszem, Marta bała się popełnienia błędów – lecz robiła to od tak dawna, że jej organizm traktował panikę jak zwykły stan umysłu.

Tu chodziło o sam chleb.

O to, że był taki – przez chwilę w myślach szukała odpowiedniego słowa – ostateczny.

To było w jej życiu całkiem nowe doświadczenie.

Od dziecka żyła w świecie słów. Innego nie znała.

Nawet jeśli w rodzinnym domu stały jakieś meble poza biblioteczką, to w ostateczności kończyły jako podstawki na książki. Rodzice albo czytali to, co napisali inni ludzie, albo znikali, by informować jeszcze innych ludzi o tym, co napisali ci pierwsi. Czasem, oczywiście, zajmowali się dzieckiem: czytając mu lub opowiadając, co ktoś napisał.

Potem Marta sama nauczyła się łączyć litery i wszystko inne przestało się liczyć.

Czytała bez przerwy. W domu, szkole, świetlicy. W liceum znalazła znajomych, z którymi mogła przez cały wieczór rozmawiać tylko o przeczytanych książkach.

Wybrała studia i mogła przez kolejnych pięć lat rozmawiać tylko o przeczytanych książkach.

Te jakże praktyczne i pożądane na rynku pracy zainteresowania sprawiły, że ostatecznie wyłądownała w Sharp-polu.

Dawni wykładowcy i koledzy z roku (ci, którym udało się zostać na uczelni) traktowali to jak smutną degradację. „Biedaczka” – szeptali za plecami Marty. „Nie zasłużyła na coś takiego”. Byli przekonani, że musi być zdruzgotana.

Ona jednak, w głębi duszy, czuła się w Sharp-polu całkiem bezpiecznie. Zgoda, nie była to najbardziej prestiżowa robota na świecie, jednak bez wątplenia – robota w słowie. Nawet jeśli sprowadzało się to do wyśpiewywania: *Twe marzenie dziś się ziszcza, wykroimy z ciebie mistrza*.

A potem się zakochała. Znajomi Andrew uważali, że ten związek to dla Marty skok na szczyt drabiny społecznej. Szokujący uśmiech losu, chwilowy, oczywiście. Wiadomo, jak kończą się takie historie – królewicza ogrania znudzenie i szuka odpowiedniej księżniczki, a Kopciuszek zostaje ze złamanym sercem i wielkim żalem nad sobą. „Biedaczka” – znów szeptali za jej plecami. „Nie zasłużyła na coś takiego”.

Szalała na punkcie Andrew i do dziś zdarzało się, że na jego widok zaczynała jej brakować tchu, ale na najbardziej podstawowym poziomie – nic się nie zmieniło. Andrew roztoczył przed nią świat ze słów, a był to jedyny świat, w którym Marta czuła się swobodnie. Z tego powodu przetrwali dłużej, niż dawano im w najbardziej optymistycznych wariantach. Wiele ich łączyło: jej narzeczony żył ze swojego gadania, a ona, no cóż, ona też żyła z jego gadania. Miała wreszcie czas, żeby zacząć wymyślać własne słowa, z których, jak dotąd, nie wyżyłaby nawet mysz.

Dla Marty rzeczywistość była czymś równie chwiejnym jak Sabina w swoich najwyższych szpilkach i bardziej mglistym od obietnic składanych Gekonowi w trakcie gry w butelkę. Dopiero słowa nadawały światu kształt i sens. „Wartość człowieka poznasz po jego języku” – powtarzał ojciec. Andrew mawiał: „Wszystko zależy od tego, jak dobrym jesteś mówcą. I czy potrafisz przekonać innych do swojej wersji”.

Na tej zasadzie opierało się jej życie.

Tak było ze wszystkim.

Tylko nie z chlebem.

Pierwszy raz w życiu słowa nie miały żadnego znaczenia.

Pierwszy raz w życiu robiła coś tak absurdalnie realnego.

Marta mogła być Dagny Przybyszewską w drodze do Nowego Jorku albo sklepikarką z Prądnika, albo już w ogóle nie wiedzieć, kim jest.

A z chlebem zawsze chodziło o to samo.

Jeśli okazywał się gniotem – nie dało się tego podważyć ani inaczej zinterpretować. Zakalec pozostawał zakalcem.

Odkroiła kromkę i odetchnęła, widząc, że wnętrze bochenka jest w porządku. Pozostawała jeszcze sprawa smaku. Miała już na koncie wypieki bardziej słone niż ściany Wieliczki, a także całkiem soli pozbawione. W zeszłym tygodniu udało się jej pomylić mąkę ziemniaczaną z cukrem pudrem. O ile zdążyła się zorientować, znajomi Toli tworzą coś w rodzaju kulinarnej sekty. Ich stosunek do jedzenia bywa czasem zbyt fanatyczny, rzuciła kiedyś Tola.

– Pani Tolu! – zawołała, wychylając się z kuchni. Cisza. – Pani Tolu!

Wreszcie usłyszała charakterystyczne człapanie. Tola zbliżała się powoli, nawet nie starała się opanować napadu ziewania. Gdy weszła do kuchni, Marta zauważyła na jej policzku ślad po zagłóWKu fotela.

– Co znowu? – spytała rozespanym głosem.

Marta wskazała na kromkę odkrojoną z pierwszego bochenka.

– Trzeba sprawdzić – powiedziała.

Tola popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Co?

– No, czy można podać gościom.

– I dlatego mnie obudziłaś?

– Eee... no tak. Bo pani goście... przecież oni będą...

– Czemu sama nie spróbujesz?

– Bo nie wiem, czy się na tym znam. Przecież piekę od niedawna.

Tola podeszła do Marty i wcisnęła jej kromkę do ręki.

– Jezu, to tylko chleb. Wystarczy ugryźć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ostatni goście wyszli dwadzieścia po pierwszej, zataczając się lekko w drodze do trzech podstawionych taksówek. Nieśli siatki z pozostałym po kolacji jedzeniem – obłędnie pysznym chlebem, pulchnymi bułeczkami, kawałkami pieczonej gęsi, słoiczkami z malinowymi konfiturami, barszczem i bigosem, a także kawałkami tortu i kruchymi ciasteczkami. Będą mieli co zjeść, kiedy znowu poczują się głodni. Czyli za mniej więcej półtora tygodnia.

Marta opadła na kuchenne krzesło. Przez chwilę rozważała, czy nie poprosić Roberta, żeby zaniósł ją na górę, lecz stwierdziła, że nie jest to najważniejsze zwieńczenie kolacji zaręczynowej. Impreza i tak już mocno odbiegała od jej wcześniejszych wyobrażeń. Nie żeby miała jakąś szczegółową wizję zaręczyn. Spodziewała się jednak, że pan młody będzie na liście gości. Wszystko potoczyło się inaczej. Przekarmiły z Sabiną dwudziestu czterech znajomych Toli, którzy chwalili prawie każde danie, prosili, by spakować im resztkę na wynos, i przysięgali, że od wieków nie jedli tak dobrego chleba, bułeczek i brioszek.

Nie bawiła się źle. Cała ta impreza była tak nierzeczywista, jak fabuła widzianego dawno temu filmu. I choć słaniała się na nogach, kark jej całkowicie zeszytywniał, opadające powieki sygnalizowały, że pilnie potrzebują snu, a kolana – operacji, Marta nie pamiętała już, kiedy ostatnio czuła się tak dobrze. Niczym bohater gry komputerowej, który wychodzi z walki potargany, lecz z maksymalnie doładowanym paskiem energii.

– Możecie zacząć to sprzedawać. Sklep już macie. – Tola spojrzała przez okno za odjeżdżającą taksówką. – I klientów też.

– Przecież nie będą jeździć na Prądnik po chleb – odparła Marta.

Tola uśmiechnęła się do niej z politowaniem.

– W zeszły weekend polecieli na pizzę do Rzymu.

– Pewnie, że przyjadą – zawołała podekscytowana Sabina. – Zrobimy superpromocje! I loterie! Bułeczki z kuponami w środku! Gryziesz, gryziesz, a tu papierek. Wygrałeś!

– Ale ja się wyprowadzam.

Spojrzała na Sabinę. Dziewczyna kipiała entuzjazmem.

Może to nie był taki zły pomysł? Andrew przelał jej rano kilka tysięcy, czekała jeszcze na przekaz od Jowity, miała też spłynąć jakaś kasa bezpośrednio od wydawcy. Na finansowym horyzoncie majaczyło też podpisanie nowego kontraktu z Topolą.

Odświeżyłaby PALOME, nadała jej wielkomiejskiego szyku, kupiła kilka pięknych drobiazgów. I oddała w ręce Sabiny. A potem codzienne internetowe czaty. Z Manhattanu na bieżąco monitorowałyby sytuację, udzielając wskazówek i rad. Dziewczyna dałaby sobie radę. Zaczęłyby od chleba, bułek, kilku ciast. Potem może dania na wynos. Tak, klienci przyjechaliby na Prądnik. Ona sama po miseczkę bigosu według przepisu Toli byłaby gotowa przespacerować się do Ułan Bator. I te powidła... pasztety... pielmieni... To mogło się udać. A Marta spałaby spokojnie w Nowym Jorku.

Chyba że Gekon wszystko zniszczy. I nie będzie Nowego Jorku. Ani spokojnego snu.

Musi powstrzymać katastrofę.

Wyprzedzić Gekona.

Odnaleźć Kacpra.

Przypomnieć sobie.

I wyspać się. To przede wszystkim. Przeleżeć w łóżku cały zimny, ciemny, październikowy poranek i nie wychodzić spod kołdry przed pierwszą po południu. Wyłączyła komórkę, nastawiła budzik i... miała nadzieję, że los zlituje się nad nią i ześle jej proroczy sen z rozwiązaniem zagadki.

Kto wie, może nawet tak właśnie się stało, lecz po przebudzeniu Marta nie pamiętała ani sekundy ze swoich nocnych fantazji. Leżała na dmuchanym materacu, z przymkniętymi oczami, słysząc, jak zegar wybija osiem razy. Te kilka godzin to za mało, by zregenerować siły, lecz wiedziała, że już nie uda się jej zasnąć. Znow zaczął się szalony korowód myśli. Kacper, Sabina, Kraków, Warszawa. Jej wieczory, Nowy Jork i tamten tekst. Obrazy, obrazy, obrazy. Słowa, które masz na końcu języka. Które znasz tak dobrze. Bo słyszałeś je przecież niedawno. To chyba musiało być...

I wtedy się roześmiała. Przyszło jej bowiem do głowy coś bardzo głupiego, co nie mogło być prawdą, lecz im dłużej się śmiała, tym mocniej docierało do niej, że rzeczy w istocie mogą tak wyglądać.

Sabina owinięta kołdrą niczym mumia mlaskała cicho przez sen. Marta podeszła i potrząsnęła nią lekko.

– Cccoo?

– Skup się. Bo to ważne.

– Która jest godzina?

– Musisz mi powiedzieć, dlaczego Kacper nie może z tobą być. Co ci dokładnie powiedział?

Sabina ziewnęła głośno.

– No, że ściga go...

– Nie, nie to o policji. To o tym, kim jest. Pamiętasz? Dzikusem? Pustelnikiem? Outsiderem?

– Aut... co?

– Okay, na pewno nie outsiderem. Ale to było coś w tym stylu. Samotny jeździec? Odludek, który przeciwstawił się społeczeństwu?

Sabina przeciągnęła się, przymykając oczy. Nie zmyła wczoraj makijażu, teraz jej twarz przypominała abstrakcyjną kolorowaną ręką niezbyt uzdolnionego manualnie przedszkolaka.

– Coś w tym stylu.

– No jasne, że coś w tym stylu. Co powiedział dokładnie?

– Zabij mnie, nie pamiętam.

– Może to nie jest zły pomysł – westchnęła Marta.

– Po co ci to w ogóle?

– Spróbuj sobie przypomnieć. I daj mi znać, jak tylko na coś wpadniesz.

A potem przyniosła sobie podwójne espresso, zasiadła przed laptopem i włączyła pierwszy odcinek *Przyjaciół*.

Po trzech godzinach do pokoju wszedł Robert.

– Posłuchaj, dam ci pieniądze. Jedź z Sabiną do sklepu i sprawdźcie, czy da się z nim coś zrobić. Coś jaśniejszego, przytulniejszego. Wynajmijcie kogoś do odświeżenia. Aha, i sprzątnijcie po imprezie. Proszę. Nie mogę wam pomóc – powiedziała Marta.

– A czym będziesz zajęta? Bo na razie oglądasz *Przyjaciół*.

– Oglądaniem *Przyjaciół*.

Spojrzał na nią wzrokiem sugerującym, że jakieś dodatkowe drobne wyjaśnienie byłoby całkiem na miejscu.

– To naprawdę ważne. Proszę cię. – Spojrzała mu w oczy. – I jeśli możesz, to przynieś mi kawę za jakąś godzinę.

– Kawę?

– Bez cukru. I coś do przegryzienia. Ale to potem. A teraz wybaczone, ale mam robotę – dodała i nacisnęła „play”.

Gdy zeszła wieczorem na parter, kuchnia i salon lśniły czystością. Była Robertowi wdzięczna, gdy przyniósł jej kawę, potem obiad, a także kolację i potem karmił ją i poił przez kolejne pięć dni, kiedy wstawała od komputera jedynie po to, by się umyć, odebrać telefon od Andrew i skorzystać z łazienki. Nie mogła nie zauważyć, że zaopiekował się Tolą. I Sabiną. Znikali gdzieś razem na całe dni. Dziewczyna przeniosła część swoich rzeczy do odgrzybionego mieszkania Witka. Lecz najbardziej wdzięczna była mu za to, że nie zadawał już żadnych pytań i nie komentował jej tygodniowego maratonu filmowego. Czasem siadał obok i patrzył z nią w ekran.

Pierwsze odcinki były jak tabliczka mlecznej czekolady po latach restrykcyjnej diety. Kolejne smakowały nieco gorzej, aż w końcu Marta doszła do momentu, w którym, podobnie jak bulimiczka, nie czuła już w ogóle smaku i zapachu, a mózg wysyłał sygnał „Stop!”, lecz nie mogła przestać konsumować. Z rozrzewnieniem wspominała dni, gdy wyczekiwała kolejnych odcinków, dawkowała je jak zakazany owoc, nigdy nie zaspokajając apetytu do końca. Teraz zazdrościła sobie tamtych ograniczeń. Mędrcy mówią: „Wybierz pracę, która sprawia ci przyjemność, a nigdy nie będziesz musiał pracować”. Co do Marty, to aktualnie skłaniała się ku tezie: „Potraktuj jak pracę coś, co sprawia ci przyjemność, a nigdy już nie zaznasz przyjemności”.

Poza tym ciągle nie znalazła tego, czego szukała. Z każdą godziną upewniała się coraz bardziej, że to wszystko jej się przewidziało, coś okropnie pokręciła, zabrnęła w ślepią uliczkę, nie zdoła powstrzymać Gekona. I to będzie koniec.

Na dźwięk telefonu truchlała i żołądek podchodził jej do gardła, lecz okazywało się, że to tylko Andrew sprawdza, czy wszystko u niej w porządku. Minęła środa, a Gekon wciąż jeszcze się nie odezwał. Czuła, że powinna zrobić jakiś radykalny i odważny krok, by powstrzymać nadchodzącą katastrofę. Lecz umiała się zdobyć tylko na włączenie kolejnego odcinka, przeskakiwanie między scenami w chaotycznym poszukiwaniu bliżej nieokreślonego czegoś, co mogło tam być lub czego tam nie było. Mimo zwątpienia oglądała dalej, ponieważ to blade podejrzenie, cienka nić prawdopodobieństwa, była wszystkim, co miała.

W czwartkowy poranek wydarzył się cud.

Zaspany Joey Tribbiani stał w kuchni swojego nowojorskiego mieszkania i prosił Rachel, by spławiła

jego jednonocną przygodę.

„Kiedy wyjdzie z łazienki, powiedz, że nie szukam stałego związku”.

„Żartujesz?” – pyta Rachel.

„Rzuć to mimochodem. Powiedz jej, że jestem samotnikiem. Wyjętym spod prawa. Że nie powinna się ze mną zadawać”.

Przywołała Sabinę.

– Czy on to ci właśnie powiedział?

– Dokładnie – zawołała. – Co do słowa.

Marta chwyciła płaszcz, torebkę i już jej nie było.

– Zaraz, zaraz. Gdzie ty wychodzisz? Marta, dokąd idziesz? Weź parasol chociaż.

Od razu go zauważyła. Nie było to trudne, bo w osiedlowej czytelni dla dzieci nie było nikogo oprócz niego i młodej bibliotekarki, bardzo wolno wklepującej do komputera jakieś dane. Siedział przy okrągłym różowym stoliku zaprojektowanym dla kogoś o wiele niższego, w pozycji, która musiała sprawiać jego ciału prawdziwe tortury, lecz zdawał się tego w ogóle nie zauważać. Był całkowicie zatopiony w lekturze, nie reagował na sygnały płynące z otoczenia.

Miał te same czarne ciuchy co zawsze. Chłopak gawron. Marta bezszelestnie zbliżyła się do niego i dotknęła jego ramienia.

– Iyyiii! – zakwilił.

Obrzucił Martę wystraszonym, zdezorientowanym wzrokiem, a następnie zerknął w stronę bibliotekarki, licząc, że nie dosłyszała pisku, który wydobył się z jego gardła. Kobieta wydawała się nie zwracać na nich uwagi.

– Gdzie on jest? – spytała Marta.

– Yyy?

– Nie mam czasu.

– Tu jest czytelnia – upomniał ją. – Mów ciszej.

– Gdzie jest Kacper? – powtórzyła pytanie głośniejszym głosem niż poprzednio. Bibliotekarka zaczęła im się przyglądać.

– Ciiii – szepnął. Jego twarz płonęła. Kurczowo trzymał się dziecinnego stołeczka, jakby bał się, że Marta chwyci go za ucho i wyprowadzi z sali.

– A komu niby przeszkadzamy? Widzisz tu kogoś prócz nas?

– Taki jest regulamin – powiedział. – Wisi na ścianie przy wejściu. Idź i przeczytaj. Tak jest napisane. Uprasza się o zachowanie...

– Adres!

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Dobrze się razem bawicie? – znów podniosła głos. – Jestem pewna, że wspaniale.

– Jakiś problem? – spytała bibliotekarka.

Gawron potrząsnął głową, nie patrząc żadnej z nich w oczy.

– Owszem – powiedziała Marta. – Ogromny problem. Ten chłopak ma naprawdę przerąbane.

– Przestań – syknął.

Podniósł się z krzeselka i wyprostował, licząc, że taka pozycja doda mu odwagi, lecz nawet spoglądając na Martę z góry, nie potrafił sprawić, by się zamknęła. No, mógłby jej przytkać usta dłonią, ale co wtedy pomyślałaby o nim piękna bibliotekarka? Od czterech miesięcy budował więź z panią Marzeną – więź niemą, opartą jedynie na przebywaniu w jednym pomieszczeniu, ukradkowych spojrzeń w jej stronę i pobożnych życzeniach. Wierzył jednak, że kropla drąży skałę. A teraz, jeszcze chwila, i ta dziewczyna wszystko zniszczy.

– Chce pani wiedzieć, co zrobił? – spytała Marta. – Jak się...

Nie dokończyła myśli, bo Gawron chwycił ją za rękaw i pociągnął w stronę drzwi.

Deszcz nie przestawał siać. Szli szybko, drząc od coraz silniejszych porywów wiatru. W końcu zatrzymali się przed klatką wieżowca z wielkiej płyty, który – Marta uznała to za osiągnięcie – wyglądał jeszcze obskurniej i bardziej anonimowo niż blok Witka. Chłopak wstukał kod i weszli do środka, a następnie wjechali windą na ósme piętro. Gawron otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do mieszkania.

Gaz łzawiący! Pieprzony gówniarz prysnął mi w oczy gazem! – zapadła ciemność, a Marcie nagle zabrakło tchu.

Po chwili gryzący zapach okazał się dymem tytoniowym, w takim stężeniu, że właściwie nic nie było widać. Jakby ktoś tu cały czas palił i nigdy nie wietrzył. Szczelnie zaciągnięte zasłony zdawały się potwierdzać to przypuszczenie.

Jej wzrok przyzwyczajał się do mroku i zaczynała rozumieć, dlaczego nie wpuszczano tu światła. Wystrój mieszkania pochodził z późnych lat dziewięćdziesiątych i prawdopodobnie wtedy ostatnio ktoś zmył tu naczynia, wyniósł śmieci, odkurzył i wymienił popielniczkę. Jeden rzut oka na kuchnię wystarczył, by Marta zaczęła dziękować Bogu za tytoniowy nałóg lokatorów. Dym śmierdział przeraźliwie, ale była pewna, że nie tak jak zapachy, które maskował.

Minęła tor przeszkód złożony z porzucanych po przedpokoju adidasów, pudełek po pizzy, toreb ze zgniecionymi puszkami po piwie i stosów gazet. W salonie na wielkiej skórzanej kanapie udekorowanej rzeźbionymi głowami koni leżał Kacper i grał na konsoli. Marta chwyciła leżącego na ławie pilota i wyłączyła telewizor.

– Co ona tu robi? – Spojrzał na Gawrona.

– Nie chciała się odczepić.

– Nikt cię nie ściga, prawda? – zaczęła Marta.

– Nie twój interes. – Nie patrzył Marcie w oczy.

– Kurwa, nie mój interes? Ty pieprzony dupku. Twoja dziewczyna jest w cholernej ciąży. Siedzi w moim cholernym pokoju, bo nie ma gdzie iść. Umiera ze strachu, że coś ci się stało.

– W „Implikaturze” tak się nie wyrażasz – wtrącił się Gawron.

– Co?

– Przeczytałaś jakiś słowniczek gwary młodzieżowej czy co? „Pieprzony dupek”? „Cholerna ciąża”?

– „Implikaturze”? – zdziwiła się Marta.

Rozejrzała się po salonie, urządzonego w topornym dworkowo-barokowym stylu lat dziewięćdziesiątych. Masywne skórzane fotele, kolonialny barek na kółkach, czarne krzesła o wysokich

bogato zdobionych oparciach zagraciłyby nawet halę lotniska. Słoczono na kilkunastu metrach kwadratowych przemieniły zwykły pokój w magazyn przebrzmiałych symboli luksusu. Pośród walających się wszędzie puszek po napojach energetycznych, gniazd uwitych z porzrzuconych koszul, skarpetek oraz rodzinnych opakowań chipsów solonych, płatało się całkiem sporo książek i magazynów. Przypomniła sobie sterty makulatury stojące w przedpokoju. To nie były kolorowe pisma z wijącymi się nagimi blondynkami na rozkładówkach. Raczej grube czarno-białe periodyki, wypełnione artykułami w stylu *Mikrotoponimy w ujęciu socjoonomastycznym*.

Marta podejrzewała, że nakład „Implikatury” zniknął z kiosków jedynie dzięki podziwu godnej lojalności przyjaciół autorów. Wielokrotnie zastanawiała się natomiast, czy ktoś w ogóle to czyta. Odpowiedź była oczywista! Syn Witolda Lipki. Krew z jego krwi. Wątpliwość z jego wątpliwości.

– Daj spokój. – Kacper machnął ręką. – Przecież ona i tak...

– Co ja i tak? – spytała Marta.

– Jeśli uznajesz czyjś status społeczny za niesatysfakcjonujący, odbierasz mu symbolicznie wszystkie przymioty intelektualne – powiedział Kacper. – Komunikujesz się z nim za pomocą uboższego, prymitywnego języka. Funkcją ukrytą tego zabiegu jest podkreślenie twojej dominacji, a pośrednio poniżenie partnera dyskusji.

– Że co?

– Sugerujesz – dodał Gawron – że ponieważ nosimy ubrania niekojarzone ze współczesnymi elitami intelektualno-ekonomicznymi, to mamy niskie IQ. I nie czytamy „Implikatury Konwersacyjnej”.

– Odsuść. – Kacper machnął ręką.

– Skończ z tym pobłażaniem. Jak ona nas traktuje? Wchodzi jak do siebie, wyłącza ci grę, próbuje tresować. Jak się podporządkujesz, to pewnie wręczy ci banana.

Kacper zmrużył oczy, zastanawiając się nad słowami Gawrona.

– No, w sumie. „Pieprzony dupek”? Kto tak w ogóle mówi? Dość pretensjonalne, nie?

– Jasne. „Jestem samotnikiem. Wyjętym spod prawa. Nie możesz się ze mną zadawać”. To uważasz za szczyt wyrafinowania?

– To co innego – znów wtrącił się Gawron. – Ironiczna transgresja kulturowa.

– Zostaw nas na chwilę. – Kacper wstał.

Gawron, wyraźnie niezadowolony, opuścił pokój.

– Przesyłam jej pieniądze. – Nerwowym gestem otworzył paczkę chipsów. – Jak tylko coś wykombinuję, to się dzielę.

– Czym ty się w ogóle zajmujesz?

– Kombinuję na razie. Tu i tam. Rozmawiam. Negocjuję. Załatwiam. Daję radę, ale nic pewnego. Co zrobię z dziewczyną i dzieckiem?

– A ona? Co ona ma zrobić? Porzuciłeś ją.

– Nie określiłem się jeszcze. Po prostu.

– To, co zrobiłeś, dość dokładnie cię określa.

– Chipsa? – Wyciągnął paczkę w jej stronę.

Odmówiła.

– Odzywają się wgrane ci przez społeczeństwo kody kulturowe – powiedział, wpychając sobie do ust garść prażynek – które nakazują potępić każdego, kto odstaje od przyjętych schematów?

– Co?

– Wiesz, tak się tylko zastanawiam... Skąd w ludziach imperatyw opieki nad innymi? Czy to wgrane przez ewolucję? Boga? Rodzinę... Krzywisz się? Nie wiem, czy ktoś kiedyś zadawał podobne pytania. No wiesz, pozornie niezwiązane z codziennym doświadczeniem.

Marta westchnęła bardzo, bardzo głęboko.

– Wyobraź sobie, że już mi się to przydarzyło. Na pewno nigdy nie kontaktowałeś się Witkiem?

Kacper wzruszył ramionami.

– Nie chciał mnie widzieć. Nie chciał być ojcem. Może przez to... No, wiesz... Niektórzy się nadają. Ja nie.

– Powiedz to Sabinie. Że ma sobie radzić sama. Że po prostu nie chcesz z nią być. Powiedz jej to, zamiast wymyślać te durne historyjki o ukrywaniu się przed policją.

Kacper wrzucił do ust kolejną partię chipsów. Gryzł je przez chwilę w zamyśleniu.

– Ona nie zrozumie – pokręcił głową – że nie chodzi o nią. To fajna dziewczyna. Dobra, ładna, w porządku. Nie chodzi o nią, tylko o całą sytuację, która na nas spadła. Gdyby to był ktoś inny, zrobiłbym tak samo. I to nie jej wina, nie? Ale ona tak pomyśli.

– Jak?

– Że to przez nią. Po prostu boję się, że potraktuje to wszystko zbyt osobiście.

– Osobiście? Potraktuje osobiście porzucenie przez faceta, z którym będzie miała dziecko?

Kacper przez chwilę wodził oczami po suficie.

– Gdzie mam ją zabrać? U mojej mamy nie ma miejsca. Za dużo dzieci. I ich dzieci. I jacyś dziwni faceci. A tu jej przecież nie przyprowadzę.

– Co to w ogóle za... – Marta wskazała ręką dokoła, gdyż żadne ze słów określających mieszkanie nie nadawało się do opisu tego paskudnego wnętrza.

– To Karola. To znaczy jego rodziców. Ale oni robią w Kanadzie. Karol nie chciał wyjechać, więc przysyłają mu kasę, a on w zamian dba o chatę.

– Przekaż im, że robią interes życia. – Marta pokiwała głową.

Kacper zbył jej uwagę.

– Myślałem, że się jakoś podzielimy tym mieszkaniem po starym i sklepem – zagaił.

– Sklepu raczej nie sprzedamy.

– Raczej nie. Choć cały czas kombinuję, żeby to może wynająć pod jakiś klub czy coś. Jakimś składaczom modeli. Albo dyskutantom.

– Komu? – Marta uznała, że się przesłyszała.

– Dyskutantom. Karol, no wiesz, ten. – Wskazał ręką w stronę drzwi, za którymi płątał się Gawron. – Karol mówi, że można stworzyć płatny sąsiedzki klub dyskusyjny.

– Kto będzie płacił, żeby porozmawiać z sąsiadem?

– Karol uważa, że rząd powinien za wszystkich zapłacić.

– Genialny biznesplan! Trzeba przyznać, że nie marnowałeś czasu na głupoty.

Patrzyła, jak Kacper bierze paczkę i wysypuje sobie resztę chipsów wprost do ust.

– Posłuchaj. Mieszkanie zostało odgrzybione. Trzeba było to zrobić, bo pod tapetą na suficie była pleśń.

– Tapetą na suficie? Czemu ojciec położył tapetę na suficie?

– Żeby przykryć pleśń.

– Ale to przecież całkiem bez sensu. W ogóle cię to nie dziwi?

– Ojciec przez dwadzieścia lat udawał bezdzietnego kawalera. Nie wiem jak tobie, ale mnie to daje pewien obraz jego podejścia do kłopotów. Zresztą nieważne. Mieszkanie jest czyste. Wprowadźcie się tam. Nie musisz mi na razie dawać kasy. Dostałam trochę ostatnio, dam radę. Sklep... może nie będzie tak źle. Jest szansa. Sabina go właśnie odświeża.

– Sabina? Odświeża sklep?

– Zacznie sprzedawać trochę lepsze jedzenie. Prawdziwy chleb. Domowe ciasta.

Kacper spojrzał na siostrę, jakby nie był pewien, czy mówią o tej samej osobie.

– Wielu rzeczy o niej nie wiesz. – Marta patrzyła bratu prosto w oczy. – Tam kiedyś była piekarnia. PALOMA. Nawet myślałam, to śmieszne...

– Szlachetnie z twojej strony, ale...

– Żadnego ale. Spłaciecie mnie, jak będziecie mogli. Albo mnie nie spłaciecie. Potraktuję to jako opłatę za odzyskanie własnego życia.

– Naprawdę spoko z twojej strony. Ale ja... – Obliznął spierzchnięte wargi. Składał i zaginał torebkę po chipsach, jakby pragnął zrobić z niej origami. Nie patrzył Marcie w oczy.

– Nie wiem, jak w to wszystko wdepnąłem. To nie było specjalnie przecież. Ale... po prostu... nigdy nie rozumiałem, jak stary może się tak zachowywać, nie? Nie chceć widzieć mnie, matki, nikogo. Ale kiedy Sabina zrobiła test... całkowity, kurwa mać, paraliż. Nie mogłem się ruszyć, nie mogłem złapać tchu. Jakbym umierał. Nie, nawet nie to. Wolałbym umrzeć niż w tym siedzieć. Zresztą, to dla mnie to samo. I chyba już rozumiem starego, wiesz? Może my to mamy we krwi? Nie nadajemy się do takich rzeczy. Nie wygrasz z genami.

Marta zacisnęła pięści.

– Z genami?! Na pewno stoczyłeś z nimi ciężką walkę. Biedactwo. Jakim cudem udało im się w ogóle wymknąć i przeniknąć do wnętrza Sabiny? Małe dranie!

Starła się, by jej głos brzmiał lodowato, lecz w środku gotowała się z wściekłości. Słowa Kacpra w niewytłumaczalny sposób wytrąciły ją z równowagi. Chciała rzucić się na niego i zrobić mu krzywdę.

– Łatwo ci mówić. Nie jesteś na moim miejscu.

– Serio? Kto odstąpił Sabinie własne łóżko? Podzielił się jedzeniem? Parzy jej ziółka? Sprząta rzygi? Podtrzymuje na duchu? Pomyślmy. Czyżbym to była ja? Kto dał jej...

– Dobra, pojąłem. Zawsze tak moralizujesz?

– Ja moralizuję?

– Chodzi mi o to, że nie musiałaś tego robić, nie? Nikt ci nie kazał.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Kacper podrapał się po głowie i nagle parsknął śmiechem.

– To w sumie śmieszne, nie? Ty nie musisz się nią zajmować, ale się zajmujesz. Ja niby muszę, a... – Zerknął na Martę i na jego twarz natychmiast powróciła powaga. – Masz rację. To wcale nie jest śmieszne, tak naprawdę to w ogóle nie jest śmieszne. Sorry. Czasem coś palnę, ale naprawdę jestem ci wdzięczny.

– Masz rację – odparła. – Nie jestem na twoim miejscu. Gdybym była na twoim miejscu, leżałabym na kanapie, grała na konsoli i odgrywała Jamesa Deana. A tak, muszę tylko powiedzieć bardzo ufnej i bardzo naiwnej dziewczynie, co zrobił chłopak, którego...

– Nie, proszę. Zaczekaj. Przemyślę to jeszcze, co? Tylko popatrz... zabrnąłem już z tym wszystkim... no w chuj daleko.

– No i?

Marta odwróciła się w stronę drzwi i nacisnęła kławkę.

– Poczekaj!

– Na co?

Kacper otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz nagle rozmyślił się i spuścił wzrok. Marta wzruszyła ramionami i wyszła.

– Czekaj! – znów krzyknął, ale nie posłuchała.

W przedpokoju minęła się z Gawronem, który posłał jej wrogie spojrzenie.

– Co jest z tobą? – spytała. Chłopak prychnął z pogardą i znikł w kuchni.

Z ulgą opuściła to zadymione mieszkanie, śmierdzący zsypem korytarz, brudną windę, która zdawała się zjeżdżać w nieskończoność. Już na zewnątrz chciwie łapała mokre, zimne powietrze. A potem ruszyła przed siebie. Nie przejmowała się siąpiącym deszczem ani lodowatym wiatrem. W głowie nadal miała słowa Kacpra, te o krwi i genach.

Martę zaczęły zalewać fale tłumionych emocji, a mózg nie mógł zdecydować, czy klasyfikować je jako triumf, czy porażkę. To wywoływało dziwne odrętwienie. Rozwiązała zagadkę, ale nie mogła niczego naprawić. Oczyszczyła brata z zarzutów, lecz jego alibi okazało się gorsze od przestępstwa. Była rozczarowana tym, co zrobił Kacper. Jednak nie aż tak, jak rozczarowany musiał być Gekon tym, czego Kacper nie zrobił. To dlatego ten świr dał jej chwilę wytchnienia. Kacper zachowywał się naprawdę gówniarsko, z drugiej jednak strony, czy można tak zupełnie przekreślić kogoś, kto czyta „Implikaturę Konwersacyjną”?

Gdy tylko znalazła się w pobliżu Willi Toli, poczuła zapach chleba. Gorące pieczywo uświadomiło jej, jak bardzo jest zziębnięta i mokra. Miała ochotę na jedno: włożyć ręce do misy z ciastem i zagniatą je przez najbliższe godziny.

Sabina najwyraźniej przez cały czas czatowała w oknie, bo nagle pojawiła się przy furtce.

– I co? I co? – pytała zziębnięta. – Jest?

– Potrzebuję gorącej herbaty – mruknęła Marta, minęła dziewczynę i weszła do środka.

– Ale gdzie on jest?

– Przykro mi.

Odwróciła głowę, bo rozczarowanie rysujące się na twarzy dziewczyny było nie do zniesienia.

W środku Sabina chwyciła ją za rękę.

– Czy coś mu się stało?

Marta pokręciła głową. Błądziła wzrokiem po parkiecie. Starła się uporządkować myśli.

– Ktoś mu grozi?

Banda zombie i zgraja krwiożerczych kosmitów. Ale nie martw się, Kacper i jego magiczny miecz zabiją ich wszystkich, chciała odpowiedzieć.

Sabinie należała się prawda. Ale musiała przemyśleć, jak ma jej tę prawdę zaserwować.

– Wszystko jest w porządku. Po prostu powinien się jeszcze trochę poukrywać. Sorry, muszę sobie zrobić herbatę.

– Mówiłaś, że policja go nie ściga.

– Taaak... tylko... no, to znaczy, oni mają bałagan w papierach i muszą to wszystko wyjaśnić.

– Policja nie wie, że nie ściga Kacpra?

Marta oblała się rumieńcem. Jak mogła wymyślić coś tak głupiego? Jak mogła pomyśleć, że Sabina w to uwierzy?

– Co za głupki.

– Herbata – zaczęła Marta. – Muszę... Piekłaś chleb?

– Weź sobie, ile chcesz, z tego odkrojonego. Inne zostaw, bo to do PALOMY. Robert zaraz po mnie przyjedzie.

– Zaczęliście już sprzedawać? – zdziwiła się Marta.

– No co ty. Na razie robimy remont. I dekoracje. I testujemy przepisy. Robimy też degustacje – w głosie Sabiny pojawiła się nutka dumy. – Znajomi Toli wpadają poprobować.

– Do PALOMY?

– Do mieszkania Witka. Mówię ci przecież, w sklepie jest remont.

– Idę z tobą.

Marta wyobrażała sobie, że Sabina i Robert przespacerowali się po sklepach z farbami, sprawdzili terminy ekip remontowych i czekali, aż właścicielka skończy oglądać cholerny serial i podejmie wreszcie jakąś decyzję. Tymczasem oni odkryli w sobie przedsiębiorców i byli w środku remontu. Zrobiło jej się żal. Jakby przegapiła pierwsze kroki własnego dziecka.

– Nie, nie, nie! Masz gościa. Jezu, na śmierć zapomniałam. Chodź! – Sabina pociągnęła Martę w stronę salonu.

Jowita siedziała sztywno na skraju kanapy i jeździła palcem po ekranie tabletu. Nie zauważyła, kiedy weszły.

– Okropnie panią przepraszam – zawołała Sabina. – Naprawdę. Może dolać herbaty? – Zrobiła gest w kierunku białego imbryka z cienkiej porcelany.

– Nie, dziękuję.

– To może jednak skusi się pani na kawałek drożdżowego?

– Dziękuję.

– W takim razie zostawiam pani Martę. No zimno dziś, nie? – dodała Sabina, próbując obciągnąć obcisłą mini, zupełnie jakby liczyła, że dodatkowe dwa centymetry dodadzą błyszczącemu paseczkowi z dodatkiem lycry klasy i elegancji. – W ogóle ostatnio jest jakoś tak. Przynajmniej tutaj. To znaczy w Krakowie. I pada. – Rozejrzała się niepewnie na boki, jakby nie wiedziała, co zrobić z własnym ciałem.

Ludzie tak właśnie reagowali na Jowitę. Jej znakiem firmowym był wyraz twarzy wyrażający nie tyle nawet znudzenie, co bezbrzeżne rozczarowanie otoczeniem. Jakby bardzo chciała przebywać teraz gdzie indziej. Robiąc coś innego. Z kimś bardziej interesującym niż ty. Po minucie w jej towarzystwie ogarniało człowieka potworne poczucie winy i zaczynał analizować własny życiorys. Co poszło nie tak? Rodzice? Edukacja? Gust ubraniowy? Gdzie popełniłem błąd? Dlaczego nie wyrosłem na człowieka, którego Jowita Maj uznałaby za godnego swojego towarzystwa?

– Poczekam na Roberta – Sabina zwróciła się do Marty. – Jeszcze przez chwilę będę na górze. – Wycofując się z salonu, dorzuciła: – I jeśli pani będzie czegoś potrzebowała...

Jowita posłała jej pełen pobjazania uśmiech.

– Słodka – rzuciła bardziej do siebie niż do Marty, gdy tylko dziewczyna opuściła pokój.

– Co ty tu robisz?

– Jak landryneczka. Nie, jak opakowanie landrynek polanych toffi. To ta twoja przyrodnia siostra?

– Dziewczyna mojego brata. Co ty tu...?

– To, co zawsze – westchnęła. – Ratuję twój tyłek.

– Nie prosiłam o pomoc.

Jowita roześmiała się szczerze i głośno.

– Oto cały problem z tobą. Nawet nie to, że ściągasz na swoją głowę kolejne wiadro gówna. Ty nawet nie potrafisz dostrzec, że tkwisz w szambie po uszy.

Tym razem to Marta wzięła głęboki wdech.

– Doceniam twoją gotowość do niesienia bliźnim pomocy. I talent do tworzenia analno-fekalnych metafor. Ale po co przyjechałaś?

– Ta dziewczyna – Jowita wykonała gwałtowny ruch dłonią. – Trzeba coś z nią zrobić.

– Owszem.

– Miałaś się z nią nie pokazywać.

– To trochę trudne, prawda? Skoro mieszkamy razem.

– Ona nie może tu zostać. Rozumiesz? Podpisaliśmy z Andrew umowy ze sponsorami. Zobowiązaliśmy się do reprezentowania ich w ściśle określony sposób. Zobowiązania, wiesz? To takie pojęcie ze świata dorosłych. Chodzi o pieniądze. I reputację. Nie możesz tego zniszczyć. Zbliża się wasz ślub. Musi być tu czysto.

– Nie możesz mi kazać jej wyrzucić.

– Nie, nie mogę. Nawet Andrew nie może. Ale pomyśl. Bieriecie ślub. Rozpoczynacie wspólne życie. Naprawdę chcesz na starcie postąpić tak nielojalnie? W porządku. Masz go teraz w garści. Pewnie się nie wycofa. Ale co będzie za pięć lat? Co będzie, gdy przyjdzie moment kryzysu? Myślisz, że on kiedykolwiek zapomni, że postawiłaś na szali wszystko, na czym mu zależy, dla zupełnie obcej osoby?

Policzki Marty oblała gorąca, jaskrawa czerwień. Poczowała się bezbronna wobec słów Jowity.

– Nie proszę, żebyś zrobiła to dla mnie. Zrób to dla niego. I dla siebie. Chodzi też o twoją wiarygodność. O promocję twojej zasranej książki. Dla ciebie to decydujący moment. Przestań tak cholernie sabotować swoje życie i zacznij działać we własnym interesie.

– Mam ją wyrzucić na bruk?

– Skąd u ciebie ten dramatyczny język. – Jowita się skrzywiła. – Na bruk... to takie... dickensowskie. Oczywiście, nikt ci nie każe wyrzucać jej na bruk. Dlatego przyjechałam.

Sięgnęła po dużą, sztywną torbę z granatowej skóry i wyciągnęła kolorowy folder.

– Załatwiłam jej miejsce w domu samotnej matki. Pod Warszawą. To całkiem miły ośrodek prowadzony przez pewną fundację. Płatny, ale Andrew pokryje koszty za następne miesiące. Nie wiem, jak mu się odwdzięczysz. Siostry się nią zajmą.

– Siostry?

– Zakonne.

Marta potrząsnęła głową.

– Znowu te skojarzenia? – westchnęła Jowita. – Nikt jej tam nie wychłoscze za przedmałżeński numer.

– Sabina się na to nie zgodzi.

– Obawiam się, że nie będzie miała wyjścia.

– Jak mam jej wytłumaczyć, że ma zamieszkać w ośrodku dla samotnych matek, jakby była bezdomna?

– Tam właśnie żyją samotne matki, które są bezdomne. Mogła pomyśleć, zanim zaszła w ciążę. Prawda? Przyzwyczai się, zobaczysz. To naprawdę nic strasznego, może stanie na nogi. Może będzie chciała oddać dziecko to adopcji. Albo nie, kto ją tam wie. Spokojnie się zastanowi. Zrobiłaś już wystarczająco dużo. Naprawdę, więcej nie musisz. Wróć ze mną do Warszawy. Spędzicie te dni z Andrew. Razem. Zacznij myśleć nad kolejną książką.

Jowita dolała sobie herbaty z imbryka i przez chwilę wpatrywała się we wnętrze filiżanki, jakby krył się tam obraz przyszłości.

– Wiele osiągnęłaś, odkąd tu przyjechałaś, prawda? Ale to dopiero początek. Ruchome piaski. Siedzę w tym od lat i widziałam już mnóstwo ludzi takich jak ty. Którzy naprawdę mieli szansę to wszystko sensownie rozkręcić. Chwycić okazję, dobrze się ustawić. Ale czegoś zabrakło. Zmarnowali swoje pięć minut. I kiedy się ocknęli, było już za późno. To rodzi rozgoryczenie, nawet nie wiesz, jak wielkie. A na dłuższą metę życie z rozgoryczoną osobą jest nie do zniesienia. Tak było ze mną i moim mężem. Tak będzie z tobą i Andrew, jeśli sobie odpuścisz, bo on tego nie robi. Nigdy.

Jowita wzięła łyk herbaty, a następnie wstała i podeszła do milczącej Marty. Po raz pierwszy w życiu spojrzała na nią inaczej. Z czymś, co bardzo łaskawy obserwator, do tego w wyjątkowo dobrym nastroju, mógłby, choć z pewnym wahaniem, uznać za życzliwość.

– Jesteś mądrzejsza, niż można by sądzić po tym, co wyprawiasz. Tak naprawdę wcale nie chcesz skończyć jako opiekunka dla zupełnie obcej i dorosłej dziewczyny. Osiedłowa Matka Teresa. Spakuj rzeczy i jedź ze mną do Warszawy.

Jowita zakończyła przemowę nad wyraz spokojnie, nie zdradzając emocji. Tonem kogoś, kto jest przekonany do swoich racji.

Marcie kręciło się w głowie. Była bliska łez. Nagle mocno zatęskniła za przeszłością. Za

wolnością... Chciała wrócić do Warszawy, do narzeczonego. Skupić się na promocji książki i stać się wreszcie tą pełną nonszalancji kobietą ze zdjęć i wywiadów. Kobietą, która imponowała Andrew Bajakowskiemu.

Dotąd robiło się jej słabo już tylko na samą myśl, jak wielkie nadzieje pokładała w niej Sabina. Obawiała się tego samego, co jej ojciec i brat – wzięcia odpowiedzialności za czyjeś życie. Nie nadawała się do tego. Po prostu.

Tyle że było to kompletnie bez znaczenia.

– Dzięki – powiedziała. – Ale zostanę tutaj. Z Sabiną.

– Co?

– Mamy kilka spraw do załatwienia. Ogarnę je do ślubu.

– Jeśli ten twój niezrównoważony adorator wrzuci coś jeszcze do internetu, to ślubu nie będzie. Sponsorzy się wycofają.

W końcu na głos powiedziane zostało to, czego Marta bała się najbardziej. I to nie dlatego że Jowita uciekała się do manipulacji i szantażu. Dlatego że była to prawda.

– Zaryzykuję.

Jowita wróciła na kanapę. Odezwała się dopiero po chwili.

– Myślisz, że ty to ona. I że w ten sposób ratujesz opuszczone dziecko, którym byłaś. Chcesz odzyskać przeszłość. Ale to tak nie działa.

– Nie – szepnęła Marta. – To tak nie działa.

– Ona to ona. Ty to ty. Nie możesz pomóc tamtej dziewczynce. Ale możesz zrobić coś dobrego dla tej dorosłej kobiety, którą jesteś.

– Właśnie robię.

– W jaki sposób?

– Sprzedam ludziom trochę chleba.

Jowita parsknęła śmiechem.

– W tamtej obskurnej budzie? Nie wstydzisz się?

– Nie. To naprawdę dobry chleb – odpowiedziała.

– Gdybyś rozegrała to inaczej, pomyślała, zanim cokolwiek zrobisz, mogłabyś stworzyć jakąś rozpoznawalną markę. Bez całego tego wizerunkowego obciachu. Teraz jest moda na takie rzeczy. Twój pomysł na chleb mógłby się ludziom spodobać.

– Jej chleb im smakuje – powiedział zachrypnięty głos gdzieś z okolic drzwi.

Tola wpatrywała się w Jowitę i Martę wzrokiem sugerującym, że doskonale wie, jak niegrzecznie jest wtrącać się w cudze rozmowy, a jeszcze gorzej podsłuchiwać je ukradkiem. I że ma to gdzieś.

– Smakuje. Więc zdąży się im jeszcze spodobać.

– To nie jest takie proste. – Jowita nie wyglądała na zbitą z tropu.

– Bardzo proste – odrzekła Tola. – Mąka, woda, trochę zakwasu, sól.

– Najpierw trzeba wykreować markę.

– Ta marka jest na rynku od jakichś... mhm, dziesięciu tysięcy lat. Nie znam się na tych sprawach, ale

wydaje mi się, że nie jest to źle, jak na markę.

Jowita zaprezentowała Toli uśmiech z rodzaju tych zarezerwowanych dla cudzych dzieci, które przerywają rozmowy dorosłych, by wyrecytować przedszkolną wyliczankę. Westchnęła i spojrzała na Martę.

– Jak chcesz – Sięgnęła po leżącą na kanapie torebkę. – Pamiętaj, że cię ostrzegałam.

– Idziesz sobie? Tak po prostu? – Marta nie kryła zaskoczenia.

– A jak inaczej sobie to wyobrażasz? Myślisz, że będę cię błagać?

Marcie bardzo trudno było wyobrazić sobie Jowitę błagającą kogokolwiek o cokolwiek. Przez cały czas była przekonana, że wynik gry jest z góry przesądzony. Ona nie ruszy się stąd, póki nie dostanie tego, po co przyjechała. Zaraz wyciągnie jakiegoś asa z rękawa.

Marta patrzyła na Jowitę, która wyszła bez słowa pożegnania.

I to tyle? Odmówiłam. Jowita przyjęła to do wiadomości. I nic? Niebiosa się nie rozstały, nikt nie padł trupem, język mi nie odpadł? – myślała.

Przypomniała sobie poranek po pierwszym w życiu seksie i całkowite zdumienie, że świat pozostał taki sam.

Tola świdrowała Martę wzrokiem.

– Zrób mi coś do jedzenia – powiedziała po chwili. – A potem jedź do PALOMY.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

– Zostaw drzwi otwarte, bo się podusimy – powiedział Robert.

Stał w białych roboczych ogrodniczkach, a w ręku trzymał dwie rolki przezroczystej folii kuchennej. Pachniało pyłem i remontem.

– Pomóż mi to przykleić. – Głową wskazał Marcie zabrudzone okno. – Znowu odpadło. Coś jest nie tak z tą cholerną taśmą.

Ostrożnie stawiała kroki, bo również podłoga sklepu została wyłożona folią spożywczą, przez co niemiłosiernie lepiła się do butów. Na szczęście porozrzucane płachty starych gazet tworzyły archipelag wysepek i Marcie udało się przejść, przeskakując z jednej na drugą. Robert odciął kilka długich pasek taśmy PCV i zaczął rozwijać folię. Pierwszy pasek zakrył tylko niewielką część okna.

– Jesteś pewien, że tak to powinno wyglądać?

– Trzeba zabezpieczyć folią – powiedział tonem znawcy, zmęczonego tłumaczeniem laikom najprostszycy zagadnień. – Inaczej się nie zmyje. A teraz przytrzymaj.

– Dużo czasu spędzasz, patrząc w niebo, prawda? I czytając o niebie... I budując różne modele.

– Co masz na myśli? – Robert przykleił kolejny pasek folii do okna, przyklepując go nieco. Marta naciągała kolejny kawałek.

– Nic. Absolutnie nic. Jestem ci wdzięczna. Nawet nie wiesz jak. Za wszystko, co zrobiłeś. I w ogóle.

– Czy ta rozmowa dokądś zmierza?

– No więc niesamowicie wdzięczna. Ogromnie. Ale czy na pewno w tych poradnikach chodziło o taką folię?

Rozejrzał się dokoła. A potem zmrużył oczy. Wzruszył ramionami.

– Andrew mówił, że lubisz dzielić włos na czworo.

– Co?

– Gdybyśmy się tak nad wszystkim zastanawiali, to wiesz, gdzie byśmy teraz byli?

– W sklepie zabezpieczonym folią budowlaną?

– Nigdzie. Dalej myślelibyśmy nad głupimi szczegółami. Tak nie można. Mamy to, co mamy. I już. Folia to folia. A teraz włóż fartuch. – Wręczył Marcie coś, co przypominało szpitalny kitel w rozmiarze Luciana Pavarottiego i żółty wałek do malowania. – Ściana wyschła. Jedziemy z farbą.

Kuweta wypełniona była jakimś lazurowym odcieniem, który przywodził na myśl pokoje małych chłopców.

– Co to za kolor? – Marta się skrzywiła.

– Sabina uznała, że tak będzie romantycznie. I klimatycznie. I jeszcze jakoś. Poza tym dzwonił Andrew. Mówił, że wracasz z Jowitą do Warszawy.

– Jak widzisz, nie tak łatwo się mnie pozbyć.

– Myślałem, że zwinięsz się stąd przy pierwszej okazji.

– Musiałabym odesłać Sabinę do domu samotnej matki.

– Andrew tak powiedział?

Marta się roześmiała.

– Och, Andrew jest zbyt uroczy, żeby mówić takie rzeczy. Dlatego przysłał Jowitę.

Przez chwilę, zbyt długą chwilę, patrzyli sobie w oczy. Marta pierwsza odwróciła wzrok.

– A to co? – Wskazała na małe paczuszki i woreczki w neonowych kolorach leżące w kącie i przykryte warstwą folii.

– Do deku... no, do ozdób, Sabina nie miała jak tego zabrać.

– Dekupażu? Gdzie ona jest?

– W mieszkaniu. Robi te ozdoby. Chodzi jak nakręcona. Ciągłe zamawia nowe materiały, a potem tam dłubie. Nie śpi po nocach. Tylko wypróbować nowe przepisy na chleb i lepi te swoje pudełeczka.

– Po co?

– Mówi, że musi tu być swojsko. Ale i pięknie. To podobno podstawa interesu.

Chciała to jakoś skomentować. Jednak po raz kolejny kompetencje językowe Marty okazywały się dalece niewystarczające wobec fajerwerków wyobraźni Sabiny.

– Idź do niej. Sama zobaczysz.

– Nie wiem, jak mam jej powiedzieć.

– Powiedzieć co?

Marta otworzyła usta i na chwilę zastygła, jakby rozważała, czy to dobry ruch, czy może jednak powinna się zamknąć. A potem wyrzuciła z siebie wszystko – o Sabinie, Gekonie, Kacprze, policji, ucieczce i zagraconym mieszkaniu.

Mówiła i mówiła. Potok słów i chaotycznych gestów płynął, mieszając ze sobą dygresje, wspomnienia i emocje.

Robert po prostu słuchał. Próbował zrozumieć, co się w istocie wydarzyło. Nie przerywał Marcie. O nic nie dopytywał.

– Więc sam rozumiesz – powiedziała – że pęknie jej serce.

– Przynajmniej masz z głowy Gekona.

– Może na chwilę.

– Potrzebujesz chwili, prawda? – nieco zamyślonym tonem zapytał Robert. – I już cię tu nie będzie.

Marta rozejrzała się po wnętrzu.

– Czy to wszystko wypali? Kto zajmie się dzieckiem?

– Znowu to robisz. – Pokręcił głową. – Skup się na cholernym malowaniu. Wszystko się ułoży.

– Skąd ta pewność?

– Sabina ma ciekawą teorię. Mówi, że nieważne, jak skomplikowany jest wzór. Jeśli posiedzisz nad nim wystarczająco długo, w końcu wszystkie diamenty trafią na swoje miejsce.

– Miała na myśli tipsy, nie wszechświat – skrzywiła się Marta.

– Ale to i tak ciekawe. – Przyglądał się sufitowi, jakby układał w głowie jakiś plan.

Marta poczuła się jednak absurdalnie zazdrosna. Robert i Sabina spędzili ze sobą cały ten czas, kiedy ona oglądała *Przyjaciół*. Wyprzedali towar, zaczęli remont, a teraz on ją cytuje!

Może te zakonnice nie są wcale takie złe. Może Jowita jeszcze zawróci.

Zawstydziła się. Przecież kocha Andrew. A Robert jest wolnym człowiekiem. Jeśli chce latać za nastoletnimi matkami i cytować pisma o paznokciach, to nic jej to nie obchodzi. Nic a nic. To znaczy, rzecz jasna, do Roberta dużo bardziej pasowałby ktoś bardziej... bardziej jak Marta, lecz bynajmniej nie zamierzała się wtrącać.

Pierdolone diamenty! – rzuciła w myślach.

– O wilku mowa – powiedział Robert.

Sabina drobiła w ich stronę w żółtych szpilkach, kryjąc się przed deszczem pod parasolem w delfiny.

– Zostaw drzwi otwarte – zawołał Robert.

– Wiem, wiem. Bo się podusimy. Och, jesteś wreszcie – ucieszyła się na widok Marty. – I jak ci się podoba? Szczerze!

– Musimy porozmawiać. Może pójdziemy do mieszkania?

– Przecież gadamy. Nie lubię, jak ludzie mówią: musimy porozmawiać. To takie, no wiesz, złowieszcze – roześmiała się beztrosko. – Jakby chcieli zaraz powiedzieć coś przykrego. Po co straszyć. Ty przecież nie... – Sabina wpatrywała się w twarz Marty. Czekwała na zaprzeczenia, lecz opuściła tylko wzrok. – Czyli jednak stało się coś złego. Coś z Kacprem?

Marta spojrzała najpierw na Roberta, szukając u niego wsparcia.

– Kacper... – zaczęła Marta. Wzięła głęboki wdech i odwróciła się w stronę drzwi, by nie patrzeć Sabinie w oczy. Mżawka i ciemne chmury wypełniały całą przestrzeń. Sabina odruchowo skrzyżowała ramiona w obronnym geście. – Chodzi o to, że Kacper...

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Idzie do więzienia – wyszeptała Sabina.

– Kacper... – Marta potrząsnęła głową. Starła się oszlifować z okrucieństwa to, co miała do powiedzenia. Nagle zauważyła, że ktoś zbliża się do sklepu – ...idzie tutaj – Marta rzuciła ledwo słyszalnie.

– Co?

– Kacper idzie tutaj – powiedziała już głośniej. Robert i Sabina też odwrócili się w kierunku drzwi.

Szedł niepewnym krokiem, rozglądał się na boki. Nawet gdy wszedł do PALOMY, nie oddalił się od drzwi, jakby podejrzewał, że zaraz będzie musiał uciekać.

Sabina oniemiała.

Kacper kręcił się nerwowo, przestępował z nogi na nogę, patrzył to na nich, to na podłogę, przetykał ślinę i brał głębokie wdechy.

– Wiem, jak to wyszło – wymamrotał w końcu. – Pewnie nie chcesz mnie znać. Nie dziwię ci się. Ja po prostu... po prostu... nie... i to nie było tak, żeby sobie z ciebie jaja robić. Nie myśl tak. Samo jakoś... A potem to już, no wiem, chujowo trochę to wyszło. W sumie nawet nie trochę, tylko tak jakby bardzo. Ale chociaż dostawałaś kasę. Wszystko, co udało się skołować. – Zawiesił się i znów zaczął się wiercić. Przygryzał dolną wargę. Tak mocno, że wszystkim zdawało się, że ją za chwilę odgryzie i wypluje.

– No dobra, kupiłem sobie *Wiedźmina*. Ale na spólkę.

– No to wzięło go na szczerłość – mruknęła Marta.

– O czym ty mówisz? – Sabina wpatrywała się, nic nie rozumiejąc.

– Och, najważniejsze, że jest cały i zdrowy – Marta machnęła ręką. Podeszła do brata i klepnęła go w ramię.

– Okłamywałeś mnie? – Sabina objęła brzuch, jakby szykowała się do obrony przed ciosem.

– I w ogóle wszyscy jesteśmy tacy zdrowi. A zdrowie jest najważniejsze, ale to można docenić dopiero, gdy człowiek zachoruje – mówiła Marta, rzucając Robertowi spojrzenia pełne błagań o wsparcie.

– Co tu się dzieje?! – krzyknęła Sabina.

Kacper wzruszył ramionami.

– Ja, eee, z tą policją, nikt mnie tak naprawdę... – zaczął, lecz przerwał mu głos siostry.

– On tak się tylko wygłupia. Nie słuchaj go. Poza tym, dokąd zajdziemy, gdy zaczniemy wnikać w te wszystkie szczegóły? Wyjaśnicie to sobie kiedy indziej. Mamy tu robotę...

Kacper po raz pierwszy rozejrzał się po wnętrzu PALOMY.

– Folia kuchenna? Serio? Kto wpadł...

– To czepialstwo jest u was rodzinne – stwierdził Robert.

– Ja się nie czepiam, tylko się zastanawiam.

Robert chrząknął.

– Mamy tu robotę. Jeśli chcemy się z tym wyrobić przed zmierzchem, to tam są wałki – powiedział do Kacpra.

Chłopak zerknął na malarskie akcesoria, a potem podszedł do drzwi. Przez chwilę się wahał, aż wreszcie westchnął i podszedł do narzędzi.

– Ale... – zaczęła Sabina.

– Coś jest nie tak ze ścianami. Sabina, jak myślisz? Wyglądają jakoś dziwnie – wtrąciła się Marta, krytycznie przyglądając się pomieszczeniu.

– To gładź – powiedziała nastolatka. – Robert wczoraj wygładził ściany, żeby nie było nierówności.

– Ale na nich i tak nie było nierówności. Teraz są.

– Cóż, Robert nie jest przecież takim prawdziwym fachowcem.

– Wczoraj mówiłaś, że nikt nie zrobi tego lepiej ode mnie – odezwał się Robert.

– No jasne. Wkładasz w to serce. A człowiek z sercem więcej dla nas znaczy niż najlepszy fachowiec.

– Jak na to wpadłaś?

– Wygoogłałam cenniki fachowców. Poza tym to nawet lepiej, że będzie tak nierówno, nie?

Miny wszystkich sugerowały, że nie nadążają za tokiem rozumowania Sabiny.

– No przecież, jak pieczemy chleby, czy robimy makaron, to też nie mogą być zbyt równe. Bo ludzie pomyśleliby od razu, że to z maszyny. A to piekarnia z duszą i wszystko musi być z duszą, nie?

– Nie! – krzyknęła Marta. Wyobrażała sobie piekarnię w minimalistycznym, nowojorskim stylu. Albo skandynawskim. Śnieżnobiałe ściany, jasne drewno, dopracowane detale. Sabina zaś wprowadzała tu

słodko--krzykliwy gust i słabość do tandety. Lazurowe, nierówne ściany? Sielskość? Dekupaże? Martę skręcało na myśl o takim wystroju. Nie mogła przecież pozwolić, by ta dziewczyna bez krztyny gustu urządziła jej PALOME.

Jej PALOME?

To Sabina będzie stawać dzień w dzień o świcie i wypiekać, a potem sprzedawać chleby i ciasta. Ta myśl była dziwnie bolesna, ale nie mogła jej zaprzeczyć.

– Sorry – powiedziała Marta. – Zamyśliłam się. Idź z Robertem do mieszkania i przynieście trochę tych ozdób – rozkazała. – Zobaczymy, czy pasują.

– Teraz?

– Oczywiście. Jeszcze się okaże, że odcień farby nie pasuje czy coś.

– Czemu się wtrącasz? Wiesz, ile kosztowało mnie przyjście tutaj...

– Mówiłeś, że nie możesz podjąć decyzji, czy lepiej powiedzieć prawdę, czy się zamknąć.

– To taki trochę tragiczny wybór. I nikt nie wie, jak go roz...

– Ja go rozwiążę. Zamknij się.

– Co?!

– Po prostu się zamknij. Wymyśl dobrą wymówkę. Może policja miała bałagan w papierach. A może umorzyli śledztwo. Cokolwiek.

– Dla ciebie to takie proste? Nie masz wątpliwości?

– Skupcie się na tym, co przed wami.

– Skąd wiesz, co jest dobre, a co złe?

– Nie obchodzi mnie to. Obchodzi mnie za to Sabina.

– I ma nie poznać prawdy, bo?

– Bo potraktuje to zbyt osobiście. Nie znasz jej? – Marta przewróciła oczami. – A teraz pomóż mi z tą ścianą.

Kacper milczał. Zamoczył wałek w gęstej lazurowej farbie, a potem stanął na taborecie i zaczął malować sufit.

– Czy ja się nadaję na ojca?

– Nie myśl o tym za dużo.

– To byłoby trudne. Poza tym...

– Pozwól, żeby rzeczy się działy. Poza tym, nie wychodź poza linię, dobrze?

Kacper rozejrzał się po wnętrzu.

– PALOMA. Czemu PALOMA? W ogóle go nie znałem. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście był moim ojcem. Matka tak twierdzi, ale sam już nie wiem, w co wierzyć.

Marta rzuciła mu tkliwe, przepełnione litością spojrzenie.

– Tego jednego możesz być absolutnie pewien.

– Skąd wiesz?

– Zaufaj mi.

– Mówisz, jakbyś się na wszystkim znała. Może masz jakiś magiczny patent na bycie idealnym ojcem?

Marta zastanawiała się przez chwilę.

– Pozwól, żeby to Sabina opowiadała dziecku bajki na dobranoc.

Poniedziałek.

Robert przywiózł Tolę do PALOMY. Marta kończyła właśnie odkurzać zaplecze.

– Świetnie! Właśnie miałam ochotę na kawę! – ucieszyła się.

– Jesteś sama? – spytał Robert.

– Sabina z Kacprem siedzą w mieszkaniu. Przygotowują jeszcze kilka ozdób.

– Jeszcze kilka?! – krzyknęła Tola. Marta zawsze myślała, że na staruszce nic nie jest w stanie zrobić wrażenia. Myliła się.

PALOMA przeobraziła się w chłopską chatę: pękata dzieża, kołowrotek, kamienne żarna i krzesiwo sugerowały życie proste, surowe (i dość swobodne podejście do chronologii dziejów). Chłop ten musiał mieć jednak diabelnie dużo wolnego czasu. Z nudów szył więc zasłonki z tkanin w biało-różową pepitkę, lepiał aniołki z masy solnej, rzeźbił winorośle w nogach taboretów, złocił pudełka, posypywał brokatem plecionki z zasuszonych róż, wieszał kompozycje z ozdobnych lusterek. Każde ułożone pod ścianą polano drewna przewiązywał wstążką z niebieskiego tiulu. Wyhaftował bukiety na każdej ścierce, szmatce, obrusie, która wpadła mu w ręce.

Resztę rzeczy pomalował. Proste regały, ladę, kredens, butelki, podkładki, talerzyki, świeczki, lampki, stołki, skrzynie i pudełka – nie oszczędził niczego. Jakaś tajemnicza siła kazała mu upiększać to przaśne wnętrze rysunkami polnych kwiatów, serc, motyli i małych dziewczynek. Nic jednak nie mogło wytłumaczyć trzech obrazków wiszących nad ladą, które przedstawiały kolejno: muffinki z kremem i posypką, filiżanki z parującym cappuccino oraz misy ananasów.

Marta śledziła każdy ruch Toli i czekała na jej komentarz. Staruszka rozglądała się powoli, szczególnie lustrując każdy kąt.

– Sabina wypieka naprawdę dobry chleb – rzekła z pewnym wahaniem. – Nawet to mu nie zaszkodzi.

Czwartek.

Marta postanowiła zrobić sobie przerwę i powylegiwać się do południa, słuchając radiowej audycji z udziałem Andrew.

Stawiała właśnie przy łóżku kubek z gorącą herbatą, gdy zadzwonił telefon.

– Jedziemy na zakupy? Pomożesz mi wybrać sukienkę? – zapytała Sabina.

– Ja?

Zgodziła się, bo zżerała ją ciekawość, skąd dziewczyna bierze swoje ubrania. Takich fasonów nie widywało się w galeriach handlowych. Podejrzewała hurtownie z akcesoriami dla łyżwiarek figurowych albo jeden z tych internetowych sklepów, które rozsyłają towar w nieoznaczonych paczkach, a jako gratis dodają szpicrutę i kajdanki.

Do spotkania w sklepie przy Długiej została jeszcze ponad godzina. Postanowiła się przejść. Podpięła słuchawki do telefonu i nastawiła radio. Spacerowała w lekkim deszczu, słuchając, jak jej narzeczony opowiada o akcji „Ślub za euro” i podsumowuje swój telewizyjny program. Prowadzący poprosił o wymienienie największych grzechów przeciw stylowi. „Za dużo pompy. Za dużo dosłowności” –

mówił Andrew.

Gdy dotarła pod wskazany adres, ze zdumieniem odkryła, że stoi przed salonem sukien ślubnych. W jego drzwiach stanęła matka Sabiny.

– Właśnie mierzy. – Gestem zaprosiła ją do środka. – To chwilę potrwa. – Kochana – zwróciła się do młodej ekspedientki – zrób pani kawę, ale nie za mocną. I osłódź ze dwie łyżeczki. I nie pożałuj śmietanki. Patrz, jakie to chucherko, brzucha jeszcze zero, zagłodzi to dziecko.

– Ale ja nie jestem w ciąży – broniła się Marta.

Pani Eliza zmarszczyła brwi, jakby coś tu się nie zgadzało.

– Nie wychodzisz w sobotę za męża?

– Wychodzę.

– Tak bez powodu?

Marta nie zdążyła odpowiedzieć, bo zza białej kotary wyszła Sabina.

– Czyż nie wygląda jak księżniczka? – pisnęła z zachwyty Eliza.

Trudno było jednoznacznie zaprzeczyć. Z pewnością istnieją ludzie, którzy w ten właśnie sposób wyobrażają sobie księżniczki. Na przezroczystą górę naszyto dwa kółka z perełek, w tym samym stopniu przysłaniające piersi, co wykrzykujące: „Tu jesteśmy!”. Rolę spódnicy pełniły fragmenty postrzępionego tiulu różnej długości.

Sabina nie kryła ekscytacji.

– I jak? Jak?

– Brak mi słów. – Marta wyobraziła sobie minę Andrew, gdyby teraz tu był. – Nie mogę w to uwierzyć. Tak szybko się zdecydowaliście. Bałam się, że Kacper się nie nadaje do poważnych związków, a dziś jesteście już zaręczeni.

– Eee, jeszcze się nie zdecydowaliśmy – bąknęła trochę zmieszana Sabina. – Mieszkamy razem od kilku dni i jeszcze...

– Właśnie – wtrąciła Eliza. – Trzeba dać ludziom czas. Nie nalegać na ślub po kilku dniach. Trzeba odczekać co najmniej dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie?! – zdziwiła się Marta.

– Co najmniej dwa – podkreśliła Eliza. – W tych sprawach jestem bardzo staroświecka. Dziewczyna musi się szanować. Bo inaczej przypomina desperatkę. A kto by się chciał żenić z desperatką?

– Więc nie ustaliliście jeszcze daty? – Marta zapytała wprost. Zaczęła podejrzewać, kto zaplanował dzisiejsze przymiarki.

– W ogóle o tym nie gadaliśmy. – Sabina wzruszyła ramionami. Spojrzała na sukienkę z melancholią, jakby wizja ślubu rozplynęła się w jednej chwili. – Potrzebujemy czasu – powiedziała, patrząc matce w oczy.

– Ależ oczywiście – przytaknęła gorliwie Eliza. – Ja nie naciskam. To okropne tak naciskać. Ale gdybyście się tak zdecydowali do końca października, to zwolnił się termin przed sylwestrem w tym domu weselnym, tej siostrzenicy Koziółkowej. A wiesz, jak trudno teraz z terminami.

– Na pewno ktoś go szybko zajmie.

– Ja go zajęłam.

– Co?

– Wpłaciłam zaliczkę.

– Ale my przecież...

– Trudno. Najwyżej przepadnie. Kto by się przejmował, że matka wyłożyła tysiąc pięćset. Matce pieniądze na drzewach rosną.

– Ale...

– No, mówię ci, nie przejmuj się. Nie naciskam. Zrobicie, jak uważacie.

– Przecież to i tak bez sensu. Nikt nic nie wie, nie ma zespołu...

– Za muzyków też dałam zaliczkę. No, nie wywracaj tak oczami. Co to za wesele bez tańców? Bardzo dobra grupa – Miłośnicy się nazywają. Koziółkowa mówiła, że nie piją dużo i grają do białego rana. Kolejny tysiąc w plecy, ale co zrobić, jak dzieci takie niezdecydowane.

– A zaproszenia?

– Kto ma wiedzieć, ten wie. Podzwoniłam, gdzie trzeba. Trudno, najwyżej odwołam. Przecież się wam wtrącać nie będę. To matka będzie przed ludźmi świecić oczami, nie ty. Ale kto by się przejmował, że matka się wstydu naje.

– Ale Kacper...

– No chyba znajdzie parę godzin, nie? Taki zajęty to chyba nie jest, żeby nie wpaść na własne wesele? Niech zaprosi, kogo chce. Byle się zmieścili przy trzech stołach. Na dziesięć osób.

Z zaplecza wyszła ekspedientka z kawą.

– I jak przymiarki?

– Właśnie! – Eliza klasnęła w dłonie. – Dość tego. Idź jeszcze przymierz tamtą z pikowanym dołem. I zdecyduj się wreszcie na którąś, dziewczyno, bo ja ci się wtrącać nie będę. Tylko wpłacę zaliczkę.

– Taka matka to skarb – westchnęła sprzedawczyni. – Większość chce zawsze o wszystkim decydować.

– Nawet mi nie mów, kochana – westchnęła pani Eliza. – Mam taką sąsiadkę, nie żebym obgadywała, bo się brzydzę czymś takim. Ale ta Sosnowska... Co ten syn z nią przeszedł, to jeden Pan Bóg wie... Sabina, czemu stoisz jak ciele? No idź do przymierzalni. Nie mam całego dnia, po piątej idę się targować z fotografem... I syn tej Sosnowskiej w Anglii teraz siedzi i wcale mu się nie dziwię. Bo jak mi by się tak matka wtrącała, to też bym wypruła z domu na drugi koniec świata.

– A ty, dziecko? – zwróciła się do Marty. – Jaką masz sukienkę?

– Właściwie to nie mam sukienki. Takiej ślubnej.

– Jak to?

– To tylko podpisanie papierów w urzędzie. Naprawdę nic wielkiego...

– A wesele?

Marta zaprzeczyła ruchem głowy.

– Przecież twój narzeczony w telewizji robi, i nie będzie wesela? Czemu nic nie mówisz?

– Bo właściwie pani nie znam.

– Co z tego? Niedługo będziemy rodziną. A ja jestem bardzo rodzinną osobą.

– Sabina wspominała.

Pani Eliza podrapała się po głowie.

– Nie myśl, że nam się przelewa. I że pieniądze to z drzew zrywamy. Ale, Bogu dzięki, jest co jeszcze do garnka włożyć. Wybierz sobie coś. Ja ci zapłacę.

– Naprawdę nie chodzi o pieniądze.

– A nuż ci coś wpadnie w oko. Miejże choć sukienkę, jak nawet wesela nie masz.

– Dziękuję, ale...

– Mówię ci, będziemy rodziną.

– Nie o to chodzi.

– Właśnie o to. Nie żebym się chwaliła, ale u siebie jestem kimś. Całe życie na świeczniku. Co powiedzą, jak mnie ktoś z tobą połączy? Cegiełkowa to dom wyremontowała, samochód zmieniła, a jej rodzina... jak dziady ostatnie... Ani wesela, ani sukienki?!

– Nikt nas nie połączy – rzekła uspokajająco Marta.

– Już nas łączą – westchnęła Eliza. – Przecież im powiedziałam.

– Ale jak to?

– A co mam przed ludźmi ukrywać, że mam rodzinę w telewizji? Sekrety jakież robić. Weź, co chcesz, i przymierz.

Marta zastanowiła się przez chwilę. Mogła ściągać warstwy wilgotnych od deszczu swetrów i koszulek, niszcząc sobie fryzurę, następnie zsuwać rurki, rozwiązywać buty i zakładać ciężką suknię, której i tak nie miała zamiaru kupić, albo jeszcze chwilę pogawędzić z panią Elizą.

– To ja coś zmierzę – zdecydowała.

Upiła kilka łyków kawy i podeszła do wieszaków. Wzięła pięć sukienek, które jej się spodobały, i poszła do przymierzalni. Włożyła pierwszą z brzegu i wetknęła słuchawkę do ucha. Andrew wciąż opowiadał.

„Ale nie to jest chyba najgorsze. Mnie, gdybym miał wymienić tylko jeden grzech, najbardziej razi zbytnia perfekcja. Przekonanie, że wszystko musi być wymuskane, idealne. Zbyt dobrze dopasowane. Wiesz, o co mi chodzi. Kolory przewodnie na weselach. Wszystko musi się zgrywać. Bucik i torebka z tego samego materiału. Krawat pana młodego pod kolor bukietu żony. Na co dzień też tak robicie. Zero luzu. Zawsze mówię: ubierz się ładnie. Z klasą. Casualowo albo sztywnie, jeśli chcesz. Ale miej zawsze choć jeden element niepasujący do reszty. Starą torebkę. Ekscentryczne okulary. Buty w szokującym kolorze. Coś, co pozwoli ci pokazać światu: to ja ustalam zasady. Sam decyduję, co wypada. Co do mnie pasuje, a co nie. Naprawdę, nic tak dobrze nie wieńczy pięknej stylizacji, jak niepasująca apaszka, a...”

– No pokaż się wreszcie – Sabina zaczęła ją ponaglać.

Marta wyszła z kabiny w sukni na jedno ramię w odcieniu pudrowego różu. Nie pasował jej ani fason, ani kolor, lecz zaskoczyło ją, jak dobrze się bawiła, mierząc ją.

– No, no! Może jednak przekonasz Andrew – zachęcała Sabina, która miała na sobie wielką pikowaną spódnicę przypominającą kanapę Chesterfield, a do tego górę pełną sznureczków.

– Ta albo żadna – powiedziała zdecydowanym głosem Sabina, poprawiając dekolt swojej sukni. – Zawsze marzyłam o czymś takim.

Marta pokiwała tylko głową.

Marta nie знаła nikogo oprócz Sabiny, w każdym razie nikogo przy zdrowych zmysłach, kto założyłby coś takiego na własny ślub.

I nagle poczuła, jak strasznie jej zazdrości.

Bo mogła wybrać. Decyzja należała do niej.

– Jesteś pewna? – Eliza obrzuciła córkę krytycznym spojrzeniem. – Taki jakiś matowy ten materiał, co nie?

Przynajmniej w pewnym sensie należała do niej.

Piątek.

Po południu kurier przyniósł książkę Marty. W każdym razie tak głosiło nazwisko na okładce. Redaktor kreatywny wyrzucił dwie trzecie objętości, zmienił tytuł, miejsce akcji oraz bohaterów, lecz pachnący świeżym drukiem egzemplarz obwieszczał, że jedynym autorem dzieła jest Marta Lipka.

Przez chwilę wazyła książkę w dłoniach. Andrew miał rację: trzeba wreszcie przestać dzielić włos na czworo. Marzyła o wydaniu powieści? I proszę, w poniedziałek rano jej powieść trafi do kiosków i saloników prasowych. Stworzyła coś na tyle interesującego, że obcy ludzie (no, powiedzmy), zapragnęli to natychmiast wydać (czy zawsze trzeba wdawać się w szczegóły?).

W myślach odczytywała nazwisko.

Marta Lipka.

Marta Lipka.

Marta...

– Dlaczego powtarzasz swoje nazwisko? – spytał Robert. Jej myśli okazały się mniej bezgłośnie, niż sądziła.

– *Tajemnica zabójstwa Dagny Przybyszewskiej?* – zdziwił się. W ręku trzymał tortownicę z wyrośniętym biszkoptem.

– Mówiłam ci, trochę to pozmieniali. Co to za biszkopt? Do degustacji?

Pokręcił głową.

– Sabina odwołała wszystkie dzisiejsze degustacje. Przygotowuje ci jedzenie na wesele.

– Ja nie mam wesela! Andrew nie zgadza się na żadne...

– No dobrze. Przygotowuje ci uroczyste, odświętne przyjęcie poślubne. Które nie jest weselem.

– Nie wiem, czy w ogóle tu wpadniemy. To zależy od Andrew.

– Nie pożegnasz się nawet?

Przygryzła wargi. Spojrzała na garnek z czerwonym winem do marynaty, w którym moczyły się gałązki tymianku, igiełki rozmarynu, kuleczki ziela angielskiego i jałowca. Oczy zaczęły się jej niebezpiecznie szklić. Robert to zauważył.

– Książka, ślub, Nowy Jork – powiedział z uznaniem. – Teraz powinnaś wydać poradnik *Jak spełnić wszystkie marzenia w weekend*. Rozbiłaś bank!

Marta uśmiechnęła się zdawkowo.

– A mówiłaś, że to miasto przynosi ci pecha – dodał.

– Podejrzewam podstęp. Do jutra pozostało trochę czasu. Wszystko może się rozlecieć.

– To twoja ostanía noc tutaj. My, krakowianie, mamy gest. Proś, o co chcesz.

Najbardziej chciałyby się porządnie wyspać. Przez ostatnie dni zapadała tylko w krótkie, płytkie drzemki. Dziś obudziła się o trzeciej nad ranem i po bezowocnych próbach ponownego zaśnięcia zeszła do kuchni i zagniotła chleb. Robert miał rację. Powinna jakoś sensownie wykorzystać ostatni dzień w Krakowie. Chętnie zjadłaby kolację w pewnej francuskiej restauracji albo poszła do teatru, który nie miał w nazwie słowa „amatorski”. Kusiło ją też kilka kawiarni, przechadzka po rynku, frytki na Kazimierzu, spacer po Podgórzu, małe kino.

– Weźmy wino i jedźmy do PALOMY – zdecydowała.

– Zamówię taksówkę. – O nic nie pytając, Robert wszedł z komórką na piętro. Nie chciał obudzić drzemiącej w fotelu Toli. Marta poczuła się absurdalnie opuszczona.

Choć żadne z nich nie powiedziało tego głośno, stało się jasne, że nie zdołają wrócić do codziennej zażyłości, jaka ich łączyła, zanim Marta przyjechała na pogrzeb Witka. Wszystko zaszło odrobinę za daleko. Rzecz jasna, obejdzie się bez dramatycznych gestów – po prostu ich internetowe rozmowy będą coraz rzadsze, coraz bardziej zdawkowe. A potem ograniczą się do serdecznych pozdrowień z okazji świąt i urodzin. To się po prostu stanie.

Zszedł piętnaście minut później, ubrany we flanelowy garnitur, ten z ich wspólnej sesji na krakowskim rynku. Na nogach lśniły wypastowane oksfordy. Sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Uśmiechnęła się do niego, a Robert odwzajemnił uśmiech.

Gdy dojechali na miejsce, było już ciemno. Martę zaskoczyło nagłe przenikliwe zimno. Otulając się cienką peleryną, szybko pobiegła do PALOMY. Ubrania Topoli nie chroniły jej już przed jesiennym chłodem.

Robert nacisnął włącznik, lecz światło się nie zapaliło. Wyciągnął z kieszeni zapalniczkę i podszedł do skrzynki z korkami.

– To nic nie da. Wszystko siadło. Jutro ma przyjść elektryk. – Marcie wyleciało z głowy, że Sabina skarżyła się rano na awarię prądu.

Robert wyszedł do części sklepowej, oświetlając sobie drogę zapalniczką. Po chwili wrócił na zaplecze z dwiema płonącymi świecami, w które wtopiono plastry cytryn i pomarańczy.

– Jest ich tam więcej? – spytała Marta.

– Wystarczająco dużo, by oświetlić niewielką wioskę.

Chwilę później wewnątrz chłopskiej chaty wypełniło ciepłe światło świec, a w powietrzu unosiła się mieszanka zapachów cytrusów, kawy, malin, róż, wanilii, czekolady, aloesu, zielonej herbaty, jaśminu i kokosu.

Piec był jeszcze rozgrzany, co oznaczało, że Kacper z Sabiną wyszli całkiem niedawno. Na zapleczu zrobiło się niezwykle przytulnie.

Robert rozłożył pod ścianą marynarkę i zaprosił Martę, by usiadła obok niego. Potem otworzył wino i rozlał je do dwóch porcelanowych kubków.

– PALOMO! – Marta uniosła swój kubek do góry, wznosząc toast. – Wiem, że było między nami wiele kwasów. Ale pamiętaj, nie taka najgorsza z ciebie macocha... Czuję się winna, że nie będzie mnie na

otwarcu w poniedziałek.

– Zawsze dzielisz włos na czworo. Może się jeszcze rozmyślisz, co?

Dolała sobie wina i upiła kilka łyków.

– To dobre miejsce.

– Ale?

– Ale nie moje. Po prostu. Będę tęsknić za wami wszystkimi. – Spojrzała mu w oczy i nagle poczuła, że stać ją na szczerość. – Będę tęsknić za tobą. Ja... ale jeśli nie pojedę, będę żałować każdego dnia. Że stchórzyłam. Kiedy tam byłam i pisałam książkę, wszystko było na swoim miejscu. Pierwszy i jedyny raz w życiu. Pisanie, Nowy Jork...

– Andrew – przypomniał Robert.

– Tak. Andrew jest wspaniały – przytaknęła zmieszana, że umknął jej główny element układanki. – Taki przystojny, pewny siebie i poukładany.

Ziewnęła i dopiła resztę wina. Oparła głowę na ramieniu Roberta.

– Miałeś podobnie z Krakowem, co? Też rzuciłeś wszystko. Nie mógłbyś żyć w żadnym innym miejscu.

Robert myślał przez chwilę.

– Może i nie... – powiedział, ale nie skończył, bo zauważył, że zasnęła. Usta miała fioletowe od wina. Sięgnął po leżącą obok pelerynę i szczelnie Martę okrył.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sobota.

Słysząc było ciche, lecz nieustępliwe brzęczenie.

– Pszczoły? – Marta przetarła oczy. W połowie października?

Czuć było zapach malin, wanilii i czekolady. Zamrugła. Świat był trochę zamazany, bo nie zdjęła na noc szkieł kontaktowych. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest i co się dzieje. Dokoła stały wygasłe świece zapachowe. Na białym taborecie, obok jej torebki wibrowała komórka. Cicho, lecz nieustępliwie. Taki odgłos mógł wydawać mocno wkurzony rój.

Zerwała się i podbiegła do telefonu.

– Gotowa? – usłyszała głos Andrew.

– Oczywiście – odpowiedziała bez zastanowienia, choć dopiero po chwili zrozumiała sens pytania. Spojrzała na drzemiącego pod ścianą Roberta, następnie na zegarek i zaklęła pod nosem.

– Był korek po drodze, ale nie martw się. Zdążę na pewno. Tylko nie będę mieć czasu, żeby wchodzić do środka. Podjadę, a ty od razu zejdziesz, dobrze?

– Mhm.

– I pamiętaj. Żadnych szopek. Żadnego szykowania się. No wiesz, tych wszystkich fryzur, makijaży. Ma być codziennie i naturalnie.

– Żadnych wymyślnych fryzur – przytaknęła, modląc się w duchu, by wystarczyło jej czasu na prysznic i umycie włosów. – Jedź ostrożnie. Nie musisz się tak znowu spieszyć.

– Jak to nie muszę się spieszyć? – zdziwił się Andrew. – Przecież to nasz... – Nagle przerwało połączenie.

– Robert!

Kiedy podjechali pod dom Toli, Marta wbiegła na górę, wyciągnęła z torby czystą bieliznę i poszła pod prysznic. Strumienie ciepłej wody łagodziły ból pleców i karku – efekt nocy przespanej na podłodze. Marta liczyła, że uda się jej zamknąć rozdział pod tytułem PALOMA, ale w głowie miała jeszcze większy mętlik. Bardzo chciała jeszcze raz wszystko przemyśleć, lecz nie miała już na to czasu.

Wysuszyła włosy, wtarła w twarz odrobinę podkładu, pomalowała rzęsy tuszem, włożyła sukienkę Dagny od Topoli, tę, od której wszystko się zaczęło, i zeszła na dół.

Andrew jeszcze nie było. W kuchni Tola podlewała winem kawałki wołowiny, a Sabina mieszała mikserem masę do tortu, dodając ostrożnie roztopioną gorzką czekoladę. Na oknie stygły dwie blachy kruchych ciasteczek i małych bułeczek z grzybami. Salon lśnił. Na idealnie odprasowanym lnianym obrusie stał biały serwis Rosenthala, a obok leżały srebrne sztuce.

Robert wyłączył ekspres i podał Marcie świeżo zaparzone espresso.

– Czym podlać masę? – spytała Sabina. – Rumem czy whisky?

– Rumem – rzuciła Marta. – Dzięki. Ale to naprawdę nie było konieczne. Andrew mówi, że wystarczy najprostszy obiad. Jeśli w ogóle tu wrócimy.

– To może samą zupę? – wtrąciła Tola. – Na łożu śmierci pomyślisz: „To był taki wyjątkowy dzień. Nigdy nie zapomnę tej pomidorowej z makaronem”.

– I czemu nie możesz mieć normalnej sukienki? – W głosie Sabiny czuć było wyraźną pretensję. Dziewczyna sprawiała wrażenie wykończonej. Przysypiała na stojąco.

– Ma być zwyczajnie. Na tym opiera się promocja. Jeśli zrobię wesele, wydawca zerwie kontrakt. – Uniosła leżący na blacie egzemplarz powieści i spojrzała na Sabinę wzrokiem błagającym o zrozumienie.

Tola zostawiła wołowinę, podeszła do Marty i wyciągnęła jej książkę z ręki.

– *Tajemnica zabójstwa Dagny Przybyszewskiej* – odczytała. – Co to za książka, którą można zniszczyć tortem czekoladowym?

Wyglądała trzeźwiej i czystiej niż zazwyczaj. Ubrała się w świeże czarne kimono i uczesała włosy.

– Nie wyszła za dobrze. Ale udało się ją uratować. Wydawnictwo ją kupiło.

– Ludzie kupowali też bułki twojego ojca.

Marta podeszła do okna. Zerknęła na pustą ulicę. Andrew, gdzie jesteś, do cholery? Miała już komplet wątpliwości i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, były kolejne. Tola zaś serwowała je szczerze i hurtowo.

– Sama pani powtarza, że aby zostać dobrym kucharzem, nie wystarczy umieć gotować. Trzeba wiedzieć, co zrobić z zakalcem. To pani tajemnica. I Aurelii Aureoli. Miejsce, gdzie wkłada się nieudane ciasto, a potem, pstryk, wszystko smakuje, jak należy.

Tola przyglądała się jej przez chwilę, próbując zrozumieć, co właśnie usłyszała. Wykopała z wysypiska pamięci strzępy rozmowy i wywróciła oczami. Wybuchła śmiechem, który płynnie przeszedł w suchy kaszel.

– Racja! – stwierdziła. – To miejsce to kosz na śmieci. Wyrzucić i zapomnieć! To jedyny dobry sposób na zakalec.

Wtedy rozległ się klakson.

Zielona mazda podjechała pod bramę. Marta wyjrzała przez okno. Andrew dał Marcie znać, by wychodziła.

– I nic nie można zrobić? – Na twarzy Sabiny pojawiło się dziecięce rozczarowanie.

– Można wziąć mąkę i zagnieść nowe ciasto. Tak robią prawdziwe kucharki.

Babka podeszła do Marty, chwyciła w dłoń jej ekstrawagancką spódnicę i przez chwilę przyglądała się jej w zamyśleniu.

– Ta twoja Dagny musiała mieć inne zdanie na ten temat.

Andrew miał na sobie dzinsy i niebieską koszulę, którą Marta знаła z telewizyjnego wywiadu. Wyglądał świeżo i pociągająco. Na tylnym siedzeniu Pandusia spierała się z fotografem o prognozę pogody na najbliższy miesiąc i szansę nadejścia prawdziwej zimy. Podróż zdawała się trwać

w nieskończoność, lecz Marcie wcale to nie przeszkadzało. Przymknęła oczy i pograżyła się we własnych myślach.

Zatrzymali się na niewielkim parkingu przed Dworkiem Białoprądnickim. Parking i pobliskie uliczki szczelnie wypełniały samochody. Wokół tłoczył się tłum dziennikarzy, demonstrantów i gapiów. Wiele osób przyniosło transparenty. Na lekkim jesiennym wietrze powiewały płachty zapisane hasłami: „Jedna miłość. Jedno euro”, „Stop biurokracji”, „Miłość. Nie przeszkadzać”, a nawet – cóż, niektórzy nie przepuszczą żadnej okazji – „Ręce precz od polskiego górnictwa”.

Andrew pomógł Marcie wysiąść z samochodu. Natychmiast się cofnęła, bo jakiś chłopak podbiegł i pstryknął jej zdjęcie. Wtedy ruszyli następni. Miała ochotę uciec, lecz Andrew chwycił ją mocno i pociągnął w stronę dworku.

Białe ściany budynku lśniły w porannym słońcu. Weszli na ścieżkę, która biegła dokoła idealnie przystrzyżonego trawnika. Wokół czerwieniły się i żółciły stare drzewa.

Wiele par miało dziś w Krakowie powiedzieć sobie „tak”. Marta mogła się jednak założyć, że żaden pan młody nie będzie tak olśniewający jak Andrew Bajakowski.

A jednak coś się nie zgadzało.

– Obrączka. – Andrew podał Marcie białe puzderko. – Schowaj ją dobrze. Wczoraj dopadł mnie ten wariat. Mówił, że ma dowody, że w tajemnicy mierzysz suknie ślubne w salonie. Dobrze, że nie zdążył tego opublikować.

Marta zerknęła na swoją dziwną sukienkę od Topoli i znów powróciło to uczucie – że jest tylko rekwizytem w przedstawieniu.

– A gdyby zdążył?

– Co?

– A gdybym kupiła suknię ślubną?

– O czym ty mówisz? – Andrew posłał znajomemu reporterowi jeden z tych wypracowanych uśmiechów.

– Co to za małżeństwo, które można zniszczyć głupią sukienką? – Wpatrywała się w puzderko. – Andrew, przepraszam. Nie mogę tego zrobić. – Wyciągnęła rękę z ozdobnym pudełeczkiem.

Zamrugał oczami i rozejrzał się niepewnie dokoła jak ludzie, którzy podejrzewają, że padli ofiarą ukrytej kamery.

– To żart? Jowita ci to podsunęła, żeby było prawdziwiej? Mam cię gonić i będzie jak w *Seksie w wielkim mieście*?

– Ja mówię serio.

Andrew nie słuchał.

– To miałoby sens w kościele. Na oczach tłumu ludzi. Organy, biała suknia z trenem. Ale w urzędzie stanu cywilnego?

– Posłuchaj! – Marta pociągnęła go za rękę. – Nie mogę za ciebie wyjść. Zupełnie do siebie nie pasujemy.

– Wczoraj pasowaliśmy.

– Ani wczoraj, ani nigdy. I dobrze o tym wiesz. Jestem tą niepasującą apaszką.

– Czym?

– Twój ostatni program. W radiu. Pamiętasz? Niedopasowany element. Nonszalancka, niemodna apaszka. To przecież ja.

Andrew się spał. Coraz trudniej było mu panować nad emocjami.

– Chcesz zrezygnować z książki, wyjazdu, człowieka, którego kochasz? Bo zaczęłaś się utożsamiać z częściami garderoby? Naprawdę chcesz urządzić scenę?

Marta nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Serio? Ja urządzam scenę? – Palcem pokazała reporterów, gapiów, demonstrantów, transparenty, a na koniec swoją sukienkę.

– Spokojnie. Masz kryzys. Gorszy dzień. Albo jesienną chandrę.

– Nasz związek to zakalec. Od początku do końca.

Andrew chwycił Martę za rękę i poprowadził w stronę parku otaczającego dwór. Okrążyli budynek, minęli kawiarniany ogródek, przeszli przez furtkę i znaleźli się w parkowej alejce. Usiedli na ławce ciepłej od słońca.

– Ty mówisz poważnie. – Andrew spojrzał na Martę bardziej z niedowierzaniem niż wyrzutem. – Naprawdę chcesz to zrobić. Gekon cię przekonał?

– Oszalałeś?

– To o co chodzi?

– Zostanę tu i będę z Sabiną prowadzić piekarnię.

Powiódł oczami po koronach drzew.

– Wiesz, na czym polega twój problem? – nagle zmienił ton. – Jesteś gówniarą. Przestraszył cię sukces. To, że ludzie zaczęli brać cię na serio. Dlatego uciekasz.

Martę ścisnęło w gardle. Od dwóch tygodni prześladowały ją słowa Gekona: „Jesteś jego zabawką... Cały ten Nowy Jork to bzdura... Sama godziny tam nie przetrwasz... Ciągłe uciekasz...”.

– Andrew, tym razem wysłuchaj mnie uważnie. Pierwszy raz w życiu robię coś, co jest naprawdę dobre.

– Chciałaś pisać. Marzyłaś o Nowym Jorku.

– Może znajdę sposób.

– I do tego wszystkiego doszłaś akurat dzisiaj?

Pogłaskała jego policzek. Wyglądał jak bezradne dziecko.

– Tak będzie lepiej. Pomyśl, musiałbyś bez przerwy tłumaczyć moje wpadki. „A to moja żona, panie prezesie. Nie, nie jest taką prawdziwą pielęgniarzką”.

Andrew mimowolnie się roześmiał.

– Potrzebny ci ktoś bardziej stylowy. Jowita ciągle jest wolna.

– Jowita? Ja i Jowita? – Na twarzy Andrew malowało się zdumienie. – Ona jest okay, ale, no wiesz... ten jej pieprzyk na uchu.

– To ktoś bez pieprzyka.

Andrew wstał, podszedł do furtki i spojrzał na Dworek. Zniecierpliwieni reporterzy krążyli po kawiarnianym ogródku, wypyując o coś obsługi.

– I co mam im powiedzieć? Że wolisz piec bułki niż za mnie wyjść?

– Powiemy im, że to ty mnie rzucasz. Bo wybrałeś wolność.

Andrew odwrócił się w stronę Marty, ale unikał jej wzroku. Podeszła do niego i objęła jego twarz rękoma. Nie bronił się.

– Tak właśnie zrobiłby Przybyszewski.

Andrew chciał odpowiedzieć, lecz Marta nagle pocałowała go w usta. Tak długie i namiętne bywają tylko pocałunki pierwsze i ostatnie.

– A teraz weź głęboki oddech. Liczę do trzech i wybucham płaczem.

Wsunęła rękę pod ramię Andrew i pociągnęła go w stronę gapiów.

BRIOSZKA
ZAMIĄST EPILOGU

Minął rok od czasu uroczystego poślubnego przyjęcia, które nie było weselem. Mimo to – a może właśnie dlatego – świetnie się bawiliśmy. Po torcie czekoladowym nie został ślad, podobnie jak po nieprzyzwoitej liczbie butelek wina.

Mówiąc „my”, mam na myśli: Tolę, Sabinę, Kacpra, Martę oraz, rzecz jasna, siebie – Roberta Bajakowskiego.

Dlaczego wam o tym wszystkim opowiadam? To pytanie należałoby zadać autorce. Podobno w historiach Marty narratorzy rodzą się i umierają w najdziwniejszych momentach. Nie mam pojęcia dlaczego.

To dlatego zawsze wolałam trzymać się astrofizyki.

I dlatego musicie mi wybaczyć. Nie jestem pisarzem, mówcą ani wytrawnym gawędziarzem. Jestem prostym badaczem gwiazd. Nie oczekujcie stylistycznych fajerwerków.

Poza tym, cholernie mi się spieszy.

Opowiem pokrótce, co się wydarzyło.

Wesele Sabiny i Kacpra było... Hmm, mogę się założyć o najlepszy teleskop, że nigdy nie widzieliście takiej imprezy. Zaprosili trzysta osób, które przez tydzień jadły, piły i tańczyły. I tak w kółko. Coś mi mówi, że żaden z zaproszonych gości przez dłuższy czas tknie niczego, co zawiera w sobie choć skrawek drobiu.

Kevin Lipka zdążył się urodzić pięć tygodni przed ślubem, dzięki czemu Sabina mogła założyć wymarzony gorset. Wyglądała... Nigdy w życiu nie widzieliście takiej panny młodej.

PALOMA ma się świetnie. W zeszłym miesiącu do chleba, brioszek i słynnego na całą okolicę tortu czekoladowego dołączyły pierwsze letnio-jesienne przetwory: dżemy, konfitury, bigos i kiszonki. Sabina z Kacprem mówią, że jeśli tak dalej pójdzie, to wiosną otworzą filię.

Tola odnalazła się w nowej roli – babci małego Kevina. Ograniczyła picie do godzin wieczornych i nocnych. Podwoiła za to porcje zjadane na śniadanie i kolację, bo, jak twierdzi, dietę należy zbilansować. Cokolwiek w tym przypadku ma to oznaczać.

W zeszłym tygodniu po wyjściu z uczelni znów natknąłem się na Gekona. Próbował wyciągnąć mnie na piwo i pytał, czy znam obecny adres Marty. Bo kiedyś widział, jak trzymamy się za rękę, i myślał, że może...

Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają, prawda?

Powiedziałem mu, że nie trzymałem ręki Marty od roku.

Bo to akurat prawda.

Tamtego dnia, gdy wróciła sama ze Ślubu, Którego Nie Było, powiedziała: „Miałam już zaręczyny bez narzeczonego. Mogę mieć wesele bez pana młodego!”.

I świętowała.

Następnego dnia wstała o świcie i obudziła skacowaną Tolę. Chciała wiedzieć, czy Aurelia Aureola nadal prowadzi piekarnię na Manhattanie.

Miesiąc później wsiadła do samolotu i poleciała.

Mieszka teraz w Nowym Jorku, nocami wyrabia brioszki, a popołudniami pisze powieść. Podobno znacząco udoskonaliła warsztat. Tak przynajmniej twierdzi Gawron. Mnie też podesłała fragmenty – i powiem krótko: to ma klimat.

Choć obawiam się, że nie zrozumiałem wszystkiego do końca.

Andrew wrócił do Stanów. Marta mówi, że często wpada do piekarni z jakąś nastolatką w chińskim stroju ludowym.

I to chyba tyle. Jak wspomniałem, spieszę się, bo za godzinę zamykają sklep z walizkami. Nie znam się na tym zupełnie, więc potrzebny mi wykład na temat podróźniczej logistyki.

Nie opuściłem Krakowa od piętnastu lat, więc lepiej trzymajcie za mnie kciuki.

Jak mówią: człowiek nie może uwolnić się od siebie, zmieniając miejsce zamieszkania.

Za to może uwolnić się od Gekona.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz